Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz

Cena 9 zł

9 770208 622007

AKCENT nr 4 (86) 2001

a

4

4 (86) 2001

akcent

literatura i sztuka • *kwartalnik*

Media wobec pogranicza kultur
(m. in. J. Bartmiński, R. Kapuściński, I. Kovács, J. Kłoczowski, W. Oszajca, D. Pawłyczko)

• • •

Wiersze A. Frajlich, W. Kawińskiego, B. Zadury, S. Rudnickiego • O nowych książkach poetyckich, encyklopedii katolickiej i słowniku kultury żydowskiej • Wspomnienia o Edwardzie Stachurze • Lubelskie Konfrontacje Teatralne

akcent

kwartalnik

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
LECHOSŁAW LAMEŃSKI
WALDEMAR MICHALSKI (sekretarz redakcji)
TADEUSZ SZKOŁUT
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Korekta
Janina Hunek

Sekretariat i łamanie
Zuzanna Kaczorowska

Konsultacja techniczna
Janusz Solecki

Stale współpracują:

Marek Danielkiewicz, Kate Delaney (USA), *Stanisław Dłuski, Ewa Dunaj, Józef Fert, Michał Głowiński, Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács* (Węgry), *Marek Kusiba* (Kanada), *Jerzy Kutnik, Jacek Łukasiewicz, Wojciech Młynarski, Danuta Mostwin* (USA), *Magda Opoka, Dominik Opolski, Wacław Oszajca, Krzysztof Paczuski, Mykoła Riabczuk* (Ukraina), *Irena Sławińska, Andrzej Sosnowski, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Jerzy Święch, Aneta Wysocka*

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
oraz
Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie

Numer 4/2001 zrealizowano przy pomocy finansowej
Wydawnictwa Edytor Press sp. z o.o.

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2001 by „Akcent"

rok XXII
nr 4 (86)
2001

a akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Tadeusz Kuduk: *Obraz – Tryptyk*, olej (52 x 60 cm), 1981

Na czwartej stronie okładki:
Tadeusz Kuduk: *Ballada lipcowa z Holi – pierwsza*,
olej, tempera (54 x 36 cm), 2001

Autorem zdjęć obrazów Tadeusza Kuduka na str. 35 i 172 jest Stefan Ciechan.

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_lublin@hoga.pl

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, „Ruch" SA, „Jard-Press"i „Ars Polona".

Cena prenumeraty krajowej na I półrocze 2002 r. wynosi 20 złotych,
na cały rok 2002 – 40 zł.
Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent" Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 12401503-26934158-2700-401112-001-0000
lub przekazem pocztowym pod adres redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu".

W USA „Akcent" rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik" – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia" Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawca: Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent"
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3

Oddano do druku w grudniu 2001 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 9,-

SPIS TREŚCI

Od redakcji / **7**
Tadeusz Chabrowski: *Bliźniaczki* / **8**
Bohdan Zadura: *Word Center* / **9**
Ryszard Kapuściński: *Uwagi o globalizacji* / **11**
Jerzy Pietrkiewicz: *Dzień św. Szymona w Lublinie* (frag. powieści) / **15**
Jerzy Kłoczowski: *Funkcja mediów na obszarach pogranicza w jednoczącej się Europie*/ **19**
Anna Frajlich: *wiersze* / **22**
Jerzy Bartmiński: *Media wobec stereotypów narodowych na pograniczu*/ **26**
Jacek Kacprzak: *opowiadania* / **31**
Dmytro Pawłyczko: *Oderwać się od bolesnej przeszłości* / **36**
Sławomir Rudnicki: *wiersze* / **39**
István Kovács: *Węgry w XX wieku: kraj, „który ze wszystkich stron graniczy sam ze sobą" oraz naród na granicy bytu i niebytu* / **43**
Wojciech Próchniewicz: *opowiadania* / **49**
Piotr Sommer: *Po stykach* / **54**
Wojciech Kawiński: *wiersze* / **58**
Wacław Oszajca SJ: *Media katolickie a pogranicze kultur* / **62**
Grzegorz Matwies: *opowiadania*/ **66**
Tadeusz Doroszuk: *Telewizja Lublin – świadomość pogranicza (głos w dyskusji)* / **72**
Janusz Winiarski: *Pogranicze kultur w Radiu Lublin (głos w dyskusji)* / **75**
Leon Dyczewski: *Media czynnikiem spajającym heterogenną społeczność pogranicza (przyczynek do dyskusji)* / **77**
Jarosław Jakubowski: *wiersze* / **78**
Andrij Mokłycia: *Wołyń jako świat idealny – słowo o poezji Waldemara Michalskiego* / **81**
Maciej Cisło: *Listy do**** / **86**
Tadeusz Zubiński: *Jaan Kross – bliski nieznajomy* / **94**
Kacper Bartczak: *wiersze* / **101**
Michał Legierski: *Wola i ból istnienia* / **105**

PRZEKROJE

Poeci, poeci…

Jacek Bierut: *Topografia moich snów. Czytam Sosnowskiego…*; Jarosław Cymerman: *Podziemne światło „Papierowego lampionu" Sergiusza Sterny-Wachowiaka*; Anna Kałuża: *Gorączka i wiersze*; Jerzy Szymik: *Jestem pragnieniem i wodą, głodem i chlebem (o wierszach Alfreda Marka Wierzbickiego)*; Ryszard Kołodziej: *Nie tu, nie tam – a jednak – i tu, i tam*; Waldemar Michalski: *Janusza Koniusza „Droga do Hamleta"*; Anna Kałuża: *Czysta poezja. Marcin Baran*; Magda Opoka: *„Ładnie tu u pana" (nowa książka M. Świetlickiego)* / **126**

Nie tylko analitycznie...

Maria Kunowska-Porębna: *Czytając encyklopedię*; Wacław Sadkowski: *Książka z cieniem*; Sławomir Buryła: *„Zmyślona" opowieść*; Waldemar Dagilis: *Dokumentacja ludobójstwa*; Bogusław Biela: *Józefa Łobodowskiego portret własny*; Jan Zdzisław Brudnicki: *Powrót Łobodowskiego*; Maria Wrzeszcz: *Dotknięcie tajemnicy poznawania*; Kamila Borysewicz: *Prywatna mitologia Zbigniewa Herberta*; Ryszard Löw: *Worek żydowski* / **144**

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Jeszcze raz człowiek i sacrum, czyli słów kilka o malarstwie Tadeusza Kuduka* / **169**

TEATR

Bartek Kruk: *Karnawał mitów i błaznów* / **179**

MUZYKA

To ja jestem wodzirejem – rozmowa Magdy Opoki z Ryszardem „Tymonem" Tymańskim / **187**

WSPOMNIENIA

Stanisław Jan Rostworowski: *Dysk gorejący. Wspomnienie o Edwardzie Stachurze* / **189**

NOTY

Stanislaus A. Blejwas (1941-2001) / **195**

Jeszcze raz pogranicze

Nie wygasa zainteresowanie kulturowymi rezultatami zderzenia lub przenikania odmiennych tradycji i systemów wartości na obszarach zamieszkiwanych przez ludzi o różnych narodowościach. „Akcent" poświęcał tej kwestii wiele uwagi jeszcze w latach osiemdziesiątych, co zaowocowało m.in. serią tomów zatytułowanych „Na pograniczu narodów i kultur". Termin „pogranicze" w znaczeniu, jakie mu wówczas nadaliśmy, zrobił karierę w latach 90., stając się dla wielu instytucji i przedsięwzięć kulturalnych pojęciem konstytutywnym. Ciągle jednak nie wszystko w tej dziedzinie zostało powiedziane, tym bardziej że sytuacja na świecie po 11 września daje refleksji nad współistnieniem odmiennych kultur nowe impulsy, zmuszając do weryfikacji wielu dotychczasowych przeświadczeń.

Szczególnego namysłu wymaga rola mediów (również – a może przede wszystkim – mediów regionalnych) wobec tej zasadniczej kwestii współczesnego świata. Owemu namysłowi służyła konferencja zorganizowana 28 września br. przez Wschodnią Fundację Kultury „Akcent" i lubelski ośrodek Telewizji Polskiej pt. ***Media w regionach wobec pogranicza kultur****. Do udziału zaprosiliśmy wybitnych pisarzy, uczonych humanistów, dyplomatów i praktyków mediów. Ryszard Kapuściński przedstawił swoje spojrzenie na problem globalizacji w świetle zagrożeń cywilizacyjnych, jakie powinien nam uświadomić terrorystyczny atak na USA. Dmytro Pawłyczko, poeta i ambasador Ukrainy w Warszawie, mówił o zbliżeniach ukraińsko-polskich. István Kovács, również poeta i konsul generalny Węgier w Krakowie, nakreślił współczesny obraz sytuacji narodu podzielonego między sąsiadujące państwa. Prof. Jerzy Kłoczowski, dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej odniósł się do problemów pogranicza w perspektywie europejskiej integracji, a prof. Jerzy Bartmiński, językoznawca z UMCS rozważał funkcjonowanie trudnych do przezwyciężenia stereotypów narodowych. Ksiądz Wacław Oszajca, redaktor naczelny jezuickiego „Przeglądu Powszechnego" przedstawił obraz mediów katolickich na tle problemu sygnalizowanego przez temat konferencji. Piotr Sommer, redaktor naczelny „Literatury na Świecie" mówił o kwestii „pograniczności" zarówno ze swego osobistego, pisarskiego, jak redaktorskiego punktu widzenia. Dr Jan Sęk, wiceprzewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i TV podsumował dorobek mediów publicznych w przezwyciężaniu narodowych ksenofobii, a niżej podpisany naszkicował współczesną mapę czasopism literackich zajmujących się problemami pogranicza. W dyskusji głos zabrali m.in. Tadeusz Doroszuk, dyrektor lubelskiego ośrodka telewizyjnego i Janusz Winiarski, prezes Radia Lublin, a także dyrektor Ryszard Pacławski, odpowiedzialny za telewizję regionalną w zarządzie publicznej TV.*

Teksty większości wspomnianych wystąpień złożyły się na eseistyczną zawartość „części głównej" tego numeru „Akcentu". By nie spowodować znużenia czytelników „monotematycznością" lektury postanowiliśmy je przeplatać utworami literackimi, z których nie wszystkie mają związek z wiodącym tematem numeru. Oddajemy go do rąk czytelników z zachętą do dyskusji.

Bogusław Wróblewski

TADEUSZ CHABROWSKI

Bliźniaczki

Mówiąc między nami – magister Witalis –
często powtarzał turystom:
są wspaniałe i najpiękniejsze na Manhattanie
na pewno umrą młodo.
Rumienił się przy tym jak Jan Chrzciciel,
sam nie rozumiejąc, że takie proroctwo
może się spełnić.

Kiedy 11 września rano
szatańscy samobójcy Koranu
spadli z jasnego nieba jak pioruny,
obu bliźniaczkom rudymi płomieniami
zajęły się włosy,
od eksplozji zbiorników z benzyną
spierzchły wargi i na całym ciele zmarszczył się naskórek,
tracąc raptownie świadomość,
obie osunęły się na kolana.

Kłęby rozżarzonych chmur
uciekały w górę, wlewały się w miasto,
topione żelazo mieszało się z krwią,
kości płonących zmieniały się w pył,
wiatr poruszał wargami, palcami,
syczącymi dźwiękami sylab,
tych po których przyszli już aniołowie.

Witalis czuł jak zmniejsza się planeta,
gasną i zapalają znicze historii,
między wszystkimi narodami
szukającymi zemsty rozlewa się żółć
a Wielka Bestia
wypluwając z gardzieli popiół
wdrapuje się na obolały kontynent.

Nowy Jork, 13 września 2001

Tadeusz Chabrowski

BOHDAN ZADURA

Word Center

16 dni po ataku na World Trade Center śni mi się John Ashbery
Lepiej późno niż wcale? Moja podświadomość solidaryzuje się z Ameryką:
nie śni
mi się Janusz Głowacki ani Mikołaj Smoczyński ani Rozalia Fulara
siostra mojej matki u której byłem niemal równo dwadzieścia lat temu
w Jersey New Jersey i która wkrótce potem umarła ze starości

John śni mi się w Warszawie To znaczy ja śpię w Puławach
a spotkanie organizują uniwersyteccy amerykaniści w auli większej
niż Audytorium Maximum Stół udekorowany
nie paprotkami ale kwiatami w doniczkach Las anemonów
inna estetyka i inni ludzie Nie ma Agaty Preis ani
Julii Fiedorczuk Nie ma Tadeusza Pióry Andrzej
Sosnowski gdzieś na widowni tak jak ja

wśród studentów John się spóźnia bo chyba spóźnił się samolot
W końcu wchodzi Czy mnie pozna i podejdzie żeby się przywitać
w drodze do prezydialnego stołu I co ja mu powiem i jak
jest po angielsku Nice to see you again i You look so young
bo rzeczywiście tak wygląda Tamte zdjęcia
w LST musiały kłamać Wita go studentka

wiceprzewodnicząca uczelnianego samorządu Estonka lub Łotyszka
bo John z Warszawy poleci do Estonii lub na Łotwę
i potem prosi wszystkich żeby się przedstawili Każdy wstaje
mówi imię i nazwisko rok i kierunek Cała sala
przy imieniu na chwilę podnosi się z krzeseł Jakiś koszmar
dobrego wychowania Kim są

ci nowi tłumacze i czy ktoś pamięta o starych?
John czyta jakiś poemat bez końca wychodzę na papierosa
słyszę jak w rozmowie pada Jednego nie można mu zarzucić
tego że go ktoś wymyślił i jakbym wiedział o czym mowa
to znaczy co ma na myśli Śpisz z kimś i nawet nie znasz

jego pinu Nawet tego że ma jakiś pin dowiadujesz się przypadkiem
i po czasie A tak na marginesie co to jest pin? Da oczewidno

Personal Identification Number Czy nad tym nie pracowano
już w Oświęcimiu? Nazwiska to anachronizm podobnie
jak linie papilarne Wychodzić za mąż to wyrzekać się siebie?

Ale to się zmieni Wkrótce Raz na zawsze Kartoteka
genetycznego kodu pęcznieje jak brzuch ciężarnej
choć badania okresowe to brzmi tak niewinnie
i po co kłuć dwa razy jak można przy okazji
i nawet nie wiesz że nie wiesz jak się nazywasz naprawdę

Nie wiem czy starczy mi na dwie paczki carmenów
(od jakiegoś czasu oszczędzam czas) bo nie wiem
czy są po sześć tysięcy czy po sześć złotych
(w prognozie wyborczej Liga Polskich Rodzin
w pewnej chwili miała 6,66) i gdzie jest teraz
na Uniwersytecie najbliższy kiosk

I olśnienie: są po sześć złotych a ja mam dwieście
i przestaję zajmować się papierosami bo już w jakiejś sali
siedzę na bankiecie Telewizja jest na bankiecie
i kamerzysta jak natrętna mucha robi materiał na przebitki
filmując głowę Andrzeja to znów moją to nagą szyję
kobiety przypominającej Agnieszkę Taborską
z włosami upiętymi w kok To jest naprawdę ruchliwa kamera

W tej sali stoi choinka jakbyśmy dotrwali do Bożego Narodzenia
i zdumiewa mnie że część tego drzewa ma igły część liście
właściwie listki jak wierzbowe lub brzoskwiniowe i myślę
że to John przywiózł tę choinkę bo skąd coś takiego w Polsce

Wszystko zaczyna się niewinnie Idea potrzebuje tylko
zasięgu Czy te wieże (nie tamte) nie przypominają więź strażniczych
i czy wszystko w co wierzyliśmy lub nie ta cała za przeproszeniem kultura
nie jest kolejny raz śmieszna

Pytam o coś Andrzeja a on w co trudno mi uwierzyć
mówi że musi to sprawdzić w książce którą ma w domu
Pójdę z tobą ale nie będę wchodził żeby ci nie zawracać głowy
i nie zabierać czasu

Kto ma większą pojemność płuc, stawia mniej przecinków?

Bohdan Zadura

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Uwagi o globalizacji

Zostałem poproszony, by powiedzieć słowo na temat ogólny – którym zresztą się pasjonuję – a mianowicie o globalizacji współczesnego świata. Było to dwa czy trzy miesiące temu. Naszkicowałem schemat takiego wystąpienia, ale wydarzenia 11 września zburzyły mi – i całemu środowisku zajmującemu się globalizacją – obraz tego zjawiska. Trzeba właściwie wszystko budować od nowa. To budowanie od nowa jest jednak dopiero u początku. Minęło niewiele więcej niż dwa tygodnie od wydarzeń, które każą nam spojrzeć na wiele spraw współczesnego świata w zupełnie inny sposób. Jeszcze dokładnie nie wiemy, w jaki. Dlatego to, co powiem, będzie bardzo szkicowe, pobieżne i pełne niepewności, którą wszyscy mamy.

W dotychczasowej refleksji o globalizacji istniały dwie szkoły. Pierwsza uważała, że jest to bardzo stare zjawisko: globalizacja istniała od pierwszych, greckich prób tworzenia mapy świata, *mapa mundi*, nowego rozmiaru nabrała wraz z odkryciami Kolumba, z ekspansją kolonialną, a wszystko potem było jak gdyby poszerzaniem i pogłębianiem tego procesu. Człowiek od początku dążył do poznania innych i do poznania tego, co go otacza.

Druga szkoła globalistów uważała to zjawisko za zupełnie nowe i wiązała je – w czym miała niewątpliwie rację – z dwoma fenomenami przełomu XX i XXI wieku. Pierwszym warunkiem tej nowej globalizacji miała być ogromna rewolucja elektroniczna, która pozwoliła opleść świat siecią systemów komunikacji, przez co zniosła dwie przeszkody, jakie ten proces utrudniały, przeszkodę przestrzeni i przeszkodę czasu. Ponadto doszedł do naszej świadomości fakt, że świat, w którym żyjemy i będziemy żyć, musi być światem wielokulturowym. Świadomość wielokulturowości świata istniała, oczywiście, wcześniej, ale nie była to świadomość powszechna. Wielu ludzi, wiele pokoleń żyło przez tysiące lat nie wiedząc, że obok jest jeszcze ktoś inny: w małych plemionach, małych społecznościach czy na stosunkowo niewielkich obszarach kulturowych, które albo się ze sobą stykały, albo się omijały, albo były ze sobą w konflikcie. A jeżeli nawet ludzie wiedzieli o innych, to nie mieli możliwości czy pokusy ich poznania.

Nowa globalizacja, z którą teraz mamy do czynienia, stała się jednym z najważniejszych, właściwie podstawowym tematem refleksji humanistycznej, politycznej, ekonomicznej itd. (tak jak kiedyś wiodącym tematem refleksji i dyskusji był postmodernizm). Jej zrozumienie stanowi klucz do zrozumienia tego, co się dzieje na świecie.

Na czym polega proces globalizacji i kiedy on się zaczął? Otóż globalizacja w sposób przyspieszony zaczęła się dokonywać po zakończeniu zimnej wojny. Zimna wojna podzieliła świat na dwa obozy i zamroziła ten podział na blisko pięćdziesiąt lat. Przez tych pięćdziesiąt lat wszystkie wydarzenia na świecie – polityczne i gospodarcze – były rozpatrywane poprzez pryzmat mechanizmów i podziałów zimnowojennych. Dziesięć lat temu zawalił się Związek Radziecki, nasza planeta przestała być dwubiegunowa i znaleźliśmy się w świecie objętym jedną strukturą – strukturą globalną. Zakończenie zimnej wojny, połączone z rewolucją elektroniczną, spowodowało, że zna-

leźliśmy się, jako ludzkość, w nowej sytuacji światowej. Sytuacja ta zupełnie nas zaskoczyła, nie umieliśmy i w dalszym ciągu nie umiemy jej oswoić.

Postęp globalizacji wiązał się także z narastaniem procesu osłabiania roli państwa w świecie. Tradycja państwa narodowego istniała od mniej więcej dwustu lat – od końca XVIII wieku. Świat był podzielony na państwa narodowe: państwa rządziły poszczególnymi jego regionami, państwa się łączyły, tworzyły sojusze albo wchodziły w stan wojny między sobą... Państwo było kluczem do zrozumienia świata. Dzisiaj – a od zakończenia zimnej wojny szczególnie – rola państwa zaczęła wszędzie słabnąć. Państwo znalazło się w kryzysie. Stało się tak dlatego, że było osłabiane zarówno odgórnie, jak i oddolnie.

Odgórnie państwo traciło swoje znaczenie na skutek działalności wielkich korporacji międzynarodowych, zwłaszcza finansowych, które dokonywały transakcji i prowadziły swoją politykę ponad jego granicami. W coraz większym stopniu państwami zaczęły rządzić te wielkie, ponadnarodowe struktury. Stało się tak dlatego, że na świecie jest ogromny deficyt kapitału, a potrzeby rosną. Wobec tego korporacje posiadające kapitał mogą dowolnie wybierać, gdzie go ulokują. I wybierają sobie te miejsca, które z jednej strony gwarantują bezpieczeństwo, z drugiej zaś – najwyższe zyski. W tej sytuacji państwo jest jak gdyby bezwolne, ponieważ to wielkie korporacje decydują, gdzie pójdą pieniądze.

Oddolnie państwo było osłabiane przez narastające na całym świecie tendencje odśrodkowe: procesy mikronacjonalizmów, etnocentryzmów, regionalizmów, a także na skutek rodzącej się i rozwijającej struktury nierządowych organizacji. Organizacje te, zwane po angielsku *non government organisations*, zaczynają coraz bardziej oddziaływać na współczesność. Dlatego też socjologowie amerykańscy mówią, że żyjemy coraz bardziej w świecie nierządowych, niepaństwowych aktorów: *world of non-state actors*.

Wynikiem słabości państw są dwa procesy o wymiarze globalnym. Pierwszym jest utrata państwowego monopolu przemocy. Dawniej siła państwa, jego unikalna pozycja polegała na tym, że jako jedyne dysponowało armią, policją, środkami komunikacji i środkami prawymi. Tymczasem proces globalizacji prowadzi do rosnącej prywatyzacji przemocy. Na świecie jest coraz więcej prywatnych armii, prywatnych organizacji zbrojnych, coraz więcej mafii, organizacji przestępczych, nielegalnego handlu narkotykami, nielegalnego handlu bronią. To wszystko powoduje, że państwo jest coraz słabsze i ma coraz mniej możliwości kontroli tego, co się dzieje w nieformalnej strefie prywatnej przemocy.

Drugim elementem osłabiającym rolę państwa jest nowy, rodzący się system finansowy, pozwalający unikać płacenia podatków. Nowoczesne środki elektroniczne pozwalają na wyprowadzanie z każdej gospodarki ogromnej ilości kapitału do prywatnych banków, które znajdują się poza kontrolą jakiegokolwiek systemu państwowego i w związku z tym państwa ubożeją.

W tym kontekście dochodzi do wydarzeń 11 września w Stanach Zjednoczonych, które nadają refleksji nad współczesnym światem i nad problemem globalizmu nieco inny kierunek. Wydaje się, że u podstaw tego, co się stało, leży błędna ocena zakończenia zimnej wojny. Została ona sformułowana przez amerykańskiego filozofa Francisa Fukuyamę i przybrała formę większego artykułu pt. *Koniec historii*. Fukuyama uważał – a razem z nim szereg ośrodków naukowych i futurologicznych Stanów Zjednoczonych – że koniec zimnej wojny oznacza właściwie koniec historii, ponieważ po klęsce Związku Radzieckiego i komunizmu na placu boju na naszej planecie została tylko jedna zwycięska koncepcja, jeden zwycięski ustrój – ustrój liberalnej demokracji. Okazał się on jedynym ustrojem racjonalnym i przynoszącym dobrobyt, a w związku z tym wszystkie rozsądnie myślące istoty ludzkie automatycznie przejmą go jako swój własny. Cały świat będzie światem liberalnej demokracji, a wobec tego, że między liberalnymi demokracjami nigdy nie dochodzi do wojen – skończyły się wojny, skończyły się konflikty, skończyła się historia.

Tezie tej nadano wielki rozgłos, ogromnie ją upowszechniono, przetłumaczono na dziesiątki języków, udostępniono bardzo szerokiej opinii światowej. Jak się później okazało, miała ona dwie bardzo niebezpieczne konsekwencje. A mianowicie, skoro nie ma już historii, nie ma konfliktów i walki, to co pozostaje? Pozostają dwie rzeczy. W dziedzinie mediów zwycięską siłą staje się rozrywka, ich rola sprowadza się do zabawiania widzów. Zaś w życiu główną ideologią, głównym motorem jest konsumeryzm. Konsumpcja, nabywanie, bogacenie się to cele społeczne. Obie te tendencje wzajemnie ze sobą współgrają. Konsumpcja zakłada potrzebę spokoju i czystego sumienia, bo wtedy jest najbardziej wydajna. W sukurs przychodzi rozrywka. Jednym słowem, wytwarza się atmosfera ogólnej zabawy, wesołości, rozbawienia, ogólnej bezkonfliktowości – wszystko układa się bardzo dobrze. Filozofia sukcesu i indywidualnej korzyści zaczyna dominować. Tę tonację, ten wzorzec narzucają przede wszystkim wielkie sieci telewizyjne, ale również i innego rodzaju media. W takiej atmosferze dochodzi do szoku 11 września: jak to, żyjemy w świecie zabawy i komfortu, a tu raptem takie wydarzenia?!

Trzeba powiedzieć, że i w środowisku amerykańskim odzywały się głosy wzywające do rozsądku, rozwagi i zastanowienia się. Był wśród nich głos znanego politologa z Uniwersytetu Harvarda, Samuela Huntingtona, który wystąpił na łamach „Foreign Affairs" z teorią zderzenia cywilizacji. Sama ta koncepcja zresztą nie jest nowa, wymyślił ją wielki historyk angielski Toynbee, autor wielkiej, jedenastotomowej historii świata. Sformułował tam tezę, że nie można rozpatrywać dziejów jako historii narodów czy państw, bo jest to perspektywa zbyt wąska. Na historię ludzkości trzeba patrzeć jako na historię cywilizacji. Owe cywilizacje – i to już jest opinia Huntingtona – będą wchodziły z sobą w konflikt. Huntington, Amerykanin, miał na myśli przede wszystkim cywilizację amerykańską. Jako dwu głównych przeciwników tej cywilizacji widział cywilizację chińską i cywilizację islamu. Jedynie te dwie mogą, jego zdaniem, przeciwstawić się cywilizacji amerykańskiej.

Huntington, oczywiście, zajmuje stanowisko polemiczne wobec Fukuyamy, krytykuje i zwalcza jego tezy, mówiąc do opinii amerykańskiej: pamiętajmy, że cywilizacja zachodnia, której częścią są Stany Zjednoczone, jest cywilizacją w dziejach świata niepowtarzalną. Żadna inna cywilizacja nie przeszła dwóch wielkich okresów korekty i krytyki, samokrytyki – odrodzenia i oświecenia. Cywilizacja zachodnia jako jedyna była do owej samokrytyki zdolna. Wszystkie inne zawsze patrzyły na siebie bezkrytycznie, traktowały siebie jako wytwór absolutny, zamknięty i niepodważalny. Było to – zdaniem Huntingtona – przyczyną klęski różnych cywilizacji, gdyż nie korygowały się, nie dostosowywały, nie miały w sobie tej elastyczności, jaka charakteryzuje cywilizację zachodnią.

Inny pogląd na stosunki między cywilizacjami wygłosił wielki francuski socjolog i antropolog Marcel Mauss, a jego tezy podzielał antropolog polskiego pochodzenia, należący jednak do antropologii brytyjskiej, Bronisław Malinowski. Twierdzili oni, że cywilizacje niekoniecznie muszą wchodzić ze sobą w konflikt, że w różnych okresach może między nimi dochodzić do dyfuzji, wymiany. W rezultacie kontakty cywilizacyjne mogą prowadzić do wzajemnej stymulacji, wzajemnego wzbogacania się. Taka koncepcja kontaktu cywilizacyjnego jest znacznie bardziej optymistyczna od fatalistycznych tez Huntingtona.

Wszystkie te teorie odżyły w myśli społecznej i politycznej świata po wydarzeniach 11 września. Dyskutuje się teraz, w jaki sposób różne cywilizacje ułożą wzajemne stosunki. A sytuacja na świecie jest bardzo krytyczna, bardzo dramatyczna – po raz pierwszy na tę skalę od II wojny światowej. Nadszedł moment, w którym rozstrzygnie się, jak w najbliższych latach czy dziesięcioleciach będzie żyć nasza wielka rodzina ludzka.

Jest nas w tej chwili na świecie sześć miliardów, co roku przybywa osiemdziesiąt milionów ludzi, z tego siedemdziesiąt pięć milionów w Trzecim Świecie. Są przed nami dwie drogi. Ludzkość może wybrać Huntingtonowski wariant wojen międzycywilizacyjnych – może dojść do konfliktu z cywilizacją islamu, a jest to religia, którą wyznaje w tej chwili miliard trzysta tysięcy ludzi, najbardziej dynamiczna i najszybciej rozwijająca się na naszym globie. Ale świat może też wybrać wariant Maussa i Malinowskiego, wariant współpracy, poszukiwania kontaktu, dialogu i zrozumienia.

Ryszard Kapuściński

Ryszard Kapuściński (pierwszy z prawej) wygłasza *Uwagi o globalizacji*. Obok siedzą: Tadeusz Doroszuk (w środku) i Bogusław Wróblewski. Fot. Maciej Kaczanowski

JERZY PIETRKIEWICZ

Dzień św. Szymona w Lublinie*

Nadszedł październik i kapitan wybrał się jednak do Lublina. Uczynił to ze względu na Dymitra. Wieśniak nalegał na spotkanie z panem. Zawsze, gdy o nim wspominał, w jego głosie pojawiał się szacunek. Pan Seton-Setoński był już u króla, a teraz, skoro spełnił swą pierwszą misję, mógłby się podjąć drugiej, której celem – klarował Dymitr kapitanowi – byłoby zorganizowanie spotkania cara moskiewskiego z królem Polski. Niezawodnie uraduje ona szlachetnego pana, zapewniał Tobiasza Dymitr.

Rozważając rozkosze problematycznych misji kapitan Hume odwoływał się do swojego zmysłu praktycznego, że podróż do miejsca pobytu Setona-Setońskiego mogłaby się także okazać pożyteczna dla Szkotów w jego mieszanym regimencie. Sam nie był w stanie pomóc żołnierzom inwalidom. Nie mógł też w nieskończoność ciągnąć ich furgonu za resztą kolumny, a ponieważ pojawiły się lepsze widoki na przekształcenie osiemdziesięcioosobowej kompanii w pełny regiment pięciuset lub więcej ludzi, kapitan nie chciał osłabiać jego wartości bojowej utrzymując kalekich weteranów.

W mieście tak bogatym jak Lublin mógłby się od nich uwolnić w sposób tyleż honorowy co bezbolesny dla swego sumienia. Tak więc w wigilię dnia św. Szymona zrzucił ów ciężar na bardziej odpowiedzialne sumienie pana Setona-Setońskiego.

Lubelscy mieszczanie zrobili już jednak wiele, by nadwerężyć cierpliwość Setońskiego, opowiadając mu jak niegodziwi, bezwzględni i natarczywi są cudzoziemscy przekupnie. Rozstawiają swoje stragany tam, gdzie nie wolno i w dni zakazane przez cechy; gonią za klientami w miejsca o złej sławie, gdzie nie zapuściłby się żaden szanujący się kupiec, chyba że pijany; a co najgorsze, to że zdają się mnożyć w samych swoich koszach i tobołach: ich liczba większa jest nawet niźli przewiny.

---

* Fragment rozdziału siódmego powieści *Grabież i wierność*. Powieść rozgrywa się w siedemnastowiecznej Polsce i Rosji, a jej głównym bohaterem jest szkocki najemnik, kapitan Tobiasz Hume. Autor angażuje go w kształcenie Dymitra, wiejskiego chłopca z błot prypeckich, który miał się stać znany jako Dymitr Samozwaniec II. Główny temat powieści osnuty jest wokół relacji między trojgiem bohaterów: Tobiaszem Humem, Dymitrem i jego matką. Inne postaci pojawiające się w trakcie ich historii to spolonizowany Szkot Seton-Setoński, bojar Iwan Iwanowicz Nikitin, szkoccy żołnierze i przekupnie oraz polscy szlachcice i wieśniacy.
Tobiasz Hume jest postacią autentyczną, najemnym żołnierzem, muzykiem grającym na wioli da gamba i wynalazcą śniącym o nowych narzędziach wojny. W tej książce konstruuje on swą Wielką Machinę pośród oparów prypeckich bagien. Wszystko, co zachowało się po nim do dzisiaj, to dwa zbiory kompozycji muzycznych wydane na początku siedemnastego wieku oraz petycja do parlamentu zacytowana na końcu powieści jako epilog. Koleje losu Tobiasza Hume'a, które obmyślił autor, są nie tylko typowe dla XVII wieku, ale wydają się zaskakująco aktualne także w naszych czasach. Jego problem mianowicie to problem uchodźcy w „odwrotnym kierunku": Szkota wygnańca w Europie Wschodniej.

Nieświadom obowiązków ciążących na Setonie-Setońskim Tobiasz nakłaniał go, by do tego tłocznego raju włóczęgów wpuścił jeszcze kilu szkockich handlarzy.

– Pewien jestem, że możemy wyekwipować ich koszyki w praktyczne, choć niedrogie towary – kapitan próbował przemówić do sakiewki Setońskiego używając dyskretnie monarszej liczby mnogiej. – Co się zaś tyczy Lesliego, wielce miłościwy panie, to można by zakupić mu skromną budę, którą ustawiłby sobie gdzie na tym ruchliwym rynku. Leslie, jak wasza miłość pamiętasz, stracił prawą nogę.

– Na rynku, ha! – Seton-Setoński siedział przy oknie w Trybunale Koronnym, a za owym oknem krzątał się, wypełniając tę niewielką przestrzeń tłum kupców, garbarzy, szewców i krawców zaprzątniętych, jak zdawał się myśleć Tobiasz, jedną tylko troską: jak by tu zrobić miejsce dla najemnego żołnierza, którego kapitan Hume awansował właśnie do rangi straganiarza.

– Jestem pewien, panie Setoński, że działając w imieniu króla, mógłbyś wydać jeden rozkaz, a cała sprawa…

– Panie Hume – przerwał Setoński – czy przebyłeś całą tę drogę, by mówić ze mną o przekupniach? Dość się już o nich nasłuchałem. Jeśli chcesz waść koszy, kupże je sam i napełnij, czym chcesz. Ja wszakże wolałbym porozmawiać o tym chłopcu, Dymitrze.

– Jest tutaj w Lublinie. Znalazłem mu dobrą kwaterę w karczmie pewnego Szkota koło Bramy Krakowskiej.

– A ojciec Stanisław?

– Jest z panem Miechowskim.

– A gdzie jest pan Miechowski?

– Bawi księdza konwersacją. W istocie, jego cesarska mość nie życzył sobie, aby ojciec Stanisław widział się z tobą sam, szlachetny panie.

– Kapitanie – Seton-Setoński zniżył głos – nie nawykłem do wymijających odpowiedzi. Gdzie oni są?

– W Lublinie. Jego cesarska mość wybrał mnie, abym doręczył waszej miłości jego przesłanie. Jego cesarska mość pragnie spotkać się z królem Polski.

– Jego wiejska mość jest zuchwalcem. Twoja zaś bezczelność, kapitanie, zasługuje na karę. Zaprowadź mnie natychmiast do ojca Stanisława.

– Mam swoje rozkazy.

– W Polsce będziesz waść słuchał rozkazów mojego króla. A jego królewska mość polecił mi odesłać oszusta tam, skąd przyszedł.

– Panie Setoński, ty sam pojechałeś, by go stamtąd sprowadzić. Czyżeś wasza miłość zapomniał o naszym pierwszym spotkaniu?

– Ja również mam swoje rozkazy, kapitanie. Chłopca trzeba zabrać z powrotem do matki. Nie powinieneś był go tu przywozić.

– Zaczekaj wasza miłość aż go spotkasz.

– Czekam na ciebie kapitanie, żebyś mnie zaprowadził do kwatery pana Miechowskiego.

Rankiem dnia św. Szymona Seton-Setoński był gotów przyjąć Dymitra. Omówił już całą tę bolesną sprawę z księdzem, wykorzystał przestrach pana Miechowskiego, a kapitanowi uzmysłowił prosty fakt, że jest w stanie zawezwać żołnierzy wojewody, gdyby trzeba mu było dalszej perswazji.

Ale Tobiaszowi nie udało się zaprezentować chłopca od razu. Dymitr zmylił szkockiego karczmarza i wymknął się na miasto. Ulice były zgiełkliwe, a tłum gęstniał, w miarę jak kapitan przebijał się w kierunku Bramy Zamkowej. Nie mógł przejść przez Rynek: zawrócił i brnął przez ludzką gęstwę, która

napierała na niego z obu stron, zmuszając do posuwania się wzdłuż rynsztoka środkiem ulicy. Niedaleko Bramy Krakowskiej wytropił wreszcie Dymitra. Jego głos dochodził, jak się zdawało, spod straganu, wokół którego panowało wielkie zamieszanie.

Tobiasz znalazł się wśród kupców i garbarzy, którzy nie pozwalali mu postąpić ani kroku dalej. Krzyczeli prosto w uszy zachwalając swoje towary. Słyszał jedno słowo, powtarzane szybko i z namaszczeniem, pieszczone z lubością: sobole.

– Dwa tuziny soboli, dwa tuziny! Spójrz na moją zieloną sakwę! Pociągnij jedwabny sznur i sam zobacz! Dotknij futra, kup czterdzieści, kupuj!

– Tylko pięć dukatów za skórę, szlachetny panie. Nie musisz jechać aż do Moskwy! Sam święty Szymon obstalowałby swoją zimową szubę w Lublinie. Kup sobole świętego Szymona! Dwa tuziny…

Tobiasz rozpychał ich pięściami i łokciami. – Przepuśćcie mnie. Nic ze mnie nie wyciśniecie – krzyczał, próbując ich przekonać, że nie jest klientem.

– Zostawcie mnie w spokoju, pozwólcie przejść!

Udało mu się dotrzeć do ludzi otaczających stragan, gdzie centrum zainteresowania był Dymitr. Kupcy naigrawali się z niego, a on odpłacał im obelgami, szamocząc się z jakąś przeszkodą. Jednak jego głos nie roznosił się dobrze, był stłumiony i zdyszany.

– Więc zachciało ci się od nas podarków, co? Czterdzieści sobolików, powiadasz, nie więcej… A teraz nie możesz się spod nich wygramolić, co?

– Co się dzieje? – krzyknął Tobiasz, ale zanim udzielono mu wyjaśnień, usłyszał, jak Dymitr odgryza się kupcom:

– Wy psy sparszywiałe! Czekajcie aż przyjdą moi żołnierze. Oni was nauczą mnie szanować!

– Milcz żółtodzioby smarkaczu, milcz! Za kogo się masz? Za biskupa czy księcia niemieckiego? Zdobądź sobie pierwej fortunę!

Teraz kapitan zobaczył chłopca. Leżał między dwoma straganami, zagrzebany w futrach aż po szyję. Ich oczy spotkały się i Dymitr jeszcze raz spróbował się wydostać. Tobiasz przyskoczył do niego, wyciągnął skrzynkę ze sterty soboli, wyjął z niej jedną czy dwie deski i pomógł chłopcu uwolnić nogi z worka.

– Wasza wysokość – powiedział szeptem, żeby nie słyszeli go gapie – musimy opuścić to miejsce. Nie spierajcie się z tymi głupcami.

– Kapitanie, oni ze mnie szydzili. Mieli czelność…

– Wasza wysokość, pan Setoński życzy sobie…

– Nie chcieli uczcić cara podarkami, psy parszywe!

Wieśniak gotów był wszcząć bijatykę i kroczył z zaciśniętymi pięściami w kierunku mężczyzn, którzy wciąż się śmiali. Ich śmiech ustał, gdy zauważyli rapier kapitana; rozstąpili się dając Dymitrowi przejść. Wieśniak splunął na stragan za sobą.

Tobiasz Hume przekonał jakoś jego cesarską mość, żeby zapomniał o sobolach i kupcach dusigroszach. Delikatnie prowadził go przez tłum. Obserwując ulicę zamyślonym wzrokiem Dymitr rzekł wreszcie bez złości:

– Kapitanie, myślałem, że on jest najbogatszym z wszystkich panów, a nie jest.

Tobiasz zrozumiał, że chłopak myśli o Setońskim.

– Tak, są bogatsi ludzie na świecie, wasza wysokość.

– Nie tylko gdzieś tam na świecie – Dymitr spoglądał w kierunku wąskiego przejścia pod bramą – ale tutaj w tym mieście. Widziałem karety i mężczyzn

na koniach, mężczyzn w czerwonych szatach z szerokimi rękawami. Widziałem uzdy kapiące od złota. A po drugiej stronie tej bramy, co tak pięknie wybija godziny, widziałem regiment jadący pod setkami skrzydeł. To były skrzydła kapitanie, mówię wam. A ich konie miały czerwone nogi i czerwone ogony, tak, czerwone, nie łżę.

Wieśniak paplał w podnieceniu z rękami zagubionymi w niepewnych gestach. Potem przestał i zmarszczył brwi. Stojąc na tle niszy w ścianie wyglądał bardziej jak zamyślony przydrożny świątek niż ktoś, kto próbuje grać na światowych żądzach intrygantów. Obrócił się twarzą wprost do kapitana i powiedział nieśmiało:

– I myślę, że widziałem też czterech królów i dwóch cesarzy, bo ludzie na ulicach kłaniali im się, kiedy przechodzili. A ich słudzy nieśli za nimi pełne ręce podarków, nieśli futra, całe mnóstwo futer i ...

– Widziałeś polskich szlachciców, mój drogi... – Tobiasz prawie nazwał go chłopcem i to przejęzyczenie zaniepokoiło go. Ale Dymitr nie obraził się i ciągnął dalej:

– A mały cudzoziemiec z koszykiem, kapitanie, podszedł do mnie i chciał mi sprzedać bardzo ostry nóż. Ale ja nie miałem pieniędzy. Tak, nie mam żadnych pieniędzy, jestem chyba ubogi. Człowiek z koszykiem mówił coś o innych miastach, większych nawet i bogatszych niż to; powiedział że zgubiłbym się w nich. A bez pieniędzy zmarłbym tam z głodu, tak, tak powiedział, kapitanie.

– Pieniądze... – powtórzył Tobiasz, a w jego myślach odbiła się natychmiast brodata twarz Nikitina, a potem długi, długi rząd koszyków.

– Kapitanie... – Dymitr zawiesił głos, podczas gdy jego palce badały głębokość niszy w ścianie. Spróbował obluzować cegłę, otarł sobie palec i zaczął ssać zadrapanie. Cmoknął ze zdziwienia, gdy nie pojawiła się krew. – Nigdy nie widziałem tak dużego miasta – wymamrotał z ustami zakrytymi dłonią. – Kłamię, po raz pierwszy w życiu jestem w mieście. I boję się, kapitanie – wyznał z prostotą zabłąkanego dziecka.

Jego cesarska mość poszedł za kapitanem w pokornym milczeniu. W karczmie odbył rozmowę z panem. Teraz nie protestował już, gdy nazywano go Dymitrem lub – moim drogim chłopcem. Może to dlatego, że byli sami, a może ojcowski ton Setońskiego po raz kolejny odniósł dyplomatyczny tryumf. Kiedy wieśniak wyszedł z Setońskim z komnaty, pan Miechowski od razu zauważył zmianę: to nie kolędnik ani chytra bestia schodziła po schodach.

Tobiasz Hume przysunął się na palcach do Polaka: obaj dzielili ten sam niepokój.

– Kapitanie, drogi przyjacielu, jeśli spytają nas w Moskwie, jak i kiedy go straciliśmy, powiemy im tak: „Jego cesarska wysokość zginął w dzień świętego Szymona. Zadusił się na śmierć w sobolach. Pokonał go patron garbarzy, sam święty Szymon."

W tym momencie chłopiec rzekł do pana Setona-Setońskiego:

– Chcę do domu.

Nie wiedzieli, czy chodzi mu o dom matki czy dwór Setońskego. A ponieważ nie byli pewni, zaczęli mieć nadzieję.

Jerzy Pietrkiewicz
przeł. *Grzegorz Dąbkowski*

JERZY KŁOCZOWSKI

Funkcja mediów na obszarach pogranicza w jednoczącej się Europie

Pogranicze szeroko pojęte stanowi i stanowić będzie dla Unii Europejskiej w nadchodzących latach coraz większy problem. Jest to i będzie problem presji ludzi chcących za wszelką cenę przejść przez bariery graniczne i szukać szansy w bogatym rejonie świata, z drugiej zaś problem kontroli maksymalnie skutecznej, która zarazem nie powinna prowadzić do tworzenia „żelaznej kurtyny". Wymaga to wspólnej polityki Unii uwzględniającej, rzecz jasna, interesy poszczególnych krajów. Polska, członek NATO, jest już – wolno powiedzieć – jedną nogą w Unii i stąd doniosłość bardzo poważnej refleksji i zwrócenia uwagi szerokiej opinii publicznej na znaczenie i złożoność zagadnienia.

Strategia generalna to umacnianie pogranicza tak od strony „wewnętrznej" Unii, jak i regionów sąsiadujących od „zewnątrz". Chodzi o uniknięcie za wszelką cenę przepaści, która mogłaby ewentualnie utworzyć się między sąsiadami, bardzo niebezpiecznej. Jest to kwestia polityki władz wszelkich szczebli po obu stronach, ale jednocześnie postaw i praktyk społecznych. konkretnych sytuacji i możliwości działań, jakie mają sąsiedzi z obu stron. Tu w sposób oczywisty rola mediów już dzisiaj, a jeszcze bardziej jutro jest zasadnicza. Nowa, światowa „cywilizacja informacyjna" przekracza z łatwością wszystkie granice niosąc rzeczy dobre i złe, i w takich ramach szczególnie przed publicznymi środkami informacji stoją zadania ogromnego – bez żadnej przesady – znaczenia. Radio, telewizja, prasa winny już teraz opracować całą strategię działania na konkretnym pograniczu, wobec konkretnego sąsiada, uwzględniając całokształt sytuacji między Polską i zarazem Unią Europejską a danymi krajami. Dla wschodniego pogranicza Polski i Unii wchodzą tu w grę, jak wiadomo, Ukraina, Białoruś, Litwa i Federacja Rosyjska. Sytuacja jest w niemałym stopniu inna, przynajmniej aktualnie, na każdym pograniczu i taki stan rzeczy będzie miał oczywiście wpływ na opracowanie założeń strategiczno-taktycznych naszego postępowania. Jak najbliższa, codzienna współpraca z mediami pogranicza sąsiadów stanowi tu postulat zasadniczego znaczenia. Chodzi przy tym o kontakt nie tylko „urzędowy", ale maksymalnie osobisty, kontakt ludzi dobrze się znających i mających do siebie – to bardzo ważne – zaufanie.

Cel strategiczny to zbliżanie do siebie ludności pogranicza w szerokiej strefie rejonów pogranicznych. Wymaga to dobrej, uczciwej informacji z obu stron, czynnego trzymania ręki na pulsie spraw bieżących ważnych dla ludności z obu stron, tak pozytywnych, jak i kontrowersyjnych, budzących napięcia. Zawsze uczciwe przedstawianie stanowisk obu stron, jak i uwzględnianie dobrych ekspertów o szerokich, europejskich horyzontach mieć będzie zasadnicze znaczenie. Ważne, by media z obu stron współpracujące ze sobą zdobyły przez swój spokojny obiektywizm zaufanie, i to – powtarzam z

naciskiem – maksymalnie z obu stron. Wchodzi tu w grę cała polityka współpracy, języka zrozumiałego dla ludzi, sieci korespondentów itd.

Zbliżenie wymaga lepszej znajomości wzajemnej i to przede wszystkim znajomości ludzi, współpracy, wizyt wzajemnych, wspólnych działań na wszelkich możliwych polach. Media mogą tu odegrać istotną rolę zachęcając do inicjatyw, przedstawiając dobre i ciekawe osiągnięcia, propozycje. Pod pieczą mediów mogłaby się rozwinąć turystyka kulturowa, wszędzie w świecie dziś coraz ważniejsza, która mogłaby bardzo przybliżyć do siebie ludzi z obu stron. Całe „zaplecze historyczne" takiej turystyki wymaga opracowania. Odczuwamy brak dobrych przewodników, tak tekstów jak i ludzi zdolnych mówić o całym wielokulturowym bogactwie naszych pogranicznych rejonów. Ten patronat mediów i pomyślana dobrze polityka programowa (filmy, audycje, ilustrowane dodatki, internet itd.) miałyby bardzo wiele do zrobienia. Stan obecny nie jest dobry z wielu powodów – warto to uświadomić sobie i wyciągnąć konsekwencje! – i jego poprawa, i to szybka, jest konieczna.

Współpraca mediów w skali Unii i całej Europy staje się coraz bardziej potrzebna. Media polskiego pogranicza powinny podjąć wysiłek inteligentnego, interesującego pokazania ich złożonej problematyki całej społeczności unijnej Europy, może nawet z jakimiś wersjami dla poszczególnych krajów. Sprawa coraz bardziej interesować będzie obywateli Unii jako ich także granica z wszystkimi konsekwencjami takiego stanu rzeczy, od wagi zaangażowań gospodarczych poczynając. Polska „ściana wschodnia" stoi tu przed oczywistą szansą, media mogą być bardzo użyteczne w przybliżaniu konkretnych realizacji. Ale cały czas trzeba w widzeniu spraw widzieć drugą stronę granicy i ukazywać szansę zachodnich rejonów Ukrainy, Białorusi, Litwy, całego regionu Kaliningradu.

Być może jedną z dróg przybliżenia krajom Unii bardzo dalekich dla nich problemów szeroko pojętego pogranicza byłoby przygotowanie tras „kulturowej turystyki" ze skromną na razie, ale „schludną" siecią hoteli między Karpatami a Bałtykiem. Inicjatywa i patronat mediów byłyby tu bardzo na miejscu, a rzecz z całą pewnością opłacalna. Wymagałaby dobrej współpracy międzynarodowej według wzorców świetnie dziś w świecie funkcjonujących, a atrakcja „nikomu" nie znanej części Europy wręcz niezwykła. Trzeba tylko trochę wyobraźni, inteligencji, energii i znajomości świata, by rzecz z największym pod każdym względem pożytkiem zrealizować. Jasne, że zaplecze „intelektualne" będzie tu szczególnie ważne. Można powiedzieć, że takie już istnieje, ale jest za mało wykorzystywane i w praktyce niedoceniane. Być może, że i szeroko pojęte media regionalne nie są tu bez winy, rzecz warta jest spokojnej analizy i wyciągnięcia wniosków. Oczywiście, stawia to przed ludźmi mediów wymagania duże i ambitne – potrzeba ludzi kultury i charakteru zdolnych autentycznie podjąć wielkie wezwanie, które staje przed nimi.

Proszę pozwolić mi na przywołanie mojego długiego, bo czterdziestoletniego, co najmniej doświadczenia z ludźmi elit intelektualnych Zachodu, których wielokrotnie mogłem przyjmować jeszcze na długo przed 1989 rokiem także w Lublinie i szeroko pojętej Lubelszczyźnie. Było to prawie zawsze dosłownie „odkrywanie" przez nich naszego świata i osobiste spotkanie z ludźmi „stąd", z ich problemami, kulturą itd. Takie przyjazdy owocowały potem wielokrotnie. To, co szczególnie ważne, to ludzie, z którymi goście się spotykają, ich osobowości, inteligencja, zdolność do dialogu. Organizując „turystykę kulturalną" trzeba o tym bardzo pamiętać. Rzecz ma także kapitalne znaczenie w edukacji młodzieży i ich przysposobienia, nie tylko, rzecz jasna, językowego, do zachowania się w wielokulturowym świecie. Jest to także kwestia znajomości gości i ich zainteresowań. Zapamiętałem, jak grupa profesorów z paryskiej Sorbony z rektorem na czele zachwyciła się Włodawą; zarzucali mi, dlaczego tak ukrywamy przed światem ślady wielokulturowej i wieloreligijnej Włodawy, których nie ma przecież na Zachodzie. Ogromny kapitał wielokulturowości całego pogranicza, o którym tu mówimy, stanowi bezcenny wręcz skarb i szansę na przyszłość. Aż zdumiewa, jak mało to rozumiemy i doceniamy. Rola i zadania mediów rysują się tu z całą oczywistością.

A „ludzkie", „kulturalne" kontakty prowadzą prostą drogą do dalszych. Wytwarzają więzy i zaufanie, które warunkuje zawsze np. sprawy gospodarcze, handel, inwestycje itd., ale także współdziałania żołnierzy w ramach sprzymierzonych armii czy swobodne studia młodych ludzi na różnych uniwersytetach. Hasło „pogranicze", szeroko pojęte, otwiera szerokie perspektywy na dziś i na jutro. W krótkim komunikacie mogłem tylko zasygnalizować całą sprawę wyrażając zarazem nadzieję, że nasz panel przyczyni się konkretnie do nadania jej rangi, na którą zasługuje i która jest wielkim wezwaniem na dziś i jutro.

Jerzy Kłoczowski

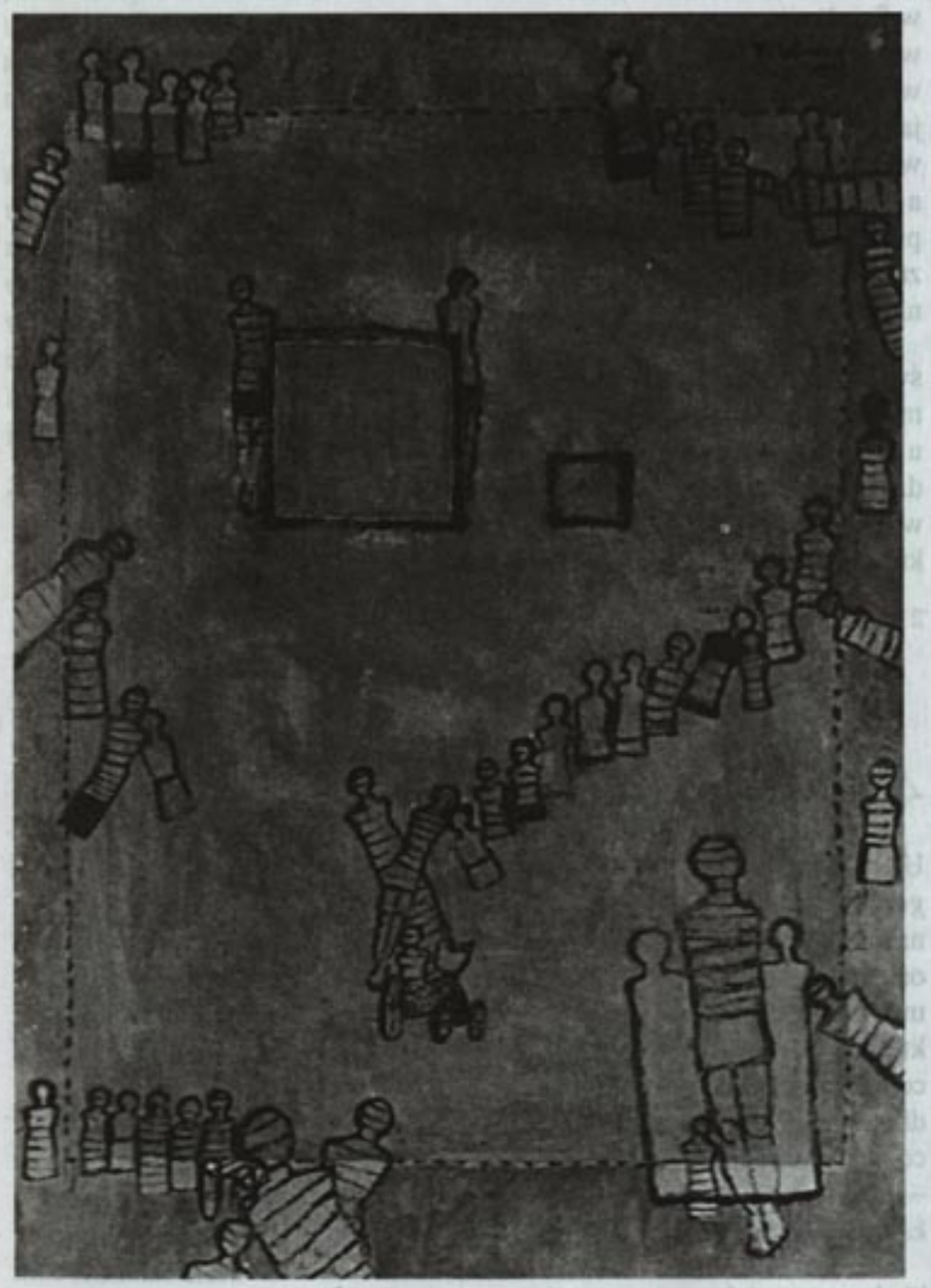

Tadeusz Kuduk: *Apel I – portret zbiorowy*,
suchy pędzel, tempera (69,5 x 48,5 cm), 1995

ANNA FRAJLICH

Zawał

Nie dotrzymuje mi kroku
życie
ja tam a ono zabłąkane
w fizjologii
w węzłach chłonnych
w tętnicach
ja mam plan
w każdej kratce kalendarza
a ono – przed Babilonem
przed Chaldejczykami
zna przypływy odpływy
nie zna kalendarza

świt obrysowuje dachy
monitor obrysowuje oddechy
u rąk i nóg uwieszone
dzwonią elektroniczne dzwoneczki
w takt słów
które piszę.

21 maja 2001

Aoryst

Umarł aoryst
głagoła
nawet nie wyszeptał
ostatniego słowa
milczał już od dawna
kto wie
co jeszcze miał do powiedzenia
długo pamiętał to wszystko
co było w czasie zaprzeszłym
– babciną krowę w Komarnie
koncert Wojskiego

kiedy zapomniał
umarł.

Etruskowie

I wciąż wiemy tyle samo
ile wiedzieli Etruskowie
odgadując swój los
z migotliwych kaprysów błyskawic
i lotu ptaków o świcie

oto owcza wątroba
z tajemniczymi znakami
*horupseks**
w skupieniu wodzi
wzrokiem po mrocznych symbolach
jeżeli odczyta właściwie
to będzie tak
a jeśli błędnie odczyta
to też będzie tak

a może nawet nie wiemy
tyle co Etruskowie
nieodgadnione są wnętrza
urn z brązu i waz z terrakoty
w dorzeczach Arno i Tybru
nie budzą się już o świcie
augurowie
i lotu ptaków nie śledzą.

27 maja 2001

Księżniczka na ziarnku grochu

Wszyscy kochali Jana Christiana
Andersena
lecz nie było nikogo
kto by go pokochał

zbyt piękny wyrósł łabędź
z brzydkiego kaczęcia
stąd pamiętano tylko
kaczęcia brzydotę

wiedział
że król jest nagi
i sam chciał być nagi
żeby do królewskiego
móc zasiadać stołu

* Wróżbita wróżący z wnętrzności zwierząt

na ziarnku grochu
księżniczka
całą noc nie spała
o siostrze z zapałkami
smutną baśń pisała.

24 lipca 2001

Jeszcze jeden fin de siècle

Porzucił nas dwudziesty wiek
na pastwę nieznanego
i teraz *my są*
z fin de siècle
my z wieku minionego

tak szumnie brzmiało
postęp wzrost
nasz wiek
ideologia

i tylko śmieje nam się w nos
biologia biologia biologia…

1 lipca 2001

Jest

To miasto jest moje
i ja jestem jego
w kryształowym powietrzu
płyniemy wzdłuż brzegów
czy jest piękne? – to mało istotne pytanie
ważne że łodzią jest
i jest przystanią.

29 lipca 2001

* * *

Boli ząb
którego nie ma
dojmujący ból
przenika istotę
niebytu
wspina się po gałęziach nerwów

wstępuje na szczyty
żeby dowieść
zaświadczyć
wykrzyczeć
że to czego nie ma

boli

30 sierpnia 2001

W drewnie

Dafne
w drzewo przemieniona
jeszcze przerażona
drżą gałęzie
i kora pulsuje wzburzona
twego głosu nikt nie zna
nikt nie wie co czujesz
biegłaś
biegłaś
…dobiegłaś

w drewnie triumfujesz

10 września 2001

Anna Frajlich

Książki nadesłane

Poezja

Józef Czechowicz: *Poemat o mieście Lublinie*. Wyd. „Brama Grodzka". Lublin 2001, ss. nlb 16.

Antoni Madej: *Wiersze wybrane*. Wyd. SPP, Lublin 2000, ss. 127.

Mariusz Grzebalski: *Drugie dotknięcie*. Wyd. Biuro Literackie „Port Legnica", Legnica 2001, ss. 53+3 nlb.

Tomasz Różycki: *Anima*. Wyd. „Zielona Sowa", Kraków 1999, ss. 45. Seria: Biblioteka STUDIUM, t. 16.

Stanisław Żurek: *Księga drzewa*. Wyd. Lubelskie Bractwo Literackie, Lublin 2000, ss. 40.

Eugeniusz Szulborski: *Bluszcz*. Wyd. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2001, ss. 64.

Jerzy Lucjan Woźniak: *W Tatrach. Wiersze*. Wyd. „Respekt", Sosnowiec 2001, ss. 40.

Stanisław Klimaszewski: *Szkatułka katyńska*. Posłowie Zbigniew Strzałkowski. Wyd. Laser Graf, Lublin 2000, ss. 29.

Przemysław Wątorek: *Trzecia przepaść ziemi*. Wyd. „Eventus Print", Kraków 2001, ss. 47.

JERZY BARTMIŃSKI

Media wobec stereotypów narodowych na pograniczu

Pogranicze, wyznaczające centralny temat naszej konferencji, nie jest bynajmniej pojęciem jednoznacznym, nie tylko w treści, ale i w nakładanym na tę treść sposobie wartościowania. We współczesnym obiegu, w środowisku „Akcentu" także, a może nawet przede wszystkim, pojęcie pogranicza narodowego i kulturowego ma konotację wyraźnie pozytywną. Jest synonimem zbliżenia i otwarcia na inność traktowaną jako szansa wzbogacenia własnych doświadczeń. Kiedy przed paru laty prof. Stefan Sawicki głosił w auli KUL-u laudację Karla Dedeciusa, w związku z nadaniem mu zaszczytnego tytułu doktora honoris causa tego Uniwersytetu, nazwał znakomitego niemieckiego tłumacza polskiej literatury „człowiekiem pogranicza". Człowiek pogranicza to ktoś wewnętrznie bogaty, znający dwa światy, dwie kultury, dwa języki, i zarazem rozumiejący ludzi z różnych stron granicy, akceptujący odmienności, zdolny do dialogu. Jest to obraz pogranicza i ludzi pogranicza wyidealizowany. W rzeczywistości pograniczność niesie nie tylko szanse, ale i zagrożenia. Zbliżenie może rodzić także niechęć, odrzucenie, nawet nienawiść. Stosunki Wschód – Zachód – powiedział na spotkaniu w Lublinie w r. 1987 Jan Paweł II – cechuje wzajemna fascynacja i zarazem odpychanie.

Z punktu widzenia problematyki polsko-ukraińskich stereotypów, o których w dalszym ciągu tego wywodu chcę powiedzieć parę zdań, pogranicze bywa niestety także terenem pośpiesznych, więc nietrafnych uogólnień, podnoszenia szczególnych lub nawet indywidualnych przypadków do rangi zjawisk typowych, reprezentatywnych, traktowanych z kolei jako społeczna, narodowa norma i wpływających na postawy i zachowania ludzi. Twierdzę, że funkcjonujący dziś w Polsce, wysoce negatywny stereotyp Ukraińca, jest w istocie wytworem polsko-ukraińskiego bolesnego pogranicza i że stereotyp ten coraz wyraźniej zaczyna dziś wchodzić w konflikt z obrazem wschodniego sąsiada kształtującym się (kształtowanym?) w obiegu ogólnonarodowym i odpowiadającym współczesnej nowej relacji między oboma narodami.

Mimo że pogranicze polsko-ukraińskie ma ponadtysiącletnią historię, jego współczesny obraz został zdominowany (co zrozumiałe) przez wydarzenia ostatniego czasu, okresu II wojny światowej, a więc przez obraz tragicznych bratobójczych walk. Ich pamięć w społeczności Polaków jest wyjątkowo trwała, niejako zakrzepła w geście przeżytego przerażenia i odrazy, podtrzymywana przez popularne powieści i filmy (*Łuny w Bieszczadach*, *Ogniem i mieczem*), przez legendę Kresów i pamięć ludzi, którzy ucierpieli najbardziej. Oficjalne przyjazne gesty polityczne wymieniane od paru lat przez prezydentów Polski i Ukrainy są odbierane na ogół jako gesty strategiczne i jak się zdaje nie mają większego wpływu na myślenie potoczne Polaków.

Dopiero wizyta Papieża na Ukrainie latem 2001 roku stworzyła Polakom nową perspektywę widzenia Ukrainy, jej kultury, problemów, z jakimi borykają się jej mieszkańcy, w konsekwencji – perspektywę przełamania negatywnego obrazu wschodniego sąsiada, a w każdym razie przynajmniej wzbogacenia go o aspekty dotąd niedostrzegane. Wielki szacunek, z jakim najwyższy moralny autorytet mówił o historii i kulturze Ukraińców, miłość okazana przez Papieża Ukraińcom jako cierpiącym za wiarę chrześcijanom znalazły w Polsce szeroki społeczny oddźwięk. Czy trwały? To się okaże. Watykański pielgrzym unaocznił Polakom zapoznaną prawdę o tym, że z Ukraińcami łączy ich jedna wiara, mimo różnic obrządków i wyznań, rzeczy w końcu drugorzędnych. *Chrześcijanie obojga narodów* – tak Adam Bujak zatytułował swój album (Kraków 2001, Wydawnictwo „Biały Kruk") dokumentujący pielgrzymkę Papieża na Ukrainę, nawiązując formułą tytułową do historycznej koncepcji „Rzeczpospolitej obojga narodów". Polski stereotyp Ukraińca ma szansę po wizycie papieskiej wzbogacić się przynajmniej o jeden ważny wymiar, wymiar religijny.

W dwu punktach zwłaszcza otwiera wizyta Papieża nowe perspektywy w widzeniu stosunków polsko-ukraińskich:

Po pierwsze, jak się rzekło, przywraca Polakom świadomość faktu, że Ukraińcy są dziedzicami tej samej tradycji chrześcijańskiej co Polacy i że odwołanie się do tej właśnie wspólnej tradycji może dać podstawę do odbudowania dobrych stosunków między oboma narodami. Tak jak kilkadziesiąt lat temu stało się to w stosunkach między Polakami i Niemcami.

Po drugie, wizyta papieska na Ukrainie naocznie pokazała rozbieżności między Ukrainą i Rosją. Nie tylko Ukraina nie podporządkowała się dyktatowi patriarchatu moskiewskiego, ale wyszły na jaw pewne interesujące i ważne różnice w układzie relacji władza państwowa – władza kościelna. Stosunki panujące pod tym względem na Ukrainie, gdzie żadna organizacja religijna, Cerkiew czy Kościół, nie może sobie rościć prawa do reprezentowania całego narodu, kontrastują wyraźnie nie tylko ze stosunkami w Rosji, gdzie wróciła z wielką siłą koncepcja religii państwowej, stara idea utożsamiania rosyjskości z prawosławiem, ale też poniekąd ze stosunkami w Polsce, gdzie wciąż nie brak środowisk skłonnych utożsamiać polskość z katolickością. Ogólnie biorąc w zakresie stosunków państwo – Kościół czy państwo – Cerkiew Ukraina okazuje się bardziej nowoczesna i europejska niż Rosja i Polska, a w każdym razie nie ciążą na niej tak żywotne w Polsce i w Rosji tradycje wiązania narodu z jedną dominującą religią. Wielowiekowe postrzeganie przez Polaków swoich wschodnich sąsiadów jako prawie niezróżnicowanych „ruskich" doznało po wizycie papieskiej kolejnego osłabienia. A wspomnę, że jeszcze w ankietach lubelskich studentów z 1993 roku za synonim Ukraińca podawano „Rusek", „Ruski", „Ruski ze Lwowa".

Jakkolwiek utożsamianie narodowości z wyznaniem jest koncepcją dziś już wyraźnie anachroniczną, bynajmniej nie jest to jeszcze koncepcja do końca przezwyciężona. Zachowuje ona względną żywotność właśnie na pograniczu etnicznym polsko-ukraińskim i polsko-białoruskim. Tradycję tę podtrzymują niektóre środowiska nacjonalistyczne, dążące nawet do zaostrzania kontrastów, oczywiście za cenę instrumentalizacji religii i pozbawienia jej istotnego dla niej uniwersalnego przesłania, które tak bardzo chce odnowić Papież.

O obrazie Ukraińca w oczach Polaków wiadomo, że jest najmniej pozytywny z wszystkich polskich stereotypów narodowych.[1] Wyniki badań przeprowadzonych w latach 1990–2000 wśród studentów lubelskich są pod tym względem zgodne. Najwyżej są punktowane cechy dotyczące aspektu politycznego i społecznego: nacjonalizm, szowinizm i patriotyzm; zawziętość, mściwość i agresywność. Na przykład na pytanie o łączliwość z przymiotnikiem *ukraińska, ukraińskie* podstawową odpowiedzią były: *UPA* i *bandy*. Znacznie słabiej w ankietach wypadł aspekt kulturowy: *ukraiński – język*,

[1] Szczegółowiej o tym zob. Jerzy Bartmiński: *Nasi sąsiedzi w oczach studentów*, w: *Narody i stereotypy*, pod red. Teresy Walas, Kraków 1995.

taniec, barszcz; ukraińska – dumka, śpiewka; ukraińskie – pieśni, pola, stepy; a zadziwiająco niskie miejsce zajęła charakterystyka religijna.[2] Jest to o tyle niespodziewane, że religia, obrządek wschodni (prawosławny, a od czasu unii brzeskiej – greckokatolicki) był przez wieki wiązany z obiegową w Polsce charakterystyką Rusi i Rusina. Widocznie zastępowanie starszego etnonimu *Rusin* nowszym *Ukraińcem* prowadziło do przeprofilowania stereotypowego obrazu, eksponowania przede wszystkim cech politycznych, a marginalizowania aspektu religijnego.

Dominację kryteriów polityczno-narodowych nad religijnymi, a nawet podporządkowanie drugiego pierwszemu, czyli upolitycznienie religii, możemy potwierdzić badając współczesne nam pograniczne ośrodki kultu religijnego. Dobrym polem obserwacji jest zwłaszcza kult maryjny, tak żywy w społecznościach zarówno polskiej, jak ukraińskiej, i zarazem tak silnie uwikłany w programy patriotyczne. Po obu stronach granicy. W przypadkach, kiedy możemy mówić o podporządkowaniu uniwersalnego ze swojej istoty chrześcijańskiego kultu religijnego ideologii narodowej, należałoby z punktu widzenia teologii chrześcijańskiej nazwać rzecz po imieniu – doktrynalnym odstępstwem, herezją. Nacjonalizacja kultu maryjnego ma na szczęście różne stopnie i formy, nie dokonała się jednolicie i do końca, i nie tylko postępuje, ale też się cofa.

Podam dwa kontrastowe przykłady, z którymi nb. zetknęliśmy się w ostatnich latach w trakcie etnolingwistycznych studenckich obozów badawczych na terenie Polski wschodniej.

Przypadek pierwszy. Ośrodek religijny w Chełmie „na Górce" z kultem obrazu Matki Boskiej Chełmskiej. W roku 1996, w czasie odwiedzin sanktuarium przez grupę studentów polskich i ukraińskich uczestniczących w wakacyjnym obozie naukowym, miejscowy ksiądz wyjaśniał, dlaczego Matka Boska nosi przydomek „Wojenna". Oto dlatego, że obraz (jego inna kopia niż obecna) towarzyszył polskim wojskom w zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem. Wspierał nasze, polskie wojska. Przeciw komu? Przeciw ówczesnym wrogom – prowadzonym przez Chmielnickiego Ukraińcom. Tymczasem przecież w swojej masie oni byli także czcicielami tejże samej Matki Boskiej Chełmskiej. Unarodowienie i instrumentalna militaryzacja symbolu kultu maryjnego stworzyły sytuację paradoksalną, fałszywą.

Przypadek drugi. W Śliwnicy, starej XV-wiecznej wsi w parafii Krasiczyn pod Przemyślem miejscowy kult maryjny zachowuje charakter religijny i przyjmuje funkcje integracyjne mimo zmiennych kolei losu, a zwłaszcza mimo zmian w sferze wyznania i obrządku oraz narodowego składu lokalnej społeczności. Miejscowa ludność ukraińska była pierwotnie (w wieku XV) prawosławna, od roku 1671 greckokatolicka, po roku 1946 (po wywózkach Ukraińców do Związku Radzieckiego i późniejszym przesiedleniu pozostałych na zachód Polski w ramach akcji „Wisła") stała się polska i rzymskokatolicka.[3] Monografista Śliwnicy – August Fenczak – tak odtwarza dzieje wsi: *Od średniowiecza aż do I połowy naszego wieku zamieszkująca ją ludność była zróżnicowana pod względem narodowym i wyznaniowym. Opisywana miejscowość nie stanowiła pod tym względem wyjątku, bo usytuowana była na obszarze pogranicza etnicznego polsko-ruskiego (ukraińskiego). Było to równocześnie pogranicze kulturowe, gdzie stykały się kultury bazujące na chrześcijańskich tradycjach Rzymu i Bizancjum (Konstantynopola). Były to więc ziemie wspólnego zamieszkania dwu narodów, polskiego i ukraińskiego, teren, na którym istniała zgodna koegzystencja różnych grup etnicznych i wspólnot wyznaniowych lub obrządkowych, obszar, na jakim przenikały się i wzajemnie ubogacały różnorodne kultury. Był to także obszar, gdzie najłatwiej dawało się zasiać niezgodę i nienawiść, do czego pretekst stanowiły wszystkie wspomniane odmienności, zwłaszcza zaś sprzeczne interesy narodowe.*[4] Autor postawił też ważne dla naszych rozważań pytanie: *Czy powszechny wśród chrześcijan obu wyznań, a później katolików obu obrządków kult maryjny mógł przyczyniać się do łagodzenia sprzeczności między członkami obydwu nacji.*[5] Zapewne mógł – i wciąż jeszcze może – ale w przeszłości różnie z tym bywało. Znamienny fakt: to właśnie na terenie tejże parafii krasiczyńskiej, w miejscowości Mielnów, zdarzył się w czasie walk polsko-ukraińskich w roku 1946 drastyczny przypadek strzelania przez żołnierzy polskich do obrazu Matki Boskiej umieszczonego w miejscowej cerkwi, w której wedle ich domniemania schronili się żołnierze UPA. Ów fakt został wspomniany w jednym z odcinków serialu *Plebania*, emitowanego w roku 2000 w 1 programie TVP, wzbudzając niedowierzanie wielu telewidzów. Jednak wcześniej, w roku 1998, kiedy na tym terenie uczestnicy studenckiego obozu etnolingwistycznego, skupiającego studentów polskich, ukraińskich i niemieckich, prowadzili badania, sprawdzono fakty, sfotografowano postrzelany obraz, nagrano relację świadka.[6] Okazuje się, że względy religijne nie powstrzymały, nie po raz pierwszy, fali przemocy i nienawiści wzbierającej na tle politycznym i narodowościowym.

Niemniej dzieje Śliwnicy są optymistyczne, pokazują i potwierdzają możliwości rozwijania ponadnarodowego charakteru kultu maryjnego. W greckokatolickiej cerkwi śliwnickiej ikona Matki Bożej „Przewodniczki" („Hodegetrii")[7] była czczona jako cudowna przez miejscowych Ukraińców, a po wojnie, po zniszczeniu cerkwi i wysiedleniu większości Ukraińców, kult maryjny został odnowiony przez ludność polską (choć – jak można przypuszczać – nie bez jakiegoś udziału pozostałych na miejscu Ukraińców). W roku 1989 na życzenie lokalnej społeczności proboszcz krasiczyński podjął inicjatywę, by na miejscu dawnej cerkwi pobudować małą kapliczkę i umieścić w niej kopię śliwnickiej ikony, co się udało zrobić w roku 1997.[8] Zamarły na kilkadziesiąt lat kult Matki Boskiej Śliwnickiej został wznowiony. Po prawosławnych, po grekokatolikach, kult ten przejęli rzymscy katolicy. *Odprawiane są majówki i nabożeństwa różańcowe, w których chętnie uczestniczą mieszkańcy, zwłaszcza młodzież i dzieci. Zwołuje ich – jak przed laty – dzwon z dawnej cerkwi. W Wielką Sobotę wierni przynoszą pokarmy do poświęcenia i niekiedy odprawiana jest Msza święta* – pisze we wstępie do cytowanej monografii Augusta Fenczaka miejscowy proboszcz, ksiądz Stanisław Bartmiński.

Przypadek Śliwnicy przypomina – garder tout proportion – historię Obrazu Jasnogórskiego, będącego także ikoną wschodnią przyjętą przez Polaków za swoją. Czy unarodowienie (polonizacja) kultu jest jedyną perspektywą jego rozwijania, czy też możliwe jest zachowanie jego wymiaru uniwersalnego, łączącego w skali ponadnarodowej, pokaże czas.

Na koniec uwaga ogólniejsza. Polityczna instrumentalizacja religii jest dziełem elit narodowych i dokonuje się w ramach określonych orientacji ideologicznych. Koncepcjom narodowo-katolickim głoszonym w Polsce przez ugrupowania niekiedy dalekie od Kościoła, odpowiada dziś na Wscho-

[2] Dane z materiałów archiwum Zakładu Tekstologii i Gramatyki Współczesnego Języka Polskiego UMCS (w opracowaniu).

[3] Dokładną historię wsi i jej życia religijnego na przestrzeni kilku wieków opracował August Fenczak z Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu w rozprawie pt. *Śliwnica. Tradycje kultu maryjnego na tle dziejów wsi i parafii*, mps 1999; wydano ją w skrócie jako broszurę pt. *Śliwnica. Szkice z dziejów wsi i parafii*, Krasiczyn 2000.

[4] August Fenczak: *Śliwnica*, Krasiczyn 2000, s. 29.

[5] Tamże.

[6] Materiały zebrano w archiwum etnolingwistycznym UMCS.

[7] Jej pierwowzorem była ikona znajdująca się kiedyś w cerkwi przewodników portowych w Konstantynopolu. Dosłownie „Hodegetria" znaczy „Przewodniczka", ta, która wskazuje drogę.

[8] Oryginalny obraz po długich perypetiach znalazł się w cerkwi w Komańczy.

dzie, w Rosji, pojęcie „prawosławnych ateistów", hołdujących anachronicznej idei religii narodowej. Tymczasem w kulturze ludowej religia i rozwinięty m.in. w skali całej Słowiańszczyzny kult maryjny[9] nie ma charakteru ściśle narodowego, zachowuje walor uniwersalny, ogólnokulturowy. Także na interesującym nas tu szczególnie pograniczu polsko-ukraińskim religia w przeszłości łączyła, nie dzieliła. Wiele świąt i zwyczajów obchodzili wspólnie Polacy i Ukraińcy („Rusini"). Dobrze znanym zjawiskiem jest kolędowanie polsko-ukraińskie, operujące w znacznym stopniu na tym samym dwujęzycznym repertuarze. Wedle rosyjskiej badaczki obrzędowość doroczna Polaków i Ukraińców wykazuje wyjątkowe w skali Słowiańszczyzny piętno ludowo-chrześcijańskie (bogactwo motywów apokryficznych).[10] Niektóre utwory tłumaczono z jednego języka na drugi, niektóre funkcjonowały w postaci „paratekstów". Na przykład pod Przemyślem wracający z rezurekcji pozdrawiali przechodniów na dwa sposoby, po ukraińsku („Chrystos woskres") albo po polsku („Chrystus zmartwychwstał"), zależnie od tego czy spotkany był Ukraińcem, czy Polakiem.

A jak to wszystko ma się do stereotypów narodowych we współczesnych mediach? Pozwolę sobie postawić pytanie: Czy uczestniczą one – i jak uczestniczą? – w procesie kształtowania się nowego obrazu Ukraińca w Polsce? W przezwyciężaniu jednostronnego widzenia wschodniego sąsiada jedynie przez pryzmat bolesnego doświadczenia polskich Kresów? Czy potrafią dostrzegać, pokazywać, przypominać, uświadamiać Polakom istnienie wciąż żywej tradycji wspólnej religii, co tak jednoznacznie przypomniał Papież, i co dla przyszłości stosunków wzajemnych może mieć fundamentalne znaczenie?

Na te pytania ludzie mediów odpowiedzą sami.

Jerzy Bartmiński

[9] Por. artykuł Nikity Iljicza Tołstoja pt. *Bogorodica* w słowniku *Slavjanskie drevnosti*, t. I, Moskwa 1995, s. 217-219.

[10] Ludmiła Winogradowa: *Zimniaja kalendarnaja poezija wostocznych i zapadnych Slawian*, Moskwa 1982.

Jerzy Bartmiński (pierwszy z lewej) mówi o stereotypach.
Obok siedzą: ks. Wacław Oszajca, Zofia Kopel-Szulc, Bohdan Zadura.
Fot. Maciej Kaczanowski

JACEK KACPRZAK

Włamanie

Mężczyzna siedział w samochodzie zaparkowanym przy skraju ulicy. Palił papierosa, a w tle cicho grało radio nastawione na stację z muzyką jazzową. Uważnie obserwował wszystko, co działo się wokół niego. Strzepnął popiół z papierosa do papierowego kubka po kawie stojącego w uchwycie na desce rozdzielczej. Podniósł leżącą na kolanach lornetkę i spojrzał w głąb ulicy, na dom parę posesji dalej. W szkłach zobaczył powiększone do nienaturalnych rozmiarów rośliny przed drzwiami wejściowymi. Jego wzrok zatrzymał się na oknie. Zasłonki były opuszczone, ale mimo to widział poruszający się za nimi cień. Śledził jego każdy ruch, aż postać znikła z pola widzenia, by za chwilę pojawić się w drzwiach. Obserwował uważnie, jak kobieta pieczołowicie zamyka drzwi na oba zamki, chowa klucze do torebki i podchodzi do samochodu stojącego na podjeździe przed domem. Przez dłuższą chwilę grzebała w torebce, po czym wyciągnęła kluczyki i wsiadła do auta. Po chwili biały ford odjechał w głąb spokojnej o tej godzinie ulicy.

Mężczyzna odłożył lornetkę na siedzenie obok. Zaciągnął się ostatni raz głęboko dymem z papierosa, po czym zgasił go jednym ruchem o brzeg otwartej popielniczki. Położył obie ręce na kierownicy i odczekał jeszcze parę chwil, wyłączył radio, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu. Otworzył bagażnik i wydobył z niego czarne, gumowe rękawiczki i dużą, ortalionową torbę. Założył rękawiczki, zatrzasnął bagażnik i z torbą na ramieniu wolnym krokiem ruszył w kierunku domu, który jeszcze przed chwilą obserwował. Po chwili jednak zszedł z chodnika i skręcił między posesje. Przedzierając się przez wysoką trawę obchodził dom od tyłu. Wkrótce dotarł do niskiego płotka okalającego budynek. Pokonał go bez problemu, po czym podbiegając od drzewa do drzewa niezauważenie znalazł się przed tylnymi drzwiami wychodzącymi na ogród.

Rozejrzał się wokół. Nikt nie mógł go zauważyć. Z kieszeni czarnej obcisłej kurtki wyciągnął mały, płaski przedmiot i wsadził go w szparę obok framugi. Zapadka cicho kliknęła i wejście do domu stało otworem. Wśliznął się do środka i delikatnie przymknął za sobą drzwi. Znajdował się w salonie. W powietrzu czuć było jeszcze zapach perfum kobiety, która dopiero co opuściła dom. Spojrzał na zegarek. Czasu było sporo, ale i tak należało przystąpić do działania. Podszedł do telewizora stojącego na niewielkim stoliku. Przyklęknął i ostrożnie zdjął z ramienia torbę. Poszukał wzrokiem pilota. Leżał tuż obok jego kolana. Włączył odbiornik. Po paru sekundach z głośnika popłynął szum, a ekran rozbłysnął na biało. Odszukał na pilocie przycisk odłączający fonię i ponownie zapanowała cisza. Na ekranie widać było jedynie białe, jednostajnie pojawiające się plamy. Otworzył torbę. Pogrzebał w niej chwilę i wydobył małą, przenośną antenę. Podłączył ją do prądu, a drugą wtyczkę wsadził do telewizora. Na ekranie od razu pojawił się obraz. Sprawdził jeszcze tylko,

czy jest również dźwięk, po czym ponownie odłączył przenośną antenę i schował ją do torby. Wydobył z niej teraz kabel antenowy i zamienił z tym, który do tej pory łączył odbiornik z gniazdkiem w ścianie. Obrazu znów nie było. Schował stary kabel do torby, wstał i skierował się w kierunku przedpokoju.

Minął olbrzymie lustro i szybkim krokiem wszedł po schodach na piętro. Rozejrzał się i otworzył drzwi po swojej prawej. Znalazł się w pomieszczeniu zastawionym drucianymi suszarkami z dużą ilością ubrań. Przyjrzał się dokładnie, jak stały, poprzesuwał je nieznacznie na boki tak, aby mógł przejść na drugą stronę pokoju. Przy ścianie stał oparty metalowy hak oprawiony w solidnej, bambusowej pałce. Chwycił go i bez trudu złapał za wystającą z sufitu klamkę do schodów na dach. Klapa z trzaskiem otworzyła się i można było przedostać się na górę. Poprawił torbę, która zwisała mu z ramienia, i sprawnie wspiął się po schodach.

Wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się. Antena satelitarna była przymocowana do komina znajdującego się parę metrów od niego. Wyszedł na dach i usiadł okrakiem na krawędzi. Spojrzał w dół, żeby upewnić się, że nikt go nie zobaczy. Dom był wystarczająco duży, więc nie było z tym problemu. Niedużymi ruchami zaczął przesuwać się w kierunku anteny. Przeszkadzała mu w tym torba, więc zdjął ją i położył przed sobą. Po chwili był już przy kominie. Spojrzał, skąd biegł kabel telewizyjny, złapał go w rękę. Przesunął dłoń po drucie aż do miejsca, w którym kabel łączył się z anteną. Jeden z przewodów był urwany.

Ponownie otworzył torbę. Sprawnym ruchem najpierw odciął drugi drut, oczyścił zaśniedziałe końcówki i za pomocą kombinerek przymocował wszystko jak należy. Szarpnął jeszcze, żeby się upewnić i powkładał do torby narzędzia. Przełożył torbę za plecy, odwrócił się i wolno zaczął przesuwać się do klapy w dachu. Wśliznął się do środka i pamiętając, jak stały poszczególne suszarki, ustawił je w tym samym miejscu i zszedł na dół. Gdy stanął w przedpokoju, zimny pot zrosił mu czoło. Zapach perfum w powietrzu, który powinien dawno już zniknąć, był teraz bardziej intensywny niż gdy tu wszedł. Nie ruszając się z miejsca rozejrzał się. Wokół panowała cisza. Ostrożnie i bezgłośnie zaczął kierować się do drzwi, którymi wszedł do domu. Miał już ich dotknąć, gdy zatrzymał go w miejscu głos kobiety.

– Nie porozmawiasz ze mną?

Zamarł. Stała za nim, zaraz przy załomie ściany salonu. Odwrócił się powoli. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry.

Patrzyli dalej na siebie, niepewni tego, co powinni zrobić.

– Wiedziałam, że dziś znów tu będziesz – powiedziała kobieta.

– Znów?

– Nie żartuj sobie ze mnie. Wiem doskonale, że nie jesteś tu pierwszy raz.

Mężczyzna zdjął z ramienia torbę i położył ją na ziemi.

– Telewizor już powinien działać – powiedział. – Nie sprawdziłem, ale chyba nie będzie problemu.

– Dziękuję też za pralkę.

Pokiwał głową.

– I za odpowietrzenie kaloryferów, compact disc, kuchenkę i halogeny w łazience – kontynuowała. – Co jeszcze naprawiłeś? Przyznaj się.

Wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam – powiedział. – W tym roku to już chyba wszystko.

– Od kiedy mi pomagasz?

– A od kiedy wiesz, że tu przychodzę?

– Od czerwca zeszłego roku – powiedziała. – Wypadł ci rachunek ze sklepu elektrycznego. Już wcześniej zauważyłam oczywiście, że wszystko się samo naprawia, ale dopiero od tego momentu wpadło mi do głowy, że to jednak nie są moce nadprzyrodzone.

– Ano nie były.

– To co, od kiedy tu przychodzisz?

– Od następnego dnia po tym, którego się stąd wyprowadziłem. Obiecałem, ci wtedy, że coś tam naprawię i zapomniałem. No i wróciłem. Wtedy było mi jeszcze łatwiej, bo miałem klucze. Problemy zaczęły się dopiero, jak zmieniłaś zamki, ale jak widzisz, radzę sobie.

Cisza pulsowała w powietrzu.

– Dlaczego to robiłeś?

– Wiesz, po tylu latach mieszkania razem, wiedziałem doskonale, że nie będziesz sobie radziła z takimi rzeczami. No i pomyślałem, że lepiej, żebym to ja tego doglądał, niż miałabyś tu sprowadzić jakiegoś faceta.

Roześmiała się.

– A więc to wszystko z zazdrości!

– Nie, z miłości – powiedział.

– Wiem, wiem, żartowałam.

Wolno podniósł torbę z ziemi i zarzucił na ramię.

– Pora na mnie. Superman Złota Rączka ma jeszcze parę robót w okolicy – powiedział.

Uśmiechnęła się, ale ze smutkiem.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Podszedł do niej i delikatnie pocałował w policzek. Uśmiechnęła się i pochyliła głowę. On tymczasem wyśliznął się przez drzwi do ogródka i zobaczyła tylko, jak jednym skokiem pokonuje płot. Po chwili czarna sylwetka znikła wśród drzew.

Zamyślona wróciła do przedpokoju. Zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku. Wróciła do salonu i włączyła telewizor. Zamiast dotychczasowego szumu z głośnika płynęła relacja z meczu piłkarskiego, który właśnie widać było na ekranie. Obraz był ostry i wyraźny. Popatrzyła przez chwilę, po czym wyłączyła odbiornik. Rozejrzała się wokół siebie, a przez jej głowę biegły setki myśli. Poszła najpierw do kuchni, potem do łazienki. Oparła się plecami o zimne kafelki i patrzyła na rzędy rozświetlonych żarówek halogenowych w suficie. Pewnie niejedna wymieniona w ostatnich latach jego ręką. Podeszła do zlewu i odkręciła kran. Ciepła woda polała jej się na ręce. Piec też był kiedyś zepsuty. Nie więcej niż przez dwa dni. Trzeciego cudownie się naprawił.

Zdecydowanym ruchem zakręciła kurek i wytarła ręce. Wyszła z łazienki nie gasząc światła i skierowała się do garażu. Stało tam wszystko to, co szkoda było wyrzucić, ale na pewno nie powinno znajdować się w mieszkaniu. Przecisnęła się między tekturowymi pudłami do żelaznej skrzyni, z której wyjęła kawał stalowego drutu. Rozprostowała go nieco, po czym stając na palcach wsadziła końcówkę do podwieszonego pod sufitem silnika podnoszącego drzwi do garażu. Wróciła do wejścia i przyciskiem na ścianie uruchomiła urządzenie. Łańcuch zgrzytnął i stalowe drzwi zaczęły się podnosić. Gdy

były jakiś metr od ziemi, z silnika do którego wsadziła drut, strzeliły iskry. Żarówki pod sufitem zamigotały, a silnik przez chwilę rzęził głośno i umilkł. Spróbowała zamknąć drzwi bądź bardziej je otworzyć, ale wyglądało na to, że silnik wydał z siebie ostatnie tchnienie. Przez dziurę między drzwiami garażu a ziemią widać było przód jej samochodu stojącego na podjeździe. Uśmiechnęła się do siebie, zgasiła światła i poszła do domu.

Warszawa, 15 września 2001

Poza światem

Słońce powoli dotykało linii horyzontu. Spoczywające nisko nad powierzchnią oceanu chmury zabarwiły się od spodu na karmazynowo, ale u góry wciąż były popielato-granatowe. Wszystko razem zdawało się być zastygłym pożarem lasu, gwałtownym, pełnym ekspresji, zachowanym przez malarza na bezkresnym płótnie.

Objąłem ją mocno. Była zimna, więc przytuliłem ją z całej siły. Który to już nasz zachód słońca? Trudno by zliczyć. Od kiedy tu byliśmy, prawie zawsze przytuleni do siebie oglądaliśmy wędrówkę słońca za horyzont.

– Pamiętasz, gdy morze wyrzuciło nas na brzeg? – wyszeptałem niemal dotykając ustami jej chłodnej szyi. – Pamiętasz, jak bardzo byliśmy szczęśliwi, że udało nam się przeżyć? A pamiętasz, jak strasznie baliśmy się, gdy okazało się, że byliśmy jedynymi ocalałymi pasażerami i mieszkańcami tej wysepki?

Nic nie mówiła. Milczeliśmy oboje, a słońce tonęło za zasłoną chmur rozświetlając je od spodu i tworząc obraz, którego nigdy już nie powtórzy. Mimo chłodnego podmuchu od strony oceanu było nam ciepło. Grzał nas piasek i promienie słońca, które chłonęliśmy przez cały długi dzień.

Szarzało.

– Wiesz – wtuliłem twarz w jej włosy – myślę, że Bóg podarował nam tę wyspę, że musieliśmy być naprawdę dobrzy, skoro pozwolił nam prawie całe życie spędzić tylko ze sobą, prawda?

Odgarnąłem jej włosy i oparłem brodę na lewym ramieniu tak, że dotykaliśmy się policzkami.

– Nigdy nie przypuszczałem, że życie można przeżyć w tak wspaniały sposób – ciągnąłem. – Strasznie się bałem, gdy wyrzuciło nas tutaj. Bałem się, że będziemy samotni, że nie damy sobie rady, ale szybko zrozumiałem, że to był dar. Bóg obdarzył nas tym, na co może nawet nie zasłużyliśmy, lecz o czym marzyliśmy w skrytości ducha – życie razem, tylko we dwoje...

Ocean jednostajnie szumiał, zupełnie tak samo jak owe kilkadziesiąt lat temu, gdy pojawiliśmy się tu po raz pierwszy. Wtedy nie pozwalał nam skupić myśli, teraz był dla nas jak tykanie zegara z pokoju obok, bez którego nie sposób usnąć.

Pociemniało już dość znacznie, jednak poświata, jaką rzucało słońce kryjące się za horyzontem, pozwalała jeszcze na swobodną obserwację. Krwawy ślad zachodzącego słońca powoli znikał z tafli wody, która z każdą minutą ciemniała, zamieniając się w alabastrową skałę.

– Kocham cię tak samo mocno jak pierwszego dnia, gdy zobaczyłem cię na ulicy – wyszeptałem i łzy popłynęły po moich zoranych zmarszczkami policzkach. – Od tamtej pory stałaś się jedyną treścią mojego życia, jedynym

jego sensem i celem. Nie masz pojęcia, jak bardzo dziękuję Bogu za to, że rzucił nas właśnie tutaj, bo całe moje życie mogłem ci poświęcić. Nie musiałem się o nic martwić, tylko o to, jak najlepiej opiekować się tobą.

Jeszcze mocniej przytuliłem jej zimne ciało. Nie żyła od sześciu godzin, pierwszych sześciu godzin, gdy nie było jej przy mnie od tylu lat. Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi, bo starzeliśmy się nieuchronnie, ale gdzieś tam w sercu nie mogłem się z tym pogodzić i łudziłem się, że może Bóg podarował nam wieczny raj.

Z olbrzymim wysiłkiem, choć jej starcze ciało nie ważyło wiele, uniosłem ją i wolnym krokiem, zapadając się w piasku po kostki ruszyłem w kierunku wody. Ciepłe fale oceanu otulały moje nogi, a ja szedłem coraz dalej. Chciałem obejrzeć z nią jeszcze ten jeden zachód słońca, ale teraz już przyszła na nas pora. Brnąłem coraz dalej, jednak im głębiej wchodziłem w wodę, tym łatwiej mi się szło, zupełnie jakbyśmy nic nie ważyli, jakby nas w ogóle nie było.

Jacek Kacprzak

Tadeusz Kuduk: *Poliptyk salonowy*,
olej, sklejka, tektura (60 x 64 cm), 1982

DMYTRO PAWŁYCZKO

Oderwać się od bolesnej przeszłości

Nasza konferencja odbywa się w Lublinie. To miasto ma wielką historię, w której być może najważniejszym wydarzeniem była unia lubelska 1569 roku, kiedy królewska Polska zjednoczyła się z Litwą, tworząc państwo federacyjne. Wraz z Litwą do unii z Polską weszły ziemie ukraińskie, ale niestety nie w charakterze trzeciej jej składowej, jako odrębny państwowy organizm, a jedynie jako część Księstwa Litewskiego. Historycy wiedzą, jak tragiczne dla naszych narodów następstwa miał fakt niezrozumienia ze strony ówczesnych polskich polityków dążeń narodu ukraińskiego do zdobycia równego z Polakami i Litwinami miejsca w Rzeczypospolitej. Powstania kozackie, w tym zwycięskie wystąpienie Bohdana Chmielnickiego, stały się jedną z głównych przyczyn upadku Polski, doprowadziły do wzmocnienia carskiej Rosji, która, nawiasem mówiąc, stała się inspiratorem rozbioru Polski pomiędzy trzy imperia.

Okres, gdy Ukraina wchodziła w skład carskiej Rosji, a później komunistycznorosyjskiego imperium – to był okres, kiedy europejską tożsamość Ukraińców, zdobytą w Rusi Kijowskiej, będącej bezsprzecznie państwem europejskim, a potem rozwijaną w dobrych, a nawet i złych związkach z Polską, carowie i kremlowscy ideologowie usiłowali zniszczyć, zamieniając naszą narodową świadomość w świadomość „młodszego brata" Rosji. Największą pomyłką polskiego ruchu narodowowyzwoleńczego, który rozwinął się w XIX wieku, było ponownie takie samo niezrozumienie ze strony polskich przywódców dla dążeń narodu ukraińskiego, na którego ziemiach Polacy powstawali, by mieć własne państwo. Polscy powstańcy marzyli o włączeniu do walki o niepodległą Polskę ciemiężonego przecież przez polskich magnatów ukraińskiego chłopa.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że pełne i głębokie porozumienie między Ukraińcami i Polakami mogło nastąpić wyłącznie pod warunkiem istnienia niepodległej Ukrainy i niepodległej Polski. Ten czas nadszedł. Podstawą politycznej strategii stosunków między Ukrainą i Polską jest koncepcja, sformułowana przez publicystów polskiej paryskiej „Kultury", której genialnym redaktorem był Jerzy Giedroyc. Musieli zrezygnować z dawnych pretensji Polski do ukraińskich i litewskich terenów, które przez długi czas wchodziły w skład państwa polskiego, nie zmieniając jednak swego narodowego charakteru ukraińskiego i litewskiego, co więcej, Lwów i Wilno odegrały przewodnią rolę w zdobywaniu niezależności przez Ukrainę i Litwę.

Nadszedł czas zupełnie nowej perspektywy historycznej w stosunkach między Ukrainą i Polską. Czas, kiedy od tego, na ile Ukraina i Polska będą działać razem, zależeć będzie los nie tylko Europy Środkowej, ale całego kontynentu. Trzeba pamiętać, że prawie wszystkie kraje Europy Środkowej zdobyły swą niezależność w procesie walki przeciw carskiej i komunistycznej Rosji, że wszystkie one starają się przyłączyć do wojskowych i gospodarczych sojuszy Europy Zachodniej, aby zachować swą państwowość i rozwijać się zgodnie z europejskimi cywilizacyjnymi i demokratycznymi regułami.

Ukraina tak samo pragnie przyłączyć się do Unii Europejskiej, buduje swoje stosunki z NATO jako partnersko-sojusznicze. Jednak jeśli chodzi o integrację z UE, Ukraina nie ma takiego wsparcia ze strony państw zachodnich, jakie ma Polska.

Istnieje niebezpieczeństwo, że wejście Polski do Unii Europejskiej może doprowadzić do podziału Europy Środkowej wzdłuż linii granicy polsko-ukraińskiej. Najważniejszym zadaniem Ukrainy i Polski jest niedopuszczenie do takiego podziału. Niestety, niektórzy politycy w Brukseli nie chcą zrozumieć, że bez Ukrainy kwitnąca, bogata nie orężem, lecz dobrobytem Europa jest niewyobrażalna i niemożliwa.

Przykro mi wspominać o niedawnej dyskusji w polskiej prasie („Tygodnik Powszechny") na temat, czy warto utrzymywać w polskiej polityce w stosunku do Ukrainy nastawienie Jerzego Giedroycia, z której to (dyskusji) wynika, że w Polsce są politycy, którzy chcieliby zostawić Ukrainę samą sobie, ograniczając do minimum kontakty z naszym państwem. Ten minimalizm może odbić się maksymalnymi stratami Polski za Bugiem. Nie tylko za Bugiem. Tracąc, nie daj Boże, strategiczne kontakty z Ukrainą, Polska utraci przywództwo w Europie Środkowej, bo przecież tylko działając na arenie międzynarodowej razem z Ukrainą jest wyrazicielem i przewodnikiem całego regionu między Morzem Czarnym i Bałtyckim.

Polska jest adwokatem Ukrainy na Zachodzie. Polska rozumie swoją zależność od Ukrainy, jaką sformułował Józef Piłsudski, a Ukraina swoją zależność od Polski, jaką sformułował Taras Szewczenko. Nasz poeta zwracał się do ukraińskich hetmanów: „Chełpicie się, żeście kiedyś Polskę obalili, taka prawda wasza, że upadła i was przywaliła". Zatem, dopóki stoi Polska, stać będzie i Ukraina, i odwrotnie, dopóki stoi Ukraina, będzie stała Polska. Do znudzenia mogę powtarzać polityczny testament tych genialnych ludzi, aby stał się trwałą częścią świadomości i racją stanu myślących Ukraińców i Polaków, aby na zawsze utrwalić i pogłębić porozumienie między dwoma narodami, które przez stulecia walczyły ze sobą w interesie swoich wspólnych wrogów. W ukraińsko-polskich wojnach przegrywali jednocześnie i Polacy, i Ukraińcy – a wygrywały imperialne siły Rosji i Niemiec.

Musimy pamiętać, że nadmierne zapatrzenie na Wschód lub na Zachód może mieć negatywne następstwa i dla Ukrainy, i dla Polski. Musimy tworzyć wspólną i samowystarczalną Europę Środkową, która miałaby jak najściślejsze powiązania z zachodnią częścią kontynentu, ale również swą demokratycznością, dobrobytem i duchowością wpływałaby na Wschód Europy, a więc na Rosję, od której się odcinamy, jeśli chodzi o jej zamierające na szczęście imperialistyczne iluzje, ale z którą chcemy budować dobre stosunki, porozumienie i kontakty na fundamencie jej przynależności do zachodniego świata. Na naszych oczach odbywa się polepszenie stosunków Polski i Ukrainy z Rosją. Ten proces dopóty będzie pozytywny, dopóki wszystkie trzy części politycznego układu będą jednakowo znaczące.

Lublin, w którym się spotykamy, ma szansę stać się głównym polskim miastem powołanym do organizowania współpracy Ukrainy i Polski w dziedzinie oświaty i kultury. Otworzenie w Lublinie Europejskiego Kolegium Uniwersytetów Polskich i Ukraińskich, które w przyszłym roku zyska status Uniwersytetu Polsko-Ukraińsko, to wydarzenie historyczne, które trudno przecenić. Już dzisiaj w lubelskich szkołach wyższych studiuje prawie tysiąc ukraińskiej młodzieży, szczególnie liczna i silna grupa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W Lublinie wychodzi kwartalnik „Akcent", jedyne w Polsce czasopismo systematycznie drukujące ukraińskich pisarzy, szczególnie w ostatnim pięcioleciu. Dwa numery „Akcentu" były w tym okresie całkowicie poświęcone współczesnej literaturze ukraińskiej. Skupiona wokół „Akcentu" grupa tłumaczy, dalej poświęcając uwagę literaturze ukraińskiej, mogłaby stworzyć wraz z ukraińskimi tłumaczami literatury polskiej wspólne ukraińsko-polskie wydawnictwo. Zadaniem takiego wydaw-

nictwa byłoby systematyczne publikowanie po ukraińsku i po polsku najważniejszych książek obu literatur. Bez państwowego wsparcia takie wydawnictwo istnieć nie będzie mogło, a więc trzeba postukać do mocno zamkniętych drzwi odpowiednich ministerstw w Kijowie i w Warszawie. Stukajcie, a będzie wam otworzone.

Przykro o tym wspominać, ale do pewnego stopnia wyniosłe, paternalistyczne spojrzenie polskich wydawnictw na literaturę ukraińską prowadzi do niesymetryczności naszych związków w dziedzinie kultury, zwłaszcza jeśli chodzi o wydania książkowe. Mógłbym wymienić dwudziestu polskich pisarzy, których książki ukazały się na Ukrainie w ostatnich dziesięciu latach, ale nie mogę wymienić nawet dziesięciu nazwisk ukraińskich pisarzy, którzy w tym okresie mieli osobne publikacje książkowe w Polsce.

Prawdę mówiąc, przy dynamicznym rozwoju ukraińsko-polskich stosunków w obszarze polityki i gospodarki, dziś prawie nie istnieje w Polsce zainteresowanie ukraińską literaturą i klasyką filozoficzną, powiedzmy, utworami bodaj najwybitniejszego słowiańskiego filozofa Hryhorija Skoworody, proroczymi politycznymi utworami Iwana Franki, wielką prozą W. Pidmohylnego, M. Chwylowego, W. Pietrowa, całą najdroższą dla nas literacką spuścizną.

Zwracałem się do wydawców. Odpowiadają: „To rynek decyduje. Rynek was nie zna." Ale jak zapytać rynek, czy zna on nas, czy nie zna, jeśli nie wydaje się niczego. „Akcent" wydał dwa ukraińskie numery. Wielu polskich czytelników mówiło mi z zachwytem: „Ukraina ma taką współczesną prozę i poezję, że przesłania ona swymi wartościami artystycznymi podobne rzeczy na Zachodzie".

Jeśli my, Ukraińcy i Polacy, naprawdę chcemy szukać wspólnych nam ogólnoeuropejskich kulturalnych i duchowych wartości, to musimy najpierw poznać samych siebie, zgłębić fenomen naszych narodów, a tego nie sposób zrobić bez znajomości naszych literatur. Książka jest i będzie podstawą każdej narodowej kultury i dlatego, powtórzę jeszcze raz, zadbajmy o rzeczywistą wymianę naszego literackiego bogactwa.

Pragnąc stać się pełnoprawnym członkiem rodziny narodów, Ukraina powinna dźwignąć swą gospodarkę, powinna dać swym obywatelom pracę i godną za pracę zapłatę, powinna więc wchodzić do Unii Europejskiej nie jako żebraczka, a zamożne państwo. Bogactwo materialne zdobywa się w ciągu dziesięcioleci i już zrobiliśmy sporo, aby dorównać naszym zachodnim sąsiadom, w tym przede wszystkim Polsce, jako państwo, które co roku zwiększa swój PKB. Jednak nasze bogactwo duchowe tworzyło się na przestrzeni tysiąclecia i choć przez długie wieki nie mieliśmy swojej państwowości, udało nam się ocalić język i ciągłość walki o wolność, stworzyć kulturę z ducha i rangi europejską. Najpiękniej mówił o tym w czasie swojej wizyty na Ukrainie Jan Paweł II, cytując naszych poetów i filozofów. Wychodząc od nauki, jaką otrzymaliśmy z ust Papieża, wielkiego myśliciela i budowniczego nowej Europy, my, Ukraińcy i Polacy, powinniśmy „oderwać się od bolesnej przeszłości" i poświęcić swe siły porozumieniu między narodami, budowaniu jedności, której nie zdołają rozerwać żadne spekulacje ani nie podzielą żadne granice.

Dmytro Pawłyczko

SŁAWOMIR RUDNICKI

Apaszka

Drepcząc na przyboś przez bugaj i wyję
Zerwałem jastrun na Twe pojawienie
Widać gorliwie ćwiczyłaś hippikę
Lecz nie przepraszaj za drobne spóźnienie

Przeszkody swoją drogą ot przeszkody
Miłośnik koni musi lubić stajnię
Rozumiem Twoje hippiczne powody
Przecież spóźniają się ludzie zwyczajnie

Masz rozwichrzonych włosów grzywkę fajną
Rumieniec w oczach i policzki słone
Lecz nie przepraszaj za stajniane łajno
Którym to przeszły bryczesy spocone

Apaszka wieńczy Twoją pasję końską
Zlana nie moją wszak wodą kolońską

Koń wyścigowy

Po cóż odpowiedź temu kto nie pyta
Tak źle świat patrzy na swą część zepsutą
Już nigdy więcej nie ruszę z kopyta
Nigdy nie jęknę pod Twoją szpicrutą

Tak wprost najazd – poszedłem na ślepo
Wszak mam przeszkody we krwi od pokoleń
Koń by się uśmiał z moją końską krzepą
Kończył się wyścig gdy trzasnęła goleń

Nie pachnie siano dziś jak wczoraj łąką
Ktoś cukrem oczy zamydlić się stara
Gdzie teraz jesteś – moja amazonko?

Czy zapomniałaś już o swoim zwierzu?
Od rana stoi przed boksem landara –
Do rzeźni konie zabiera z manežu...

Klacz

Majaczył przedświt nad stadniną
Spienił się ogier gnał za klaczą
Widział jak za nim błota giną
Jak nowe przed nim mgły majaczą

I drżał i rżał i pot go rosił
W szaleństwie pianą szlak rysował
Jak pątnik sapał i gnał co sił
Biczem ogona się biczował

Wtem jakaś przepaść się otwiera
I świat się kończy dla ogiera
I w przepaść skoczył zły z rozpaczą

I gdy mu w oczy śmierć zajrzała
Czuł przyrodzeniem swego ciała
Że właśnie przepaść była klaczą

Narcissus poeticus

Bohdanowi Zadurze

Czy orchidee przyjmą się, Bohdanie?
A caprifolium? A laur? A cordella?
Czy z Czartoryskich jeszcze Izabela
Kniaźnina obłęd waży przy fontannie?

Czy róże Czasu, krwawe jak piranie,
Twą twarz kaleczą rodem z Rafaela?
Czy park w Puławach cienia Ci udziela,
Sylabotonik gdy składasz starannie?

Czy to jest prawda – co mówił Dominik –
Żeś swoje kości zawoził do klinik?
Mnie także nieraz czepia się konował.

Te orchidee przyjmą się, Bohdanie,
Wypełnią Twoją piękną Zakwitanię,
Boś je Ty w ciepłym sercu wyhodował.

Z pamiętnika gejszy

Właściwie kocham tę samą niewolę
I sobą jestem kiedy Panu służę

Mam wypisaną i grzeczność na czole
Ukłon i uśmiech tkwią w mojej naturze

Pana myślami patrzę w swoje wnętrze
Przy Panu płynę jak powiew ochoczy
Znam dwie zasady dla damy najświętsze:
Mieć krótki język i spuszczone oczy

Pan nabrał do mnie ostatnio słabości
Kocha mnie skrycie – zmieniła się władza
I gdy do domu zaprosi swych gości
Mnie na piedestał kosych spojrzeń sadza

Sam zaś uroczo służy jako gejsza
Co mnie i Jemu w niczym nie umniejsza

Paź królowej

Byłem ozdobą przewielebnej świty
Karmiony łaską jaśniałem na dworze
I chłonąc Pani rezon znakomity
Muskany rosłem w przepysznym splendorze

Straciłem świeżość: nie mam dawnej ceny
Wyrosłem z ubrań i nabrałem dumy
I w Pani oczach smutnych od migreny
Wietrzeję jak już niemodne perfumy

Zapomnisz Pani o swoim efebie
Dziś będzie feta a ja w każdym razie
Przy Tobie lśniłem i zgasnę bez Ciebie
Już kandydaci przyszli – piękni pazie

Nie chce mnie Pani gdyż znudziłem dość Ją
Tak źle jest stawać się tłem i szarością

Czarczaf i hymen

Islam mnie mierzi i drwię z Mahometa
I z męskich głupot zawartych w Koranie
Za śmieć kobietę mają muzułmanie
Już wielbłąd żyje godniej niż kobieta

Jak się swobodnie noszą Europejki
Tu na uczelni wielbione przez panów

Czasem mi szepczą: „Szybko się zastanów –
U nas dostaniesz azyl bez kolejki"

Nim złotem łydki obwieszą przeguby
Nim mnie sprzedadzą i wcisną w obrożę
Nim do łożnicy mnie wciągnie mąż gruby

Ukończę studia... Azyl?... tu mam stracha
Lub skoczę – czysta – z mostu na Bosforze
Czarczaf i hymen niosąc dla Allacha

Ja tomtes

O słonecznego wskazówko zegara!
Cieniu mój który twardo krążysz wokół
Mną rządzi inna bezczasowa miara
Przejściowo lichy mam cielesny cokół

Panie mój! który mnie będziesz rozliczał
Od pierwszej wątłej godziny narodzin
Nie będę włosów z głowy rwał skowyczał
Kiedy nadejdzie najczarniejsza z godzin

Bom za kamienną widział twarzą bytu
Ciebie Najwyższy! Tyś stworzył kobietę
I wraz z nią niebo i piekło zachwytu
Pociesz nas Panie! Przemów Nefretete!

Bo choć niebawem śmierć nas sobie wydrze
Tyś mą klepsydrą – jam piach w tej klepsydrze

Sławomir Rudnicki

Książki nadesłane

Poezja

Adam Lizakowski: *Legenda o poszukiwaniu ojczyzny*. Wybór i posłowie Beata Hebzda-Sołogub. Wyd. Dzierżoniowski Ośrodek Kultury, Dzierżoniów 2001, ss. 179+5 nlb.

Anna Janko: *Świetlisty cudzoziemiec*. Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, ss. 39.

Mariusz Rosiak: *Martwe natury żywych. Próba poetyckiego dialogu z fotografem Andresem Serano*. Wyd. Galeriar, Poznań 2001, ss. 63.

Zbigniew Strzałkowski: *Przestrzeń niepodległa*. Wyd. Polihymnia, Lublin 2000. ss. 94.

Andrzej Stechnij: *Komedia ludzi i sprzętów*. Wyd. Polihymnia, Lublin 2001, ss. 58.

Andrzej Wojciech Guzek: *Przyducha*. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2001, ss. 64.

ISTVÁN KOVÁCS

Węgry w XX wieku:

kraj, „który ze wszystkich stron graniczy sam ze sobą" oraz naród na granicy bytu i niebytu

Według historyków-demografów, jeśli naród z dnia na dzień utraci jedną trzecią część swych członków, jako państwotwórcza kulturalna i polityczna wspólnota etniczna może stanąć na krawędzi bytu i niebytu. Taki tragiczny los spotkał naród węgierski po pierwszej wojnie światowej. Na mocy traktatu pokojowego podpisanego 4 czerwca 1920 roku w wersalskim pałacu Trianon Węgry, które razem z Chorwacją-Sławonią liczyły 325,4 tys. km², tracą 232,4 tys. km² i 13.271,4 tys. mieszkańców, w tym 3319,6 tys. Węgrów, czyli 33 procent narodu węgierskiego. 31,7 procent ich terenów (104 tys. km²) przypadnie Rumunii, 19,4 procent (czyli 41 tys. km²) Jugosławii, 18,9 procent (czyli 40 tys. km²) Czechosłowacji, 4 tys. km² Austrii, 0,6 tys. km² Polsce (północna Orawa i północny Spisz), a 21 km² Włochom. Potrianońskie Węgry liczą 93 tys. km² i 7 615,1 tys. mieszkańców, których 90 procent stanowią Węgrzy.

W następstwie częściowego rozbioru historycznych Węgier tysiącletnie Królestwo Węgierskie zostało pozbawione dwóch trzecich swych terytoriów i jednej trzeciej ludności etnicznie węgierskiej. Wszystkie największe po Budapeszcie miasta – jak Wielki Waradyn, Koloszwar, Braszów, Temeszwar, Koszyce, Preszburg, Subotica – oraz większość kopalń surowców i ośrodków przemysłowych znalazły się w granicach nowych sąsiednich krajów, Jugosławii, Czechosłowacji i Rumunii tworzących antywęgierski sojusz, tzw. Małą Ententę. Pozycje wspomnianych wielkich miast miały zająć Debreczyn, Miszkolc, Segedyn, Pécs i Győr. Słusznie zauważa wybitny amerykański historyk, John Lukacs, że Węgry po roku 1920 znalazły się w podobnie tragicznej sytuacji jak państwo polsko-litewskie po drugim rozbiorze. Géza Szőcs, poeta węgierski żyjący w Rumunii, jest autorem trafnego aforyzmu: „Węgry to taki kraj, który ze wszystkich stron graniczy sam ze sobą".

Położenie Węgrów w nowych warunkach bytowych wymownie może charakteryzować fakt, że np. zamieszkali w Siedmiogrodzie znajdującym się w nowych granicach Rumunii, nie wyznający wiary prawosławnej otrzymali prawa obywatelskie dopiero w 1922 roku w wyniku interwencji Francji.

Choć traktat trianoński zawierał zapisy gwarantujące prawa dla węgierskiej mniejszości narodowej w poszczególnych krajach sąsiadujących z Węgrami, praktycznie każde z tych państw miało na celu, na krótszą albo dłuższą metę asymilację, mniejszości narodowych i grup etnicznych.

Politykę zagraniczną Węgier w okresie międzywojennym charakteryzowało dążenie do rewizji granic i przyłączenia chociażby tych terenów, które w większości były zamieszkane przez Węgrów. W realizowaniu tych rewizjonistycznych celów w drugiej połowie lat 30. Węgry mogły liczyć tylko na dwa kraje: Włochy Mussoliniego i Rzeszę Niemiecką Hitlera. Dzięki ich

„pośredniczeniu" na mocy tzw. arbitraży wiedeńskich w 1938 i 1940 r. do Węgier zostały przyłączone południowa Słowacja i północny Siedmiogród, zaś w marcu 1939 roku węgierskie wojsko zajęło Podkarpacie (czyli Zakarpacie z punktu widzenia Polski). Powstała wówczas granica polsko-węgierska, co za pół roku będzie miało dla Polaków ogromne znaczenie. Po rozpadzie Jugosławii w kwietniu 1941 r. armia węgierska okupowała Wojewodinę. Hr. Pál Teleki, premier ówczesnego rządu węgierskiego uważał krok ten za tragiczny dla losu powojennych Węgier i w proteście przeciwko temu, że Horthy zgodził się na przemarsz armii hitlerowskiej przeciw Jugosławii, popełnił samobójstwo.

Powiększone we wspomniany sposób Węgry po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej zostały sojusznikiem hitlerowskich Niemiec i walczyły po ich stronie prawie do ostatniej chwili. To zadecydowało o ich losie po roku 1945. Nie tylko, że znalazły się znowu w granicach sprzed 1938 r., ale na skutek pokoju zawartego w Paryżu w 1947 r. dodatkowo utraciły jeszcze kilka wsi, jako rekompensatę dla Czechosłowacji za to, że Podkarpacie (czyli Zakarpacie) należące do niej w okresie międzywojennym zostało przyłączone w wyniku jałtańskich zmian europejskich do Związku Radzieckiego, który dzięki temu klinem wbił się w basen karpacki. Wówczas to powstał pewien makabryczny środkowoeuropejski dowcip o mieszkańcu podkarpackiego miasta Hust, który urodził się jako poddany króla Franciszka Józefa I i obywatel monarchii Austro-Węgier, był przez krótki czas obywatelem Rumunii, potem przez prawie dwadzieścia lat obywatelem Czechosłowacji, następnie Węgier, a ostatecznie Związku Radzieckiego. Kiedy wymieniał te wszystkie kraje, gdzie przez dłuższy czy krótszy okres żył, patrzono na niego z podziwem jak na kogoś, kto bardzo dużo podróżuje po świecie. On zaś kwitował to gorzkim stwierdzeniem, że nigdy w życiu nie opuścił swego rodzinnego miasta.

Rząd nowej, powojennej Czechosłowacji w swym programie koszyckim uznał 600-tysięczną społeczność węgierską za faszystowską i postanowił z poparciem Związku Radzieckiego pozbawić ją mienia i wysiedlić na Węgry. W związku z protestem Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii plan ten zrealizowany został tylko częściowo. W ramach tzw. wymiany ludności przesiedlono na Węgry prawie 70 000 tysięcy Węgrów, w zdecydowanej większości inteligencję. Pozostała część pozbawionych aż do 1949 roku praw obywatelskich Węgrów podlegała przymusowej „resłowakizacji".

Sytuacja Węgrów zmieniła się na lepsze po przewrocie komunistycznym. W marcu 1949 roku powstała Wspólnota Demokratyczna Węgrów w Czechosłowacji i na nowo organizowano węgierskojęzyczny system szkolnictwa. Wspólnota Demokratyczna Węgrów w Czechosłowacji była organizacją kulturalną i oświatową, ale później pełniła także funkcję organizacji ochraniającej interesy mniejszości narodowej. W 1968 roku podczas inwazji Czechosłowacji przez armie pięciu krajów Paktu Warszawskiego społeczność węgierska pozostała solidarna z Czechosłowacją „dubčekowską", mimo to po federalizacji państwa nie została oszczędzona przez siły nacjonalistyczno-komunistyczne (głoszące przypominające lata powojenne hasło: Madiary za Dunaj!) husakowskiej Słowacji.

Po powstaniu samodzielnej Słowacji Wspólnota Demokratyczna Węgrów nie znikła, lecz zmieniła swą nazwę na Związek Społeczny i Oświatowy Węgrów na Słowacji, gdzie żyje dziś 600-700 tysięcy Węgrów. Mieszkają oni w stosunkowo zwartych skupiskach w 15–30-kilometrowej strefie przygranicznej. Nacjonalistyczna epoka mecziarowska między rokiem 1994 a 1998 była trudna dla wspólnoty Węgrów. Dzisiaj, choć Koalicja Węgierskich Partii jest członkiem rządzącej koalicji, nie zdołała wywalczyć zmiany dyskryminacyjnej dla mniejszości narodowych ustawy językowej i przeforsować korzystniejszej dla siebie wersji nowego podziału administracyjnego. W rezultacie w żadnej nowej jednostce administracyjnej Węgrzy nie tworzą

większości, co może negatywnie odbić się na wyborach samorządowych. Koalicja Węgierskich Partii znajduje się w swoistej pułapce. Na znak protestu przeciw nowemu podziałowi administracyjnemu chciała wystąpić z rządu, ale tym samym spowodowałaby kryzys gabinetowy, co ułatwiłoby zwycięstwo skrajnie nacjonalistycznych sił mecziarowskich. Wielkim jednak osiągnięciem jest odbudowanie wysadzonego przy końcu II wojny światowej mostu na Dunaju pomiędzy Esztergomem i Parkanami (Sturowem) i oddanie go do użytku 11 października 2001 roku.

W Rumunii żyje 2 miliony Węgrów – w zwartych skupiskach w strefach przygranicznych i Ziemi Seklerów oraz w enklawach rozsianych po innych częściach Siedmiogrodu. Można do nich zaliczyć jeszcze katolickich Czango-Węgrów na Mołdawii. W Rumunii możemy być świadkami zupełnie innego procesu niż w Czechosłowacji. Po ponownym przyłączeniu Północnego Siedmiogrodu do Rumunii w toku walk politycznych Komunistyczna Partia Rumunii – której proporcjonalnie niemałą część tworzyli Węgrzy – obiecywała węgierskiej mniejszości narodowej wszystko i wiele z tych obietnic – szczególnie w dziedzinie szkolnictwa – zrealizowała. Po raz pierwszy w historii powstawały węgierskojęzyczne szkoły podstawowe na Mołdawii, po 1945 roku utworzono samodzielny Uniwersytet z Wydziałami Nauk Humanistycznych i Przyrodniczo-Matematycznych im. Jánosa Bolyaiego w Koloszwarze (w Klużu) oraz węgierskojęzyczną Akademię Medyczną w Tirgu Mureş i liczne inne węgierskie szkoły wyższe z węgierskim jako językiem wykładowym. Bardziej optymistyczni zwolennicy węgiersko-rumuńskiego pojednania marzyli nawet o tym, że w Constancy powstanie węgierskojęzyczna Akademia Morska. W tym samym okresie rozpoczęto jednak kolektywizację indywidualnych gospodarstw rolnych, równolegle z nią na wszystkich szczeblach życia społecznego i politycznego rozgorzała tzw. walka klasowa, wskutek czego również mniejszość węgierską pozbawiono najbardziej elementarnego środka samoobrony, czyli prywatnej własności. Rozpętano też w duchu ateizmu walkę przeciwko Kościołowi katolickiemu, luterańskiemu, kalwińskiemu, ariańskiemu; uwięziono między innymi węgierskiego biskupa Árona Mártona w Alba Julii. Kościół prawosławny stał się oficjalnie kościołem narodowym i niedługo po tym, jak Stalin zlikwidował greckokatolicki Kościół na Zachodniej Ukrainie, to samo spotkało w Rumunii Kościół unicki. Akt ten dotknął najbardziej boleśnie Rumunów żyjących w Siedmiogrodzie i w Banacie.

Część rumuńskiej opinii publicznej, szczególnie młodzież studencka, z entuzjazmem przyjęła wieść o wybuchu powstania na Węgrzech 23 października 1956 roku, a część społeczności węgierskiej, żywiąca nierealne marzenia, duchowo – czasami demonstracyjnie – solidaryzowała się ze zmianami następującymi na Węgrzech. Po stłumieniu powstania węgierskiego armia radziecka, która na mocy paryskiego traktatu pokojowego mogła stacjonować na Węgrzech tylko po to, by utrzymywać łączność z armią okupującą radziecką strefę w Austrii, pozostała na Węgrzech wzmocniona dodatkowymi dywizjami również po przywróceniu suwerenności Austrii i wycofaniu z niej obcych wojsk. Za to w 1957 i 1958 roku demonstracyjnie opuściła tereny Rumunii, jakby wynagradzając lojalność komunistycznego rządu rumuńskiego, ofiarującego zresztą swój wojskowy udział w tłumieniu powstania na Węgrzech. Okazało się, że rumuńska tajna policja polityczna Securitate bacznie śledziła wszystkie osoby, które w jakiś sposób okazały sympatię wobec węgierskiej rewolucji. W 1957 r. rozpoczęły się masowe aresztowania. Kilkanaście osób skazano na śmierć, a ponad 30 000, w większości Węgrów, uwięziono na okres od 5 do 25 lat. Okazało się, że te polityczne represje, poparte zresztą przez rząd Jánosa Kádára, tworzą wstęp do szybkiej likwidacji węgierskich instytucji, a przede wszystkim węgierskiego systemu szkolnictwa. Pod pretekstem zjednoczenia uniwersytetu węgierskiego i rumuńskiego w Klużu, stopniowo go zlikwidowano, wraz z innymi

wyższymi szkołami. Ten sam los spotkał wszystkie węgierskie szkoły średnie i zawodowe. Pod pretekstem uprzemysłowienia do węgierskich miast siedmiogrodzkich masowo przesiedlono rumuńską ludność z Mołdawii. Wskutek tego Tirgu Mureş, które w połowie lat pięćdziesiątych miało prawie wyłącznie węgierskich mieszkańców, stało się w latach 80. w 50% miastem rumuńskim, a proporcje w Klużu, w którym w latach 50. zaledwie 20% stanowili mieszkańcy rumuńscy, w latach 80. zupełnie się odwróciły: Węgrzy to teraz zaledwie 22% w tym czterystotysięcznym mieście. Politycznym przywódcą strategii wyeliminowania Węgrów z Rumunii, po Żydach i Niemcach, był „geniusz Karpat", czyli Nicolae Ceauşescu... Nie jest więc dziełem przypadku, że bohaterem rewolty rozpoczętej 16 grudnia 1989 r. w Temeszwarze był dysydencki węgierski pasterz kalwiński, László Tőkés.

W ciągu kilku tygodni po upadku reżimu Ceauşescu powstała partia polityczna Węgrów (Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii), która na początku lat 90. liczyła 400 tys. członków. Po 1989 r. jej najważniejszym zadaniem była ponowna organizacja węgierskojęzycznego szkolnictwa w Rumunii i odzyskanie skonfiskowanych nieruchomości różnych Kościołów węgierskich. W zabiegach tych rumuńscy Węgrzy napotykają niełatwe do przezwyciężenia trudności prawne, mimo że ich partia pomiędzy 1996 i 2000 rokiem była członkiem rządzącej koalicji, a ostatnio zawarto umowę z postkomunistycznym rządem, że pod pewnymi warunkami może on liczyć na Węgrów, którzy uważają, że lepszy jest ten rząd, niż gdyby go tworzyli skrajni nacjonaliści i szowiniści, stanowiący niemałą część parlamentu w Bukareszcie. Fiaskiem zakończyły się starania o reaktywację państwowego uniwersytetu węgierskiego w Klużu, zlikwidowanego po 1957 roku. Natomiast pod patronatem węgierskich Kościołów i dzięki subwencji rządu węgierskiego (2 mld forintów rocznie) powołano do życia uniwersytet prywatny.

Teoretycznie wspólnota węgierska w Rumunii dzięki swojej liczebności, organizacji, znaczeniu i tradycji posiada potencjał polityczny i intelektualny oraz warunki instytucjonalne i materialne, które mogłyby zapewnić kulturze węgierskiej w Rumunii samodzielny rozwój, mimo że w ostatnim ćwierćwieczu kilkadziesiąt tysięcy Węgrów, w większości inteligencji, wróciło do swojej ojczyzny.

Sytuacja i perspektywa Węgrów żyjących w Rumunii pod pewnymi względami jest nieporównywalnie lepsza niż Węgrów żyjących na Podkarpaciu, czyli na terenie niepodległej Ukrainy. Mieszka tam teraz ponad 160 tys. Węgrów. Z terenów tych po 1945 roku wywieziono na Sybir około 50 tys. osób, z których większość nie wróciła. Duchowieństwo katolickie i protestanckie zostało wymordowane albo uwięzione. Jednak w drugiej połowie lat 40. Moskwa zgodziła się na to, żeby powstawał węgierskojęzyczny system szkół podstawowych. Uczniowie węgierscy musieli uczyć się nie języka ukraińskiego, lecz rosyjskiego.

Po powstaniu niezawisłej Ukrainy organizowano wiele związków i zrzeszeń mających reprezentować oświatowe, kulturalne i polityczne interesy tamtejszych Węgrów. Teoretycznie na Ukrainie nie ma ograniczeń w używaniu języka ojczystego. (Zmieniło się o tyle, że dzieci węgierskie muszą się teraz uczyć języka ukraińskiego, a nie rosyjskiego). Największym problemem dla wspólnoty węgierskiej na Podkarpaciu są bieda i... sąsiedztwo Węgier. Inteligencja bowiem masowo przesiedla się na Węgry, czując beznadzieję swojej sytuacji po powstaniu granicy szengenowskiej.

Nie do wiary, że był taki okres, kiedy Węgrzy żyjący na Węgrzech zazdrościli swym braciom w Jugosławii zamożności. Były to lata 60. i 70. Titowska Jugosławia kojarzyła się na Węgrzech z możliwością posiadania paszportu, wyjazdu i pracy w Europie Zachodniej i na całym świecie. Nikt nie mówił o tym, że partyzancka jugosłowiańska armia jesienią 1944 roku wymordowała od 20 do 40 tys. Węgrów i sam Tito starał się o wysiedlenie Węgrów z terenów Jugosławii, podobnie jak Niemców.

Wojewodina do końca lat osiemdziesiątych cieszyła się statusem autonomii, którą zlikwidował rząd Miloszewicia. Po wybuchu wojny w Jugosławii młodzi Węgrzy, by uniknąć poboru do wojska serbskiego, masowo uciekali na Węgry. Jednak wielu zginęło, zarówno w szeregach armii jugosłowiańskiej jak i po przeciwnej stronie frontu. Węgierskie życie kulturalne i oświatowe uległo prawie całkowitemu rozpadowi. Ożywiło się natomiast życie polityczne: powstały dwa związki, które oczywiście nie mogły skutecznie reprezentować interesów Węgrów. W walkach politycznych wszystkie polityczne siły węgierskie poparły demokratyczną opozycję serbską. Po jej zwycięstwie biorą udział w pracy rządowej. Węgrzy, żyjący w większości w północnej Wojewodinie, starają się o autonomię terytorialną i osobistą.

W Chorwacji żyje około 40 tys. Węgrów. Proporcjonalnie wspólnota ta poniosła największe straty w wojnie chorwacko-serbskiej. Węgierskie wsie leżące w tzw. trójkącie Baranya, takie jak Kórogy, Vörösmart, Szentlászló, Lasko zostały przez Serbów zajęte i doszczętnie zniszczone. Większość ludności, która przeżyła masowe morderstwa, uciekła na Węgry. Po opuszczeniu przez Serbów wschodniej Sławonii wróciła – z małymi wyjątkami – na swoją ziemię, by odbudować rodzinne wsie. W ostatnich latach organizowano różne zjednoczenia kulturalne i oświatowe. W Osijeku przy pomocy rządu węgierskiego buduje się ośrodek kultury węgierskiej. W ostatnich latach rząd chorwacki udziela mniejszości węgierskiej materialnej pomocy. Powstały też dwa węgierskie zrzeszenia o charakterze politycznym.

W Słowenii żyje 15 tys. Węgrów – w większości w strefie przygranicznej. W tej republice byłej Jugosławii zrealizowano najbardziej demokratyczną politykę na rzecz mniejszości narodowych – na terenach, gdzie mieszka wystarczająco dużo przedstawicieli jakiejś mniejszości narodowej, słoweńskie dzieci także uczą się jej języka, tak np. w Dolnej Lendawie i w Kapcy słoweńskie dzieci uczą się węgierskiego. Po ogłoszeniu niepodległej Słowenii powstały nowe zrzeszenia kulturalne i instytucje węgierskie. W Lendawie buduje się nowy ośrodek kulturalny i tworzy się węgierski konsulat.

Ludność zachodnich Węgier, które w 1920 roku pod nową nazwą Burgenland zostały przyłączone do Austrii, była w większości niemieckojęzyczna. W ciągu minionych osiemdziesięciu lat w zdecydowanej większości zasymilowali się również i ci, których językiem ojczystym jeszcze w 1920 roku był węgierski. (Spośród nich teraz 4 tys. uważa siebie za Węgrów.) Po 1956 r. prawie 200 tys. Węgrów opuściło swą ojczyznę i przedostało się do Austrii. 50 tys. spośród nich tam się osiedliło. Kilkanaście lat temu węgierska mniejszość w Austrii uzyskała status grupy etnicznej taki sam jak mniejszość chorwacka albo słoweńska. Daje to możliwość uzyskania oficjalnego wsparcia ze strony rządu austriackiego. Różne zrzeszenia węgierskie w 1989 r. zjednoczyły się w Centralnym Związku (Zentralverein) Węgierskich Zrzeszeń i Instytucji w Austrii. Charakteryzuje go ożywiona działalność kulturalna i oświatowa.

W minionych osiemdziesięciu latach liczebność Węgrów w basenie Karpat definitywnie zmalała. W okresie realnego socjalizmu oficjalna teza głosiła, że wraz z budową socjalizmu automatycznie rozwiąże się kwestia narodowościowa. To rozwiązanie oznaczało całkowitą asymilację.

Dziś wszystkie siły polityczne są świadome tego, że bez poparcia materialnego i politycznego węgierskie społeczności nie mają szansy przetrwania. Dla zjednoczenia narodu węgierskiego jedyną szansę stanowi Unia Europejska. Interes narodowy nakazuje kolejnym węgierskim rządom, aby walczyły o to, by wszystkie kraje ościenne jak najszybciej dostały się do Unii Europejskiej. Ale trzeba na ich możliwości patrzeć realnie. I trzeba w codziennym swym bycie wspierać Węgrów z sąsiednich krajów. Temu służy Urząd ds. Węgrów Żyjących poza Granicami Węgier.

Trzeci akapit 6. artykułu Konstytucji Republiki Węgierskiej głosi: „Rząd węgierski czuje odpowiedzialność za los Węgrów żyjących poza granicami

Węgier i popiera utrzymanie ich kontaktów z krajem macierzystym." Na podstawie upoważnienia 40. artykułu konstytucji rząd utworzył dekretem z 29 maja 1992 roku (nr dekretu 90/1990) Urząd do spraw Węgrów Żyjących poza Granicami do wypełnienia państwowych zadań utrzymania kontaktów z Węgrami poza granicami ojczyzny. Jest on organem administracyjnym o krajowej kompetencji, który działa pod kierownictwem rządu i pod nadzorem ministra spraw zagranicznych. Na jego czele stoi prezes mianowany i odwoływany – na wniosek ministra spraw zagranicznych – przez premiera.

Zadania urzędu są ustalone przez wyżej wspomniany dekret rządowy w następujących punktach:

a) utrzymuje stałe kontakty z organizacjami Węgrów żyjących na świecie – szczególnie z organizacjami Węgrów żyjących w sąsiednich krajach, oraz z organami rządowymi kompetentnymi w kwestiach mniejszości narodowych poszczególnych krajów;
b) współpracuje z zainteresowanymi ministerstwami oraz koordynuje działalność rządową dotyczącą mniejszości i diaspor;
c) analizuje procesy, które wywierają wpływ na sytuację mniejszości węgierskiej;
d) bada tendencje europejskie i międzynarodowe, które mogą wywrzeć wpływ na uregulowanie kwestii mniejszościowej;
e) interesuje się polityką węgierską i kwestią związkową oraz podtrzymywaniem kontaktów naukowych;
f) opiniuje koncepcje, przepisy prawne i projekty porozumień międzynarodowych dotyczące Węgrów żyjących poza granicami kraju;
g) interesuje się wykorzystaniem środków finansowych pochodzących z budżetu, mających wspierać Węgrów żyjących poza granicami kraju;
h) wspiera społeczną, kulturalną i gospodarczą współpracę przygraniczną, regionalną i subregionalną;
i) wypełnia zadania związane z działalnością mieszanych komisji mniejszościowych powołanych na podstawie międzynarodowych umów.

Obecnie przygotowywane jest prawo dające Węgrom żyjącym poza granicami taki status, który nie jest jeszcze obywatelstwem, ale zapewnia im większe prawa niż turystom. Ułatwi im to zdobycie karty stałego pobytu, której posiadanie jest warunkiem podjęcia pracy, zapewni im leczenie w węgierskich szpitalach itp.

Dzisiaj ogromną rolę w kształtowaniu świadomości narodowej mniejszości węgierskich sąsiednich krajów odgrywają mass media, przede wszystkim telewizja. Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się niemożliwe, żeby siedmiogrodzcy albo mołdawscy Węgrzy mogli oglądać programy węgierskiej telewizji. Na III Światowym Spotkaniu Węgrów w 1992 r. zrodził się pomysł „niebieskiej pępowiny" wszystkich Węgrów na świecie, czyli założenia telewizji satelitarnej. Dekret rządowy nr 1057 z października roku 1992 powołał Fundację Telewizji Hungaria, przyznając jej prawa właściciela powstającej Telewizji Dunaj. Ustawa o mediach z dnia 21 grudnia 1995 r. uznała Telewizję Dunaj za pełniącą służbę publiczną, a Fundację Telewizji Hungaria przekształciła w fundację publiczną. Telewizja Dunaj ma swych korespondentów we wszystkich sąsiednich krajach i współpracuje z miejscowymi węgierskimi studiami telewizyjnymi, co jest jednocześnie formą wspierania wspomnianych studiów. Programy Telewizji Dunaj stojące rzeczywiście na wysokim poziomie przedstawiają życie codzienne Węgrów żyjących poza granicami kraju. Działające w ramach UNESCO Zrzeszenie Camera w 1999 r. uznało węgierską Telewizję Dunaj za najlepszy kulturalny kanał telewizyjny na świecie. Pozycję tę Telewizja Dunaj utrzymała w minionych trzech latach.

István Kovács

WOJCIECH PRÓCHNIEWICZ

Bohater

W więziennej celi siedziało nas dwudziestu. Cela była bardzo ciasna. Kiedy kładliśmy się do snu, zajmowaliśmy całą posadzkę. Nędzne jedzenie podawano nam wcześnie rano i późnym wieczorem. W ciągu dnia byliśmy wzywani na przesłuchania. Na przesłuchaniach zawsze nas bito i torturowano. Byliśmy coraz słabsi, coraz bardziej chorzy, coraz bardziej załamani.

Najbardziej cierpiał Kazimierz. Był to drobnej postury mężczyzna, około czterdziestki. W więzieniu przebywał najdłużej. Jednak jego zachowanie, pełne godności, mogło służyć całej reszcie za przykład. Nawet strażnicy przyzwyczaili się do niego i na przesłuchaniach mniej go bito.

Któregoś dnia naczelnik więzienia upił się i postanowił rozstrzelać jednego z więźniów. Kazał nam wybrać spośród siebie. W celi rozgorzała dyskusja, która po chwili przerodziła się w zaciekłą kłótnię. Doszło nawet do rękoczynów. Strach, który nami powodował, przeobraził większość w potwory. Tylko Kazimierz siedział spokojnie w swoim kącie i usilnie nad czymś myślał. Nagle w tym zgiełku usłyszeliśmy jego spokojny, wyraźny głos:

– Ja pójdę!

Momentalnie zapadła cisza. Spojrzeliśmy na niego zaskoczeni, a potem wzruszeni. Niewymowna ulga wstąpiła w nasze serca i poczuliśmy coś jakby wdzięczność dla tego niepozornego człowieka. Kilku z nas podbiegło do niego, zaczęto go poklepywać, gratulować mu decyzji.

– Bohater – szeptano z podziwem – prawdziwy bohater!

Uśmiechał się lekko, jakby z zażenowaniem.

– Jaki tam bohater – szeptał, a na jego wynędzniałej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce. Był wyraźnie speszony.

Następnego dnia miała odbyć się egzekucja. Na kilka minut przed wejściem strażników delegacja więźniów podeszła do pryczy Kazimierza.

– Nie będziemy mogli ci się odwdzięczyć – rzekł jeden z więźniów. – Ale będziemy o tobie pamiętali i wszystkim opowiemy o twoim bohaterstwie. Wiedz też, że gdyby to było możliwe, nasza wdzięczność byłaby bezgraniczna!

– Szkoda – szepnął Kazimierz i nagle wszyscy zamilkli. Z przestrachem popatrzyli na niego, czy aby przypadkiem nie zmienił decyzji. Ale on dodał:

– Nie wiem, co to wdzięczność. Nigdy nie doznałem jej w swoim życiu.

Do celi weszło czterech strażników i ksiądz. Po chwili Kazimierz opuścił nas, odszedł na egzekucję. Zawstydzeni, przestraszeni, ale też szczęśliwi, że to nikt z nas, patrzyliśmy przez okno na niepozorną postać w przybrudzonej koszuli stojącą pod murem z zawiązanymi oczami. Naprzeciwko Kazimierza stanęło dziesięciu żołnierzy z karabinami wycelowanymi w skazańca. Padł rozkaz. Strzelby wypaliły. Ale Kazimierz nie upadł. Stał starając się zrozumieć,

co się stało. Żołnierze gorączkowo tłumaczyli coś dowódcy. Po chwili rozwiązano Kazimierza i odprowadzono do celi. Patrzyliśmy zdumieni.

– Nie trafili – rzekł patrząc na nas z zażenowaniem.

– Ani jeden? – padło nie pozbawione wyrzutu pytanie.

– Jak pech, to pech – Kazimierz usiłował obrócić sytuację w żart.

– Mogli powtórzyć! – dodał ktoś z żalem, a następnie wszyscy wrócili na swoje miejsca. Zaczął się zwykły dzień. Raz po raz wzywano kogoś na przesłuchanie.

Po kilku pełnych cierpienia i strachu dniach zawiązał się komitet ucieczkowy. Jeden z więźniów zdobył klucze do bramy głównej oraz po długich i żmudnych próbach, o których niewielu z nas wiedziało, sporządzono plan więzienia. Teraz przygotowywano punkt po punkcie plan ucieczki.

– Być może nie uda się uciec wszystkim – mówił przewodniczący komitetu ucieczkowego. – Jednak mój plan zakłada ucieczkę wszystkich, a właściwie niemal wszystkich więźniów – popatrzył na nas poważnie. – Tylko jeden z nas musi się poświęcić i zostać w celi. Mój plan powiedzie się pod warunkiem, że jeden z nas pozostanie w celi, żeby jak najdłuższej blokować drzwi od wewnątrz. Drutem, który zdobyliśmy w zeszłym tygodniu, należy jak najlepiej unieruchomić drzwi. Jedna ze śrub w stalowym skrzydle zostanie do połowy odkręcona. Drut zostanie zawinięty na łbie śruby, którą należy potem dokręcić, a następnie przeciągnięty do kraty najbliższego okna. Ten z nas, który zdecyduje się pozostać i zablokować drzwi, musi jeszcze przez dłuższy czas kawałkiem blachy zasłaniać otwór w drzwiach, żeby strażnicy nie widzieli, co się wewnątrz celi dzieje. To sprawi, że zyskamy nieco na czasie.

Zamilkł. Popatrzył wkoło. Nieznośne milczenie przedłużało się, ale niejedno spojrzenie kierowało się ukradkiem w stronę Kazimierza. Ja też patrzyłem na niego z nadzieją. I chociaż wstyd palił mi skronie, choć widziałem jego oczy mokre od strachu po niedawnej egzekucji, chciałem tak jak inni, żeby to był on. I Kazimierz widocznie to czuł. I ponownie, heroicznie wyraził zgodę i poświęcił się dla nas.

– Kiedy to ma się odbyć? – zapytał spokojnie.

– W przyszłą sobotę – padła odpowiedź.

Potem do celi weszli strażnicy i zabrali Kazimierza na przesłuchanie.

Podczas jego nieobecności siedzieliśmy jak na gorących węglach. W końcu najstarszy z nas nie wytrzymał. Poderwał się z podłogi i przypadł do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał. Potem odwrócił do nas mokrą od łez strachu twarz i szepnął:

– Tym razem nie wytrzyma. Wyda nas, żeby ocalić głowę.

– Nie wyda…

– Skądże znowu… – odpowiadano mu bezładnie i bez przekonania.

A kiedy Kazimierz wrócił, wszyscy zrozumieli, że po raz kolejny zgodził się poświęcić życie i nawet na strasznych torturach nic od niego się nie dowiedzieli.

Jednak ucieczka się nie udała. Stchórzyliśmy w ostatniej chwili, mimo że Kazimierz zachęcał nas jak tylko mógł, a nawet usiłował wypychać nas z celi, za co został pobity.

Nie był to ostatni bohaterski czyn naszego Kazimierza. Jeszcze wiele razy poświęcał się, ratował innych i o dziwo wychodził z opresji cało. Czyżby oprawcom spodobało się bohaterstwo małego Kazimierza? A może jego skłonności samobójcze? Nie, nie był samobójcą! Kochał życie. Ale chciał je zawsze oddać za nas, za każdego z nas mógł je oddać. Schudł przez te miesiące

straszliwego cierpienia, posiwiał, ale dalej się poświęcał. Wreszcie nadeszło wyzwolenie. Wojska sprzymierzonych państw pokonały tyranów, a my wyszliśmy na wolność cieszyć się słońcem i zielonym letnim popołudniem. Biegliśmy szybko, coraz szybciej, widząc po raz pierwszy otwartą na oścież bramę więzienia. Biegliśmy co sił w nogach krzycząc głośno, wołając szybującą na błękitnym niebie wolność. Nasze buty dudniły na więziennym placu. Deptaliśmy też wszystko, co dostało się pod nogi, bo przecież nic nie było teraz ważniejsze od nas, od tych, którzy zasłużyli na wyzwolenie. Tak zadeptaliśmy też Kazimierza, który miał najmniej sił, bo przecież tak się dla nas bezgranicznie poświęcał. Prawdziwy bohater. Ale wolność… Nikt nam jej już nie odbierze!

Maski

To była biedna dzielnica. Dni podobne do siebie i tak samo nudne. W półmroku zbyt wczesnych wieczorów udawałem się do małej knajpki na rogu, bo łudziłem się, że trochę oszukam tę szarą i brudną codzienność. Przed drzwiami „Czerwonego koguta" oparty o ścianę ubogi grajek o bladej i wychudzonej twarzy witał mnie walczykiem wygrywanym na harmonijce ustnej. Z dnia na dzień grał coraz ciszej, więc wrzucałem do jego puszki coraz więcej monet. Miał na imię Józef i chorował na serce. Kiedy pochylałem się nad nim, patrzył na mnie z wdzięcznością coraz mocniej płonącym wzrokiem. Walczyka grał do końca i dopiero wtedy zaczynał kasłać. Przez dłuższą chwilę dusił się i usiłował walczyć z dychawicą popijając chłodne piwo, które bezpłatnie dostawał od barmana. Wchodziłem do środka, witałem się ze swoim przyjacielem Antonim i przy kuflu chłodnego piwa zaczynaliśmy rozmawiać o świecie, życiu i kobietach. Częściej mówił Antoni, a ja słuchałem. Umiał ładnie opowiadać. Kiedyś był aktorem i wiele w życiu widział. Znał historie, od których włos jeżył się na głowie, ale też potrafił rozśmieszyć mnie swymi opowiastkami do łez. Sam rozczulał się jak dziecko, kiedy zaczynał wspominać swoje występy w teatrze.

Antoni umiał sprawić, że zapominałem o smutku codzienności dając się ponieść wspomnieniom, a trochę i fantazji przyjaciela. Któregoś wieczora przystanął tuż obok naszego stolika jakiś mężczyzna.

– Twoja chora wyobraźnia zdumiewa mnie – rzekł patrząc z pogardą na Antoniego. – Jaką wartość mogą posiadać twoje wyssane z palca opowiastki. Przecież ty nawet nie zasługujesz na miano aktora.

– Kim więc jestem? – przyjaciel wbił wzrok w nieznajomego.

– Jedynie zlepkiem umiejętnie dopasowanych masek – odparł mężczyzna.

– To chyba jest sztuka? – bronił się Antoni. – Ty jej nie posiądziesz, bo brak ci… brak… – wzburzenie nie pozwoliło mu dokończyć myśli.

Nieznajomy popatrzył swoim stalowym wzrokiem na Antoniego.

– Bywałem w takich miejscach, gdzie innym krew ścinała się w żyłach, gdzie tracili pamięć i zapominali swoich imion. Stawałem oko w oko z niebezpieczeństwem, ale nie myślę się przechwalać. Rzeczywistość to świat prawdziwych ludzi, a ty, żałosny zlepku min, możesz w kilka chwil przestać istnieć.

Sięgnął do przepastnej kieszeni swej marynarskiej kurtki i wydobył mocno już zniszczone grą kości.

– Zagrajmy – parsknął złym śmiechem w twarz Antoniego.

Ich oczy były bardzo blisko siebie i podświadomie wyczułem niebezpieczeństwo. Chwyciłem Antoniego za ramię.

– Nie graj. Boję się o ciebie – szepnąłem.

O dziwo, mój przyjaciel nie odrywając oczu od mężczyzny szepnął tylko:

– Ani mi się śni. To będzie nie tylko gra, ale i największa rola mojego życia. O co gramy? – spytał.

– O twoje nędzne maski – rzekł tamten. – O twój smutek, o twoją radość, o przerażenie i wszystko, co tam jeszcze potrafisz, aktorzyno!

Antoni zbladł. Zacisnął jednak usta, a potem na jego twarzy pojawił się tak radosny uśmiech, jakiego nawet ja nie pamiętam z czasów naszej długiej przyjaźni. Chwycił kości i rzucił. Potem rzucił nieznajomy. Wygrał.

– Możesz mnie nazywać Pedro – rzekł uśmiechając się triumfalnie. – Maska radości jest moja!

Patrzyłem na Antoniego. Rzeczywiście w jego twarzy nie znalazłoby się teraz nawet cienia wesołości. Była tylko ironia, którą zresztą przegrał po drugiej kolejce. Knajpa ucichła i zebrani wkoło nas ludzie w milczeniu przypatrywali się tej zaiste dziwnej grze. Pedro wygrywał kolejne maski Antoniego, a twarz mojego przyjaciela z każdym kwadransem stawała się coraz mniej wyraźna.

Natomiast Pedro triumfował. Popisywał się tym, co wygrał od Antoniego. Korzystając z bogatego zbioru masek stroił grymasy, a ludzie wybuchali śmiechem, to znowu zamierali przeszywani chłodem grozy. Antoni zupełnie już niewyraźny, jak cień zniszczonego arlekina, ledwie siedział na swoim krześle. I nastąpiła chwila, w której Pedro, niezwykły gracz, wygrał wszystkie maski od aktora. Popisując się swoimi minami przeszedł wkoło kłaniając się i prezentując miny, które niedawno należały do mojego przegranego przyjaciela. Ludzie klaskali, ale chyba tylko ze strachu. Antoni spojrzał na mnie, a na jego twarzy pozbawionej uczuć, gdzieś głęboko dojrzałem wielki zawód. Szepnął do mnie:

– Niepotrzebnie się łudziłem. I tym razem nie miałem szczęścia.

Po jego twarzy spłynęła łza. W pewnym momencie zabrzmiała muzyka. Nasz grajek grał niezwykle smutną melodię. Grał ją coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie wszyscy wyszli na ulicę, bo wielu lubiło muzykanta. Pedro przerwał swój pokaz i wybiegł na ulicę. W triumfalnym geście wyrzucił ramiona do góry i zawołał:

– Jakie to proste! Posiadłem sztukę. Mogę posiąść dzięki grze w kości każdy rodzaj sztuki, mogę ją kupić i zrobić z nią, co tylko mi się podoba!

– Nigdy nie będziesz aktorem – usłyszeliśmy słaby szept. To Antoni, niemalże pozbawiony wyrazu twarzy, stał obok i wpatrywał się beznamiętnie w umierającego grajka.

– Przegrałeś wszystkie maski i śmiesz twierdzić, że nie mogę być aktorem? – Pedro wściekle łypnął na Antoniego. – Nie posiadasz już nic i jeszcze masz czelność wypowiadać się na temat sztuki?

Józef przysłuchujący się tej rozmowie zasłabł. Wkrótce przyjechało pogotowie. Kiedy zabierano grajka, poczułem lekki uścisk dłoni. Antoni patrzył na mnie swoją twarzą bez wyrazu i bez słów zrozumiałem, co chce zrobić.

– Żegnaj przyjacielu. A jednak los uśmiechnął się do mnie. Choć jeden raz – wyszeptał i wsiadł do karetki, która na sygnale odjechała do szpitala.

Po jakimś czasie, ku zdziwieniu stałych bywalców knajpy, ujrzeliśmy grajka, który zdrowy, wesoły i uśmiechnięty wygrywał swoje melodie, tak jak dawniej. Ludzie przecierali oczy widząc mężczyznę w dobrym zdrowiu. Antoni poświęcając siebie oddał grajkowi to co posiadł najcenniejszego i bez czego nie mógł być aktorem. To nieprawda, że Pedro wygrał od niego wszystko. Antoni nie zagrał z nim o rzecz najcenniejszą dla artysty, o serce.

Od tego momentu minęło już wiele miesięcy. Codziennie piję swoje piwo wsłuchując się w niezwykłe melodie wygrywane na harmonijce. Melodie, jakich dawniej Józef nie grał, bo nie potrafił. Jest w nich teraz tyle ciepła, tyle wiary w dobro i miłość, są w nich odgłosy dalekich egzotycznych pieśni z krain Antoniego, dlatego nigdy nie zapomnę człowieka, który był moim przyjacielem i wielkim artystą.

Wojciech Próchniewicz

Tadeusz Kuduk: *Trzydziesty lipca – pieśń*, tempera, olej (53,5 x 36 cm), 2001

PIOTR SOMMER

Po stykach

Peryferie

Gdyby na to wzgórze zawitał przyrodnik,
znalazłby pośród chwastów wiele starych gazet
do studiowania.

Charles Reznikoff

To motto w charakterze przeprosin, bo wszystko mi się pomyliło. Patrzyłem w tytuł „Peryferia jako centrum?", który w rozpaczy sam musiałem zaproponować albo przynajmniej zaaprobować, kiedy już pojąłem, że szef „Akcentu" nie odejdzie z kwitkiem od telefonu; i w tym patrzeniu „peryferia" zamieniły mi się na „prowincję", a kiedy kilka razy z rzędu odczytałem na zaproszeniu tytuł „Prowincja jako centrum", też wprawdzie opatrzony pytajnikiem, ubolewałem już tylko nad własnym brakiem czucia, który pozwolił mi wymyślić, czy może przystać na rozmowę o „centrum" i „prowincji" w trybie odwrotki, o której pieją dziś za płotem wszystkie łysawe koguty. Odwrotki, czyli przeciwstawienia: że niby to, co kiedyś, nie tak dawno temu, miało się za centrum, nie jest znów takim wielkim centrum, a to, cośmy kiedyś, nie tak dawno temu, uważali za prowincję, uważaliśmy za prowincję niesłusznie, bo to się tylko prowincją wydawało, a dziś już wiemy, że prowincją być nie musi, bo czy to przypadkiem nie na prowincji przetrwało wszystko, co w naszym życiu najważniejsze?

Przeraziłem się i postanowiłem zrejterować do Otwocka, gdzie czułbym się bezpieczniej, ponieważ Otwock, mówiąc skrótem, to nie całkiem centrum, a jednak trochę centrum i trochę prowincja. I najchętniej bym opowiedział, dlaczego my, chłopcy z sanatoryjnej strony torów, wiedliśmy krwawe wojny (na pięści, proce i kamienie), z chłopakami z drugiej strony torów – z Kresów, a czasem nawet z Wielkich Świdrów. Albo o ciuchci, która jechała łukiem przez środek miasta, mijała Ługi – bo Ługi były Ługami od zawsze, zanim jeszcze powstało osiedle Ługi – i o tym, jak na poziomie Ługów się wyskakiwało, a w wagonach zostawali już chyba sami Karczewiacy, na których mówiło się Rumuny. I jak to z jednej strony kartoflane Kresy, które kończyły się mniej więcej na drewnianym moście, z drugiej kiełbasiarskie miasto Karczew, pełne Żelazków, Żołądków i Trzaskowskich, raz na zawsze ustanawiały nasze centralne położenie i luksusowe samopoczucie. Choćbyśmy całymi rodzinami gnieździli się w ciasnych klitkach dla sezonowych kuracjuszy, na które podzielone były całkiem przydatne po Powstaniu duże drewniane pensjonaty. Słowo „świdermajery" chyba nie było nam jeszcze znane. I może również o tym, jak ci pensjonariusze i pensjonariuszki – czasem przyjeżdżający się podleczyć z dość daleka – umierali, zazwyczaj wiosną albo jesienią, i jak niektórych, niekiedy nawet tych z Odessy, chowano na kirkucie w lesie za kanałem, a ich czaszki wykopywali sobie koledzy z mojej klasy. Wojtek latami, jeszcze na Garwolińskiej, miał jedną na pianinie.

Telefon od organizatora wybił mi z głowy te wspomnieniowe plany. Tytuł zapowiedzianego wystąpienia przestał mi nagle sprawiać trudność, spostrzegłem również hasło całej konferencji (już z tego względu gotów jestem złożyć sobie gratulacje). Co więcej, patrząc na zwięzłe charakterystyki stojące obok nazwisk uczestników, uprzytomniłem sobie, że zaciągnięto mnie do tego wojska w charakterze „funkcyjnego": godziłoby się bąknąć kilka słów w imieniu szefa pisma zajmującego się literaturą „obcą", którym w dodatku jestem. Czyli w imieniu własnym, a nie całkiem własnym.

Być może jest tak, by wrócić do spostponowanej wyżej odwrotki konceptualnej, że dałoby się dzisiaj wykuć, a potem – dla niepoznaki – nawet trochę oszlifować nową formułę „peryferii" i nową definicję „centrum". W przeciwieństwie do formuły dnia wczorajszego, kiedy to pismo poświęcone literaturze obcej miało być przede wszystkim, i przede wszystkim było, „oknem na świat" i odpowiednio, magazynem rozmaitości. Ten świat w zasadzie tworzyły wówczas literatury języków „dużych": to one ustanawiały „centrum", one konstruowały kanon – one były przedmiotem naszych wzdychań. Peryferyjne, prowincjonalne albo zgoła zaściankowe było w zasadzie wszystko, co do kanonu – z pozycji ubogiego pokrewieństwa – aspirowało. Słowa „kresowe" i „parafialne" – każde dla innych przyczyn, acz oba z przyczyn politycznych – występowały w dyskursie rzadziej. Któryś z kolegów redakcyjnych – w redakcji pracowało wówczas całe mrowie luda – miał słabość do skrótu „pastuchy", którym określał klasę czy może rangę literatury idącej do nas z Europy Południowo-Wschodniej. Półserio albo żartobliwie, ale często. Inny się dziwił, że odradzam nazywanie Joyce'a pisarzem „angielskim" (też zachodniofil). Jak widać, język o dużym zasięgu nie musiał w tamtym podziale być atutem. To było ledwie chwilę temu, przed dwudziestu kilku laty.

Nawiasem mówiąc, pojechałem wtedy na wymianę redakcyjną do Bukaresztu – był rok '77, parę miesięcy wcześniej dostałem etat, ale z kolegów pracujących w piśmie dłużej nikt się akurat w tym kierunku nie kwapił jechać – i tam, w Rumunii, w pociągu do Braszowa, wielce subtelny członek redakcji wielce dosmaczonego pisma „Secului XX" (co po naszemu się wykłada „wiek dwudziesty") upewniał mnie, biednego, że elita rumuńska jest naprawdę świetna – wszyscy czytają po francusku, sam język rumuński też, słyszałem może, bliski francuskiemu, ale naród marny. Nie mogłem się nijak skupić na tym widzianym po raz pierwszy niesamowicie bliskim krajobrazie. Po latach, w Dublinie, już w „nowym czasie", przeżyłem niezapomniane chwile, słuchając pewnej rumuńskiej parlamentarzystki i poetki (to może zaciekawi obecnych tutaj panów pisarzy dyplomatów), z której to wypowiedzi do dziś czule wspominam frazę o Rumunii – „oazie łacińskości otoczonej przez Słowian". Po angielsku, którym posługiwała się posłanka, brzmiało to nawet bardziej imponująco, albowiem w tym języku „Słowianie" (*Slavs*) są nie tylko etymologicznie, również ortograficznie i brzmieniowo bliscy „niewolnikom" (*slaves*).

Nie wiem, czy moje skróty wystarczająco czujnie komunikują tę wyniosłość z epoki dwóch imperiów i zimnej wojny. Może wyniosłość jest słowem zbyt uprzejmym, ale będziemy dziś uprzejmi. Chociażby nawet medialni publicyści nie chcieli naszej uprzejmości spostrzec i, napompowani własną bezradnością, nazywali nasze uprzejme słowa „rewanżem pamięci", a potem po całym świecie szukali sojuszników swojej sprawy. Nic nie mów literacie, nic nie mów belfrze od historii, nie waż się pisnąć słowa świadku, bo jeśli mówisz, znaczy że pamiętasz, a posiadając pamięć wykazujesz się pragnieniem zemsty. Zemsta się spotka z odpowiedzią dzieci, które szczęśliwie również będą miały dzieci.

A co z peryferiami w piśmie, co już nie musi być przede wszystkim „oknem na świat", bo okien u nas dziś dostatek, niektóre nawet niekoniecznie ślepe – i może również trochę nie chce być tym oknem. Jedzie pociąg przyjaźni przez świat, a w oknie migają mu obrazki. To może lepiej już do fotoplastikonu: tam obrazek wracał, a w trzeciej rundce dawało się wypatrzeć

wszystko. Tam nawet można było umówić się z Mamą (Aleje Jerozolimskie, naprzeciwko dworca) i nie zauważyć, że przyszła. Co z peryferiami w piśmie, które już nie musi, ale chce i może być tym oknem jedynie przy okazji? (Przy okazji czegóż to?) Jaka jest dziś – dwanaście lat „później" – perspektywa pisma poświęconego literaturze obcej? Poświęconego nominalnie (tytuł) i faktycznie, bo przecież taka jest praktyka wszystkich dotychczasowych zespołów redakcyjnych. Otóż ta perspektywa jest wciąż dwoista, ale bynajmniej nie w sensie podziału świata na literatury centralne i peryferyjne. Swoją drogą, czy to nie znamienne, że słowo „peryferia" zawsze można wymienić na „prowincję", „obrzeża", „kresy", jest tych słów w zasadzie ile-chcąc; tylko „centrum", „centrala" jest w swojej łacińskości bardziej definitywne.

Ale czym dzisiaj – dla pisma literackiego poświęconego literaturze obcej – miałby być taki podział? Co miałoby decydować o peryferyjności? Jakie wyróżniki? Czy peryferyjny będzie piszący bodaj wyłącznie po angielsku noblista z małej wysepki St. Lucia w archipelagu Karaibów, pisarz, od którego śmy nową „Literaturę na Świecie" zaczynali? I czy to rzecz znacząca, że Derek Walcott jest wśród noblistów nowszego rzutu ostatnim pokazywanym w naszym piśmie szerzej? Owszem, rzecz jest znacząca, ale nie powiem co ma znaczyć, bo podejrzewam, że nie muszę. Czy bardziej peryferyjny jest Vlastimil Artur Polák, czeski Żyd z Ołomuńca, co pisał po niemiecku? A może ducha zmarginalizowanego pogranicza lepiej komunikuje język rumuńskich poetów niemieckich? (Nawiasem mówiąc, ani jeden z czwórki, którąśmy drukowali – Hans Hensel, Werner Söllner, Richard Wagner, Ernest Wichner – od lat nie mieszka już w Rumunii.) Lub numer „szkocki", albo „irlandzki"? O naszych dwóch numerach „ukraińskich" nawet nie wspominam, bo rzecz jest pewnie nazbyt oczywista. Albo: czy urodzony w Polsce pisarz francuski George Perec znajdował się – przed naszą akcją na jego rzecz – czy nie znajdował na marginesie? W Polsce – to przy okazji – końcowe „c" jego nazwiska także mówiono by jak ce. A Majakowski, czy był w '96 roku w centrum? Gorki w '98? Katullus? Sekstus Propercjusz? Kanada anglojęzyczna? Finowie czy „w ogóle" Skandynawia? Siedmiogród, co zawsze jest trochę nie do pary, czy raczej zrobione po bożemu numery „węgierski" i „rumuński"? Albo czy Afryka frankojęzyczna (choć był w numerze również przekład z suahili) ze swej natury (toż pamiętamy jeszcze *lingua franca*!) lokuje się centralnie, czy może właśnie (kto by to dzisiaj wiedział, skąd się *lingua franca* wzięła) telepie się w ogonie naszych rozmyślań? Podobnie jak Derrida, ów międzynarodowy gwiazdor umysłowy, którego (nim jeszcze wylądował na polskiej ziemi) starały się zestrzelić nasze też przecież umysłowo krewkie media? Lub pogranicze gatunkowe – numer „dziecięcy" – to już nie będzie pogranicze kultur? A Dunaj jako kulturowy obszar styków? Przepraszam za tę pigułę relatywizacji.

Pytam (a pytać to podobno sprawiać zawód), wyliczam (a nie wychodzę poza ostatni okres pisma) – zapewne tylko po to, żeby przypomnieć, że podział na „centrum" i „peryferie" jest zawsze płynny, zmienny historycznie, a dzisiaj sprawia wrażenie – bardziej niż za niedawnego czasu – anachroniczne. Drohobycz, ulica krokodyli, pokątność, kresy świata – i nagle ta ponowiona idolatria Schulza w Nowym Jorku. Czemu się ponowiło? Bo Ukraińcy dali plamę. I dało plamę Yad Vashem, i nie wiadomo komu będzie ciężej ją wywabić. Nawet pytanie o ten podział jest w dużej mierze dziedzictwem minionej doby. Po części z tego względu, że – przy całej swej płynności – obie te kategorie, a jeszcze bardziej każdorazowa intencja podziału na „centrum" i „prowincję" są zawsze ideologicznie nabite i aktywne. To ja bym raczej dalej relatywizował te koncepty.

Tyle że biegunowość obu tych przestrzeni nie wyczerpuje arsenału naszych ideologicznych motywacji i odruchów. Niekiedy – i tylko do pewnego stopnia – instrumentalizacja czy też polityzacja odbywa się jak gdyby nieuchronnie, „poza intencją". Przynajmniej w takim sensie, w jakim wpisana jest w porządek biegunowy. Nie wiem na przykład, czy kulturowy popyt na ościenność (europejskowschodnią lub południowo-wschodnią), a zatem popyt na literatury do niedawna – wedle dawnego porządku „centrum" i „peryferii" – traktowane z przymrużeniem oka, serwitutowo, musi z natury rzeczy spolaryzowanej być wymierzony w języki, które dotychczas uważało się za „mocne". (Rewanż „pastuchów"?) A jeśli tak być musi, to czy nie jest paradoksem, że zapewne przyczynił się do tego również mit „Kresów" skonstruowany przez Miłosza, też przecież nie pozbawiony użytku ideologicznego; mit zbudowany przez pisarza, który nie występuje przeciwko Zachodowi – gdzieżby! – a tylko przeciw temu, co jego zdaniem (na przykład Beckett albo niejaki „Filip" Larkin) mieści się w głównym paśmie zachodniego nihilizmu.

Książek – ważnych książek – które by dziś zaspokajały to nowe, dość łapczywe (jak na zapaść „rynku książki"), zainteresowanie kulturową ościennością jest w Polsce ciągle mało, mimo że kilka mocnych środowisk stara się od pewnego czasu, żeby ich było więcej. A jeszcze mniej jest takich, które zostają w kanonie lektur języka polskiego. Ponieważ sam jestem panem nieźle pamiętającym nieodległe czasy, rad byłbym, gdyby mechanizm utylizacji politycznej i efekt kulturowego rykoszetu (poparcie kosztem trzepnięcia w co innego) nie doznał czegoś w rodzaju taktycznego przyspieszenia. A byłoby to – pod wezwaniem obrony przed tzw. amerykanizacją – uderzenie w angielszczyznę, a raczej w angielszczyzny. Bo ci, co chcą nas dzisiaj przed swoiście rozumianą amerykanizacją „bronić" (bronić zawsze można, pożywić trudniej), zazwyczaj ignorują fakt, że tych angielszczyzn jest bardzo wiele i, na użytek chwili, malują nie całkiem rzeczywisty obraz „stanu faktycznego".

Zaskakująco chyba zabrzmi informacja, którą znalazłem u Jerzego Jarniewicza w wydanym właśnie tomie jego szkiców *W brzuchu wieloryba* (Rebis, 2001), pierwszym – też warte nieprzeoczenia – po polsku napisanym tomie szkiców o dwudziestowiecznej poezji brytyjskiej i irlandzkiej. Otóż spośród poetów drugiej połowy stulecia, „po roku '89" ukazały się w Polsce zbiorki bodaj dwunastu poetów angielskich, irlandzkich, szkockich i walijskich (i to razem wziętych). „Bodaj", bo trochę nie wiadomo, jak te edycje traktować: niektóre są tak małe, iż trudno uznać, że nastąpiła książkowa prezentacja. Większość, z wyjątkiem książek Heaneya i Larkina (opublikowanych w „Znaku"), miała też minimalny nakład i, z braku „profesjonalnej" dystrybucji, była nieomal niedostępna. To jeden przykład, z języka, który jakoby nam zagraża, i – trochę pierwszy z brzegu.

Angielszczyzn jest bardzo wiele i niemała ich część – w Europie i poza nią – rozlega się na obszarach kulturowego pogranicza. Nie będę przypominał frazy „ścieżka przyspieszonego druku", bo ten i ów zapewne ją pamięta. Byłoby miło, gdyby koncept nie dostał nowego cielska i gdyby nie ożyła złota myśl, że literaturę po to się pisze, czyta i tłumaczy, żeby służyła dalszemu umacnianiu i zacieśnianiu. Bo ona może temu również służyć – znów – raczej tylko przy okazji.

Na koniec, bo to już koniec, muszę sprawić zawód w jeszcze jednym punkcie: nie będzie już nawiązań do Otwocka. Powiem natomiast, jaką to nową dwoistość perspektywy miałem na myśli, kiedy odżegnywałem się od sensów przypisywanych dawniej „peryferyjności" pozostającej w kłótni z „centrum" – w jakim kierunku, moim zdaniem, ciężar gatunkowy tamtego przeciwstawienia się przesunął. Otóż peryferyjne – w znaczeniu marginalne – jest dzisiaj dla nas, pisma zajmującego się literaturą obcą, tylko to, co nie przebija się do polszczyzny w sposób artystycznie wiarygodny. Bo ona jest dla nas centrum, głównym obiektem naszych wzdychań.

28 września 2001

Piotr Sommer

WOJCIECH KAWIŃSKI

Coraz krótsze zdania

Trzy wersy czarne (jeden biały),
piszesz je w pokoju od ciała zastałym;

nutą jest struna w gardle, treścią dotyk
palców, tworzywem papier w oparach duchoty;

nic się nie wydarzyło, choć wyrosło słowo
na gładkim śniegu, lecz z drugą połową

wersu nie chce się skojarzyć; powolnieje
ręka, pomysł to myśl w lesie, zieleń

surowa (dorzecze nie-dorzeczne), oknem
spływają resztki chmur, mur nadal wysoki

odgradza nas od siebie; kolumnada dźwięków
podchodzi (na rzut młotem), czas dwuręki

nie chce niczego oprócz zdziczenia i pełni;
w więzieniu wolności, w pianie brudnej wełny –

maj 2000

Mniejsze i większe podróże

dopisuję do Dortmundu
Dover Strzelce Opolskie
Lokeren Londyn i (bokiem
objechaną) Antwerpię;

przekreślam Tomsk
Drezno (niegdyś) Sarajewo
Międzygórze Mrągowo
i Wałki (prawie zamordowane);

przywracam Sanok Leszno
Lipsk odnowioną część Wilna

Kijów dom utracony (nad Wisłoką)
w którym przyszedłem na świat

z tym co mam (także w sobie) zostaję
między Bugiem Wisłą i Dunajem

sierpień 2000

* * *

Nie jestem wierny,
od chwili poczęcia;

i nie ja porzucam
przyzwyczajenia, kobiety,
miejsca, choroby, słone noce, poranki
zgęstniałe wilgocią i buntem…

To one mnie rzucają
na kolana, na płask, na dno
z zamurowanym odpływem. Tonę
w białej dolinie.

uspokojonego chaosu. Śpie-
wam sobie
ciało, oddech, ruch palców
i sen. Dla pamięci, prze-
wrotnie dziecięcej…

lipiec 2000

Ars poetica

brud tajemnica
dzień który płakał
londyńska ulica
w połowie lata

bułka i piwo
na stole leżą
złej jawy żywioł
pokrywa brzegi

planeta śmiechu
krwią się zalewa
wiek bez pośpiechu
idzie na sprzedaż

wers jako linia
stara i śmieszna
traci swój wymiar
wiązadło wiersza

jasność tajemna
nocy co nie śni
wełni się wełna
śnieżystej treści

za wcześnie aby
kończyć początek
tydzień jest bladym
strzępem miesiąca

chudy poeta
skąpi nam słów
one zaś w letarg
wpadają znów –

grudzień 1999

Awaria pamięci

Zastanów się, człowieku, pierwszy śnieg już leży
Jarosław Iwaszkiewicz

było
(i było)
a nas nie przybyło;

ziemskie przyjaźnie
w niebieskich przestworzach,
wiatr który zagarnia
morza i bez-morza;
plamy na słońcu poczerniałe,
miłość dusząca w nocy i nad ranem,
płot wysoki, pies mały,
ziele za domem, na wzgórzu;
twoją podróż na norweskie skały
w porze zewnętrznych zaburzeń;

to tkwiło
(z mroczną siłą)
i w nas się skończyło;

zanim skrzydła wieku
opadły na dno szkliste;
nim nowy się przekuł
w tchnienie nowych istnień;

deszcze pokryły trawę, glebę, beton
popękany jak kości, do murów podobny;
rośnie jawa stubarwna, jej piekło
wyrywa nam serca ciągle głodne
i wynaturzone; pleśnieją doktryny
sprzed półwiecza, nie daje
się głód; ktoś będzie nas winił,
komuś się przyzwoitość myli z obyczajem;

jak wieść niesie
(przez bladą zaśnieżoną jesień)
las będzie; nasze stopniałe ślady w tym lesie –

kwiecień 2000

Wojciech Kawiński

Tadeusz Kuduk: *Wielki X*, olej, płótno (102 x 85 cm), 1967

WACŁAW OSZAJCA SJ

Media katolickie a pogranicze kultur

Na pytanie, jakie znasz media katolickie, słuchacz radia, telewidz, czytelnik czasopism, odpowie: Radio Maryja, Radio Plus z jego diecezjalnymi rozgłośniami, Telewizja Niepokalanów, Telewizja Puls czy też Familijna, zaś z czasopism: „Niedziela", „Rycerz Niepokalanej", „Przewodnik Katolicki", „Gość Niedzielny", „Mały Gość Niedzielny", „Życie Duchowe", „Szum z Nieba", „Posłaniec Serca Jezusowego", „Powściągliwość i Praca", „Ruch", „Tygodnik Powszechny", „Msza Święta", „Znak", „Więź", „Przegląd Powszechny", „W drodze", „Wokół Współczesności-Przegląd Powszechny", ale też wymieni np. „Nasz Dziennik" lub inną gazetę związaną czy redagowaną przez środowiska prawicowe. Istnieją również czasopisma specjalistyczne takie jak „Współczesna Ambona", „Pastores", „Biblioteka Kaznodziejska", ale mające duży wpływ np. na kaznodziejstwo i katechezę, czego dla kultury nie sposób przecenić. Na nasz użytek należy również zauważyć pisma regionalne, np. „Posłaniec Warmiński", „Gwiazda Morza", czy pisma, tzw. gazetki parafialne, których ogólny nakład może spokojnie konkurować z laickimi gazetami wielkonakładowymi. Od paru lat pallotyni wydają miesięcznik „Miejsca Święte". Prawdą jest, że został pomyślany jako reklama biura pielgrzymkowego, prowadzonego przez to zgromadzenie zakonne, niemniej zamieszczane tam artykuły i zdjęcia doskonale służą przybliżaniu dziedzictwa kulturalnego innych cywilizacji polskiemu czytelnikowi.

Zanim przejdę do omawiania tematu, powinienem odnieść się do samego określenia – media katolickie. Co to znaczy, że jakaś gazeta czy stacja radiowa lub telewizyjna rości sobie prawo do określenia katolicka? Co by znaczyło, że jej program prezentuje oficjalne stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce? Sprawę tę rozstrzyga, co prawda nie wprost, ale przez analogię, Kodeks Prawa Kanonicznego w kanonach 803 i 19.[1] W świetle tych dwu kanonów jedynie redakcje programów katolickich Polskiego Radia i Telewizji Polskiej, serwis internetowy „Opoka" (www.opoka.org.pl) i materiały własne Katolickiej Agencji Informacyjnej oraz Radio Plus można określić jako katolickie, gdyż jedynie one powstały na mocy decyzji Konferencji Episkopatu. Wszystkie pozostałe media działają na podstawie decyzji biskupów diecezjalnych lub władz zakonnych, a więc nie mogą sobie rościć prawa do prezentowania opinii całego Kościoła w Polsce.

Na podstawie przywołanych kanonów nie można twierdzić, że jeśli w którejś stacji czy rozgłośni lub gazecie, pracuje, publikuje lub występuje

[1] KKK kan. 803: Szkołę wtedy uważa się za katolicką, gdy jest kierowana przez kompetentną władzę kościelną albo kościelną osobę prawną publiczną, albo za katolicką została uznana przez władzę kościelną dokumentem na piśmie.

Kan. 19: Jeśli w określonej sprawie brak wyraźnej ustawy, powszechnej lub partykularnej, albo prawa zwyczajowego, sprawa – z wyjątkiem karnej – winna być rozstrzygnięta z uwzględnieniem ustaw wydanych w podobnych sprawach, ogólnych zasad prawnych z zachowaniem słuszności kanonicznej, jurysprudencji, praktyki Kurii Rzymskiej oraz powszechnej i stałej opinii uczonych.

duchowny, jak np. w Telewizji Polsat czy TVN, już samo to sprawia, iż reprezentuje on Kościół. Nawet wtedy, gdy jest to biskup. Jak habit nie czyni jeszcze mnicha, tak sama przynależność do Kościoła lub sprawowana w nim funkcja czy posługa nie upoważnia automatycznie do bycia jego reprezentantem. To tyle gwoli uściślenia pojęć i rozjaśnienia częstych na tym tle nieporozumień.

Przejdźmy zatem do roli, specjalnej roli, jaką media katolickie mają do odegrania w dziedzinie kultury, którą pojmuję jako nieustanny dialog wartości. W dokumencie powołującym do istnienia Papieską Radę ds. Kultury Jan Paweł II mówi, *że synteza kultury i wiary jest wymaganiem nie tylko kultury lecz także i wiary... Wiara, która nie staje się kulturą, jest wiarą nie w całości przyjętą, nie w całości przemyślaną, nie przeżytą wiernie.*[2] Mocno powiedziane, jakby w nawiązaniu do słów Jakuba Apostoła: *Tak też i wiara, jeśli nie byłaby połączona z uczynkami, martwa jest sama w sobie* (Jk 2, 17). Czy, a jeśli, to do powstawania jakiej kultury przyczyniają się media katolickie w ścisłym i szerokim tego słowa znaczeniu, i to przy uwzględnieniu tego kąta patrzenia, jaki narzuca nam temat tego referatu? Na początku trzeba powiedzieć, że media katolickie, jak też chrześcijańskie (tu przywołam dla przykładu miesięcznik „Jednota", wydawany przez Kościół ewangelicko-reformowany lub „Przegląd Prawosławny"), jak również religijne w ogóle, z natury rzeczy zajmują się **pograniczem** właśnie kultur. I to pograniczem w najściślejszym znaczeniu. Przecież *Artysta nieustannie poszukuje ukrytego sensu rzeczy, z wielkim trudem stara się wyrazić rzeczywistość niewysłowioną.*[3] Zajmując się tym, co teologia chrześcijańskiego Wschodu nazywa **przebóstwieniem**, a co my na Zachodzie nazywamy sakralizacją profanum czy też przechodzeniem skończoności w nieskończoność lub też zbawieniem, pojmowanym jako wyzwolenie z niewoli zła i grzechu, przekraczamy przecież granice naszych czasoprzestrzennych ograniczeń. I nie chodzi tu zaraz o wiarę w osobowego Boga, wystarczy np. filozoficzna, kantowska wiara w Rozum. Przebóstwienie dla nas, chrześcijan, jest najdalszym pograniczem, horyzontem, który jednocześnie, przez kulturę, staje się dostępny, przekraczalny, staje się czymś nam najbliższym.

Zatem dla mediów katolickich celem jest troszczenie się o duchowość, o kulturę ducha. Tę troskę można wyrażać, z grubsza rzecz biorąc, w dwojaki sposób. Nienawidząc świata, a więc po heretycku, ulegając manicheizmowi, albo po katolicku; *Mimo ograniczeń mego wieku bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć. Dziękuję za to Bogu!*,[4] bowiem: *odkupiony jest człowiek, odkupione jest ciało ludzkie, odkupione jest całe stworzenie* (...) *także przez sztukę i w sztuce*[5] mówi Jan Paweł II. Mając więc na uwadze te dwa podejścia do rzeczywistości, można by media katolickie, a sądzę, że nie tylko np. „Nasz Dziennik" czy „Fronda", podzielić na dwie grupy. W tej pierwszej, stojącej pod znakiem manicheizmu, fundamentalizmu, tradycjonalizmu czy w większym lub mniejszym stopniu konserwatyzmu, umieściłbym niektóre artykuły publikowane w tygodniku „Niedziela", niektóre audycje Radia Maryja, nie tylko te o treściach społeczno-politycznych, ale religijne również. W tym nurcie mieści się również czasopismo „Rodzina Radia Maryja", wydawane przez to radio, a nawet niektóre audycje Radia Plus czy Telewizji Puls. Pomijam tutaj czasopisma i media elektroniczne diecezjalne, ale i tam zapewne dałoby się znaleźć podobne nastroje. Podejście tych mediów do kultury najlepiej zobrazować, ukazując ich podejście do Unii Europejskiej i naszego do niej przystąpienia. Podczas ostatniej pielgrzymki do Polski Jan Paweł, przemawiając w polskim parlamencie,

[2] List do Kardynała Sekretarza Stanu z dn. 20 maja 1982, *Powołanie do życia Papieskiej Rady ds. Kultury*, w: *Nauczanie papieskie*, V, 1, Pallottinum, Poznań 1993, s. 766.
[3] List Ojca Świętego do artystów, nr 13.
[4] List Ojca Świętego Jana Pawła II do osób w podeszłym wieku, nr 17.
[5] List do artystów, nr 14.

powiedział: *Przy okazji dzisiejszego spotkania pragnę jeszcze raz wyrazić moje uznanie dla podejmowanych konsekwentnie i solidarnie wysiłków, których celem, od chwili odzyskania suwerenności, jest poszukiwanie i utrwalanie należnego i bezpiecznego miejsca Polski w jednoczącej się Europie i świecie.*

Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską. (...) Ma to być bowiem wielka Europejska Wspólnota Ducha.[6] Dla papieża Europa to przede wszystkim sprawa ducha, a więc kultury. Nie znaczy to, że papież lekceważy sprawy ciała, a więc ekonomię i politykę. Polska powinna dążyć do zjednoczenia z Europą i tym samym przyczyniać się do jej rozwoju, do przeduchowienia, czyli ukulturalnienia jej struktur społecznych, gospodarczych i politycznych. Zjednoczenie jest szansą, owszem, nie pozbawioną napięć i zagrożeń, ale przede wszystkim szansą. Tymczasem przywołane powyżej media, te, które zaliczam do grupy fundamentalistycznej, w tej sprawie mają, mówiąc najdelikatniej, inne zdanie, a bywa że i całkiem przeciwne.

Choć trzeba też przyznać, że ostrość tego sprzeciwu wobec zjednoczenia w ostatnim czasie jakby trochę osłabła. Sądzę, że takim przełomowym momentem, od którego można by mówić o zmianie stanowiska w sprawie Unii, była wizyta przedstawicieli Episkopatu Polski w Brukseli i pokazanie w telewizji publicznej, w 2000 r., filmu Heleny Whitney pt. *Jan Paweł II Papież Millenium*. Okazało się wtedy, że spór o kulturę religijną, duchową, jest, czy też może być, sporem o kulturę w ogóle i odwrotnie, spór o kulturę, np. polityczną, może być sporem o model religijności i duchowości. Znowu więc przedzieramy się przez pogranicza kultur, które nie nakładają się na siebie, nie są tożsame, ale z tego nie wynika, iż nie mają sobie nic do zaofiarowania.

Media katolickie, jak sama nazwa wskazuje, są, winne być powszechne i uniwersalne, jak powszechne i uniwersalne jest chrześcijaństwo. Ostatnie ćwierćwiecze ubiegłego wieku i początek tego jest na to dobitnym dowodem. Najpierw, jeszcze za komunizmu, Rozgłośnia Polska Radia Watykańskiego, a potem, od wyboru kard. Karola Wojtyły na biskupa Rzymu, również media publiczne, a następnie po przełomie, we współpracy z obydwiema redakcjami programów katolickich, radiową i telewizyjną, te publiczne media stały się miejscem dialogu polskiej kultury i religijności z kulturami i światopoglądami innych narodów, również dalekich nam. Mam na myśli transmisje z pielgrzymek papieskich. To dzięki nim w naszych domach, jak nigdy dotąd tak często i tak długo, gościliśmy ludzi i ich kultury z całego świata.

Jak ważny jest ten dialog, niech zaświadczy pielgrzymka Jana Pawła II na Ukrainę. Po jej zakończeniu ktoś powiedział, że nikt więcej nie zrobił dla tego kraju od papieża. Rzeczywiście, trudno byłoby znaleźć kogoś drugiego, kto będąc cudzoziemcem, tak wysoko oceniłby historię narodu ukraińskiego, tak dobitnie potwierdził jego młodą, dziesięcioletnią państwowość, kto by tak mocno przypomniał zarówno Ukraińcom, jak i innym narodom, a nam w szczególności, wartość ukraińskiej kultury i duchowości. Szczególnie ważne było przemówienie w Kijowie. *Opowiada się bowiem* – mówił papież – *że* (Andrzej Apostoł) *oglądając progi Dniepru pobłogosławił ziemie Kijowa i powiedział: „na tych wzgórzach zajaśnieje chwała Boża". A więc przepowiedział nawrócenie na wiarę chrześcijańską wielkiego księcia kijowskiego i świętego chrzciciela Włodzimierza, dzięki któremu Dniepr stał się jakby „Jordanem Ukrainy", a stolica Kijów „nowym Jeruzalem", matką słowiańskiego chrześcijaństwa w Europie Wschodniej.*[7]

[6] Jan Paweł II: *Pielgrzymki do Ojczyzny. Przemówienia, homilie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1999, s. 199.

[7] Jan Paweł II: *Chrystus drogą, prawdą i życiem. Przemówienia Ojca Świętego na Ukrainie 23-27 czerwca 2001*, Wydawnictwo „M", Kraków 2001, s. 110.

Ważne przypomnienie. Jeśli prawdą jest, że nikt tak wiele nie zrobił dla Ukrainy i ukraińskiej kultury co Jan Paweł II, to prawdą jest również, że tenże sam, przez to, co powiedział o Ukrainie i jej kulturze, ogromnie dużo zrobił dla Polski i polskiej kultury. Przecież nikt przed nim nie powiedział nam tyle dobrego o Ukrainie, Ukraińcach i ukraińskiej kulturze.

To spotkanie dwu narodów, wielu narodów, ukraińskiego, polskiego, rosyjskiego, żydowskiego, ormiańskiego na nowo uprzytomniło nam, że istnieje jeszcze inne pogranicze. Pogranicze w duszach, w sumieniach. Pogranicze dobra i zła, a co za tym idzie, prawdy i fałszu, brzydoty i piękna. Życie na tym pograniczu i opisywanie tego pogranicza powinno być przez media katolickie odbierane jako szczególne zadanie, a nawet powołanie. Różnie z tym bywa. O zaniedbywaniu tego obowiązku wciąż przypomina Kościołom chrześcijańskim nie kto inny, jak Leszek Kołakowski. *Mamy prawo wierzyć, że zło i dobro są realnymi jakościami ludzkiego życia, ludzkich uczynków, pragnień i myśli, związków między ludźmi, ich wzajemnych skłóceń i przyjaźni, nie zaś swobodnymi projekcjami naszych upodobań, emocji czy postanowień.*[8]

W tym miejscu zmagania się dotychczasowej kultury-matki z jej córką, powstającą dzisiaj kulturą, a więc nowym etapem rozwoju tradycji, odsłania się przed nami nowe pogranicze. W naszej przytomności przecież staje się, rodzi jakaś nowa epoka kulturowa, na razie nazywana postmodernizmem. Media katolickie i do tej sprawy, podobnie jak do poprzednich, podchodzą na dwa sposoby. Dla jednych (Radio Maryja, lansowany przez nie „Nasz Dziennik", po części „Niedziela") już samo wyrażenie – postmodernizm – jest jeszcze jednym imieniem diabła, dla innych zaś wezwaniem do dialogu. To przecież w prasie wyznaniowej, kościelnej, można wyczytać następującą wypowiedź: *postmodernizm należy rozumieć także jako powstanie przeciw totalnemu roszczeniu rozumu. Postmodernizm chce przełamać rzeczywisty czy rzekomy monopol Logosu.*[9] Skoro tak, to katolikom również z postmodernistami może być po drodze. Na pewno katolikom związanym z takimi czasopismami jak np. „Tygodnik Powszechny", „Znak", „Więź", „Przegląd Powszechny", „W drodze", „Gość Niedzielny", „Życie Duchowe", jak też z programami i audycjami redakcji katolickich, i nie tylko, Polskiego Radia i Telewizji Polskiej.

Na koniec *pro domo sua*, czyli o „Akcencie". Ten nasz kwartalnik jest najlepszym przykładem dialogu kultury i chrześcijaństwa. Wiadomo, że „do tanga trzeba dwojga", tak i do kulturalnego i kulturowego dialogu trzeba, nie tyle dwu stron, co przyjaznego miejsca. „Akcent" od samego początku, wbrew wszelkim przeciwnościom, jest taką przestrzenią. Literatura, malarstwo, muzyka, dzieła oryginalne i ich omówienia, czymże jest to wszystko, jeśli nie poszukiwaniem *ukrytego sensu rzeczy*. Można więc spokojnie powiedzieć, że „Akcent" z *wielkim trudem stara się wyrazić rzeczywistość niewysłowioną.*[10] A więc wprowadza swoich czytelników w najdalsze, w najgłębsze pogranicza.

Wacław Oszajca

[8] Leszek Kołakowski: *O prawie naturalnym*, w: „Gazeta Wyborcza", sobota–niedziela, 8-9 września 2001 r., nr 210, 3814 WAW.

[9] Bp Walter Kasper: *Kościół wobec wyzwań postmodernizmu*, w: „Przegląd Powszechny" 1/929/1999, s. 48.

[10] List Ojca Świętego do artystów, nr 13.

GRZEGORZ MATWIES

Dobroczynność Chrobotka

Było październikowe, deszczowe popołudnie i Jan Chrobotek zastanawiał się właśnie, czy pójść do klubu jazzowego na koncert znanego amerykańskiego pianisty, czy na premierę nowego filmu, w którym jedną z drugoplanowych rólek grała bardzo dobra koleżanka Jana z czasów szkoły teatralnej.

Tak naprawdę nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie, ale jego narzeczona wyjechała trzy dni wcześniej do Francji, gdzie miała kręcić zdjęcia do nowej polskiej superprodukcji, potem zaś jeszcze odwiedzić swojego wujka w Calais, więc nie chciał tego niedzielnego wieczoru spędzać w samotności.

Kiedy ostatecznie postanowił pójść na koncert, usłyszał dzwonek do drzwi. W judaszu ujrzał dwie młode, ładne dziewczyny z identyfikatorami organizacji charytatywnej „Dom dla Każdego". „Chyba tego wieczoru nie będę sam" – pomyślał otwierając drzwi.

Zobaczywszy Jana obie stanęły jak wryte.

To... to... pan jest... Jan Chrobotek? – wyjąkała wyższa z nich, zgrabna, długowłosa brunetka o czarnych oczach, która od razu wpadła mu w oko.

Jan potwierdził i wyjaśnił, że nie wywiesił na drzwiach tabliczki ze swoim nazwiskiem, ponieważ bardzo sobie ceni prywatność, jednak dziewczyny zdawały się nie wierzyć w to, że rozmawiają ze słynnym aktorem – Janem Chrobotkiem.

– Jeżeli panie sobie życzą, mogę pokazać swój dowód osobisty... – zaproponował.

– Ależ nie... naprawdę... wierzymy panu – zapewniła go koleżanka brunetki, spuszczając wzrok z zakłopotaniem.

Było jasne, że przyszły po jakiś datek i że wiedząc kim jest, nie będą zadowolone z drobnej kwoty, ale też wiedział, że nie może sobie teraz pozwolić na żaden poważny wydatek, ponieważ niemal trzy czwarte zaliczki, jaką dostał za serial „Koledzy", wpłacił jako pierwszą ratę za nowe mieszkanie, a następne honorarium ma dostać dopiero po koniec następnego miesiąca. Poza tym musiał jak najszybciej spłacić swoje długi pokerowe, bo wierzyciele zaczęli już mu przysyłać potężnie zbudowanych egzekutorów w skórzanych kurtkach i spodniach od dresu, ale chcąc dłużej zatrzymać urocze kwestarki zaproponował im herbatę, na którą chętnie się zgodziły.

Rozmawiali o działalności fundacji „Dom dla Każdego" oraz o zawodzie aktora, przy okazji Jan dowiedział się, że koleżanka Mirelli – brunetki, która mu się bardzo podobała, też kiedyś chciała być aktorką, ale jej nie wyszło.

Fundacja „Dom dla Każdego" zbierała środki na budowę osiedla dla bezdomnych, których było w Szacownym Mieście tak wielu, że podczas mroźnych nocy podróżni często zmuszeni byli czekać na pociąg w pozycji stojącej lub siedząc na własnych bagażach, bo wszystkie ławki w hali dworcowej zajmowali kloszardzi.

Rozmowa toczyła się w miłej atmosferze do czasu, gdy wypili herbatę i Jan zaproponował paniom lampkę burgunda.

– Bardzo miło się z panem rozmawia, ale niestety mamy dziś jeszcze sporo pracy, więc musimy odmówić – oświadczyła uprzejmym lecz stanowczym tonem koleżanka zgrabnej brunetki.

Jan posmutniał, uświadomił sobie bowiem, że najprawdopodobniej nie uda mu się namówić żadnej z nich na wspólne spędzenie wieczoru, więc postanowił powiedzieć im prawdę.

– Przykro mi, ale obawiam się, że choć bardzo bym chciał, nie mogę paniom zaoferować zbyt wielkiej sumy, ponieważ właśnie kupiłem mieszkanie i muszę jeszcze spłacić ostatnią ratę za samochód, ale obiecuję, że jak tylko wezmę gażę za pierwszy odcinek serialu „Koledzy", natychmiast wpłacę na konto fundacji znacznie większą sumę.

– Ależ proszę się nie tłumaczyć, doskonale rozumiemy, że także sławni aktorzy mają czasem kłopoty finansowe, a poza tym liczy się nawet najmniejsza suma – zapewniła go z uprzejmym, leczy już nie tak ciepłym jak poprzednio, uśmiechem Mirella.

Chyba mu nie uwierzyły i dlatego na dowód swojej dobrej woli wypisał czek i jeszcze raz obiecał, że jak tylko trochę się wzbogaci, natychmiast wpłaci na konto fundacji znacznie większą sumę.

Wręczył im na koniec (na ich prośbę) swoje zdjęcia z dedykacjami i autografami, za co podziękowały uroczo się uśmiechając, po czym wyszły. Nawet nie próbował którejkolwiek z nich proponować wspólnego spędzenia wieczoru.

Kiedy został sam, siedząc w fotelu długo rozmyślał o tym, co się wydarzyło, aż w końcu nigdzie nie wyszedł i zasnął przed włączonym telewizorem.

W następnych dniach także często myślał o wizycie kwestarek i nagle uświadomił sobie, że bardzo chce jeszcze raz zobaczyć Mirellę. Próbował sobie wytłumaczyć, że przecież związek z inną kobietą byłby świństwem wobec narzeczonej, że nie powinien zaczynać czegoś, co potem może być bardzo trudne do skończenia, ale pomimo tych argumentów rozsądku niespokojne myśli nie chciały zniknąć i nie zniknęły, dopóki Jan nie zapukał do drzwi biura fundacji mając w kieszeni czek z wypisaną sumą w wysokości prawie połowy jego pierwszej gaży, co było dość pokaźną kwotą.

W biurze siedziała filigranowa panienka o ufnym, dobrotliwym spojrzeniu dużych, jasnoniebieskich oczu, która poprosiła Jana o autograf i dopiero otrzymawszy go na broszurze informacyjnej fundacji, powiedziała, gdzie urzęduje Mirella.

Urzędowała w pokoju 315 w dziale kwestury. Na widok Jana uśmiechnęła się uroczo.

– Dzień dobry. Zgodnie z obietnicą przynoszę czek z sumą trochę większą niż ofiarowałem za pierwszym razem – oznajmił Jan wyjmując czek i kładąc go na biurku Mirelli.

– Dziękuję w imieniu wszystkich bezdomnych Szacownego Miasta. Bardzo sobie cenię słownych ludzi o wielkim sercu – powiedziała.

– Cieszę się, że mogłem coś zrobić dla fundacji, ale przyszedłem tu nie tylko po to, żeby wręczyć pani ten czek...

Mirella spojrzała pytająco na Jana.

– Otóż istnieje możliwość o wiele większej pomocy bezdomnym. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z Henrykiem Dzierzbą – moim kolegą, reżyserem teatralnym. Jest on gotów zorganizować spektakl lub nawet parę spektakli, z których dochód przeznaczony będzie na cele fundacji. W związku z tym chcę zaprosić panią na jutrzejszy bankiet.

Mirella znów uśmiechnęła się uprzejmie, ale w uśmiechu tym nie było nawet cienia kokieterii.

Jan postanowił, że tak łatwo nie zrezygnuje.

– Szczerze mówiąc, zależy mi również na pani towarzystwie – powiedział patrząc jej w oczy.

– Proszę wybaczyć, ale od dwóch miesięcy jestem mężatką i nie chcę sobie popsuć stosunków z mężem już na samym początku – powiedziała Mirella, patrząc Janowi w oczy z tym samym co poprzednio ironiczno-pobłażliwym uśmiechem.

Jan zapewnił Mirellę, że zarówno ona sama jak i oboje z mężem będą mile widziani, wręczył jej wizytówkę Henryka Dzierzby i szybko się pożegnał.

„No cóż, nie zawsze wszystko wychodzi" – pomyślał zamykając za sobą drzwi, zaś na bankiet kolegi scenarzysty przyszedł z... Izą – swoją narzeczoną, która – jak powiedziała – tak się za nim stęskniła, że po skończeniu zdjęć pojechała do rodziny tylko na dwa dni i zaraz potem wróciła, żeby ucałować swojego kochanego misiaczka.

Pani Mirella jednak przyszła na bankiet i to razem z mężem – wiecznie zapracowanym biznesmenem i osiągnęła sukces: udało jej się namówić Henryka Dzierzbę do zorganizowania serii spektakli teatralnych, o których głośno było w środkach masowego przekazu.

Przygoda w delegacji

Firma, w której pracował Henryk, budowała przesyłową sieć wysokiego napięcia z elektrowni znajdującej w się w południowo-wschodniej części Polski na Słowację. Robocza brygada Henryka kwaterowała w zajeździe odległym o jakieś dwadzieścia kilometrów od przełęczy dukielskiej.

Z powodu górzystego terenu warunki pracy były trudne, toteż pod koniec dnia rzadko który z kolegów Henryka miał ochotę na rozrywki inne niż oglądanie telewizji, więc życie upływało im dość jednostajnie. W sumie Henrykowi to odpowiadało, chociaż po tygodniu zaczął się zastanawiać, czy nie zaproponować zorganizowania jakiejś imprezy.

Ubiegł go inżynier Szufla, który przyjechał do ich zajazdu w połowie drugiego tygodnia. Inżynier był w firmie Henryka inspektorem, ale mimo pełnionej funkcji cieszył się powszechną sympatią, gdyż miał zdumiewający dar wytwarzania wokół siebie radosnej, skłaniającej do hucznych biesiad atmosfery.

Podobnie było i tym razem: już pierwszego dnia po przyjeździe, niemal natychmiast po powrocie z terenu zaproponował Henrykowi i dwóm jego kolegom sobotni wyjazd do R. „na panienki".

Pomysł spodobał się i w sobotnie popołudnie wyruszyli do miasta, o którym inżynier mówił, że „ściągają do niego najładniejsze dziewczyny Małopolski".

Lokal, do którego zaprowadził ich inżynier, wyglądał ciałkiem przyzwoicie; składał się z dwóch sal: mniejszej – barowej i większej, przeznaczonej do tańca. Kiedy tam weszli, było dopiero kilka minut po ósmej. W sali tanecznej nie było jeszcze wielu gości, ale za to sala barowa miała duże powodzenie.

– Coś nie za ciekawie to wygląda – stwierdził elektromonter Ziutek,

wskazując ruchem głowy sąsiednią salę, kiedy stali przy ladzie czekając, aż inżynier Szufla zamówi piwo.

– Nic się nie martw, Ziutek. Znam dobrze ten lokal i wiem, że najładniejsze panienki przychodzą tu dopiero po dziesiątej – odparł z przekonaniem inżynier.

Za chwilę siedzieli już przy stoliku popijając piwo i obserwując otoczenie.

Bardzo szybko Henryk zwrócił uwagę na siedzącą o dwa stoliki od nich wysoką, długowłosą blondynkę. Dziewczyna, spostrzegłszy jego zainteresowanie, również zaczęła mu rzucać ukradkowe, zalotne spojrzenia.

– Niezła, co? – zapytał Henryka z uśmiechem inżynier Szufla, wskazując ją dyskretnym ruchem głowy.

– Niezła – przyznał Henryk, zaczynając się zastanawiać, czy to wszystko ma sens i nie posuwa się za daleko.

– Człowieku, to najładniejsza szprycha w tym lokalu, bierz się za nią – entuzjastycznie zachęcał elektromonter Ziutek.

– Jakoś nie mam nastroju... – powiedział Henryk, myśląc jednocześnie o tym, czy jego mieszkająca w Izabelinie żona odebrała już od blacharza samochód po tym, jak hamując na światłach zapomniała, że tuż za nią jedzie furgonetka.

– Heniek, coś taki markotny? – spytał kierowca ekipy, Zbigniew Ruszt.

– Nie wiem, czy przyjazd tutaj był dobrym pomysłem... Psuję wam tylko zabawę – stwierdził Henryk.

– Heniek, nie mów głupstw. Czasem trzeba trochę zaszaleć. Patrzcie, młody chłop, jeszcze nie ma czterdziestki, a już by chciał spocząć na laurach. Trzeba się bawić, dopóki na to czas – przekonywał inżynier.

Henryk uznał, że jest już za późno, aby się wycofać, więc postanowił wykorzystać czas jak najlepiej.

Po wypiciu piwa i kilku kieliszków wódki stał się znacznie śmielszy. Kiedy usłyszał wolniejszy utwór, podszedł do stolika, przy którym siedziała upatrzona przez niego dziewczyna i poprosił ją do tańca. Zgodziła się.

I pewnie wszystko byłoby w porządku, gdyby nagle do baru nie wpadło pięciu osobników z kijami bejsbolowymi i w kominiarkach. Henryk zdążył tylko zauważyć, jak przewracają stoliki, po czym podbiegł do niego jakiś zbir i uderzył kijem w głowę.

Kiedy się ocknął, ujrzał mgliste zarysy dwóch białych postaci. Postacie stopniowo nabierały realnych kształtów, aż w końcu Henryk rozpoznał w nich kobietę i mężczyznę ubranych w białe fartuchy.

– Gdzie ja jestem? – zapytał ledwo słyszalnym przez siebie głosem.

– W Rzeszowie, w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii – odparł mężczyzna. – Jestem chirurgiem, który pana operował.

Kobieta stojąca obok doktora była siostrą oddziałową. Opiekowała się Henrykiem przez trzy dni i noce, kiedy leżał nieprzytomny po operacji.

Od doktora Henryk dowiedział się, że Zbigniew Ruszt ma złamany obojczyk, elektromonter Ziutek złamaną szczękę, natomiast inżynier Szufla wyszedł z całej awantury bez żadnych obrażeń.

Inżynier był też pierwszym gościem Henryka następnego ranka.

– Cześć, jak się czujesz? – zapytał stając w uchylonych drzwiach sali pooperacyjnej.

– Tak, jakby mi ktoś grzebał w głowie... – odparł wciąż jeszcze słabym głosem, uśmiechając się z wysiłkiem Henryk.

– Przesłuchiwała mnie policja, ale niewiele im powiedziałem, bo widziałem to, co wszyscy; jakichś gości w kominiarkach i z kijami bejsbolowymi, którzy jak się później okazało, zdemolowali doszczętnie cały lokal. Policjant prowa-

dzący całą sprawę powiedział jeszcze, że jak tylko odzyskasz przytomność, muszę go o tym zawiadomić, bo chce cię jak najszybciej przesłuchać.

– No dobrze, zawiadom ich, ale powiedz, czy ktoś zawiadomił o wszystkim moją żonę? – zapytał Henryk.

– Tak, oczywiście. Zrobiła to policja, jak tylko skończyli mnie przesłuchiwać. Dali jej mój numer telefonu. Wczoraj dzwoniła do mnie z pytaniem, jak się czujesz. Powiedziałem jej, że już odzyskałeś przytomność, ale jeszcze jesteś zbyt słaby, żeby można cię było odwiedzać, że przynajmniej tak mówili lekarze... Wtedy powiedziała, że jeszcze dzisiaj odbiera samochód od blacharza i jutro rano będzie u ciebie – wyjaśnił inżynier. – Naprawdę, przykro mi, że tak się stało, gdybym wiedział...

– Daj spokój – przerwał mu Henryk, który poczuł się trochę lepiej. – Nikt z nas nie mógł tego przewidzieć, bo wszystkiego przewidzieć się nie da.

Za chwilę weszła pielęgniarka i poprosiła inżyniera o zakończenie wizyty.

Kiedy Henryk został sam, zaczął się zastanawiać, co ma powiedzieć żonie, kiedy przyjdzie go odwiedzić.

W jego małżeństwie ostatnio nie działo się najlepiej: od dłuższego czasu podejrzewał żonę o romans z szefem kancelarii adwokackiej, w której pracowała, ale nie mógł bliżej zająć się tą sprawą, gdyż musiał wyjechać w delegację, dodatkowo jeszcze ta stłuczka i wymiana niemal całej tylnej „blacharki", no a potem kłótnia, w czasie której powiedział o kilka słów za dużo, teraz z kolei awantura w lokalu rozrywkowym – wszystko to razem sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy to nie jest koniec związku.

Żona przyszła pół godziny po wyjściu inżyniera Szufli. Powiedziała, że naprawa samochodu nie była tak kosztowna, jak przypuszczał. Przyniosła mu pomarańcze, za które podziękował, gdyż nie mógł jeszcze przyjmować pokarmów inaczej niż w formie kroplówki.

– Co ty tam narozrabiałeś? – spytała usiłując przybrać żartobliwy ton.

– Wiesz, jak to jest, wypadki chodzą po ludziach – odparł uśmiechając się.

– Rozmawiałam z doktorem. Powiedział, że jeszcze tydzień, półtora i będziesz mógł wstawać z łóżka – oznajmiła poważniejąc.

– Tak, wiem. Cieszę się, że przyjechałaś...

– Jak mogłabym nie przyjechać, przecież jestem twoją żoną – powiedziała, kładąc swoją rękę na jego dłoni.

– Chcę cię przeprosić za tę ostatnią kłótnię...

– Daj spokój, już o niej zapomniałam. Każdy może się czasem zdenerwować. Wiem, że między nami ostatnio trochę się popsuło i wiem, że była w tym także i moja wina. Po prostu nie chciałam, żebyś wyjeżdżał znowu z delegację, bo wtedy smutno mi bez ciebie...

– Tak, wiem. Może powinniśmy byli wcześniej postarać się o dzieci.

– To przecież jeszcze nic straconego. Jeszcze będziemy mieli dzieci.

– Jak to, to nie chcesz ode mnie odejść?!

– Skąd ci to przyszło do głowy?! Ach tak, podejrzewałeś, że mam romans z mecenasem. Możesz być pewien, że między nami nic nie było.

Zapewnienie żony podziałało na Henryka jak balsam. Pomyślał, że może rzeczywiście nie wszystko jest stracone, może wszystko się jeszcze ułoży.

Rozmowę z żoną przerwał Henrykowi policjant, który prowadził sprawę napadu na klub. Henryk opowiedział, co widział i wiedział, czyli właściwie tyle samo, co inżynier Szufla. Na pytanie Henryka o motyw napadu policjant wyjaśnił, że dokonała go najprawdopodobniej jakaś grupa przestępcza zajmująca się wymuszaniem haraczy, żeby ukarać niepokornego właściciela, przynajmniej tak w tej chwili przypuszczają.

Po miesiącu pobytu w szpitalu Henryk został wypisany ze zwolnieniem lekarskim na następny miesiąc. Kiedy wrócił do pracy, elektromonter Ziutek pracował już od tygodnia, a Zbigniew Ruszt od dwóch, natomiast inżynier Szufla zwolnił się z pracy i założył sklep z artykułami audio-video.

Po trzech miesiącach Henryk zadzwonił do komendy policji z pytaniem o postępy w śledztwie i dowiedział się, że sprawę umorzono z powodu niewykrycia sprawców. Jak się również okazało, Henryk był najbardziej poszkodowanym z gości, którzy tamtej nocy bawili się w klubie.

W małżeństwie zaczęło mu się nieźle układać, ale jeszcze przez ponad rok musiał przyjmować leki zapobiegające drżeniu rąk i zawrotom głowy, więc zaczął się zastanawiać, czy żona wciąż jest z nim dlatego, że go kocha, czy dlatego, że się nad nim lituje. W końcu uznał, że nie ma to wielkiego znaczenia; byli razem, żona nie narzekała i to było dla niego najważniejsze.

25 października 2001 r.

Grzegorz Matwies

Tadeusz Kuduk: *Buty*, assemblage (100 x 89 cm), 1974
(w 1984 r. autor dokomponował do obrazu buciki niemowlęce)

TADEUSZ DOROSZUK

Telewizja Lublin – świadomość pogranicza
(głos w dyskusji)

Lublin jest i był miastem pogranicza ze względu na swe geograficzne położenie, ale nie tylko. Zwłaszcza w przeszłości pogranicze oznaczało nie tyle polityczno-geograficzną rubież, ile miejsce przenikania się różnych narodowości, religii i kultur. Lublin chce być miastem pogranicza, upatrując w tym swą szansę jako ośrodka wymiany gospodarczej Polski, a niebawem Unii Europejskiej z sąsiadami ze wschodu, a także miejsca kontaktów kulturalnych, spotkań ludzi i idei. Tu od kilkunastu lat mieści się Instytut Europy Środkowowschodniej, w którym pracują naukowcy z Polski i zagranicy. Tu wreszcie powstało Kolegium Polsko-Ukraińskie – przyszły Uniwersytet Wschodni.

Kamery Lubelskiego Oddziału Telewizji Polskiej zwrócone są zarówno na przeszłość, teraźniejszość jak i przyszłość lubelskiej „pograniczności". W naszych filmach dokumentalnych i reportażach przypominamy o wielokulturowym dziedzictwie miasta i regionu. Telewizja Lublin przedstawiała dzieje Żydów i Tatarów, prawosławnych, grekokatolików i ewangelików. Przedstawialiśmy zarówno dzieje mniejszości narodowych i religijnych na ziemiach polskich, jak i dzieje Polaków na Wschodzie. Nasi widzowie poznawali zabytki przeszłości i indywidualne losy ludzi pogranicza. Nie ograniczaliśmy się do Lublina i Lubelszczyzny. Nasi dokumentaliści i reporterzy obecni byli na Podlasiu i w Przemyskiem.

Artystyczno-dokumentalną syntezą wielokulturowych dziejów Lublina był film *Magiczne miasto* Nataszy Ziółkowskiej z roku ubiegłego. W licznych audycjach naszej stacji widzowie odkrywać mogli wielobarwną przeszłość ziemi zamojskiej i Roztocza, odwiedzając miasteczka, w których przez stulecia sąsiadowały ze sobą cerkwie, synagogi i kościoły. Przykładem są filmy i reportaże Adama Kulika: *Unickie cerkwie pogranicza*, 1993 (grekokatolickie cerkwie Roztocza Południowego: Posada Rybotycka, Kodeń, Radruż, Chotyniec, Hrebenne, Młyny i in.); *Miasta kresowe*, 1995 (dzieje Szczebrzeszyna i Wojsławic); *Pogranicze – Łaszczów, Posadów, Dyniska*, 2000 (podróż po wschodnich rejonach ziemi zamojskiej).

Interesowały nas nie tylko dzieje mniejszości narodowych i religijnych, ale i dramatyczne losy Polaków na Kresach. W reportażu *Kresowa rodzina Różańskich* (2000 r.) Adam Kulik przedstawił obraz codziennego życia i poniewierki mieszkających na Kresach Polaków w czasach od rewolucji październikowej po II wojnę światową. Powikłane współżycie Polaków i Ukraińców na wschodzie Polski w okresie międzywojennym było tematem reportażu *Cisza... jakby świat minął* Nataszy Ziółkowskiej (1995). Odwiedzaliśmy Polskie cmentarze na Wołyniu (1995) i Polaków we Lwowie (1999).

Wielokrotnie prezentowano na naszej antenie dzieje lubelskich Żydów i polsko-żydowskich stosunków. W 1994 r. Janusz Wrona przygotował specjalne wydanie magazynu historycznego „Lamus": *Żydzi – Polacy 1939-1945*. W filmie dokumentalno-edukacyjnym *Żydowskie Miasto w Lublinie* (2000) Adam Kulik przedstawił historię lubelskich Żydów, a *Kurier z umarłego świata* (1999) Leszka Wiśniewskiego poświęcony został ostatniej wizycie Jana Karskiego w Polsce.

Umarła dzielnica, Ulica Lubartowska, Ulica Sienna, Na Wieniawie – to felietony Leszka Wiśniewskiego z cyklu „Lubelskie przedmieścia" emitowane w latach 1992-1995. Natomiast Marek Wyszkowski w programie „Album lubelski" zaprezentował w r. 1994 felieton *Miasto żydowskie – zabytki, których już nie ma*. Reportaż Leszka Wiśniewskiego *Strażnik umarłych kamieni* (1993) był portretem Józefa Honiga, jednego z ostatnich lubelskich Żydów, który od 45 lat opiekuje się XVI-wiecznym żydowskim cmentarzem – kirkutem.

Kilkakrotnie produkowano w naszym ośrodku materiały poświęcone polskim Tatarom. W 1994 r. powstał felieton Jarosława Nikitiuka *Pozostały tylko mizary* poświęcony historii osadnictwa tatarskiego w Polsce, którego jednym ze świadectw są mizary – cmentarze muzułmańskie w Lebiedziewie i Studziance. Dzieje Tatarów na Podlasiu omówiono w felietonie *Tatarskim śladem* w magazynie historycznym „Lamus" (1998). Film dokumentalny Adama Kulika *Dzicy wojownicy stepu* (2000) śledził dzieje polskich Tatarów na ziemi białostockiej.

To tylko wybrane przykłady filmów dokumentalnych i reportaży prezentujących wielokulturową przeszłość naszego miasta i regionu. Sądzę, że to dorobek znaczący, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę coraz bardziej ograniczone środki, jakimi dysponują regionalne stacje telewizyjne oraz to, że ich pierwszoplanową powinnością jest informowanie o wydarzeniach i problemach dnia dzisiejszego...

Towarzyszymy zatem wydarzeniom kulturalnym, religijnym, gospodarczym i politycznym. Wiele z nich ma związek z pogranicznym charakterem Lublina i Lubelszczyzny. Niektóre z nich stają się tematem odrębnych reportaży. W ubiegłym roku relacjonowaliśmy m.in. akcję *Jedna ziemia – dwie świątynie* oraz spotkanie z żydowskimi intelektualistami z całego świata przygotowane przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Towarzyszymy Nadbużańskim Spotkaniom Artystycznym w Hrubieszowie oraz Międzynarodowemu Poleskiemu Latu z Folklorem we Włodawie, z udziałem m.in. zespołów z Ukrainy i Białorusi. Przygotowaliśmy dla programu satelitarnego TV Polonia reportaż *Zbliżenia* (A. Kulik, 2001) poświęcony działaniom na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego na Lubelszczyźnie.

Nasi reporterzy uczestniczą w prawosławnych świętach w Lublinie, Chełmie czy Jabłecznej. Śledzimy narodziny Kolegium Polsko-Ukraińskiego, którego powstanie w nowy, zdecydowanie współczesny sposób określi sens lubelskiej „pograniczności". Towarzyszymy lubelskim „Konfrontacjom Teatralnym", które zdają się zyskiwać charakter artystycznych spotkań Zachodu ze Wschodem. Na naszej antenie ukazuje się cykliczny program w języku ukraińskim „Telenowyny".

Oczywiście, zajmujemy się nie tylko tematyką kulturalną. Informujemy o wydarzeniach i komentujemy problemy związane zarówno z rozwojem współpracy gospodarczej, jak i ze wzmożonym ruchem turystycznym na naszej wschodniej granicy.

Czy można więcej i lepiej? Czy Telewizja Lublin w pełni wywiązuje się ze swych obowiązków informowania, komentowania oraz wyjaśniania wydarzeń i problemów związanych z minioną i przede wszystkim aktualną „pogranicznością" Lublina i Lubelszczyzny? Zdajemy sobie sprawę z własnych niedostatków. Chcemy częściej bywać z naszymi kamerami za wschodnią granicą, odwiedzać tamtejszą Polonię, ale też ukazywać naszym widzom życie bliskich sąsiadów. Bliskość geograficzna nie przekłada się automatycznie na medialną obecność. Niewykorzystane pozostają ciągle możliwości współ-

pracy i wymiany ze stacjami telewizyjnymi z Ukrainy i Białorusi. Media z obu stron mogą zrobić znacznie więcej dla wzajemnego poznawania się oraz współpracy kulturalnej i gospodarczej.

Granice NATO i Unii Europejskiej powinny łączyć. Lubelską „racją stanu" jest, aby Kijów i Mińsk, Lwów i Brześć nie były od nas bardziej odległe niż Berlin, Bruksela czy Sztokholm, aby budować pozycję Lubelszczyzny jako mostu łączącego Zachód ze Wschodem. Media – także regionalne – mają w tej dziedzinie wiele do zrobienia.

Tadeusz Doroszuk

Tadeusz Kuduk: *Trzy siostry*, olej, tempera (50,5 x 35 cm), 1999/2001

JANUSZ WINIARSKI

Pogranicze kultur w Radiu Lublin
(głos w dyskusji)

1. Geograficzne, techniczne i ustawowe uwarunkowania problematyki pogranicza kultur w programie Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie

Programu Radia Lublin można słuchać nie tylko na Lubelszczyźnie i Podlasiu, ale także w zachodniej Ukrainie i Białorusi. Liczne mniejszości ukraińskie, białoruskie z jednej strony granicy, a polskie z drugiej sprawiają, że Radio Lublin w większym zakresie niż stacje publiczne w innych regionach Polski ukazuje problematykę związaną z pograniczem kultur. Lokalność stacji pozwala na umieszczenie na stałe w programie radiowym audycji poświęconych tej tematyce, a także podawanie bieżących informacji dotyczących życia społecznego, kulturalnego, naukowego szeroko pojętych „kresów".

Zadania i powinności publicznej radiofonii w analizowanej w trakcie tej dyskusji kwestii wyznacza Ustawa o Radiofonii i Telewizji z dn. 29 grudnia 1992 roku z późniejszymi zmianami. Artykuł 21 ust. 1 pkt 7 stanowi: *Do zadań publicznej Radiofonii i Telewizji należy w szczególności (...) tworzenie i udostępnianie programów edukacyjnych na użytek środowisk polonijnych oraz Polaków zamieszkałych za granicą*, zaś ust. 2 pkt 9 wzniankowanego wyżej artykułu mówi: *Programy publicznej radiofonii i telewizji powinny (...) uwzględniać potrzeby mniejszości narodowych i grup etnicznych*. W świetle tych zapisów ustawy publiczna radiofonia i telewizja jawi się jako oczywiste miejsce podtrzymywania więzi z ojczyzną Polonii oraz Polaków zamieszkałych w pobliżu granic Rzeczypospolitej. Rozgraniczenie to (Polonia i Polacy) jest bardzo istotne, gdyż z programem radiowym chcemy docierać zarówno do organizacji polonijnych, skupiających osoby szczycące się obywatelstwem polskim czy tych, którzy posiadają jedynie świadomość, iż ich przodkowie wywodzą się z Polski, jak też do Polaków pozostających poza polonijnymi skupiskami.

Nie sposób sprostać wszystkim oczekiwaniom i potrzebom mniejszości narodowych czy grup etnicznych istniejących na terenie nadawania Radia Lublin. Konstruując program staramy się jednak poruszać wszystkie te zagadnienia, które są istotne zarówno dla Polaków, jak i np. Ukraińców czy Białorusinów.

2. Audycja „Kresy"

Przykładem realizacji zapisów Ustawy o Radiofonii i Telewizji może być istniejąca od 1994 roku na antenie Radia Lublin audycja „Kresy" autorstwa redaktora Jarosława Zonia. Jest to program poświęcony życiu i odrębności kulturowej mniejszości narodowych w Polsce oraz Polaków mieszkających poza granicami (głównie na Ukrainie, Białorusi i Litwie). Dzięki tej audycji słuchacze Radia Lublin uczestniczyli w najważniejszych uroczystościach i spotkaniach kulturalnych organizowanych przez mniejszości narodowe czy religijne. Wymienić można, na przykład – Festiwal Kultury Ukraińskiej czy

Białoruskiej. W audycji nierzadko pojawiały się kwestie związane z mniejszościami: żydowską czy romską. Osobnym cyklem były tematy dotyczące organizowanych co roku przez Teatr NN „Spotkań kultury". W ramach tego cyklu na antenie Radia Lublin mówiliśmy o Tatarach krymskich, poetach i malarzach lwowskich, literaturze czeskiej, rosyjskiej, białoruskiej oraz działających w tych krajach teatrach alternatywnych.

Radio Lublin nie zapomina o naszych rodakach żyjących w innych państwach. Wiele miejsca na antenie poświęciliśmy na przykład wyborom samorządowym na Litwie, sytuacji Związku Polaków na Białorusi, Kongresowi Polonii Ameryki Łacińskiej, Kongresowi Polonii Świata.

Przykłady można mnożyć.

3. Ścisła współpraca informacyjna na przykładzie działalności zamojskiego oddziału Radia Lublin

Codzienny trud lokalnej misji pogranicza kultur widać wyraźnie na przykładzie działalności red. Mariana Zacharczuka, kierownika zamojskiego oddziału Radia Lublin. Ten oddział ściśle współpracuje z rozgłośnią radiową w Sokalu, urzędami miejskimi w Sokalu i Włodzimierzu Wołyńskim. Listy, telefony potwierdzają znaczną liczbę słuchaczy Radia Lublin na tamtych terenach. Antenowymi rezultatami tej współpracy są liczne informacje w codziennym programie Radia Lublin poświęcone kulturze, gospodarce i sprawom społecznym wschodniej Polski i zachodniej Ukrainy.

4. Projekt „Ukraina–Polska–Europa"

W 2000 r. odbyła się pierwsza edycja projektu „Ukraina–Polska–Europa". Radio Lublin, wraz z organizatorem – Ośrodkiem Praktyk Teatralnych „Gardzienice", podjęło trud dokumentacji całego przedsięwzięcia.

W ramach projektu „Ukraina–Polska–Europa" odbyły się m.in.: wystawy ikon Jerzego Nowosielskiego i twórców ludowych, sesje naukowe, spektakle „Kołodec" i „Ukrainski Pisenni Starożytnosti", koncert zespołu Halickie Zabawy i wiele innych.

W programie Radia Lublin znalazły się dźwiękowe relacje z tych wydarzeń, rozmowy z artystami, relacje z sesji naukowych. Materiały z projektu „Ukraina–Polska–Europa" opracowane przez dziennikarzy Radia Lublin znalazły się także na antenie II Programu Polskiego Radia.

5. Przyszłość radia „pogranicza kultur"

Najbliższe lata to okres, w którym Radio Lublin coraz więcej miejsca poświęcać będzie sprawom lokalnym. Umiejscowienie stacji determinuje ścisły związek z mniejszościami narodowymi Lubelszczyzny i Podlasia, a także pełnienie misji wobec Polaków z zachodniej Ukrainy i Białorusi. Wzorem oddziału zamojskiego Radia Lublin także redakcje w Chełmie i Białej Podlaskiej nawiązywać będą coraz więcej kontaktów z lokalnymi społecznościami polskimi za Bugiem, a także przekazywać informacje dotyczące mniejszości etnicznych i narodowych zamieszkałych na terenie, na którym nadaje nasza stacja.

Janusz Winiarski

LEON DYCZEWSKI

Media czynnikiem spajającym heterogenną społeczność pogranicza

(przyczynek do dyskusji)

Wśród oko.ło 345 milionów osób tworzących Wspólnotę Europejską mniej więcej 50 milionów mówi językiem mniejszościowym, czyli niepaństwowym. Najczęściej występują one w regionach przygranicznych. Tu więc mamy do czynienia ze stykiem kultur sąsiadujących z sobą narodów i państw i z większą bądź mniejszą różnorodnością kulturową. Choć wydaje mi się, że podkreślanie tych różnic obecnie jest zbyt wielką przesadą, przynajmniej w przypadku polskich pograniczy kulturowych, szczególnie tych wschodnich. Na ogół bowiem kultury sąsiadujące ze sobą są bardziej do siebie podobne niż różniące się od siebie. To zwykła konsekwencja wzajemnej dyfuzji kulturowej, która jest w tym przypadku ułatwiona z powodu bliskości przestrzennej i częstych kontaktów bezpośrednich.

Istotnym problemem dla mediów jest to, co powinno dominować w przekazach: podkreślanie odmienności kulturowych występujących na pograniczu kulturowym i łączenie tych odmienności z odpowiednimi grupami etnicznymi (co obecnie stało się wprost modne) czy ukazywanie kultury lokalnej w zróżnicowaniu, ale traktowanym jako wspólne bogactwo i jako własny lokalny czynnik rozwoju kultury. Zdecydowanie opowiadałbym się za tym drugim podejściem.

Zatem zadaniem mediów na terenie pogranicza kulturowego powinno być moim zdaniem:

- ukazywanie różnorodności kulturowej jako wspólnego bogactwa, a nie tylko jako własności poszczególnych grup etniczno-kulturowych;
- spajanie heterogennej społeczności pogranicza poprzez ukazywanie wspólnego uczestnictwa w kulturze lokalnej (obojętnie z inspiracji jakiej grupy poszczególne jej elementy są tworzone i prezentowane), ukazywanie spotkań i wspólnych działań, przede wszystkim działań i ich efektów.

Leon Dyczewski

JAROSŁAW JAKUBOWSKI

W obronie motorów

Przez okno nasłuchuję nadjeżdżających motorów.
Ich ryk budzi do działania psy i część tutejszej
Populacji. Zapala się 997, ale oni są już daleko
Na swych japońskich smokach.

Mało jest u nas ulic, więc wkrótce mają
Nawinięty na koła cały asfalt –
Naiwni jak tygrysy na osiedlu, przyspieszają
Jakby chcieli zagłuszyć rdzewiejące sfery.

Kiedyś zginą, to pewne. Rozpędzą się i rąbną,
Huknie, a potem znowu będzie cicho.
Mówią na nich „dawcy organów", a ja mówię
Wara od dawców lęku.

czerwiec 2000

Bezruch (V) albo Parada Mistrzów

Geniusz przejawia się w odcinkach, choć nad wszystkim
Góruje Demis Roussos, demiurg wytapiający
Metaliczne pieśni. Czujemy się bezpieczni,
Doskonale ukryci i przygotowani.

Ale ewentualności tylko przebłyskują, zaraz
wsiąkają i robi się zlewnia, zwałka, nic.
Nasze mistrzostwo nieprzyzwoicie, wprost nie-
proporcjonalnie i zupełnie nie na miejscu.

Nasze mistrzostwo tylko pozornie polega na siedzeniu,
Patrzeniu i innych pierdołach. Nasze mistrzostwo
To jest kwiat, który w sobie podlewamy
(Cóż z tego, że najczęściej pomyjami).

1.06.2000

Przesilenia

W rządzie przesilenie, koalicja na krawędzi –
Ukryty, zza liści leszczyny, siatki maskującej
Podglądam nieletnie. Ciekawe, że nigdy nie chodzą
W pojedynkę, jakby w grupie ukryte, choć tak hałaśliwe.

Marian Krzaklewski o północy wciąż na pełnych obrotach –
U mnie decydująca bitwa z muchami wysyłanymi
Na zwiady z pobliskiego śmietnika. Ale jestem bez szans:
Zapasy wroga są niewyczerpane.

Ogólne pocenie się. Czekanie na rozstrzygnięcia,
Rekonstrukcje, cokolwiek. Szmer pokątnych zakładów,
Mdlejące ręce, płonące okna.
I tak już zawsze, do końca.

maj 2000

Kobiecość

Pod tą warstwą plastiku, lakierowanej skóry
Musi być ciało z mikroklimatem meszku, tajemnych
Znamion. Ciało stałe
Zameldowanie.

I dusza jak Pan Bóg przykazał, czyli że
Dobroć porannej kawy i żar niekończącego się
Papierosa. Dusza czule obejmująca
Władzę.

Bo nawet jeśli czasem mówię „kurwa",
To zawsze na klęczkach, z pobożnym lękiem
Przed brakiem.

maj 2000

Guciowi

Ja – tarzający się we własnych wydzielinach,
Żywiący się nimi, mnożący byty co odchodzą
W niebyt. Ja nie umiem spojrzeć w lustro
Bez rzeźbienia min.

Ty – zawsze jesteś tylko sobą, cały
W ruchu, jedynej prawdzie, a

Twoje maleńkie serce zawsze
O pół kroku przed moim. Bliżej.

Mały przyjacielu, przepraszam, że ciągle nie mam
Czasu, że zgrywam Szefa ucząc Cię moresu.
A przecież jeśli coś mnie ratuje, to tylko wilgotny nos,
Ciepły brzuch, szorstki język na twarzy.

czerwiec 2000

Komórka

Kupiłem komórkę, nie będę już sam,
Połączony w każdej chwili z kim zechcę.
Odtąd zamiast urodzin będę obchodził
Rocznicę Aktywacji.

Ciekłokrystaliczny ekranik mruga porozumiewawczo,
Przyjaźnie uśmiecha się urządzenie mówiące;
Mówi, że samotność to przeżytek
W czasach, kiedy Sieć pokrywa niemal cały kraj.

Kiedy chce mi się rzygać, dotykam małej
Skrzyneczki co w kieszeni spodni delikatnie
Pieści moje jądra. Wystarczy odblokować,
Potem tylko czekać na pierwszy rachunek.

06.2000

Jarosław Jakubowski

Książki nadesłane

Poezja

Krzysztof Guzowski: *Wyspy*. Poemat. Wstęp Krzysztof Dybciak. Wyd. „Gaudium", Lublin 2001, ss. 80.

Stanisław Popek: *Maski podróżne. Poematy*. Wybór i układ Henryk Makarski. Ilustr. Artur Popek. Wyd. ZLP. Lublin 2001, ss. 160.

Andrzej K. Waśkiewicz: *Widmowe światło wspólnoty. Wiersze 1962-2001*. Wyd. Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, Warszawa 2001, ss. 220+4 nlb.

Andrzej Książek: *Między dawnymi a nowymi laty. Wybór wierszy*. Wydawnictwo AKME. Warszawa 2000, ss. 107.

Henryk Kozak: *Miejsca magiczne Liryki podlaskie*. Wyd. Towarzystwo Miłośników Podlasia. Biała Podlaska 2001, ss. 94.

Katarzyna Szeloch: *Portrety rzeczy ulotnych*. Wyd. Związek Literatów Polskich, Lublin 2001, ss. 62.

ANDRIJ MOKŁYCIA

Wołyń jako świat idealny
– słowo o poezji Waldemara Michalskiego*

Twórczość Waldemara Michalskiego jest niemal nieznana na terenach Wołynia, co wynika z obiektywnych przyczyn: przede wszystkim z braku przekładów na język ukraiński utworów tego współczesnego polskiego poety. Jednak nie można też powiedzieć, że jego dorobek artystyczny dobrze jest znany polskiemu czytelnikowi. Jak sam wyznał: *publikowałem wszystkie swoje książki w Wydawnictwie Lubelskim, niestety wydawnictwo realizowało je w minimalnych nakładach*, co uniemożliwiło mu dotarcie do szerszego grona miłośników poezji. Cały dorobek twórczy pisarza (kilka poetyckich zbiorów, publicystyka, rozprawy historyczno-literackie) powstał w języku polskim. Ale, ponieważ Waldemar Michalski urodził się we Włodzimierzu Wołyńskim i jednym z głównych motywów w jego utworach jest Wołyń, można z pewnością powiedzieć, że twórczość tego polskiego pisarza należy w jakiś sposób do kultury ukraińskiej, a ze względu na artystyczną wartość bez wątpienia zasługuje na uwagę czytelników.

Choć Michalski stale mieszka w Polsce, nierozerwalny i stały pozostaje jego związek z małą ojczyzną (korzysta z każdej sposobności, żeby znów znaleźć się w miejscach swego dzieciństwa). Twórczość poetycka zajmuje najważniejsze miejsce w jego życiu, ale warto pamiętać, że był także przez wiele lat pracownikiem KUL, aktywnym członkiem Związku Literatów Polskich, a od kilku lat jest członkiem kolegium redakcyjnego czasopisma „Akcent". Za sw ój dorobek otrzymał wiele nagród.

Zainteresowanie pisarza Wołyniem nie ogranicza się do rodzinnych korzeni, lecz dotyczy także historii, kultury, literatury tego kraju. Świetny przykład stanowi artykuł *O poetyckim Wołyniu po latach...*,[1] gdzie skupia swą uwagę na polskich pisarzach, których działalność związana była z etnicznym Wołyniem (Juliusz Słowacki, Ignacy Kraszewski, Józef Czechowicz i in.). Jak zauważa sam autor: *jeszcze niedawno temat polskiej obecności na Kresach stanowił polityczne tabu. Cenzura potrafiła wykreślać wszystko to, co dotyczyło Wołynia, Podola, Wilna, Lwowa.*[2] Publicystyka Michalskiego jest ważnym wkładem w rozwój wzajemnych stosunków literackich. Nie będziemy jednak szczegółowo zajmować się tą częścią dorobku Michalskiego, a przejdziemy do jego poetyckiej spuścizny.

* Tekst wystąpienia na Międzynarodowej Konferencji: *Ukraińsko-polskie pogranicze literackie* zorganizowanej przez Instytut Filologii Porównawczej Państwowego Uniwersytetu Wołyńskiego w Łucku, w dniach 25-27 maja 2001 r.

[1] Waldemar Michalski: *O poetyckim Wołyniu po latach*. „Akcent" nr 1-2 z 2000 roku, ss. 190-192.

[2] Ibidem, s. 168.

W 1999 r. ukazał się w Lublinie zbiór wierszy *Lekcja wspólnego języka*, który zwrócił uwagę krytyki.[3]

Urszula Gierszon w artykule *Ktoś wstrzymał serce, aby ruszyć słowo* krótko charakteryzuje ten tom, kilkoma zdaniami opisując każdy ze składających się nań cyklów i skupia uwagę na pewnych przykładowych elementach. *Poszukiwanie ostatecznej prawdy, według Michalskiego*, dochodzi do wniosku Gierszon, *to wędrówka człowieka, który doświadcza bólu i cierpienia, ale nie traci wiary, to również droga pielgrzyma, jego myśli, odczucia, a także wyprawa w głąb siebie, do źródła swojej wrażliwości oraz wczuwanie się ze zrozumieniem w drugiego człowieka...*[4] Określa tę poezję jako filozoficzno-intymną, koncentrującą się na problemach moralnych, problemach poszukiwania istoty i miejsca człowieka w życiu współczesnym.

Również i inne recenzje tego tomu, wszystkie pozytywne, różniąc się oceną przewodniej idei, którą każdy z recenzentów widzi po swojemu, zawierają ogólną charakterystykę formalno-treściowych składników utworów poetyckich. Alfred Wierzbicki wychodząc od frazy Michalskiego: *A może dziś medycyna i poezja to jedno?*, zastanawia się nad wpływem poezji na biologiczną kondycję człowieka;[5] Wiesława Wantuch widzi w tym tomie przede wszystkim symbolikę drogi,[6] Piotr Sanetra zwraca się do źródeł *Lekcji wspólnego języka* i wychodząc od tytułu tomu zauważa: *Pomieszanie języków było, wedle przekazu biblijnego, karą za zuchwałość i pychę budowniczych wieży Babel*, a więc dostrzega w poezji Michalskiego przede wszystkim motywy religijne i takąż symbolikę.[7] Każdy z wymienionych krytyków ma rację, ponieważ tom odzwierciedla bogactwo osobowości Michalskiego, jest autorskim autoportretem, który nie ogranicza się do jednego tematu.

Nazwa cyklu wierszy Waldemara Michalskiego, poświęconych Wołyniowi, jest całkowicie usprawiedliwiona: *Wołyń... Wołyń...* – dawne wspomnienie, nostalgia i trochę melancholii. Wołyń u Michalskiego to nie tylko pewien obszar, ale i cząstka jego jedynej Ojczyzny. Poeta nie dzieli Wołynia na polski i ukraiński. Nie wynika to tylko z tolerancyjności. Jak sam wspomina: *Wieś moich dziadków w majowe wieczory rozbrzmiewała śpiewem, na przemian polskim i ukraińskim. Na „wieczorynkach" młodzi wiązali się w pary „na całe życie" i nie stanowiła tu bariery ani odmienna religia, ani różnice językowe. Także w mojej rodzinie były mieszane narodowościowo małżeństwa. Nikogo to nie dziwiło, ani gorszyło.*[8] Kultura ukraińska i polska stały się nierozdzielną częścią wewnętrznego świata poety i ukształtowały jego twórczą osobowość.

Obraz Wołynia w poezji Michalskiego jest uogólniony i zuniwersalizowany. Nie ma tu banalnych zdań o pięknie Polesia i miłości do niego. Dla autora ten kraj odpowiada uniwersalnym kategoriom bytu – Bogu, matce, domowi.

Wołyń przez sen
Grzechów nie pamięta
Od miłości nie ucieka

[3] Waldemar Michalski: *Lekcja wspólnego języka*. „Norbertinum", Lublin 1999, ss. 97. Tom miał liczne recenzje, począwszy od miejscowych dzienników, np. „Kurier Lubelski" (1999 nr 91), poprzez miesięcznik „Nowe Książki" (1999 nr 10) po nowojorski „Głos – The Voice" (1999 nr 13).

[4] Urszula Gierszon: *Ktoś wstrzymał serce, aby ruszyć słowo*. „Głos – The Voice" (Nowy Jork) 1999 nr 13, s. 15.

[5] Alfred Wierzbicki: *„Lekcja wspólnego języka" Waldemara Michalskiego*. „Poezja dzisiaj" (Warszawa) 2000 nr 11-12, ss. 165-167.

[6] Wiesława Wantuch: *Zachwyt aż do bólu*. „Nowe Książki" 1999 nr 10, ss. 60-61.

[7] Piotr Sanetra: *„Lekcja wspólnego języka" Waldemara Michalskiego*. „Akcent" 2000 nr 1-2, ss.190-192.

[8] *Garść pieczonych kasztanów. Rozmowa Henryki Witalewskiej z Waldemarem Michalskim* (w:) Waldemar Michalski: *Będziesz jak piołun*. „Norbertinum", Lublin 1991, ss. 55-65.

Do ogrodu zaprasza
Wzywa świętych na pojednanie –
Każe wracać na kolanach.

(Wołyń przez sen)

Pojawia się tutaj obraz romantyczny i wyidealizowany, i jest to zrozumiałe – każdemu z nas dzieciństwo kojarzy się z najszczęśliwszym okresem życia. Ideowy ładunek tego obrazu wzmacnia się silnym humanizmem twórczości Michalskiego. Romantyczne nastawienie tomu wyznaczyło system artystycznych środków cyklu *Wołyń... Wołyń...*

Liryczny bohater to wędrowiec, pielgrzym, to znaczy człowiek, dla którego sens życia stanowi ruch, droga. „Podróżować to trochę jakby mniej umierać" mówi autor w wierszu *W drodze na Wołyń*. Tradycyjna symbolika drogi zamienia cykl jakby w poetycką wyprawę po miejscach Wołynia: *Włodzimierz Wołyński, Między Turią i Ługiem, W klasztorze Zimno, Ciotka ze Lwowa, Wędrowne z Podlasia*. Liryczny bohater stale jest w ruchu, bo być w ruchu to – zgodnie z jego filozofią – znaczy żyć. Ważne przy tym nie tylko to, żeby iść, ale żeby obrać właściwą drogę. Tylko wtedy człowiek może znaleźć siebie i swoje miejsce w życiu. Dlatego słowa droga autor używa zarówno w prostym znaczeniu („wołyńskie drogi") jak i symbolicznym – droga do Boga, do siebie, do praźródeł.

Dróg wiele – jedna najważniejsza
Na kolanach najbliższa do domu

(W drodze na Wołyń)

Droga jest nie tylko przewijającym się obrazem, ale i podstawą kompozycji cyklu, stanowiącej odbicie filozoficznej koncepcji autora, choć nie jest tu celem samym w sobie, a tylko tłem dla ukazania innych myśli.

Już po lekturze kilku wierszy staje się jasne, że mamy w nich do czynienia z głębokim chrześcijaństwem. Pierwszy wiersz cyklu stwarza odpowiednią aurę:

Szła po grudzie Matka Boska
Ukraińska niby polska
Suche trawy zaszumiały
Zabłyskały lustra wody.

(Matka Boska Wołyńska)

Tematyka religijna jest wszechobecna, nawet malując pejzaż, autor wykorzystuje obrazy biblijne. Typowe dla jego poezji są metaforyczne i porównawcze konstrukcje, zawierające alegorie i peryfrazy z Pisma Świętego: „Jordan pulsuje krynicą u stóp", „Sodomy senna mara", „Przewodnik z laską jak Mojżesz odczytuje z kamienia imiona i daty".[9]

Ale co znaczy „Matka Boska ukraińska niby polska"? Odpowiedź znajdziemy we wspomnieniach samego autora: *Do kościoła było 20 kilometrów, do cerkwi kilkaset metrów. Na wszystkie niedziele i święta jechało się do kościoła, ale w czasie jesiennej szarugi cerkiew była bliżej – babka stwierdzała autorytatywnie: Bóg jest jeden, tylko ludzie się poróżnili...*[10] Bezsprzecznie, autor podziela tę opinię, dla niego ważna jest sama wiara, a nie historycznie uwarunkowane stosunki międzykościelne: „Paweł i Gaweł do jednego modlili się Boga". Wiara powinna łączyć ludzi. Chrześcijaństwo jako ideał autor rozumie jako religię dobra i sprawiedliwości, a wszystkie wojny na tym tle odrzuca jako zjawisko haniebne:

[9] Na znaczący nurt religijny w twórczości Waldemara Michalskiego zwracają uwagę m.in. Tadeusz Polanowski („Przegląd Powszechny" 2000 nr 2, ss. 256-257) oraz Henryk Kozak („Podlaski Kwartalnik Kulturalny" 1999 nr 1, ss. 66-67).

[10] *Garść pieczonych kasztanów*, tamże s. 56.

Wiary jako miecz i ogień
Nie pamiętaj Panie

(W drodze na Wołyń)

Nie mniej ważne w cyklu *Wołyń...Wołyń...* są motywy matki i domu. Tak jak w przypadku motywów religijnych nie chodzi tu o wiersze na temat, a o motywy organicznie wplecione w ogólny ruch estetyczno-filozoficznej myśli, co wraz z innymi zasobami stwarza jednolity poetycki obraz Wołynia.

Na progu drewnianej chaty
Stoi matka – już słychać jej
Śpiewne wołanie – chleb
Łamie świętym znakiem
I dymi barszcz na obrusie białym.

(Między Turią i Ługiem)

Wątpliwe, aby ten fragment potrzebował komentarza. Wszystkie pozytywne emocje autora, cała miłość do rodzinnego kraju wcieliły się w te krótkie wersy. Dawno napisane słowa „Kocham więc jestem" z wiersza *Ogród* [11] stały się życiowym credo autora. Obraz matki w poezji Michalskiego jest znacznie uogólniony. To nie tylko matka człowieka, to Matka Boża, to Ojczyzna – podejście tradycyjne dla światowej literatury.

Dom jako coś konkretnego (to znaczy budynek we Włodzimierzu Wołyńskim), zwyczajnego, też pojawia się w wierszach autora:

Miasto z bajki pierwszych liter alfabetu
Cztery cerkwie dwa kościoły – Boże spraw
By zawsze było głównym dworcem świata.

(Włodzimierz Wołyński...)

Jednak Michalski daje przewagę romantycznemu obrazowi z dziecięcych wspomnień. Te liczne przywołania tworzą, atmosferę szczerości i dobroci, jaka pozostała w pamięci autora: „pies za bramą waruje", „chleb na stole", „w kącie pokos siana", „skrzypi furtka", „ziarno w polu – ogień w piecu", „spod okapu frygają wróble".

Znając fakty z biografii, domyślamy się, o jaki dom chodzi. Ale czy to ważne? Przecież te szczegóły mogą odnosić się do dowolnej wiejskiej chaty, one nie indywidualizują obrazu, a go uniwersalizują. Recenzenci zauważali, że u Michalskiego jest wiele odwołań do poezji Mickiewicza. Nie można się z tym nie zgodzić: romantyzm, bez wątpienia, leży u podłoża estetyki poety. Oprócz tego między dwoma poetami jest też tematyczna wspólnota. Jednak Michalski nie jest naśladowcą Mickiewicza. Jego twórczą manierę i styl można określić jako postmodernistyczny neoromantyzm: przy wyraźnej dominacji romantyzmu jest to poezja współczesna z charakterystycznym dla XX wieku obrazowaniem i wersyfikacją. Wraz z symbolicznymi i romantycznymi obrazami spotykamy w wierszach tego tomu wyraźne indywidualne autorskie tropy: *Jak przydrożne wierzby nasze stare matki, Drogi gładkie jak wyprasowane świąteczne nogawki, W lustrze rzeki twarz ojca czytam, Jak wóz na mlecznej drodze wprost do nieba, Po wołyńskich drogach duch ognia się błąka, Kobieta jak madonna znad źródeł podklasztornej rzeki* itp.

Mamy przed sobą poetę humanistę, człowieka, który na pierwszym miejscu postawił ogólnoludzkie ideały, odrzuciwszy wszystko, co rutynowe, nieistotne. Człowiek w jego twórczości to najwyższa wartość, podmiot i przedmiot, z całą gamą odczuć, wspomnień, myśli.

[11] Waldemar Michalski: *Ogród*. Wyd. Związek Literatów Polskich, Lublin 1977, s. 35.

Taka postawa znalazła odzwierciedlenie również w obrazie Wołynia. Autor wchłonął w siebie i polską, i ukraińską kulturę, motywy ludowe połączył z religijnymi, stworzył romantyczny obraz kraju, który jednocześnie jest i intymny, i uogólniony, symboliczny.

Waldemar Michalski połączył tradycję i nowatorstwo, stworzył poezję głęboko subiektywną, z niepowtarzalnie autorskim ujęciem opisywanych zjawisk. Niepoślednią rolę odegrał w tym Wołyń, ojczyzna poety.

Wołyń to umowny, uniwersalny, idealny świat, którego atrybutem jest wiejska chata na tle przepięknej przyrody i świątynie. Całościowość tego świata określona jest przez stały związek człowieka i Boga. Motywy dzieciństwa jako ziemskiego raju są tradycyjne dla światowej poezji. Ale z reguły towarzyszą im odczucia smutku, gorzkiej utraty – dzieciństwo nie wraca, nie ma drogi wstecz. U Michalskiego na odwrót, idealna kraina dzieciństwa zawsze jest obecna w jego wewnętrznym świecie, to stałe źródło natchnienia i życiowej energii. Wykorzystanie ukraińskiego i polskiego folkloru, wzmocniona religijność i szczery humanizm autora przydają obrazowi Wołynia narodowej i subiektywnie autorskiej samoistności.

Andrij Mokłycia
przełożyła *Natalia Jurak*

Tadeusz Kuduk: *Ofiara*, rys. tuszem (61 x 86 cm), 1987

MACIEJ CISŁO

Listy do***

Niebiesko-czarno-białe

W nocy długo leżałem z otwartymi oczami,
ciemność przepływała przeze mnie, a ja jej nie stawiałem oporu.
Wciąż mi się wydaje, że robię nie to, co powinienem,
co naprawdę umiem, nie tu, nie teraz i nie z tymi ludźmi.
Znalazłem w polu niebiesko-czarno-białe piórko sójki;
wkładam Ci je tutaj do listu; przesuń po powiekach
tym nic nie ważącym wspomnieniem lotu ptaka,
błękitu nieba i czarnej ziemi w dole.
Łagodna mieszkanko milczących bezdroży, najcichszych strumieni,
Ty będziesz w światło odziana, karmiona manną świtu,
Aż letni żar roztopi cię pośród strumieni i źródeł,
Abyś rozkwitła w dolinach wieczystych. *
Śniło mi się, że trzymam Cię w objęciach, a wtem druga Ty
weszłaś do pokoju, zauważyłaś nas i wycofałaś się dyskretnie.
Sen był czarno-biały. I lekko niebieski.

Dwuosobowa utopia

Jak się dziś czujesz, Aniu – i jak mnie czujesz?
Moje serce było głodne, a Ty je nakarmiłaś.
Moje myśli były samotne i rozproszone, a Ty je skupiłaś.
Mówię Ci „kocham" na wydechu i na wdechu.
Spróbuj sama coś powiedzieć na wdechu.

W dziale medycyny tygodnika „Wprost" wyczytałem, że ten fragment naszego mózgu, który się zajmuje miłością, tkwi między korą a hipokampem, w płacie przybrzeżnym, na poziomie piątego zakrętu skroniowego. Czy nie jest to zachwycające? A z kolei szyszynka to podobno gruczoł, którym najlepiej wyczuwamy Boga. Dowodem na istnienie muzyki jest ucho. Dowodem na istnienie Boga jest szyszynka.

Co do miłości, to chciałbym, aby była ona między nami rodzajem dwuosobowej utopii, samym dobrem i harmonią, realnie magiczną bajką. Niemożliwe są utopie wieloosobowe, bo tłum to nie poezja, nie nadaje się do ideału i nie ma w nim żadnego erotyzmu. Ale właśnie miłość dwojga ginie bez czarów i cudów, to oczywiste.

Dziwne, że dotąd nie zapytałem Cię, co czuje poeta, który jest kobietą? Liryka należy do śpiewów godowych, lecz takie śpiewy to chyba z natury

* Czterowiesz z *Księgi Thela* Williama Blake'a w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka.

domena samców. W przyrodzie żeńskość nie zabiega o męskość, nie tokuje. I wygląd samic jest skromniejszy. To bardzo dziwne, że wśród ludzi bywa odwrotnie, stroją się i upiększają właśnie kobiety. Chociaż dotyczy to zdaje się głównie kultury Zachodu, bo gdzieś w Polinezji czy w plemiennej Afryce panowie są jednak ozdobniejsi.

Skoro mówimy o pięknie, to jak sądzisz Aniu, czy my autorzy mamy rzeczywiście obowiązek wytwarzania literatury pięknej: a może twórca ma być jak Stwórca? Bóg uczynił kwiaty i także różne rzeczy ohydne, rozkosz i cierpienie, życie i śmierć. Czy powinniśmy to na naszą miarę naśladować? Może rozmyślnie trzeba w książkach robić jakieś błędy, głupstwa, rzeczy brzydkie, psuć rytmy, lub też nie poprawiać nieudolnych – po prostu jednocześnie tworzyć i niszczyć?

Ja od paru dni tworzę właśnie i niszczę pewien wiersz i została mi z niego już tylko zwrotka, z którą nie wiem co począć. Może Ty byś wiedziała? Rzuć na to okiem, weź pod swoje skrzydła – Ty masz na skrzydłach cherubińskie oczy, w co wierzę. Tematem wiersza była ludzka dola. Etymologicznie dola jest zdaje się tym, co „udzielone".

W obliczu doli, zwanej losem

...Kto zdolny, ten spiera się ze swym przeznaczeniem.
Zaś niedołęga, słysząc Walenie Lodu do Drzwi,
Pociesza się: To Beethoven, Piąta Symfonia.
I wpuszcza.

Widzisz: tyle zostało z mego utworu. Może go jakoś rozwiniesz, albo też całkiem zwiniesz, na co ja się nie zdobyłem?

Znasz moją miłość do etymologii, średnio rozsądną; diabli wiedzą, dlaczego tak mnie tu zajęła gra słów „zdolność-dola-niedołęstwo".

A teraz – teraz jest już noc. Przez otwarte okno widzę gwiazdy, przygłuszone nieco konkurencją latarń. Zgodnie z prawem Wielkiej Liczby, na którejś innej planecie w kosmosie moglibyśmy mieć, Ty i ja, swoje sobowtóry. Nie jest to nieprawdopodobne! I być może przed chwilą gdzieś tam drugi ten sam ja postawiłem właśnie kropkę po słowie „nieprawdopodobne".

Dobranoc, Aniu. Wierzę w naszą dwuosobową utopię (może czteroosobową), i niechaj trwa magia między nami .Tu na ziemi jestem jak jednobiegunowy magnes – wiem, że takie nie istnieją, ale ja istnieję i składam się z samej miłości do Ciebie!

Rozmowa i zmowa

Rozmowa o tym, co nas różni. I zmowa wokół podobieństw. Oboje mamy zielone oczy i zielono w głowie... Jesteśmy ludźmi bez zawodu, bo przecież z pisania wierszy nie ma chleba, a my właśnie to pisanie uważamy za swą główną pracę.

– Tak bajaliśmy sobie dzisiaj, prawda Aniu? Różni nas mocno to, że Ty nie jesteś mną, ani ja Tobą. Ale bywamy! Orgazm jest najlepszym dowodem na istnienie Boga.

Ty malujesz sobie usta i rzęsy – to jednak osobliwe u autora, choćby był kobietą. Wyobrażasz sobie, żeby Norwid albo Mickiewicz malowali usta?!

Ja mam 5 razy mniej ubrań w szafie i krócej śpię. Pochylam też, pisząc, litery, jak do biegu – gdy Ty nie śpieszysz się nigdy, ani do nikogo. Może oprócz mnie... Chodzisz spacerkiem, wyprostowana.

Uważamy się oboje za ludzi bez przesądów. Ale wolimy, żeby nam czarny kot nie przebiegał ulicy! A w piątek trzynastego próbujemy w ogóle nie wychodzić z domu.

Wiem, że chciałabyś mieć maszynkę do wygodnego umierania, tak jak ja. Zwyczajną jak maszyna do pisania. Dziś jest 19 622 dzień mojego życia. Policzyłem! A Twojego? Serce człowieka może uderzyć najwyżej 3 miliardy razy.

Świetlista cudzoziemka

Tęcza wymierne ma wysokości,
Liczbą się objąć pozwala,
Ale napięty Łuk Miłości
Umysł człowieka zniewala.

Poznajesz to? To Twoja Emily Dickinson. Szkoda, że tak rzadko tłumaczysz poezję. Albo i nie szkoda... Rozumiem, iż prawdziwi poeci mają tyle do powiedzenia od siebie, że brakuje im już chęci do odzywania się czyimś głosem; jeśli tłumaczą, to tylko w stanie wyższej konieczności, na przykład zakochani w jakimś autorze.

Ano właśnie. Ponieważ Ty mnie Aniu kochasz, czy nie spróbowałabyś transkrypcji któregoś z moich wierszy na swój język? W istocie każdy poeta mówi odrębnym dialektem i nie mniejszą sztuką jest przekład z jakiejś angielszczyzny na polszczyznę, niż na przykład z polskiego na inny polski.

Przypominają mi się w tej chwili genialne figle Juliana Tuwima z jego zbioru *Pegaz dęba*, na przykład wielokrotne trawestacje „Andzi" Stanisława Jachowicza (*Nie rusz Andziu tego kwiatka*). Najbardziej lubię stamtąd Jachowicza przerobionego na Mikołaja Reja. Przepiszę Ci tutaj owego Tuwimowskiego Jachowicza-Reja:

Posłuszeństwo rodzicam – pirwa rzecz

Wierę, najpirwej dziatkom godzi się poćciwość,
Jako z ni jest żywota wszelaka szczęśliwość,
Wżdy się to w wirszu może snadnie pokazować,
Iżby się rodzicielskim słowiem nie sprzeciwiać.
Rzekła matka Anusie, by róż nie ruchała,
Aleć rozważne mowy Anuś nie słuchała;
Nizacz to wszystko mając, naprzeciw przestrodze,
O kolec się ukłuwszy, zapłakała srodze.

Mam też w notatkach pewien szczególny rarytas, transkrypcję szekspirowskiego monologu Hamleta na grypserę więzienną, którą wyciąłem z czasopisma literackiego „Stygmat", wydawanego przez Zakład Karny w Siedlcach. Przy okazji myślę, że sytuacja kultury w Polsce nie jest aż tak zła, jeśli w więzieniach wychodzą dotowane pisma literackie? Ciekawe, czy w czasach, kiedy Karol May tworzył za kratami swoje powieści, istniało w Europie jakieś czasopiśmiennictwo skazanych?... Autorem przekładu Szekspira na grypserę jest niejaki Zbigniew Kumorek. Oto więc jego Hamlet. Królewicz zwraca się do czaszki:

– Mam pytanie, proszę trupa:
Wciąż się męczyć, czy w grób upaść?

Coś niepewna czutka moja,
Że jak kitę już odwalę,
To po trudach, życia znojach,
Nic mnie już nie ruszy wcale.
Krótko mówiąc – mam ja boja,
Że miast grzecznie kwiatki wąchać,
To ta wredna dusza moja
Zacznie grzechy swe roztrząsać.
Żebym tylko miał pewniaka,
Że jak sobie kuku zrobię,
To nie będę w dołku płakać,
To spokojnie kimnę w grobie

...i tak dalej. Co do Emily Dickinson, to ja również cenię jej poezję, głównie za to, że jest tak myśląca. Poeci częściej bywają dobrymi filozofami, niż filozofowie – poetami; jest to szczególny brak symetrii. Jednym i drugim, filozofem i poetą, był mój ulubiony Ksenofanes. Czy znasz jego „Szyderstwa"? Bawił mnie zawsze ten wierszyk o naiwności i pysze człowieka, który z uporem antropomorfizuje Boga.

Gdyby koń, lew albo wół artystą był
I końskie, lwie lub wole dzieła sztuki tworzył,
Malując pod natchnieniem wizerunek boży,
Komu polecałby duszę swą co sił?
I jaką podobiznę między ramy włożył?
W tej materii sąd arbitrów jest nad wyraz zgodny:
Bóg do swego wyznawcy zawsze jest podobny.

(przełożył Leszek Lachowiecki)

Wracam do pomysłu transkrypcji polskiej poezji na język polski. Żeby Cię namówić i zachęcić do przerobienia któregoś z moich utworów na Twój, sam, jako pierwszy, spróbuję tłumaczenia Twojego wiersza na moją mowę... Wybieram *Świetlistego cudzoziemca*. (Mam nadzieję, że rezultat nie wyda Ci się zbyt groteskowy.)

Najpierw przepisuję Twój wiersz:

Miłość to świetlisty cudzoziemiec

Ciało miłosne pyli się jak światło
Oddech tam i z powrotem chodzi igła z nitką
Nikniesz spadając w słodką utratę
I znów chcesz się tylko kołysać kołysać
Kostka krtani obraca się szóstką do góry
Miłość to świetlisty cudzoziemec
Czysty w księżycu niesie ścinki oczu białe
O mój pożyczony powtarzalny kochanku
Pijemy z tej samej gąbki powietrza
A nasze dusze wymieniają się przez skórę

A teraz – moja parafraza:

Świetlista cudzoziemka

Ciało miłosne, ziemia obiecana,
W której pragniesz rosnąć, ginąć, zmartwychwstawać;
Raj i wygnanie z raju, nienasycenie:
Pragnienie syci się pragnieniem.
O moja pożyczona, powtarzalna kochanko!
Nasze dusze wymieniają się przez skórę.

Blednie noc, gwiazdy tracą płatki, wzeszły oczy,
Śni się jawa.
Miłość to świetlista cudzoziemka.

Masz rację, Aniu

Masz rację, Aniu, chcemy dla siebie zarazem stałości i zmiany, bezpieczeństwa i przygody, nas jako nas oraz jako obcych. Miłość jest głodem istoty tak innej, że aż przeciwnej płci. Ukazujemy się sobie nawzajem przemienieni wraz z każdym nowym utworem, jaki piszemy i myślę, że to jest jeden z ważniejszych powodów, dla których w ogóle chce nam się uprawiać sztukę słowa. Sztuka dla życia! Zawsze wolałem to praktyczne hasło od endogenicznej *sztuki dla sztuki*.

Ale w codzienności, życiu poza sztuką, bynajmniej nie pragnę dla naszego związku ryzykownych przygód czy jakiejś tam paradoksalnej „obcości". Tutaj wystarczy mi jednoznaczna bliskość i dobra wola, sprzyjanie i harmonia. I całe zło świata, które mamy do rozegrania między nami, jako iż należymy do realnego świata, sfingujmy w literaturze! Może się to uda?

A teraz chciałbym Cię poprosić o pomoc w poprawieniu – lub unicestwieniu, gdyby się nic nie dało zrobić – kolejnego wiersza, z którym sam nie umiem sobie poradzić. Jest to utwór o naszym dawnym „niespotkaniu" w Krasiczynie (na pewno pamiętasz tamto lato). Zapisuję mój tekst prozą, aby wyglądał bardziej „warsztatowo".

Stałem na peronie z różą; dzień jak rok się kończył. I nie udało mi się, nie wyczekałem Cię z drżącej pustki.

Wracałem obcymi ulicami, niczyj tutaj i nigdzie, i nigdy, i po nic! Jakbym się nie urodził.

Nad mokradłami niosła się ptasia i żabia pieśń miłosna. Staw podwoił małą, jak figurka w szachach, wieżyczkę zrujnowanego ermitażu.

Wstawiłem różę do kamiennej urny na ocembrowaniu. Oparłem się o stary jesion, drzewo życia. W czarnych lustrach wodnych przybywało gwiazd.

No więc widzisz, taki to jest ten utwór czy też projekt utworu.

Zastanawiam się dosyć często, jak to możliwe, że nie wybiłem się w literaturze, chociaż starałem się uczciwie i nawet dziś jeszcze nie całkiem zrezygnowałem? Pocieszam się wizją rozległego kosmosu, w którym są zapewne miliony zamieszkanych planet, a na każdej z nich – tłumy twórców, pragnących wybić się w literaturze oraz pozostałych sztukach. Przy tym sam Pan Bóg jako główny Kreator nie zyskał przecież powszechnej akceptacji, ani w świecie czystych duchów (które za swój pra-krytycyzm od razu nazwane zostały diabłami), ani u potomków Ewy i Adama.

No tak. Nieraz rozmawialiśmy, jak sobie wyobrażamy spotkanie naszych dusz na Tamtym Świecie. Ale wiesz co? Ostatecznie dochodzę do wniosku, że chyba w ogóle nie wystąpimy tam jako Ty i ja. Nie było nas pojedynczych w życiu przed życiem. Istnieliśmy oczywiście połowiczni, w swoich rodzicach. I symetrycznie w życiu po życiu „z nas dwojga będzie może jeden anioł" – jak poetyzuje Zygmunt Krasiński w korespondencji do Delfiny Potockiej. Nie może być solo wejścia do nieba, bo nie istnieje wśród ludzi partenogeneza... Zatem współczujmy tym wszystkim świątobliwym, którzy uprawiają celibat! Nie dobrali sobie na ziemi nikogo do pary – a liczą na światłość wiekuistą...

Kończę już ten list i całuję Cię, połowo mej duszy, białoksiężniczko, treserko słów i pasterko wspólnych wierszy! Aniu mego życia.

M.

Kartka z wakacji

Spokojny puls morza, które śni obłoki.
Na pniach sosen tańczy nierzeczywiste, odbite od fal światło.
Na niebie w biały dzień księżyc – wąski sierp;
Uśmiech niewidzialnego kota z *Alicji w krainie czarów*.
Przyglądam się też swojemu przyglądaniu.
Drogie tanie kamienie plaż Rozewia;
Daję Ci te kamienie jeśli chcesz,
I dwanaście słów których nie umiem rozwinąć w wiersz:
„Nie cały powstałem do nowego istnienia.
Nie cały odejdę do nienowego nieistnienia".

Twój MC (Tysiąc Sto gdybyś zechciała
potraktować moje inicjały jako cyfry rzymskie)

Otwarty list miłosny

Noc. Otwarte okno. Za oknem urywa się przestrzeń. Żadnych świateł, żadnych gwiazd. I myślę sobie: zaraz za tą przepaścią jesteś Ty. Z Twoim otwartym oknem, na skraju łąk we Wrocławiu. Na styk. I że może wychylę się tu z Warszawy, zanurzę w mrok i wynurzę popiersiem u Ciebie? W pokoju oświetlonym Twoją lampą.

Prawdziwym domem człowieka jest serce drugiego człowieka... Piszę do Ciebie ten kolejny Otwarty List Miłosny – a wcale nie jestem pewien, czy takie rzeczy są dozwolone! Nawet gdybyś Ty nie miała nic przeciwko temu. Może i są dozwolone: w świecie bez cenzury, obowiązkowego konwenansu, fałszu, wśród tych wszystkich ekshibicji oraz *reality show*... Jednak urażeni mogliby być ci z naszych bliźnich, którzy po staremu chcą kochać konspiracyjnie, poufnie i przeciw reszcie świata, smakując dyskretnie słodki grzech, zakazany owoc. No właśnie, bo przecież „Mężczyzna i kobieta od urodzenia wiedzą, że w rozkoszy jest zło", jak powiada Baudelaire w *Racach*. Ty bardzo słusznie w swoim wstępie do Baudelaire'a wydobywasz teraz biblijny światopogląd tego pozornego bezbożnika. Poczucie grzechu pierworodnego przenika całą twórczość autora *Kwiatów zła*.

Cóż to za geniusz, Baudelaire!... Arcypoeta. No a kim jestem ja? W jaki sposób Ty możesz kochać kogoś, kto nie jest fenomenem i personą? Ja sam się dziwię, jak ze sobą wytrzymuję. Skończyłem 50 lat, a wciąż nie stworzyłem żadnego arcydzieła. Gdzie są moje *Race* i *Kwiaty zła*? Gdzie *Vademecum* lub *Eneida* z *Odyseją*! Co dzień uczciwie pracuję nad swym talentem, najlepsze godziny oddaję pisaniu – i nic. Lub niewiele.

Ale może tak być powinno... Gdyby każdy kto chce, kto do tego zmierza, zostawał wieszczem, Norwidem, Wergiliuszem, Baudelaire'em i Homerem, rozrosłyby się straszliwie zasoby klasyki i ludzie kulturalni, zwłaszcza teraz, w cywilizacji globalnej, w ogóle nie mieliby czasu na życie. Musieliby tylko

czytać i czytać – bo jakże być kulturalnym i cywilizowanym bez znajomości poezji światowej? Może więc jakaś niewidzialna ręka natury, sprawiedliwa i mądra, kręci nam śrubkami w duszy i w iluś przypadkach zapobiega zbytecznemu artyzmowi, literackiej klęsce urodzaju.

Miałem dziś w nocy okropny sen. Zwidział mi się piorun kulisty, który w czasie burzy wpadł przez wywietrznik i zaczął okrążać moje krzesło. Iskrzył i czułem, że „zastanawia się", czy powinien mnie porazić. Siedziałem sparaliżowany i odpychałem go tylko siłą swej woli przetrwania. I o dziwo – odepchnąłem od siebie, aż owa naelektryzowana, demoniczna kula odpłynęła wywietrznikiem, tak jak przypłynęła.

Pytałaś mnie Aniu, o pierwszy obraz z dzieciństwa, jaki pamiętam. Zdaje mi się, że jako pierwsze pamiętam słońce, wybuchające w koronach drzew. Ktoś prowadził mój wózeczek, spacerówkę o biało lakierowanych bokach, po stromym stoku leśnym; wtem zachybotałem się na wykrocie i wtedy strach otworzył mi oczy.

Strach bywa piękny… Albo prowadzi do rzeczy pięknych, prawda? Ptaki nie dorobiły się swych skrzydeł z chęci zabawy, tylko z obawy. Aby uciec naziemnym zagrożeniom. Lecz w jak pięknym stylu uciekają! I nic dziwnego, że też poeci chcą się uważać za uskrzydlonych. Bywamy lękliwi – z nadmiaru wrażliwości i wyobraźni – ale zamiast mimikry, pancerza czy drapieżnictwa (bo ze strachu jest się też prześladowcą) – wybieramy do obrony lot! A wynika stąd także to, że nie ma co chodzić wierszem na piechotę, prozą. Zgodzisz się chyba Aniu, iż modny „oharyzm", gawędziarstwo liryczne, a nawet taka poezja prozą jak u Baudelaire'a w *Paryskim spleenie*, jest rzeczą chybioną.

Na koniec chciałbym Ci jeszcze pokazać dwa inne obrazki z dzieciństwa – dzieciństwa, które właściwie powinniśmy byli mieć wspólne… Bo prawdziwa miłość nie zadowala się teraźniejszością i przyszłością. Pragnie wspólnej przeszłości! (lub wieczności). W mitach kochankowie odkrywają czasem, że są bratem i siostrą. Jaka szkoda Aniu, że my już na pewno wiemy, iż nie zachodzi między nami żadne błogosławione kazirodztwo.

Oto więc te dodatkowe obrazki. Jestem z Ojcem w olsztyńskim lesie, wśród wilgotnego poranka. Promienie słońca drżą w mgiełce jak struny w harfie. Ścinamy uschłe drzewa, sztuki dozwolone i wykupione u gajowego, pana Janusa. Ojciec przysiadł na pniu; pali papierosa w lipowej fifce i objaśnia mi dziwne, rzymskie nazwisko gajowego. „Janus był bogiem o dwóch twarzach. Ale właściwie który bóg nie jest dwulicowy – zamyśla się Ojciec. – Jahwe w Biblii mówił przecież o sobie: Ja stwarzam jasność i mrok, zsyłam pomyślność i niedolę, ja sam czynię to wszystko"… I druga scenka: Wakacje w Jedzbarku, u rodziców mojej warmińskiej niani, Agnes Wagner. Zaprowadziłem na pastwisko Lottę, płową klacz. Wtem lunął deszcz. Schowałem się pod końską szyją jak pod daszkiem. Patrzę z bliska na miękką wargę Lotty, obejmującą pordzewiałe wędzidło. I dziwię się, że tak silne zwierzę ulega słabemu człowiekowi, że w ogóle konie nie uciekają do lasu, pracują posłusznie za garść owsa, godzą się na niewolę. Dlaczego?… A powiem Ci jeszcze Aniu, że nieraz myślę o tych szarobłękitnych wargach końskich, gdy widzę awangardowe kobiety z ustami pomalowanymi na niebiesko. Jak to dobrze, że Ty sobie nic nie malujesz na niebiesko.

Ach, jak daleko ode mnie dziś jesteś… W myślach wsuwam rękę pod Twoją koszulę i palcami robię kilka kroków w najmilszym krajobrazie świata.

Twój M.

Erotyk z Midasem

Kiedy podnosiliśmy się rano po miłości, przerwałaś paluszkiem nitkę łączącego nas nasienia. „Wstęga przecięta! – zaśmiałaś się. – Uważam ten dzień za otwarty".

A gdy w chwilę potem zapisywałem Twoje słowa i ten gest – „To żarty – sprzeciwiłaś się – o takich rzeczach się nie pisze".

Ja na to: „Jeżeli nasze życie warte jest przeżywania, to dlaczego nie miałoby by być warte opowieści?"

„Ty jak szalony alchemik – odparłaś – ze wszystkiego chcesz robić złoto. Albo jak król Midas! Ale pamiętasz, jaka kara spotkała króla: każda rzecz, której dotknął, stawała się złotem, nawet chleb. I gdyby nie litość bogów, co odwrócili nieszczęsny czar, biedak z głodu musiałby zginąć… A poza tym urosły mu ośle uszy!"

Maciej Cisło

Tadeusz Kuduk: *Ziele nie na swoim*, olej na płycie (58 x 51 cm), 2001

TADEUSZ ZUBIŃSKI

Jaan Kross – bliski nieznajomy

Scena z dobrej powieści, poruszająca, czuła, ale zarazem surowa. To nie może być polska powieść: Do chutoru, zatem na odludziu, podchodzą wieczorem jacyś obcy. Czas niepewny, wczesne lata dwudzieste. Pies ujada, groza narasta, gospodarz nie wie co robić, on sam jeden, a tamtych trzech, pies się pieni, rwie łańcuch, dopada do furtki, wtedy gospodyni zaklina los – Żeby nam tylko nie zastrzelili Burka. Można sobie dopowiedzieć: cóż warte gospodarstwo bez psa, to jak dusza bez ciała – mówi jeden z bohaterów Tamsaarego. To wiele zapowiada, nawet obiecuje, taka troska o inwentarz – jakby powiedział nieco się zżymając niejeden polski pisarz. My w naszej literaturze nie prezentujemy „pochylenia" nad naturą, do dziś nie odnaleźliśmy klucza do porozumienia choćby z naszą ziemią, naszymi obłokami, naszymi suszami i zarazami, nie dostąpiliśmy takiego błogosławieństwa, w jakie wyposażone są narody Północy, dotyczy to także Estończyków. Dziwny, nieznany, a jednak bliski nam naród. Dla nas przede wszystkim: Dorpat (dzisiaj Tartu), król Stefan Batory, intrygująca kultura, melancholia chłodnych, pastelowych krajobrazów, hanzeatyckie starówki warownych miast, wody jezior, wody morza, port w Tallinie zamarzający corocznie na sześć tygodni, lasy, błota jak na Polesiu, spokój, sine niebo, zaś dla rozsmakowanych w pięknym słowie – ojczyzna Jaana Krossa.

Pozornie fałszywe umieszczanie książek autorów estońskich w dziale „literatura skandynawska" ma poniekąd swoje uzasadnienie. Kross zafascynował mnie na pozór chłodnym (tym samym rozumnym) patriotyzmem, świadomością, że każdy naród jest tyle wart, ile wnosi do skarbnicy kultury światowej. Oczarował soczystością języka, tu ukłon dla tłumaczy, ale i tkliwością tegoż. Rozwagą nad codziennym trudem, ukazywaniem piękna i dostojeństwa w czynnościach pozornie pospolitych, takich jak: skopanie grządek, wystruganie nowego koryta dla świń, warzenie listopadowego piwa, oczyszczanie stawów, wałęsanie się po lesie. Uwiódł doborem tematów. Odurzył elegancją stylu i spójnością kompozycyjną. Nie odczuwa się, aby autor *Kamieni z nieba* męczył się pisaniem, co później nieomylnie wychwyciłby czytelnik udręczony czytaniem. Proza Krossa jest w stanie unieść czytelnika, po prostu taka jest, gdyż posiada cztery podstawowe cechy rasowego pisarstwa: jest konkretna, realistyczna, bogata (soczysta, jędrna), w konsekwencji piękna. Konkretna tak bardzo, że fragmentami wręcz naturalistyczna (przejmujący opis kaźni z *Czterech biczy czarnej śmierci*). Jeżeli Kross pisze – podróż z dziesięć wiorst z a do b, to i na mapie, tej dzisiejszej, zgadza się, z a do b jest około dziesięciu kilometrów. Jeśli opisuje gospodarstwa, to one do dziś istnieją, w jednym z opisywanych domów sam mieszkał czas pewien podczas studiów w Tartu. Do jego czasów – jak pisze – dotrwały drzwi z niskim nadprożem, pamiętające dotknięcie włosów Timo koloru *łosiej* sierści. Dodam, że taka kompozycja sprawia, iż proza Krossa jest rozpoznawalna już po paru zdaniach, zatem można mówić o jego specyficznym, niepowtarzalnym języku.

Jaan Kross i Nagroda Nobla, dlaczego jeszcze jej nie dostał? Sam podpytywany, kluczy – *Jeśli otrzymałbym ją w latach 1990-1991, a miałem wtedy*

realną szansę, to byłaby decyzja bez wątpienia polityczna, bardzo tego nie chciałem, później zaszkodziła mi katastrofa promu „Estonia", wszystko co estońskie źle się Szwedom kojarzyło.

Dla jasności, jeśli już musi być polityka, a w tej części Europy zdecydowanie musi, Kross za sowieckich rządów był doceniany. Od 1985 Ludowy Pisarz ESRR, członkiem związku pisarzy ESRR został już w 1958. Także ówczesna, oficjalna krytyka dostrzegała i ceniła jego pisarstwo. W „Literaturnoj Gazecie" można znaleźć takie opinie: *jego książki są głęboko intelektualne* (to mógł być druzgocący zarzut – T.Z.), *język obrazowy* (stwierdzenie neutralne – T. Z.) *i bogaty, sytuacje doskonale spuentowane, często także paradoksalne, a postacie pełne pasji i niepowtarzalne. Jego ulubionymi bohaterami są ludzie przewrotnie szczęśliwi, którzy myślą o innych ludziach* (w tamtych czasach ogromny plus – T.Z.).

Swego rodzaju oczarowanie polityką nie minęło wraz z odzyskaniem niepodległości. W roku 1992 Kross wystartował z listy Sojuszu Wyborczego „Umiarkowani" – Mõõdukad i 20.11.92 r. został jednym z dwunastu posłów z tego raczej lewicowego ugrupowania. Zastrzega się, że było to poniekąd spłacenie rodzinnych zobowiązań, swego czasu jego ojciec, w pierwszym okresie wolnej Estonii, wszedł do rady miejskiej Tallina z listy socjaldemokratycznej, jako człowiek Otto Strandsmanna. Sam Kross w Riigikogu (estońskim parlamencie) zdobył sobie opinię kogoś emanującego wielkością, legitymisty (zaciążyło wykształcenie) i doskonałego mówcy, ale posła raczej pasywnego. Oczywiście żarliwej aktywności nikt po takim pisarzu się nie spodziewał, on miał tonować spory i ustanawiać standardy. Znużył się, szczęśliwie do końca polityką się nie zachłysnął, w kolejnych wyborach nie wystartował.

Warto dodać, że jako kandydat do Nobla brany pod uwagę jest też drugi znakomity estoński poeta, pisarz, tłumacz, laureat nagrody literackiej krajów bałtyckich z 1997 roku Jaan Kaplinski (syn Jerzego Kaplińskiego, Polaka, wykładowcy uczelni w Tallinie i w Tartu, lektora języka polskiego, uczestnika wojny roku 1920, wreszcie łagiernika). Maleńki kraj, a dwaj giganci literatury. Cóż, małe narody cechuje zdolność obdarzania całej ludzkiej społeczności wielkimi artystami, w skali znacznie przekraczającej wszelkie proporcje. Przykładem Islandia, kraj o populacji równej Kielcom, który wzbogacił kulturę światową o takie nazwiska jak Gunnarsson i Laxness. Podobnie Estonia dała światu trzech wielkich pisarzy: Antona Hansen-Tammsaare, Eduarda Vilde i Jaana Krossa. Na ten kreacyjny wymiar prozy estońskiej zwracał uwagę Andrzej Drawicz, przeciwstawiając bardziej pogodzonych, melancholijnych Łotyszy, doskonałych poetów, mrocznym Estończykom. Jako sztandarowy przykład upodobania do metafory i anonimowych wyroków, kafkiady na pograniczu snu i jawy, plątaniny niedomówień, cytatów, aluzji, błądzenia i odnajdywania się w nieoczekiwanej zmianie miejsc, ich gry z losem podawał twórczość nowelistyczną Arvo Valtonena. Dużo można wytłumaczyć hermetycznością estońskiego języka (trudniejszego niż język węgierski), zdecydowanie chłopskim rdzeniem nielicznego – ledwie 1400 tysięcy – narodu, wciśniętego pomiędzy dwie do niedawna ekspansywne nacje: Niemców i Rosjan. Jeszcze ważna informacja: 22% powierzchni kraju to wody, bagna i moczary, w stanie wolnym żyją tu wilki, niedźwiedzie, łosie. Inny kraj, jak z bajki, kraj swobodnego „skandynawskiego" oddechu. Estończycy z dumą podkreślają: nasze barwy narodowe, niebieska, czarna i biała odpowiadają umiłowaniu wolności, czarna symbolizuje z takim trudem odzyskaną niepodległość, biała zapowiada jasną przyszłość. To kolory nordyckie, a nie bałtyckie (Estończycy chętnie przyznają się do związków z Finami, Szwedami, zaś do asocjacji z Litwinami, Łotyszami wstrzemięźliwiej). Ani jednego ciepłego koloru, takiej kombinacji kolorów nie używa żaden naród, jesteśmy jedyni, a nasz hymn to nasze wyznanie wiary – Mu Isamaa – Nasz ojczysty kraj. Estończycy są narodem chłopów, rybaków, drwali, narodem blisko związanym z ziemią, niebem, lasami, wo-

dami, to tłumaczy popularność takich symboli jak jaskółka – dymówka i pospolity chaber. Chaber rośnie w zbożu jako chwast, na ugorach, przy drogach, przez swą wszechobecność stwarza codzienną więź chłopa z chlebem, żytem, orką, żniwami. To także zioło, leczy dolegliwości wątroby, gardła, jamy ustnej. Jest z człowiekiem na złe i dobre. Historia nie była łaskawa, dość powiedzieć, że estoński Kraków – uniwersyteckie Tartu, czyli dla nas i Niemców Dorpat, zaś dla Rosjan Juriew, płonęło 55 razy.

Kross powątpiewa, czy gdyby w 1944 uciekł jak wielu na Zachód, zostałby pisarzem, estońskim pisarzem, który odniósł światowy sukces. Przypuszcza, że zostałby lektorem marginalnego języka, może wykładowcą na podrzędnym uniwersytecie. Nie obnosi się w glorii męczennika, nie biczuje innych. On po prostu pisał, subtelnie, po mistrzowsku, tak, że prymitywna cenzura puszczała mimo uszu „ciche" uwielbienie dla małej ojczyzny. Sztampowy walec „urawniłowki" swoje, a Kross – skutecznie własne. Nie ma Związku, a jego pisarstwo przetrwało. W latach dziewięćdziesiątych nowsze utwory Krossa przetłumaczono na duński, niderlandzki, angielski, fiński, francuski, niemiecki, włoski, norweski, litewski, portugalski, rosyjski (jednak!), hiszpański, szwedzki, a na polski już nie. Dla polskich wydawców jest obciążony, nie jest twórcą z kręgu modnego języka.

Kross jest pisarzem dosyć zachowawczym w formie, w budowaniu fabuły nawet rygorystą. Prowadzi akcję wielowątkowo, lubi przemieszczać bohaterów w czasie, powraca do pewnych wydarzeń z dwóch, trzech punktów widzenia. Jak to bywa w przypadku „urodzonych" pisarzy, których już Opatrzność wyposażyła w talent, największe znaczenie miało dla niego dzieciństwo. Zimne morze, zaledwie 100 metrów od domu na Rybackim Nabrzeżu, stale obecne, przenikające wszystko słone zapachy portu, plaża, pojękujące łodzie rybackie, surowi ludzie morza, piana morskiej wody dobijająca się do okna. I stary Tallin, jego zabytki, podania, Gruba Małgośka (wieża będąca symbolem miasta), kościoły rywalizujących świętych Mikołaja i Olafa, szczególnie zapamiętany jako miejsce osobiste długi ceglany staromiejski mur, pod którym grał w piłkę z synami rybaków, marynarzy, dokerów. Literackim backgroundem Krossa stały się ze swadą opowiadane gawędy, wspomnienia, zmyślenia dziadka, niegdyś kowala na kolei i wagabundy. Dziadek wspominał, sporo fantazjował, do własnych przeżyć wkomponowywał lektury, historie zasłyszane w szynku czy u fryzjera o dawnych czasach i minionych zdarzeniach. O pastorach, którzy wędrowali od chaty do chaty, od myzy do myzy, z targu na targ, zbierając ludowe pieśni i baśnie, o tych budzicielach estońskiej świadomości narodowej, z reguły bałtyckich Niemcach, ale wielkich patriotach tej ziemi. O szalonych baronach, ich rozkapryszonych żonach, gruźlikach-poetach, parobkach-chwatach, gołymi rękoma potrafiących zadusić niedźwiedzia, o duchach, zakopanych skarbach, cmentarzach z czasów czarnej śmierci, diabłach różnego autoramentu, posępnych rycerzach. Na koniec, zwłaszcza gdy w starej głowie zaszumiało piwo, o Wanapaganach, okrutnych olbrzymach ciskających głazami, o bogu – odtrąconym, wypędzonym na bagna – Uku. Jeszcze legendy Tallina, opowiadane na każdym rogu, choćby ta: Jesienią, co roku o tej samej porze, o zmierzchu, z mgły wyłania się z jeziora Ülemiste postać starca w mokrej opończy. Starzec powiewa długą popielatą brodą i pyta pierwszą napotkaną osobę – Czy Tallin został już zbudowany do końca? Należy odpowiedzieć, że nie i że dużo jest jeszcze do zbudowania. Każda inna odpowiedź będzie miała katastrofalne skutki, jeśli starzec usłyszy, że miasto już zostało zbudowane, to wtedy wyleją wody jeziora Ülemiste (położonego wyżej w stosunku do większości dzielnic) i zatopią Tallin. Z wyjątkiem wzgórza Toompea, najstarszej części miasta, ale, zgódźmy się, to marna pociecha.

Potem młodego Krossa dopadło, na krótko, zafascynowanie techniką, odurzenie naukami ścisłymi, chemia, biologia, fizyka, eksperymentował, coś tam wybuchło, okropnie śmierdziało.

Okiełznany przez domowników przysiadł przy biurku i zaprojektował wehikuł: połączenie łodzi podwodnej, samochodu pancernego, samolotu i żaglówki. Zaprojektował, nie zbudował. W międzyczasie, przy okazji, sprokurował obrazki z natury na szkolny konkurs dla młodzieży piszącej, na tyle dobre, że mając 14 lat zadebiutował w „Estońskim Magazynie Czerwonego Krzyża dla Młodzieży". To był sukces, powrócił, jak on to nazywa, do „humanizmu". W 1936 w prestiżowym piśmie „Looming" („Twórczość") opublikował szereg miniopowiadań. Szczególnego sukcesu nie odniósł, ale rozsmakował się w pisaniu. W 1938 podjął studia na wydziale prawa uniwersytetu w Tartu. Jak przyznaje, nie z przekonania, lecz z braku lepszego pomysłu na siebie. Ponadto prawo wydawało się przepustką w miarę dostatnią przyszłość. Tak, bezsprzecznie Krossa cechuje poważny stosunek do wszystkiego, co robi. Ta powaga przenosi się również na twórczość, Kross opatruje swoje utwory w posłowie, wyjaśnia, podaje źródła, cytuje listy.

Niewątpliwie jego pisarstwo nie ma nic wspólnego z natrętną pisaniną – jakby się wyraził Leopold Buczkowski – *o pęczaku*. Tworzy, gdyż ma przekonanie, że umie to robić i co ważniejsze wie, po co to robi. Wybiera tematy, które go intrygują, można rzec uzupełnia twórczo historię własnego narodu. Nie zapominajmy, że literatura estońska jest literaturą bardzo młodą, pierwsza gramatyka języka powstała w 1637 roku, niewiele wcześniej niż tak egzotyczna gramatyka lapońska z 1649 roku. Jeszcze do niemalże początków XIX wieku istniało niebezpieczeństwo, że dwa języki używane na terenie dzisiejszej Estonii: północnoestoński (gubernia estlandzka) i południowoestoński (gubernia inflancka) się nie zjednoczą.

Z mniej znanych u nas utworów Krossa należy przywołać *Trzecie góry*, minipowieść podejmującą ważki problem etycznej odpowiedzialności twórcy za własne dzieło. Oto Johann Köler – pionier estońskiego malarstwa, doświadcza, w zaledwie kilka dni 1879 roku, całej bolesnej strony, jaką przynosi etyczny wymiar dzieła. W dramatycznych okolicznościach odkrywa, że model, który posłużył mu do przedstawienia osoby Chrystusa na fresku *Wstąpcie we mnie* w szacownym kościele świętego Karola, zresztą model bardzo dobrze odbierany przez otoczenie, okazuje się być skończonym łajdakiem. Z dramatyczną siłą rodzi się problem winy i odkupienia, czy ktoś grzeszny, zdeprawowany, przez sam fakt, iż jego postać posłużyła dobru i pięknu, w tym wypadku pięknu uświęconemu, nie dostąpił tym samym przez doskonałość ciała oczyszczenia? Czy my, śmiertelni, mamy prawo go sądzić i potępiać? *Trzecie góry* ukazują proces swoistego porażenia przez nadzwyczajną siłę artystycznej kreacji i zarazem poświadczają sakralność sztuki.

Opowieść z Rakvere (inny tytuł *Bunt mieszczan*) przynosi rozbudowany obraz walki małomiasteczkowej społeczności o swoje prawa, powiedziałbym, „samorządowe". Rzecz dzieje się w północnej Estonii drugiej połowy XVIII wieku. Ten utwór jest momentami socjologiczny, nawet drapieżny i najbardziej ze wszystkich utworów Krossa oparty na faktach. Tu imaginacja pisarska została znacznie powściągnięta, wyłącznie tyle Dichtung, na ile przyzwala Wahrheit.

Kolejna powieść to *Odejście profesora Martensa* – forma momentami przeradza się w oniryczną, nostalgia ma tu swoje uzasadnienie w treści. Otóż stary człowiek, Friedrich von Martens, zgorzkniały dyplomata światowej sławy, doceniany, orderowany, podróżuje dwojako: koleją z Parnawy (tej samej, której tytularnym cześnikiem afiszował się być imć Pan Seweryn Soplica) do Sankt Petersburga i jednocześnie w głąb swej pamięci, sumuje, wspomina, kolejny raz poszukuje odpowiedzi na powracające pytania: Czy jego życie miało sens? Czy to, czego dokonał, przetrwa? Krajobrazy za oknem umykają jak odrzucane kamienie, pije się herbatę, pali, czyta gazety, nikt się tak naprawdę nie spieszy, każdy chętnie rozmawia ze zmieniającymi się towarzyszami podróży, pozwala to na obserwację, a profesor Martens bezskutecznie poszukuje godnego swojego umysłu partnera do dyskusji.

Z nowelistyki należy wymienić zbiory opowiadań: *Wykopaliska*, *Sprzysiężenie*, *Echa przeszłości*, *Miejsce spotkań* oraz – najważniejszy – *Pod okiem Klio*, z którego pochodzą *Cztery wezwania z przyczyny Świętego Jerzego* i *Immatrykulacja Michelsona*.

Intrygujący, bo ambiwalentny, jest stosunek bohaterów powieści Krossa do Polski. Parę tylko przykładów. W *Trzech biczach czarnej śmierci* Palla owiewa mgliście, więcej, zwodniczo zapach (nie aromat) nieuchwytnej, przez to powabnej odmienności, soczystości strojów, swobody zachowania, urody kobiet, jednocześnie odrzuca odór obłudy, wyniosłości wobec innych kultur, obyczajów, języków, katolickiego kadzidła, wielkopańskiej pychy, pogardy dla codziennego mozołu. Tak mu pachnie Polska. Pachnie, jakoś pachnie, dobrze, że nie mdli, ale bohater wyżej stawia milczących i chłodnych Szwedów – ludzi rzemiosła i ciężkiej pracy, i nawet, rzadkość, (gdyż on wykształcony Est – wówczas mówiło się Est – wie więcej i doświadcza więcej niźli jego ojciec, człowiek z nizin społecznych, furman) praktycznych Niemców – ludzi pieniądza i szkół, ale przecież ciemiężycieli.

Z kolei Polska subtelnemu poecie Kristianowi Jaakowi Petersohnowi z powieści *Kamienie z nieba* jawi się jako mityczna ojczyzna jego wcześnie zgasłej matki. Zapamiętał: ręce matki-Polki pachniały koniczyną, ona wywodziła się z narodu miast, książki, królów, własnego państwa – niegdyś mocarstwa. To przez jej pamięć nie został Niemcem, nie sprzedał się jak Judasz, bo jakby mógł, przecież dla jego ojca, człowieka z gminu, ona porzuciła swój zasobny kraj i poszła pomiędzy obcych ludzi.

Timotheus von Bock uwięziony w twierdzy Schlüsselburga, udręczony, w samoobronie, aby nie oszaleć, na głos godzinami powtarza polskie wiersze, myśli po polsku i to przynosi mu ulgę. W domu von Bocków nie tyle się czyta, co bywają polskie książki.

To miłe, choć jak na długie i niegdyś zawiłe stosunki polsko-estońskie (lepiej powiedzieć inflanckie) Polska, Polacy, motywy polskie w twórczości Krossa są bardzo wąskim, acz uzasadnionym marginesem.

Może również dlatego moim ulubionym utworem są *Kamienie z nieba*. Kameralne acz wyraziste studium w trójkącie oczarowania, wyrachowania, zakłamania. Utwór wyzwanie dla autora, jakie bogactwo, jaka złożoność w tak ograniczonej formie minipowieści.

Postacie z książek Krossa to z zasady osoby niegdyś żyjące i co istotne – tuzy kultury estońskiej, bądź też osoby autentyczne, chociaż nie odgrywające pierwszoplanowych ról, ale o szczególnych cechach osobowości bądź nadzwyczajnych kolejach losu. Taką postacią jest moja ulubiona, też kiedyś w rzeczywiści kochająca i cierpiąca, wyrazista i urocza Eeva-Katharina – Kitty von Bock, jedna z najpiękniejszych i najgodniejszych postaci kobiecych w całej literaturze światowej. Z chłopskiej córki dama, przed którą kapelusza w szczerym podziwie uchylali i generał, i poeta (nie byle jaki poeta – bo Wasyl Żukowski). Ba, nawet matka cesarza zdobyła się na miłe słówka i zachęcała, aby siadać i pospołu grzać dłonie przy kominku.

Kross pisząc, przyjmijmy, że o „neutralnych" postaciach z bezpiecznej, gdyż odleglejszej estońskiej historii, jak malarz i rzeźbiarz trzech władców Michel Sittow, kronikarz Balthasar Russow, lingwista, badacz natury, kostyczny pastor Otto Willem Masing, geniusz poetycki i poliglota (16 języków... czy coś koło tego, w tym także polski), cudowne dziecko, zgasły jako 21-latek Kristian Jaak Petersohn, renomowany malarz, akademik Johann Köler, uznany za szaleńca przez dwóch cesarzy – łagodny desperat, jakobin-arystokrata Timotheus Eberhard von Bock, dyplomata i prawnik, profesor Friedrich von Martens, generał, pogromca Pugaczowa, parweniusz „wielka morda" Johann von Michelson, pierwszy profesjonalista w dziejach estońskiego dziennikarstwa, budziciel świadomości narodowej Johann Voldemar Jannsen, lekarz, pisarz, wreszcie kompilator narodowego eposu *Kalevipoeg* (*Syn Kalevy*) Friedrich Reinhold Kreutzwald. Na marginesie nasuwa się refleksja, jakaż gorzka bywała historia tego maleńkiego narodu; po latach, już w wolnym państwie, wnuczka owego Kreutzwalda wybrała ku szczerej rozpaczy Estończyków opcję niemiecką i na jesieni 1939 na wezwanie Hitlera opuściła Estonię. Podobnie uczynił wnuk wspominanego Johanna Voldemara Jannsena.

Żal i niedosyt, że Kross w swych najlepszych latach pisarskich o dwóch wielkich Estończykach nie mógł napisać: o generale Johanie Laidonerze – zwycięskim wodzu z okresu vabadussoji (wojny wyzwoleńczej z bolszewikami 1918-1920) żonatym z Polką. A przede wszystkim o Konstantinie Pätsie, który jest tym dla Estończyków, kim dla Polaków Piłsudski. Päts skończył życie tragicznie, w sowieckiej psychuszce w 1956 roku. Notabene przypadek polskiego mariażu Laidonera, świetnie posługującego się językiem polskim, nie był odosobniony. Innym przykładem, szczególnie znaczącym, doceniania Polek przez polityków krajów bałtyckich był Antanas Smetona, prezydent Litwy i oględnie mówiąc antagonista polskiej polityki, żonaty z Polką z domu Chodakowską. To że zwalczał polskie wpływy na Litwie i wokół Litwy, nie przeszkadzało mu posłać dzieci do polskiego gimnazjum w Kownie. Wielu (jak na tamtejszą małą siłę zbrojną) oficerów przedwojennej armii estońskiej po studiach w Szkole Głównej Wojennej w Rembertowie nie tylko ze znajomością języka polskiego powracało do ojczyzny.

Przyznaję, lubię, fascynuje mnie ten maleńki, dzielny, cichy kraj na skraju mapy (niegdyś tak pogardzana Czudź), więc trudno mi zdobyć się na należytą dyscyplinę, stąd tyle dygresji. Należy przypomnieć, że w latach 1918-1920 milionowa populacja, rozsadzana od środka bolszewicką agitacją była w stanie, to niewiarygodne, wystawić sprawną, bardzo bitną 100-tysięczną armię, obronić swą ledwie co uzyskaną po raz pierwszy w dziejach niepodległość, wywalczyć korzystne granice, pokonać bałtycko-niemiecką irredentę i jeszcze skutecznie wspomóc sąsiednią Łotwę, i to wszystko przy minimalnej pomocy z zewnątrz. A dziś udaje mu się osiągnąć 10% coroczny przyrost dochodu narodowego.

Nasuwa mi się, trudne do uzasadnienia, raczej wynikające z intuicji skojarzenie Krossa z Andrzejem Kuśniewiczem, ściślej, ich metod pisarskich. Obaj wyszli z poezji (Kross także z satyrycznej, a odniósł na tym polu znaczne sukcesy – nagroda imienia Juhana Smuula w 1983 roku), ale szybko przeszli do prozy. Dlaczego? Po prostu nie mieścili się w poprzedniej formie, rozsadzali ją, może dlatego, iż obaj posiadali mocne podstawy, jakie daje wykształcenie w renomowanej uczelni, obaj byli erudytami. Są różnice, subtelne, ale znaczące, erudycja Krossa nie jest nachalna, a rzetelna, chłopska. Stąd jego proza nie jest przeładowana, szczęśliwie nie ma nic z prozy powieści profesorskiej, jaka odradza się karykaturalnie, okadzana ostatnio w polskiej literaturze. Tą świeżością jest w stanie zdobyć czytelnika. Do jego książek się powraca, jak do książek Hrabala czy Haszka, zawsze odnajdując w nich coś ożywczego, jakiś nie odczytany trop, scenę, która się przyśni. Obaj (Kross i Kuśniewicz) wreszcie są rzetelnie osadzeni w realiach opisywanych krain. Z premedytacją użyłem terminu krain. Estonia Krossa podobnie jak Galicja Kuśniewicza jest, a ściślej była, przede wszystkim po stronie mgły, z mitów, pragnień, ładu, elegancji i szczypty sarkazmu.

Nie znam ostatniej powieści Krossa: *Paigallend* (*Krocżące powietrze* – ?), za którą otrzymał Nagrodę Narodową w 1998, potwierdzoną czekiem na 100 000 estońskich koron. Tak na marginesie, nie są to oszałamiające pieniądze, ale zauważmy, że nakłady rodzimej literatury w Estonii są za to zdumiewająco wysokie. Pod tym względem, na szczęście, niepodległość nie wyrządziła szkody literaturze. To, że ostatnia powieść Krossa nie została przetłumaczona na polski, nie jest, przyznaję, dostatecznym usprawiedliwieniem.

Do tego, co powiedzieliśmy już o Jaanie Krossie, trzeba dodać, że jest również bardzo płodnym tłumaczem z siedmiu języków, ma w swym dorobku utwory takich twórców jak – Heine, Zweig, Brecht, Balzac, Béranger, Rolland, Carroll, Shakespeare, Gribojedow, Gonczarow, Błok, Jesienin.

Kross prywatnie, jak typowy nordyk, niewiele mówi o sobie, o życiu prywatnym: niewiele tego, żona, Ellen Niit, jest autorką książek dla dzieci, nie tylko dla dzieci, wspólnie napisali książkę zaklasyfikowaną jako podróżnicza *Ziemia i marmur*. Mają trzech synów i dwie córki. Jako hobby Kross podaje śmiejąc się: wyczekiwanie na inspirację twórczą, najlepiej na kanapie.

Ellen Niit jest polskim czytelnikom znana, choćby z uroczej książeczki *Pille-Riin* wydanej w 1982 w „Czytelniku" w przekładzie Aarne Puu. Jest pisarką bardzo cenioną, tak w Estonii jak i poza jej granicami, o czym świadczą liczne przekłady.

Czy Kross otrzyma należną mu Nagrodę Nobla? No cóż, wyroki akademików ze Sztokholmu bywają zaskakujące. Więcej jest przykładów na nie. Iwaszkiewicz nie, Hrabal nie, Borges nie, innych też przykro wyliczać, a co w jego przypadku? Jeśli dotrwa (ma osiemdziesiąt jeden lat, urodził się 19 lutego 1920 roku, zatem w ostatnim dniu ery Wodnika), ufam, że ją dostanie. Przecież właśnie ponownie weszliśmy w erę Wodnika, a ponadto się o to założyłem.

Kielce, marzec 2001

Tadeusz Zubiński

Autor pragnie serdecznie podziękować pani Marioli Przygodzie z Ambasady Republiki Estońskiej w Warszawie za pomoc w zgromadzeniu niezbędnych materiałów.

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Norbertinum", Lublin 2001

Problemy frazeologii europejskiej. Red. Andrzej W. Lewicki. T. 4 (2001), ss.100.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek: *Odlot*. Powieść. Ss. 191.

Marian Makarski: *Dom mojego ojca*. Powieść. Ss. 221.

Marianna Olszewska: *Smak jesiennych poziomek*. Poezje. Ss. 72.

Zbigniew Puchalski: *Biała melancholia*. Opowiadania. Ss. 60.

Ks. Jan Śliwiński: *Moc przemiany*. Rozważania. Ss. 114.

Leszek Wójtowicz: *Trzydzieści jeden*. Poezje. Ss.15

Piotr Weiser: *Ksiądz Zygmunt Chmielnicki 1891-1944*. Ss. 85.

KACPER BARTCZAK

Znikający punkt

Łzy chodzą po ulicy Widzą je
łzy w oknach Coś
się nad nami rozchyla
Coś wciąga Jesteśmy podobni
jak dwa tysiące kropli wody

My nie wyluzowani niewymowni My
co nie kumamy dnia Świat
nie chce tego listu Jego błysku
który niesie świat w blasku oczu
które przyświecają celom ulicy

Ulica jest w drodze do braku
przymusu nocą zrobioną na biało
z czyichś wspomnień Na gorąco
wciąga cię miłość po uszy
po odmęt rąk i nóg

samego nie własnego ja Ktoś
nas spiął Wspięła się na palce
i zobaczyła koniec Zacisk
który wszystkich łączy Nas
bohaterów nerwowych zakończeń

Świeża mapa

Tutaj wszędzie potoki Łoskot
utwierdza je w dnach
kolejnych geologii aż wyżłobią
łoże snów

Grawitacja matkuje
naszym górom Naszym potokom
śnią się pustynie jak kobiety
a dla nas zostają soki
które krążą w drzewach i czerwienią
palce gdy podajesz jej do ust
czarne jagody

Gdy zszedłem z gór po dniu słońca
i mgieł chciałem
iść dalej

aż po cieniste zakole
z okiem pstrągów
które szaleje przy dnie

Gleba wulkaniczna

Żyją w obfitości asfaltu
Kochają jego błękit
ale o nim nie mówią Milczałem
do czarnej ściany bez drzwi
Każdy sam musi je sobie otworzyć

Wokół toczy się żelazo losu
i nagląca jest nuta w czyimś głosie
Wszystkie podania które napisałem
zostały odrzucone przez wysoki rząd
topoli Piszę następne

i stąpam po wodzie co dzień
lecz nie potrafię wam o tym donieść
waśza miłość doceniam gest
niezaangażowania Jest piękny
wystudiowany i coś daje

na drogę Chodzimy po podłodze
która się nie brudzi Nasze jest życie
jak we wstępnym akapicie na papierze kwarcowym
Każda ziemia pali stopy Plewy
twardo trzymają się ziaren

Ludzkie stworzenia

końce wieczności zrastały się szybko
Wisława Szymborska: *Krótkie życie naszych przodków*

Jest przestronnie Rozmowa
rozpościera płachtę poranka
i rozciera dłonie Dziś będzie
padał śnieg a my będziemy
zostawiać w nim ślady
które znikną

Nasze dachy są spadziste Nasze myśli
są jak żyły

wiążące samoistne
utlenione ściany schroniska

Mgła śpiewa w biegach rzek
i karmi oko radością W szarościach
pozwalamy się nieść Ludzie
w drodze od drzwi do drzwi

A nocą będzie czerwień gwiazd
żeby wszystko jeszcze raz opowiedzieć
pobyć trochę w domu
osiąść w siedzibie mgnienia

od błysku do błysku

Wizje nie nad tą zatoką

Jakie budynki zbudowały zdanie
Jakie meble wykarmiły ciało
Czyje cienie naświetliły zabawę
w myślenie Wystarczy garść słów
wysiana w świat i wschodzą płuca i wątroby
prawdziwe narządy mowy

Mam w głowie kawałki języka
Siedzą i jedzą mnie odkąd tu wsiadłem
Odkąd się na sobie poznałem jestem
nieswój nie twój niczyj nieboski
Jestem z danych składowanych
wśród chrzęstu płynnej wymiany

Na oślep wybierz stronę
w którą można się zapatrzyć
Każda przynosi śmierć i życie Kości
królestwa które rośnie w tobie
gdy król przedłuża polowanie
i ludzie zajmują swoje stanowiska

Tryb przenikający

Ktoś zagarnął niebo
ogromnym aparatem fotograficznym
i powiesił je sobie na szyi
Po całym dniu ciemność
wywołała go do tablicy

Nasze tablice są białe
i nas prześwietlają

Tak rodzą się grona
słodkich mórz Kobiety
malują ciała kolorem policzków
i okazują dobroć
Lunatycy dzielą się ujęciami
srebrnego ekranu Wszyscy oddają się
przyjemnościom przemiany
wody w wino i wino
im na to pozwala z miłości
do otwartych dłoni
które na swoje usprawiedliwienie trzymają
nie swoje ciepło które splatają

Stopniowo śnimy
o życiu jakie byłoby
gdyby igły gwiazd
zszyły nas pod innym kątem

Dom którego nikt nie zbudował

Jest tak
jakby moje okno
wychodziło na niewidoczny hotel

Bohdan Zadura: *Brzózka na murze*

Osty i rumianki są niezwykłe Rosną razem
w zrudziałym kamieniu nasypu Niepokoją
patrzących z okien wagonu
którzy nie znają rozmiarów opóźnień

i uparcie przewożą bagaże twarzy
z miasta A do miasta B Gdy wysiadają
ich myśli zostają w biegu
i to są twoje myśli

Dowodem niech będzie widzenie
kamienia peronu który stał się glebą
traw i paruje w słońcu Rozkład deszczu
wciąż nas wyprzedza Oto są

jego piękne ślady brzózki
na murach kamienic jak wieże widokowe
nad dalekim lasem i turyści którzy oglądają
pocztówki z miejsc w których są

Kacper Bartczak

MICHAŁ LEGIERSKI

Wola i ból istnienia

Z mroku nieświadomości do życia budzi się wola jako indywiduum w bezkresnym świecie pośród niezliczonych jednostek; i jak przez sen trwożliwie spieszy z powrotem do dawnej nieświadomości.

(Artur Schopenhauer, *Die Welt als Wille un Vorstellung, Sämtliche Werke*, II, s. 733)

Sztuka ma w sobie coś tryumfalnego, nawet gdy załamuje ręce.

(Witold Gombrowicz, DI 125*)

Filozofowie od dawna podejmowali problem okrucieństwa i cierpienia istnienia. Thomas Hobbes w *De cive* (1642) powołał się na sentencję *homo homini lupus*. Człowiekowi w każdym momencie grozi śmierć z ręki bliźniego, zbiorowością ludzką rządzi zasada walki wszystkich przeciw wszystkim, *bellum omnium contra omnes*. Immanuel Kant (1724-1804) medytował nad ułomnościami i mrocznymi skłonnościami ludzi, jak: pijaństwo, obżarstwo, lubieżność, anarchia, egoizm, podejrzliwość, *vitiositas, parvitas, corruptio*, złośliwość, zepsucie, przewrotność. Filozof z Królewca nawiązał do Hobbesa, mówiąc że człowiek, nieufne dziecko brutalnej natury, jest w stanie ciągłego pogotowia wojennego.[1] Filozofowie zapowiadają to, co Charles Darwin (1809-1882) nazwie później walką o byt;[2] w naukowym ewolucjonizmie cierpienie staje się immanentne biologicznemu istnieniu, przeto nieuchronne.

Jeżeli chodzi o literaturę, to już pół wieku przed darwinizmem libertyńskie dzieła ateusza Donatien Alphonse François de Sade'a (1740-1814) wypełniają postaci, które wyzbywają się obyczajowych zakazów i w wyładowaniach tłumionych dotąd instynktów ujawniają swą prawdziwą naturę. Sceny orgii i sadystyczny seks potępiała hierarchia kościelna, w której racjonalizm oświeceniowy widział relikt reakcyjnej teokracji, trzymającej społe-

---

* Skróty przy cytatach z Gombrowicza: B – *Bakakaj*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957; P – *Pornografia, Dzieła zebrane*, III, Paryż 1982; DI – *Dziennik (1953-1956)*, VI, Paryż 197; DII – *Dziennik (1957-1961)*, VII, Paryż 1971; DIII – *Dziennik (1961-1966)*, VIII, Paryż 1971.

[1] I. Kant: *Schriften von 1790-1796*, herausgegeben von A. Buchenau, E. Cassirer, B. Kellermann, Werke, VI, Berlin 1914, s. 164-169.

[2] Charles Darwin swe tezy wyłożył już w 1844 roku w eseju o ewolucji i naturalnej selekcji, przy czym angielskie pojęcie *selection* dobitnie określa drastyczność tego procesu w wyniku walki o byt, *struggle for existence*, na język polski tłumaczone często jako „dobór naturalny" ze zbyt łagodną konotacją: „dobór" spokrewniony jest bowiem z neutralnym wyborem. Znane dzieło o długim tytule *On the Origin of Species by Means of Natural Selection or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life* ukazało się po raz pierwszy w 1859 roku, w krytycznej edycji dzieł zebranych: *The Works of Charles Darwin*, XV, New York University Press, Washington Square, New York 1988. Autor poprawiał swe dzieło, ostatnia wersja za jego życia, jako szósta z kolei po wydaniu z 1859 roku, ukazała się w roku 1876 ze skróconym tytułem *The Origin of Species by Means of Natural Selection*, gdzie określenie *walka o byt* występuje częściej niż w pierwszym wydaniu. (*The Works of Charles Darwin*, XVI, New York University Press, Washington Square, New York 1988.)

czeństwo w ryzach zinstytucjonalizowanej religii – przyczyny zabobonu, zacofania i opresywnego feudalizmu. Hierarchia ta nie dostrzegła jednak, że natura, która zastąpiła moralność i Boga, jest w powieściach markiza de Sade okrutna i zbrodnicza. Człowiek oswobodzony z ograniczeń dominuje drugiego, jak dziki zwierz.

Silny wpływ na literaturę końca XIX i XX wieku wywarł Artur Schopenhauer (1788-1860). Przyszedł on na świat w Gdańsku, w sześć lat po pierwszym rozbiorze Polski, w roku rozpoczęcia się Sejmu Czteroletniego i na rok przed wybuchem rewolucji francuskiej. Jego dzieciństwo przypadło więc na burzliwy okres w historii: intryg i krwawych rozgrywek między sankiulotami a jakobinami we Francji, której życie społeczne paraliżował terror. Zaś ta część Europy, w której Schopenhauer dorastał, była terenem machiawelicznych rozgrywek Prus i Rosji, aby zagarnąć jak największą część terytorium Rzeczypospolitej. Okoliczności dziejowe jakby sprzyjały temu, aby Schopenhauer stał się filozofem bezwzględnej woli.

Swe obserwacje nad okrucieństwem istnienia poczynił on w epoce rozumu, aby u progu romantyzmu ogłosić swe prekursorskie dzieło. Stało się ono biblią modernistów, rozczarowanych zmaterializowaniem społeczeństwa kapitalistycznego, wynikłym z rewolucji przemysłowej. *Świat jako wolę i wyobrażenie* (1819) przesyca pesymizm i niepokój, który nasili się pod koniec XIX i na początku XX wieku w wizjach katastrofy czy też końca starego świata, jak w *Budenbrookach* (1901) Tomasza Manna. Mechanizacja produkcji, szybka kumulacja kapitału na masowym rynku, rządzonym przez prawa dżungli, wzmagały zachłanność i gwałt gatunku ludzkiego aż do bestialstwa stada w komunizmie i nazizmie. Schopenhauer dynamikę rozwoju widział w spotęgowaniu tego tylko, co jest naturą żywych organizmów. Im mocniejszych i silniej ekspandujących, tym bardziej agresywnych i zadających więcej bólu.

Wola przejawia się w różnych postaciach – powiada Schopenhauer. Najpierw jako mechaniczny ruch biernej materii, następnie reakcja na światło i zjawiska atmosferyczne roślin, zaś wśród osobników fauny dochodzi jeszcze oddziaływanie wzajem na siebie. Od flory przez faunę po ludzi wzrasta aktywność i zaborczość. Pod promieniami słońca rośliny konkurują o teren wegetacji, zwierzęta, walcząc o byt, pożerają się nawzajem. Człowiek stojący na szczycie piramidy istot jest najwrażliwszy, ale i najbardziej zachłanny i okrutny.

Zjawiska wraz z otaczającą rzeczywistością wola stara się przekształcić tak, aby służyły człowiekowi. Jest ona przyczyną, która *Nebeneinander*, bycie obok siebie przedmiotów, przemienia w *Nacheinander*, w kauzalność.[3] A więc w porządek i związek poddany ukierunkowanemu dążeniu. Przedstawienia ludzkie modyfikuje wprawdzie konfrontacja z realnością, jednak głównie wyobrażeniem i siłą woli człowiek podporządkowuje sobie środowisko w budowli zwanej cywilizacją.[4]

Najczęściej umysł wykorzystuje wiedzę i dobiera metody tak, by właściwości bytów i zjawisk ułatwiały woli obiektywizację. W przedostatnim rozdziale traktatu *O woli w naturze* Artur Schopenhauer nawiązuje do Arystotelesa (*O niebie*, I, 12) mówiąc, że działanie ludzkie odsłania cechy rzeczy i kryjące się w nich możliwości, z których wola korzysta i tworzy nowe uwarunkowania. Receptywność sensualna, doświadczenie zmysłowe oraz wyobrażenie – to łączniki między podmiotem a światem, lecz aktywny jest człowiek.

[3] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*. Sämtliche Werke, I, Suhrkamp 1986, s. 128, 226-237, 155-159. Odwołuję się do wydania w oryginale, tłumacz na polski przyjął tytuł *Świat jako wola i przedstawienie*, przeł., wstępem poprzedził i komentarzami opatrzył Jan Garewicz, Biblioteka Klasyków Filozofii, PWN, Warszawa 1994.

[4] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit., s. 166-170, 460.

Indywiduum chce wedle tego, czym jest, ale też staje się tym, czego chce i do czego zmierza.[5] To dynamiczne sprzężenie sprawia, że byt to wola bytu: jesteśmy dążeniem i stawania się. *Stary Testament*, powiada Schopenhauer, „uczynił ziemię i ludzi dziełem Boga, *Nowy Testament* uczy, że zbawić i wyzwolić się z nędzy tego świata może jedynie sam człowiek, zmuszony stać się bogiem".[6] Myśli te podejmie zarówno Friedrich Nietzsche, jak i moderniści z Gombrowiczem na czele. Jesteśmy nie tyle bytem, co wolą bytu. Inni urabiają człowieka, lecz on także tworzy siebie w zależności od tego, do czego zmierza, co odrzuca i zwalcza. Pragnienie rodzi wyobrażenie czegoś i wolę urzeczywistnienia, możliwą jednak wśród innych, przez innych oraz w innych.

Jednostka może doznać niepowodzenia albo spełnić swą wolę, podporządkować sobie dany obiekt. Lecz wszelkie wysiłki i dążenia, *Bestrebungen*, obiektywizują się zawsze kosztem czegoś lub kogoś, wedle zasady: jedne istnienia żyją przez wyniszczanie innych. Przeto w świecie żywych organizmów istnieć – to znosić męki albo przysparzać ich innym.

Wola, przyczyna ruchu, jest zatem bezwzględną siłą, której Schopenhauer każe przeciwdziałać, zarazem zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby wszyscy zaczęli wygaszać wolę, to ludzkość zamarłaby w stagnacji i znikła z powierzchni ziemi. Wola, instynkt przetrwania – to źródło ruchu i życia, które przebiega w warunkach konfrontacji i zmagań, jak mówił Hobbes, dlatego egzystencja jest pasmem cierpień.[7] Statyczność i bezkonfliktowość – to śmierć; gdzie nie ma przeciwieństw i napięć, tam nie ma ruchu życia, któremu nieodłączne są okrucieństwa i ból. Walka o byt dzieli istoty na: pożerających – pożeranych, dominujących – dominowanych, wyższych – niższych.

Hobbes w *Lewiatanie* pisał o żądzy, którą gasi dopiero śmierć. Schopenhauer podejmuje tę refleksję, mówiąc o udręce niespełnionych pragnień i zaprzeczonej woli.[8] O tym, że zawiedzione oczekiwania są źródłem cierpień, mówił już Antystenes: *Non paupertes dolorem efficit, sed cupiditas*, nie ubóstwo, lecz żądza sprawia ból.

Rekapitulując, wystarczy powiedzieć, że przejawem praenergii przyrody[9] i sił witalnych jest wola, dążąca do samorealizacji. Jeżeli napotka na opór,[10] to podrażnione zmysły sieją zamęt w duszy jednostki. Każde zaspokojenie, jeśli gasi pragnienie, to tylko na chwilę, jak jałmużna utrzymując żebraka przy życiu. Z kolei potwierdzana wola staje się coraz bardziej zachłanna; ratunkiem przed jej żarłocznością jest świadome przeciwdziałanie tej potędze.

Wyrzeczenie się woli

Okrucieństwo życia-walki łagodzi samoograniczenie, uwrażliwienie na drugiego i rezygnacja z dokumentowania przewagi nad innym. Aby zmniejszyć udręki powodowane i doznawane, Schopenhauer proponuje tłumić potęgę woli aż do stanu *Wunschlosigkeit*, niepożądania niczego. Ponieważ nie zaspokojone pragnienia ranią subiekt, zaspokojone – obiekt, im większe wyswobodzenie się spod władzy ślepej i nienasyconej woli, tym większe uśmierzenie bólu. Gdy człowieka opuści nadzieja zdobywania, wtedy staje się on niezależny, osiąga równowagę. I jako obserwator ujrzy świat jako pole szachowe, na którym figury rozgrywają obojętne mu intrygi.

Wypowiedzenie wojny własnemu egoizmowi, aby innym oszczędzić męczarni, to szlachetny akt zwrócenia się przeciw samemu sobie. Różne kultury

[5] A. Schopenhauer: *Über den Willen in der Natur*. Sämtliche Werke, III, Suhrkamp 1986, s. 474-475.

[6] Idem, *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit., s. 447.

[7] Ib., s. 218, 159, 229.

[8] Ib., s. 143-144, 155.

[9] E. Cassirer: *Idee un Gestalt. Goethe, Schiller, Hörderlin, Kleist*, Darmstadt 1971, s. 169.

[10] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit., s. 203, 155.

w rozmaity sposób wskazywały drogę wyjścia z zaklętego kręgu bólu doznawanego i zadawanego. Buddyści odradzają na przykład krzywdzić zwierzęta i inne istoty wraz z najmniejszymi nawet insektami, człowiekowi natomiast proponują *nirwanę*, czyli rozpłynięcie się *ego* we wszechświecie. Do czegoś podobnego przekonywał Epikur: wyzbyć się iluzji i doprowadzić się do stanu rezygnacji, *ataraksji*, czyli niewzruszonego spokoju.

Duchowość pierwotnych braterstw chrześcijańskich zmierzała do poskromienia niskich instynktów jako źródła przemocy. Jeśli gwałt i okrucieństwo odpłacać tym samym, według prawa odwetu „ząb za ząb, oko za oko", to ludzie nigdy nie wyzwolą się z piekła brutalności i cierpienia. A dobro, jeśli walczy ze złem jego metodą, przestaje być dobrem – zwyciężać natomiast winno współczuciem, łagodnością, pokorą. Matka bolejąca, jej ból po śmierci ukochanego Syna na Krzyżu, wskazała kierunek i stała się symbolem dla odgałęzienia protestanckiego kościoła w XVII wieku, zwanego Pietyzmem, który dążył do pogłębienia miłosierdzia i wrażliwości na cierpienie.

Wzorem godnym naśladowania jest w rozważaniach Schopenhauera *anachoreta* (od greckiego 'anakhore'in' – wycofać się w zacisze); rozdaje dobytek biednym, jeśli go posiada, by na odludziu skazać się na wygasanie życia, ze śmiercią głodową włącznie. Wojna z własnym egoizmem, *Selbstverneinung*, autonegacja, ujarzmia zmysły, aby zdobyć spokój. Chrześcijański pustelnik na przykład opuszcza środowisko rywalizacji, intryg i trosk, aby na odludziu osłabiać swe ciało. Ascezą usypia pożądanie i wycisza łaknienie, kiełzna wigor i sobkowstwo, aby likwidować cierpienia – sprawiane i znoszone. Ciało jest siedliskiem woli istnienia, jak długo jest ono witalne, tak długo trwa tyrania bólu: wyzwala od niego samoumartwianie, powściągliwość w jedzeniu, zwłaszcza mięsa, trzeźwość i umiarkowanie w piciu.

Łagodność, wstrzemięźliwość, poskramianie pychy, samoograniczenie aż do rezygnacji z siebie, czyli osłabianie egoistycznej woli – prowadzi do zwycięstwa bezinteresowności i miłosierdzia nad niegodziwością samolubstwa.[11] Eremitę, który w samotni tłumi okrutną wolę aż do jej wygaszenia, spotykamy w *Braciach Karamazow* (1880). Alosza przeżył szok, że po śmierci martwe ciało starca Zosimy zaczęło się psuć. Według prawosławia pustelnik, wysuszając się postem do tego stopnia, że ciało przestaje być już ciałem, wyzwala się ze swej materialności i przybliża do świętości. Za takiego w oczach Aloszy uchodził starzec Zosima, albowiem siłą ducha osiągnął taki poziom umartwienia, że zwyciężył swą fizyczność.[12]

Wola mocy

Nietzsche zgadza się z obserwacjami Schopenhauera, wyciąga jednak diametralnie odmienne wnioski. Anachoreta z *Tako rzecze Zaratustra* (1884) w samotni górskiej tworzy przeciwieństwo uduchowienia starca Zosimy. Mianowicie apoteozę wyższości, siły jednostkowej, dumnej – bo uzasadnionej – dominacji. „Nadczłowiek jest zmysłem i sensem ziemi", a „cnota jest wolą upadku" – powiada.[13] Dopiero wtedy filozofia europejska stała się sobą, kiedy zerwała z klasztorną ascezą; bez ucieleśnienia swej woli myśliciel nie może się uświadomić sobie. Nietzsche ręduje za powrotem do zdrowych zwyczajów pierwotnych plemion, w których łagodność i ustępliwość były słabością i przyczyną wstydu. Prawem była przemoc, która napędza rozwój, okupiony męką, deklaruje w *Z genealogii moralności*.

Wola mocy (1901) stawia zagadnienie jeszcze radykalniej. Zew walki jest źródłem życiodajno-śmiercionośnego ruchu, dlatego asceza więcej wyrządza zła niż egoizm. Rezygnacja z możliwości życiowych, samoograniczenie woli, zdaniem Nietzschego, nie zmniejsza cierpień, tylko je powiększa. Zaś chrześcijańskie współczucie nie jest cnotą, lecz pogardą słabszego antagonisty, gdyż zabrania go szanować jako przeciwnika. Jeśli osoba potężna i wybitna celowo rozbraja i ujarzmia swą wolę wśród gawiedzi, to prowadzi to do duchowego skarlenia, co oznacza także wyrzeczenie się piękna przez zdanie się na łaskę przeciętności i nikczemności. Bez rywalizacji świat ugrzęźnie w zastoju i marazmie, wojna o przetrwanie ostrzy zmysły i oczyszcza świat z małości niewydarzonych, z podłości uniżonych sykofantów oraz słabych oportunistów i hipokrytów.

Hamując własny pęd do samorealizacji, człowiek przytępia zdrowy instynkt ekspansji i skazuje się na degenerację, jak drapieżnik, który przestaje polować. Jednostka, zamiast tłumić swą wolę, powinna ją potęgować – twierdzi Nietzsche. Niech mocniejszy urzeczywistnia się kosztem słabszego, a ten niech ulega z całym dramatyzmem stanu, gdy przymus staje się dla niego siłą kształtującą. Silniejszy zawsze będzie się realizował kosztem słabszego zgodnie z prawami natury, odmienne zachowanie sprzeciwia się samemu życiu.

Nie należy się powstrzymywać od dominacji nad innym, jeżeli dzięki niej można coś wielkiego osiągnąć. Również dlatego, że inny, zwłaszcza prymitywny, żadnych ograniczeń sobie nie narzuci. Nikczemny nie wyrzeknie się własnych celów, zmierza do nich bezwzględnie. Tylko wybitne i rycerskie jednostki zdolne są do wspaniałomyślności, motłoch – nigdy. Gdy weźmie górę nad wzniosłymi postaciami, wówczas wszystko stanie się podłe i chore. Zatem jeśli lepsi rezygnują z dominacji nad gorszymi, to pomnażają tylko zło. Pęd samorealizacji jest wyrazem zdrowego instynktu przetrwania i walki, w której zwycięża silniejszy, więc lepszy.

Darwinizm

Friedrich Nietzsche był tym filozofem, który wyciągnął wnioski z darwinizmu i ukazał jego konsekwencje, przełożywszy go na język humanistyki. Podjął z nim również polemikę w jednym z najistotniejszych aspektów, mianowicie w relacji jednostka – stado, do czego wrócę po przedstawieniu głównych tez darwinizmu.

Ewolucjonizm potwierdził światopogląd naukowy i słuszność politycznego systemu, dopuszczającego a nawet promującego konkurencję na rynku. Panują na nim, jak w przyrodzie, bezlitosne zmagania osobników lepiej lub gorzej przystosowanych do środowiska, mniej lub więcej sposobnych do wojny życia,[14] w której dochodzi do naturalnej selekcji: zaniku słabych i przeżycia silnych. Terminu „walka o byt" Darwin używa w szerokim znaczeniu, mając także na myśli współzależność istot od siebie i sposobność indywiduum do pozostawienia po sobie potomstwa.[15]

Burza, jaką wywołało *O pochodzeniu gatunków drogą selekcji naturalnej*, nie miała precedensu. Autor wydał swe dzieło 12 listopada 1859 r. i tego samego dnia cały nakład 1250 egzemplarzy został wyprzedany; dodrukowano jeszcze 3000, które równie szybko znikły z księgarni. Rozgorzała

[11] Ib., op. cit., s. 448, 168-170.
[12] F. Dostojewskij: *Brat'ja Karamazovy, Polnoe sobranije sočinenij v tridcati tomach*, XIV, „Nauka" 1976, s. 295-305.
[13] F. Nietzsche: *Also sprach Zaratustra*. Sämtliche Werke in Fünfzehn Bänden, herausgegeben von Giorgio Colli und Mazzino Montinari, IV, Deutche Taschenbuch Verlag, München 1980, s. 14, 17.

[14] Ch. Darwin: *The Origin of Species by Means of Natural Selection. The Works of Charles Darwin*, XVI, New York University Press, Washington Square, New York 1988, s. 66, 62. To nie Darwin był twórcą konceptu *walka o byt*, użył go bowiem w 1798 roku Robert Malthus w pracy *An Essay on the Principles of Population*, rozważając zagrożenie przeludnienia ziemi, kontrolowanego walką o byt i selekcją naturalną w przyrodzie. Następnie Herbert Spencer (1820-1903) był tym socjologiem, twórcą pozytywistycznego ewolucjonizmu, syntezy dziejów przyrody i społeczeństwa, który jako wyznawca liberalizmu używał kategorii *walka o byt*.
[15] Ch. Darwin: *On the Origin of Species by Means of Natural Selection, or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life*. The Works of Charles Darwin, XV, New York University Press, Washington Square, New York 1988, s. 47.

debata prasowa, w której Darwin nie wziął udziału, jego zdaniem nie przynosiła ona niczego godnego uwagi prócz zamieszania i utraty spokoju. Dziennikarze, osobistości hierarchii kościelnej i establishmentu przypisywali mu poglądy, których nigdy nie głosił. W miarę rosnącego oddziaływania przyrodnika na świadomość społeczną szerzyły się kłamliwe pogłoski i plotki, które pokutują do dziś. Ponieważ humaniści często się do obiegowych sądów odwołują, przytaczając opinie z drugiej ręki, sięgnijmy do pism twórcy ewolucjonizmu i sprawdźmy, co rzeczywiście zawierają.

Ewolucja dokonuje się w warunkach walki o byt, tak poszczególnych osobników, jak gatunków: jeśli nawet niektóre odgrywały spektakularną rolę w świecie organicznym, to mogły wyginąć skutkiem tego, że ich formy zachowań stały się przestarzałe i przegrały w konfrontacji z bardziej efektywnymi u innych.[16] Duże grupy zwierząt dążą, aby się stać jeszcze większymi, co trafia jednak na sprzeciw innych: muszą znaleźć sposoby, aby się temu zagrożeniu przeciwstawić, inaczej nie przeżyją. Presja powoduje różnicowanie się cech indywidualnych; selekcja naturalna sprawia, że modyfikacje, ułatwiające przystosowanie do środowiska i eliminację konkurencji, zachodzące u danego egzemplarza gatunku przejmuje stopniowo cały gatunek.

Poprzednik Darwina, przyrodnik Jean Baptiste Lamarc (1744-1829), podkreślał wpływ otoczenia i klimatu na organizmy, które w rozmaitych środowiskach napotykają wielorakie przeszkody, co pobudza rozwój nowych zróżnicowanych form życia. Dla Darwina natomiast dynamika selekcji naturalnej była głównym czynnikiem zmian, stymulowanych przez środowisko;[17] wynik walki o byt zależy od cech jednostkowego organizmu, co z kolei wpływa na zachowania i właściwości gatunku. Zwierzęta gromadne zmiany cech i odruchów poszczególnych osobników przejmują wtedy, kiedy mogą na nich skorzystać; wtedy stają się one obowiązujące w grupie.[18] W określonych warunkach zewnętrznych, w zmaganiach o przetrwanie, przy życiu utrzymują się najlepiej przystosowane osobniki, co Darwin nazywał naturalną selekcją.[19]

W Niemczech teorie Darwina popularyzował Ernst Haeckel (1834-1919), profesor biologii na uniwersytecie w Jenie.[20] Człowiek nie był już stworzony na obraz i podobieństwo Boga, lecz był dalekim krewnym małpy,[21] ogniwem procesu ewolucji i stadium rozwoju organizmów. Było to wyzwanie, jak nigdy dotąd, już nie Bóg, lecz prawa przyrody rządziły życiem. Darwinowi obcy był radykalny ateizm i antyklerykalizm filozofów oświecenia, mimo to jego teoria stała się większym zagrożeniem dla dogmatu i pozycji Kościoła niż jakakolwiek przedtem. Hierarchia kościelna od razu zobaczyła w Darwinie

[16] Teoria ewolucji inspirowała m.in. spekulacje na temat przeżycia się form cywilizacji, które muszą ustąpić innym, jak w *Upadku świata zachodniego* Oswalda Spenglera.

[17] Ch. Darwin: *The Decent of Man, and Selection in Relation to Sex* (1877). The Works of Charles Darwin, XXI, New York University Press, Washington Square, New York 1989, s. 65.

[18] Idem: *The Origin of Species by Means of Natural Selection*, op. cit., s. 71.

[19] Ib., s. 109.

[20] Oprócz wykładów o ewolucjonizmie E. Haeckel napisał: *Generelle Morphologie der Organismen. Allgemeine Grundzüge der organischen Formenwissenschaft, mechanisch begrundet durch die von Charles Darwin reformierte Descendentheorie* (1866), pełne i poprawione wydanie (1894-96). Prócz tego do *Pochodzenia gatunków* nawiązują: *Naturliche Schöpfungsgeschichte* (1868), drugie wydanie w 1870 i poczytna praca o pochodzeniu człowieka *Anthropogenie* (1874), która miała pięć wydań, ostatnie w 1903. Opis terorii Haeckla: D. Grosman: *The Scientific Origins of National Socialism; Social Darwinism in Ernst Haeckel and the German Monist League* (1971).

[21] Heinrich Friedrich Link (1767-1851) wykładał chemię i botanikę we Wrocławiu (1811-1815), w latach dwudziestych XIX wieku, jako profesor medycyny w Berlinie, wysunął hipotezę, że człowiek jest uszlachetnioną genetycznie małpą. Zatem mówił o tym przeszło dziesięć lat wcześniej od sławnej podróży na pokładzie statku *Beagle* Darwina i jego pobycie na wyspach Galapagos, gdzie zrodziła się idea ewolucji, nad którą potem autor *O pochodzeniu gatunków* pracować będzie przed dwie dekady, do 1859 roku.

głównego nieprzyjaciela, choć był dobrym mężem, przyzwoitym i skromnym i mimo chorowitości niezwykle pracowitym człowiekiem. Mógłby świecić przykładem niejednemu duchownemu.

Zakończenie *Pochodzenia gatunków drogą selekcji naturalnej* zawiera cytat listu znanego pisarza angielskiego, który proponuje spojrzeć na ewolucjonizm jak na proces zainicjowany energią Boską. Darwin podsumowuje swą teorię następująco: Oto kilka stworzonych pierwotnie form życia było zdolnych do samo-rozwoju w inne.[22] Możemy patrzeć z ufnością w odległą przyszłość. Albowiem naturalna selekcja działa dla dobra każdej istoty z osobna, gdyż doskonalą cielesne predyspozycje i umysłowe zdolności. Konkurencja wymusza różnicowanie się cech i zachowań osobników: mniej przydatne w walce o byt zanikają. Dlatego z wojny w przyrodzie, z głodu i śmierci, wyłaniają się zwierzęta najwyżej rozwinięte. W tym jest wielkość i wspaniałość życia i jego potęg – początkowo tchnienie Kreatora. Z nielicznych zaczątków bytu,[23] czy nawet z jednego, nieskończone bogactwo form pięknych i cudownych się rozwinęło i wciąż powstaje.[24]

Konkluzje ewolucjonisty i agnostyka utrzymane są w tonie ugody z Kościołem, bez żadnej wrogości wobec religii; autor spokojnie deklaruje nową wiarę – w naukę i nieprzerwany rozwój. Mimo że wyłożone to jest chłodnym naukowym stylem, bije z niego niemal ekstatyczny optymizm, niezmącony groźbą apokalipsy czy wyobrażeniami metafizycznymi. Okrucieństwo walki o byt, pożeranie jednych organizmów przez drugie, nie budzi tu moralnego niepokoju; nie ma tu śladu wrażliwości na indywidualny ból, którym przepojona jest filozofia Schopenhauera. Jak się zdaje, Darwin go nie czytał, spośród myślicieli niemieckich wspomina tylko Schlegla i Goethego, nie licząc napomknień o geniuszu muzycznym Mozarta.[25]

Uwagę zwraca zdolność analityczna i wnikliwość obserwacji świata organicznego Darwina, ujętych jasno, zwięźle i przekonywająco. Nie dziwi wcale, że wywarł wpływ na pisarzy naturalizmu. Losy ludzkie w społeczeństwie przedstawiali oni w kategoriach walki o byt równie rzeczowym stylem, dążącym do scjentyzmu, czyli bezstronnego opisu, pozbawionego subiektywnych refleksji i dywagacji. Autor identyfikował się tu z naukowcem, z badaczem natury, analizującym zachowania i odruchy stadnego zwierzęcia, *homo sapiens*. Émile Zola (1840-1902) teorię dziedziczności z pism medycznych i metody nauk przyrodniczych przenosił do poetyki powieści.[26] Przeciętni, nie zindywidualizowani bohaterowie, reprezentować mieli środowiska i grupy społeczne; działania postaci, zdeterminowane biologicznie, ujawniać miały cechy gatunku ludzkiego. Tymczasem na przełomie wieków oraz na początku XX stulecia subiektywizm, niepokój moralny, pesymizm i cierpienie egzystencjalne schopenhaueryzmu staną się wyznacznikami literatury modernizmu.

[22] Ch. Darwin: *The Origin of Species by Means of Natural Selection*, op. cit., s. 439. Autorem listu jest zapewne Thomas Henry Huxley, który popularyzował teorie Darwina i bronił go przed napastliwymi atakami w prasie.

[23] O tym, że z nielicznych organizmów żywych na początku, krzyżując się ze sobą, powstało bogactwo form flory i fauny, pisał już Carl von Linné (Linneusz) w *Disquisitio de sexu plantarum* (1760).

[24] Ch. Darwin: *The Origin of Species by Means of Natural Selection*, op. cit., s. 446. W wydaniu wcześniejszym z 1859 roku słowa Kreator w tym miejscu nie ma, jest tylko „potęgi tchnęły do nielicznych form czy nawet jednej", aczkolwiek na stronie poprzedniej słowo to w innym kontekście się pojawia. Jest jednak symptomatyczne, że Darwin powtórzył je drugi raz w poszerzonych wydaniach, których ostateczną wersją jest edycja z 1867 roku. Zob. Ch. Darwin, *On the Origin of Species by Means of Natural Selection, or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life* (1859). *The Works of Charles Darwin*, XV, New York University Press, Washington Square, New York 1988, s. 347, 346.

[25] Ch. Darwin: *On the Origin of Species by Means of Natural Selection. The Works of Charles Darwin*, XV, op. cit., s. 104, 106, 150.

[26] É. Zola: *Le roman expérimental* (1880) i *Les romanciers naturalistes* (1881).

Indywiduum darwinizm mimowolnie podporządkował rozwojowi gatunku, czyli zbiorowości. Niepowtarzalne indywiduum się nie liczy, jeśli nie służy stadu, co tym sposobem pozbawia go wartości humanistycznych w kolektywie o zachowaniach zredukowanych do odruchów, uwarunkowanych biologicznie. Ale tutaj konieczne jest uściślenie. Darwin pisał o przyrodzie nie o społeczeństwie, to socjaldarwiniści wyświadczyli mu niedźwiedzią przysługę. To nie sam darwinizm, lecz wnioski i uogólnienia wyprowadzone z niego przez literaturę naturalizmu były wrogie modernistom, broniącym prawa jednostki do unikalności i słabości.

Chociaż ideowych deklaracji Darwin nie składa, paradoksem jest, że jego teoria wsparła zarówno filozoficzny materializm socjalizmu i komunizmu, jak i kapitalizm. Powstał on w Anglii, ojczyźnie rewolucji przemysłowej, liberalizmu i zasad *laisser faire*, swobodnej przedsiębiorczości i konkurencji na rynku jako warunków postępu: coraz bardziej złowrogiego modernistom, gdyż wraz z nim kulturze zaczęła zagrażać masowość; tak komercjalizacja w kapitalizmie, jak i lewicowy kolektywizm prowadziły do uniformizacji życia społecznego. W efekcie zaś naukowy światopogląd zaczął wypierać humanistyczny, oparty na jednostce, coraz bardziej pochłanianej przez korzyść zbiorową, unicestwianej w systemach totalitarnych.

Zgodnie z tezą Darwina, człowiek wybiera to, co jest dla niego dobre, natomiast dla przyrody poszczególne istnienie ważne jest o tyle, o ile przez nie realizuje ona swój zamysł i cele.[27] Nadrzędną rolę, jaka w rozwoju przydzielona została gatunkowi, pozytywizm i naturalizm przeniosły ze świata natury na społeczeństwo. Dlatego konflikt jednostki z interesem grupy, ze stadem, stał się centralnym problemem filozofii Nietzschego i pisarzy modernizmu, szczególnie Gombrowicza. Pierwszy ostrzegał przed tym, z czym zmierzyć się musiał drugi, mianowicie przed Meduzą totalitaryzmu.

Tytułem podsumowania wskazać można, że *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego jest obroną i apoteozą niepowtarzalnej i suwerennej jednostki, zarazem konsekwentnie wyciąga wnioski płynące z darwinizmu i przekłada je na język humanistyki. Śmierci starego Boga towarzyszy proklamacja narodzin nadczłowieka-boga, zaś w *Narodzinach tragedii* powrót do mitycznej obrzędowości Greków odrodzić ma europejską kulturę w żelaznej epoce nowoczesności i cywilizowanego barbarzyństwa, jakim jest skomercjalizowana masowość oraz socjalistyczny i komunistyczny kolektywizm państwowy.

Dostojewski

Nie bez powodu Nietzsche powoływał się na przykłady z powieści Fiodora Dostojewskiego, mistrza nie tylko zgłębiania mrocznych odmętów duszy ludzkiej, ale też pisarza, który zanalizował tendencje kolektywistyczne XIX wieku. Nietzsche pogardliwie nazywał je dążeniami nie tyle do demokracji, co groźbą *ochlokracji*. Dla Dostojewskiego projekty szczęśliwości społecznej i naukowo uzasadniane motywacje ludzkich działań w służbie wyższych celów prowadzą do opresji systemu politycznego. Człowiek, jak długo będzie sobą, pozostanie kombinacją dobra i zła, irracjonalizmu i okrucieństwa, zaś krzywda i cierpienie pozostaną źródłem jego świadomości.[28]

Bohater-narrator *Notatek z podziemia* (1864), *porte-parole* autora, w luźnej gadaninie stara się uchwycić istotę woli. Wbrew logice, a nawet własnej korzyści, „człowiek zawsze i wszędzie, kimkolwiek jest, lubi postępować tak jak chce". Osobista wola, dziki kaprys, fantazja czy szaleństwo nie poddają się klasyfikacji, dlatego wszystkie teorie społeczne diabli biorą. Gdyż „człowiek chce tylko jednego – samodzielnego chcenia".[29]

[27] Ib., s. 68.
[28] F. Dostojevskij: *Zapiski iz podpol'ja. Polnoje sobranije sočinenij v tridcati tomach*, V, „Nauka" 1973, s. 119, 177.
[29] Ib., s. 113.

Swoboda osobista manifestuje się często bezwiednie w nieprzewidywalnych i paradoksalnych postępkach. Nie ma i nie będzie czegoś takiego, jak egoizm społecznie użyteczny, ujęty w racjonalno-naukowy system. Dlatego *Notatki z podziemia* podejmują polemikę z wizją wszechpomyślności socjalizmu w powieści *Co robić?* (1863) Mikołaja G. Czernyszewskiego. Samolubstwo dąży zawsze do zadowolenia siebie, nigdy innych – powiada Dostojewski. Jeżeli uznać i zaakceptować tę właśnie cechę ludzką, to szanse stworzenia lepszego ładu społecznego są większe, niż opierając go na wyidealizowanej naturze człowieka. Jest bowiem wolą, więc i samowolą, a przez to cierpieniem, które w kryształowym pałacu – wspólnego dobra – jest nie do pomyślenia, gdyż jest zwątpieniem. Cóżby to był za pałac świetlany, w którym się wątpi?[30]

Co się tyczy rozwoju cywilizacji, to zwiększa ona w człowieku tylko wielostronność wrażeń i doznań, zaspokajających jego mroczne instynkty. Jeśli nie stał się on bardziej drapieżny, to z pewnością zrobił się ohydniej krwiożerczy[31] i egoistyczny. Swidrygajłow w *Zbrodni i karze* dopiero co pochował żonę, a już myśli o „kobietkach". Utracił wiarę w Boga i nadzieję, tym większą odczuwa potrzebę utrwalenia się w świecie, potwierdzania istnienia; rozkosz stała się remedium na nicość. Rozpusta to nie fantazja, lecz coś stałego, opartego na przyrodzie, *to jakby rozżarzony węgielek wiecznie podżegający we krwi, którego długo jeszcze z biegiem lat nie ugasisz* – wyjaśnia.[32] Zgadza się z Raskolnikowem, że to rodzaj choroby, ale gdyby nie ona, to życie straciłoby sens i przyszłoby się chyba zastrzelić.[33]

Biografia tej postaci jest jakby eksplikacją woli. Coraz silniejsze doznania, zwiększone dawki, jak ta fantasmagoryjna przygoda z dziewczynką,[34] podsycają żarłoczną wolę samorealizacji i otwierają przed Swidrygajłowem coraz bardziej otchłanną pustkę. Napomyka Raskolnikowowi, że nie bez powodu zaopiekował się sierotami Marmeladowej – diaboliczny uśmieszek każe się domyślać, że zdecydowały o tym skłonności do pedofilii. Opowiada też o tym, jak w jednej spelunie upatrzył sobie trzynastoletniego podlotka i zrobił z jej matki stręczycielkę, stając się „dobroczyńcą rodziny". Proponuje nawet Raskolnikowowi pojechać do tej osóbki.[35] Wkrótce po tej rozmowie Swidrygajłow zastrzeli się z pistoletu. Nienasycone zmysły egoisty zżarły mu duszę – sugeruje autor.

Ale także porywy entuzjazmu nie są niewinne. Bohater-narrator *Notatek z podziemia* opowiada o swych rojeniach, które budzą nieraz euforyczną chęć objęcia uściskiem bliźnich, ale „na to trzeba było mieć do dyspozycji przynajmniej jednego żywego, istniejącego rzeczywiście człowieka".[36] Nawet szlachetne uniesienie potrzebuje dominacji, urzeczywistnić się może tylko w konkrecie. Bohater-narrator *Zapisków z podziemia* tak definiuje miłość: *kochać znaczyło dla mnie tyranizować i przewyższać (...) nie wyobrażałem sobie miłości inaczej niż jako walkę, którą rozpoczynałem zawsze od nienawiści a kończyłem podbojem, później nie wiedziałem nawet co począć z ujarzmionym obiektem*.[37] Ten polemista i paradoksalista, pełen sprzecznych dążeń, prototyp modernistycznych postaci powieściowych – szczerze wyznaje: „Przecie bez władzy i tyranii nad kimkolwiek nie mogę żyć".[38] Zwierzenie to mogłoby się równie dobrze znaleźć w jednym z listów Fryderyka do Witolda w *Pornografii*.

[30] Ib., s. 119.
[31] Ib., s. 112.
[32] F. Dostojevskij: *Perestuplenie i nakazanie. Polnoe sobranije sočinenij v tridcati tomach*, VI, „Nauka" 1973, s. 359.
[33] Ib., s. 362.
[34] Ib., s. 393.
[35] Ib., s. 370-371.
[36] F. Dostojewski, *Zapiski iz podpol'ja*, op. cit., s. 134.
[37] Ib., s. 176.
[38] Ib., s. 175.

W *Braciach Karamazow* rozdział poświęcony okrucieństwu człowieka, zatytułowany *Bunt*, jest dialogiem Aloszy z Iwanem, który wyjaśnia bratu filozofię woli i bólu istnienia. *Zwierzę nie potrafi być tak okrutne, jak człowiek, tak artystycznie, tak kunsztownie okrutne. Tygrys po prostu gryzie i szarpie – i tyle. Do głowy by mu nie przyszło przybijać gwoździmi ludzi za uszy na noc, nawet gdyby to mógł zrobić.*[39] Następnie Iwan streszcza wiersz Mikołaja A. Niekrasowa *Przed zmierzchem* opisujący scenę zakatowania na śmierć konia przez rozwścieczonego chłopa. Albo znowu ojciec chłosta córkę, omdlała nie może już krzyczeć, ten jednak w miarę bicia wprawia się w stan lubieżnego dreszczu. Inną znowu dziewczynkę rodzice tłukli i kopali za to, że się nie budzi w nocy i nie woła na stronę. Za karę smarowali jej twarz odchodami i zmuszali do jedzenia kału, zamykając ją w mroźne noce w ustępie na dworze. Matka mogła spać, kiedy dochodziły ją jęki maleństwa nie rozumiejącego, co z nią wyprawiają. *W każdym człowieku czai się bestia, bestia gniewu, lubieżności podniecająca się krzykiem dręczonej i katowanej ofiary, bez umiaru i pohamowania bestia, spuszczona z łańcucha.*[40]

Z kolei panna Liza w tej samej powieści żyje dostatnio. Jest pod stałą kontrolą lekarza, bo noga od dwóch tygodni jest nieco opuchnięta, czym jest bardzo przejęta. W żadnym wypadku nie życzy sobie współczucia, kaprysami kompensuje sobie tę niedyspozycję. Wystawia na próbę przywiązanie Aloszy, domaga się coraz bardziej przekonywających dowodów uczuć, podbudowujących jej *ego*. Jej zmienne nastroje ranią Aloszę, mimo to zachowuje wyrozumiałość, czym jeszcze bardziej irytuje dumną Lizę – podejrzewa w tym przejawy litości. Nie chce jałmużny, żąda zadowolenia, zainteresowania, sympatii, a nawet uwielbienia. Wreszcie bawiącemu z wizytą Aloszy każe już pójść sobie, jego zamiar, aby odwiedzić Iwana w więzieniu, odbiera egocentrycznie: skoro brat jest ważniejszy – daje do zrozumienia. Po czym za pośrednictwem Aloszy posyła list, robiąc zdumiewającą propozycję Iwanowi, mimo że go nie kocha.[41] Demonstracja i zemsta, aby udręczyć.

Oto błędne koło wymagań, zadrażnionych ambicji, chęci odwetu za domniemane krzywdy, próby dominacji, sprawianie bólu i potrzeba dowartościowania ze strony bliskich: ciągle nowych zapewnień szczerego oddania i miłości. Wyjściem z tego piekielnego kręgu jest wyrzeczenie się egoizmu woli, pokora i łagodność – podpowiada autor.

Dominujący – dominowany

Taka jest zatem sfera międzyludzkiego, którą Gombrowicz nazwie *kościołem ludzkim*, pozbawionym metafizycznych odniesień w epoce zwycięstwa światopoglądu naukowego. Ludzie w nim paczą się nawzajem, jest to raczej nowoczesne *inferno*, w którym powłoka cywilizacji przesłania tylko brutalność podziału na pożerającego – pożeranego. Morderstwa, zniewolenia i gwałty są u Gombrowicza *upośredniczone* przez formy kultury. W *Zbrodni z premedytacją* na przykład w śledztwie-pojedynku detektyw dopina swego i mści się na wyniosłych domownikach ziemiańskiego dworu. Do tego stopnia znękał swego antagonistę, że ten powtarza podpowiedzianą mu jakby mimochodem frazę przyznania się do winy za śmierć ojca. Choć do końca nie wiadomo, czy ją spowodował, zdaje się, że raczej nie.[42]

Żyć w społeczeństwie to być narażonym na dominację i skazanym na deformacje. Człowiek, powiada Gombrowicz, nie może być sobą, gdyż forma, w której się objawia, urabia się pomiędzy ludźmi i jest mu narzucana: *ja chcę być ja, to cały sekret osobowości, ta wola, ta żądza, decyduje o naszym stosunku do deformacji, sprawia iż deformacja zaczyna boleć. Choćby mnie siły zewnętrzne ugniatały, jak figurkę z wosku, pozostanę sobą póki będę* (...) *cierpiał, przeciw temu protestował* (D II 233).

Walka o byt i polowanie drapieżników w dżungli – w społeczeństwie przybiera nawet postać unicestwiania *zapośredniczonego* jedynie przez formy kultury i konwenanse.

Utworem, który traktuje o dominacji i urabianiu innych, jest *Pornografia*. Tytuł sugeruje instrumentalne traktowanie aktorów potencjalnego aktu erotycznego przez oglądającego, głównie przez Fryderyka. Im potężniejsza wola *voyeura*, tym silniejszy gwałt. Nie bez przyczyny akcja powieści rozgrywa się podczas okupacji hitlerowskiej na wsi Powórna, która jest metaforą sielskiej Polski, słabej i dlatego zdanej na eskperymenty. Zaś główną postacią utworu jest manipulator, bliski dyktatorom XX wieku, którego imię Fryderyk reprezentuje dyscyplinę kultury niemieckiej. Najpierw poznaje on predyspozycje ludzi i zyskuje wgląd w relacje personalne na dworze Hipolita. Następnie bada ukryte możliwości w nowym miejscu i ocenia, w jakim stopniu mogą mu służyć.

Udało mu się przemycić własną intrygę do spisku domowego na życie komendanta ruchu oporu, Siemiana, który nie wytrzymał napięcia, załamał się i chce się wycofać z podziemnej organizacji. Ale może zacząć sypać, trzeba go więc zlikwidować. Fryderyk zmierza do tego, aby *jego* konspiracja podporządkowała sobie tamten spisek: w pewnym momencie nie będzie już wyjścia dla wplątanych, gdy sprawy wystarczająco daleko zajdą. Tymczasem idzie z prądem napięć w grupie i czyha na sposobność, aby przybliżyć się do celu (P 119). Wcześniej czy później nadarzą się okoliczności, aby pchnąć wypadki w pożądanym kierunku i nad ich uczestnikami zapanować. W tej grze osoby pozbawione są integralności, są elementami składowymi układu sił, którym należy sterować.

Gdy człowiekowi nie udaje się zaspokoić swej żądzy, wówczas ta mroczna energia, natrafiwszy na opór, wraca jak odbita fala i moc destruktywna. Nie spełnione pragnienie wyniszcza indywiduum, spełnione koi, czyniąc drugiego obiektem wyładowania, rujnując jego podmiotowość. Pierwszy wypadek mamy w *Śmierci w Wenecji* (1912), drugi w *Pornografii* Gombrowicza.

Dorodność i powab świeżej cielesności Heni i Karola zachwyca dwóch ekscentrycznych panów, Fryderyka i Witolda. Ekscytuje ich wizja zespolenia erotycznego młodych, jakby stworzonych dla siebie. Manipulują nimi w tym kierunku pod pretekstem próbnych scenek do rzekomego filmu, w którym Henia i Karol zgodzili się uczestniczyć jako odtwórcy ról.

Artyści, Fryderyk i Witold, pożądają tego, czego brak dotkliwie odczuwają. Mianowicie wigoru erotycznego. Im bardziej zachwyca ich widok kwitnącej cielesności, tym silniej pragną kompensacji swego niedostatku. To w mitologii starożytnych Greków domena Erosa, dlatego brak to *spiritus movens* dążeń miłosnych. Im silniejsze żądze, tym większe nienasycenie, albo głębsza satysfakcja. Im większy opór, tym potężniejszy wysiłek, aby pokonać przeszkody i tym brutalniejsze zaspokojenie kosztem drugiego, obiektu woli. Sensualizm Fryderyka jest intensywny, żąda zaspokojenia aż do perwersji; uzależnia od ciała i tym jest okrutniejszy: podporządkowuje sobie drugiego, gwałci jego integralność. Samorealizacja jest tu narzucaniem woli, której grecka nazwa *hegemonikon* wymownie oznacza supremację, przewagę, dominację. Hegemon, u Gombrowicza wyższy, przebieglejszy i bardziej wyrachowany, jak Fryderyk w *Pornografii*, przyrządza sobie innego dla własnych potrzeb, korzyści i przyjemności.

Knowania Fryderyka miały przynieść młodym wyzwolenie z feudalnego obyczaju. Gra wciągnęła, stała się obsesyjna, Fryderyk niestrudzenie zabiegał, aby chłopca i dziewczynę pchnąć sobie w ramiona i aby ich „sparze-

[39] F. Dostojewskij, *Brat'ja Karamazovy*, op. cit., s. 217.
[40] Ib., s. 220.
[41] F. Dostojewskij: *Brat'ja Karamazovy. Polnoe sobranije sočinenij v tridcati tomach*, XV, „Nauka" 1976, s. 12-25.
[42] Szerzej na ten temat piszę w mojej książce *Modernizm Gombrowicza*, IBL, Warszawa 1999, s. 241-244.

niem" się później napawać. Nadzieje te się jednak nie spełniły i wezbrana energia wyładowała się w rozpętanej machinie konspiracji jako seria morderstw rymujących się z wydarzeniami drugiej wojny światowej. Fryderyk wmanewrował Karola w egzekucję Siemiana, a więc w wojnę, bez względu na konsekwencje psychiczne, jakie to będzie miało dla dojrzewającego chłopca. Końcowe wyładowanie zburzyło w efekcie dotychczasowy system społeczny. Na ruinach dawnego porządku wzniesiony będzie teraz kościół ludzki, który da podwaliny *nowemu*. W tej metaforze dziejów Europy XX wieku główną siłą była wola, która zmusiła obiekt lub obiekty, by jej służyły.[43]

Inteligencja i talent – to udoskonalony instynkt przetrwania. Jeżeli jednostka nie wykorzysta swych możliwości i przewagi, wówczas sama się skazuje na degenerację. Skoro od tych okrutnych praw nie ma ucieczki, to niech przynajmniej lepszy i zdolniejszy, pełniej odczuwający, dominuje przeciętnego, gdyż przynosi to wielkie dzieła, tworzone wyłącznie przez istoty wyższe.

Nietzscheański nadczłowiek jest samotnikiem, który dzielnie znosi przeciwieństwa i stawia czoła bezmyślnej gawiedzi. Żyje jak orzeł górski ponad małością i nikczemnością ludzką. Fryderyk w *Pornografii* jest natomiast manipulatorem, jakby XX-wieczną i uproszczoną wersją nadczłowieka, bliską tej, jaką sobie przyrządziła ideologia, aby zalegalizować gwałt.

Z kolei w *Ferdydurke* Syfon, pretendując do przywództwa w grupie uczniów, napotyka na sprzeciw Miętusa i zaczyna się rywalizacja o pierwszeństwo. Aby udokumentować swą wyższość, jeden musi sobie podporządkować drugiego. W utworze pojedynek na miny czy gęby – karykaturalne odpowiedniki ról społecznych – ma groteskowo-karnawałowy charakter, jakby wzięty z komedii *dell'arte*. Ale jego następstwa są realne i okrutne. Silniejszy czy sprytniejszy, narzucając drugiemu wolę traktuje go instrumentalnie, realizuje własne cele unicestwiając tożsamość drugiego. Syfon po przegranej w próbie sił zaczyna znikać stopniowo, aby szczeznąć, jakby wyparowuje ze świata bez śladu.

Piekło bólu i beznadziei

Współzawodnictwo o prymat, sławę i bogactwo jest rodzajem walki o byt, która jak w przyrodzie, tak w społeczeństwie dzieli na: pożerających i pożeranych, dominujących i zniewalanych. „Zniewolić" to pozbawić woli, podporządkować sobie drugiego, gwałcąc jego integralność, pochłaniając jego osobowość.

Tak zwany rozwój cywilizacji różnicuje i zwiększa potrzeby woli, tym samym wzmaga i pomnaża okrucieństwo gatunku *homo sapiens*. Cała kultura kulinarna opiera się przecież na tym, że im bardziej wyrafinowane podniebienie i smak, tym większe okrucieństwo wobec konsumowanych istot. Jak intonuje gospodyni w *Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj*:

Aby raki były dobre, trzeba troszkę je pomęczyć,
Aby indyk był dość tłusty, trzeba troszkę go podręczyć (B 86).

To samo odnosi się do eksploatowanych i upośledzonych społecznie, co tak dowcipnie i ejdetycznie Gombrowicz przedstawił w tym opowiadaniu.

Dwór stara się odizolować od brutalności bytu i odstręczających realiów życia. Hrabina organizuje wegetariańskie obiady, aby łagodzić obyczaje i świecić przykładem „na tle straszliwej mięsożerności współczesnych stosunków" (B 75). Śmietanka towarzyska powstrzymuje się na tych biesiadach od mięsa i spożywa wyłącznie dania jarskie „w antycznej jadalni, z dala od trupów i mordu" (B 75). Cotygodniowe spotkania u hrabiny w dzień postny, w piątek (B 76), wypełnia ekskluzywna i podniosła konwersacja, która odsyła w parodyjnych aluzjach do literackich obiadów czwartkowych u króla Stanisława Poniatowskiego i do *Uczty* Platona.

W miarę rozwoju akcji i dialogów uduchowieni uczestnicy spotkania zdradzają coraz więcej bezduszności, a nawet wulgarnego cynizmu. Skutkiem czego w finale opowiadania przyjęcie przemienia się niemal w ucztę kanibali. Goście jedzą bowiem kalafior o identycznej nazwie, co nazwisko ośmioletniego chłopca wiejskiego, Bolka Kalafiora, który podczas wysublimowanych rozmów biesiadników umiera z głodu i chłodu przed drzwiami dworu. Jego trup wychudzony jest do tego stopnia, *że można rzec – doszczętnie pożarty – zaledwie tu i ówdzie pod brudną skórą pozostał kawałeczek mięsa* (B 98). Uciekł z domu, bity przez ojca pijaka i morzony głodem (B 83) zaszedł pod dwór, skuszony jasnością okien – widocznych z daleka na rozmokłym polu.

Ten wczesny utwór Gombrowicza jest także parodią sentymentalnych nowel pozytywistycznych o tematyce chłopskiej. Przenika go uwrażliwienie na cierpienie niższego społecznie, na ból istnienia. Skarnawalizowane epizody fabularne i dialogi w duchu powagi-śmiechu satyry menippejskiej budzą ambiwalentne uczucia, zawierają skandaliczne zapowiedzi i prowokujące anakrezy. Metonimie zestawiają ucztę z trupem, sugerując tym samym, że biesiadnicy pożrą wiejskie niebożę, Bolka Kalafiora.

Silniejszy pochłaniać może słabszego w cywilizowany, czyli wielostronny i perfidny sposób. Zwierzęta pożerają się, żeby przeżyć, człowiek natomiast, im jest inteligentniejszy, tym bardziej jest wyrachowany i bezwzględny. Wzniósł cywilizację opartą na zasadach eksploatacji podrzędnych i niższych. Powracający motyw cierpienia i bólu filozofii Schopenhauera znalazł oryginalne opracowanie w *Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj*. Niewykluczony jest tu także wpływ wydanej w 1928 roku książeczki Mariana Zdziechowskiego *O okrucieństwie*,[44] zainspirowanej myślą Schopenhauera.

Iwona, księżniczka Burgunda odsłania z kolei pierwotną drapieżność, przybraną w białe rękawiczki konwencji. Za pośrednictwem form kultury zwielokrotniona wola grupy dopuszcza się tu bezlitosnego gwałtu na głównej bohaterce Iwonie. Dwór robi z niej „niewydarzoną", tłamsi ją i znęca się nad nią psychicznie, wreszcie robi z niej kozła ofiarnego. Presja wywierana dystyngowanie za pośrednictwem konwenansów i sugestii słownych jest równie brutalna, co nagi gwałt, gdyż przywodzi zaszczutą dziewczynę do zadławienia się przy stole na śmierć. Człowiek ukazuje się tu jako międzyludzkie zwierzę, które w swych odruchach jest równie bezwzględne, co silne osobniki stada, gdy zamęczają i eliminują słabego lub chorowitego.

Okrucieństwo jest stanem naturalnym w przyrodzie, wystarczy się przyjrzeć temu, co się dzieje wokół: *wojna nie jest ani odrobinę straszniejsza od tego, co się dzieje w twoim ogródku, w dzień pogodny* (DI 270).

Wrażliwość na ból istnienia przenika także fragmenty *Opętanych* Gombrowicza. Mroki ludzkiego charakteru przedstawione są tu w konwencji powieści gotyckiej z akcją umieszczoną w środowisku ziemiańskim. Zagadkowy jest w utworze epizod zabicia wiewiórki, a następnie amok szamotaniny głównego bohatera z Mają. W jednej ze scen Leszczuk nie może znieść widoku much konających na lepie, z litości zaczyna je dobijać i dostaje przy tym ataku szału – pisze Maria Janion.[45]

Pod koniec życia Gombrowicz miał zamiar napisać utwór o udręce muchy w agonii. Śmierć pisarza przeszkodziła w realizacji tego przedsięwzięcia, miało się ono przeciwstawić zawłaszczeniu prawa do bólu przez człowieka.

Trudno wyobrazić sobie bardziej olimpijską obojętność na „ich" ból – „ich", zwierząt czy roślin. (...) To cierpienie jest pozbawione sprawiedli-

[43] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit., s. 249.

[44] Wydana przez „Znak" w 1993 roku: M. Zdziechowski: *O okrucieństwie*.

[45] M. Janion: *Gombrowicz wobec zła*. „Życie Literackie", Kraków 1 XII 1974, nr 48, s. 9.

wości – nagi fakt ziejący absolutem rozpaczy. (...) *Niech cierpią!* (...) *Przecież nie mają duszy. Niech cierpią zatem – bez sensu. Tak, trudno o naukę, która by mniej przejmowała się światem pozaczłowieczym, to doktryna dumnie ludzka, okrutnie arystokratyczna...* (DII 34)

Nietzscheańsko bezkompromisowe jest to oskarżenie tradycji chrześcijańskiej o arogancję wobec stworzenia Boskiego, którego ludzie są przecież cząstką.

Jako modernista pisarz krytykuje Kościół, bardziej instytucję niż teren braterstwa i miłosierdzia. Ale poddaje też próbie inne światopoglądy oraz ideologie nowożytne czy współczesne według miernika, jakim jest zdolność empatyczna dla bólu zwierząt. Oto bawiąc w jednej z argentyńskich estancji u znajomego, zwanego zdrobniale po ziemiańsku Duś, bohater-narrator *Dziennika* opowiada o następującym zdarzeniu. Ulubione charty gospodarza pognały bezpańsko w pole, rzuciły się na prośną maciorę sąsiada i zaczęły ją gryźć i szarpać. Ten więc z dubeltówki zabił jednego psa, a drugiego postrzelił. Nieszczęśliwym trafem kula zraniła Stepa, ulubionego charta Dusiowego, pan przywiózł do domu psa, ginącego w mękach. Trzeba było zdecydować: przerwać ten straszliwy ból czy czekać – „może się wyliże".

Cztery osoby mają teraz zdecydować o jego życiu lub śmierci, czyli o przedłużeniu męki lub przerwaniu jej. Młoda dziewczyna, córka milionera, z luksusu komunistka, powinna traktować cierpiącego psa na równi z człowiekiem jako żywą materię rozsadzaną przez ból. Wyjściem byłoby zastrzelić psa, aby wyzwolić go z potworności. Zamiast tego dziewczyna wchodzi w rolę kobiety, potencjalnej rodzicielki, współczującej i litującej się, dla której śmierć gorsza jest od tortury konania. Zawyrokowała: „Nie zabijajcie go". Dla katolika wyrok był prosty i nie obciążający sumienia: „Zabijcie go". Bohater-narrator, agnostyk, widzi przed sobą „kawałek umęczonej materii" konającej. Nie wytrzymuje tego widoku i krzyczy: „Zabić! Zabić! Zatrzymać maszynę bólu! Niech tego nie będzie! Nic innego nie możemy zrobić, tylko to!" I wreszcie pan charta, Duś, głosem „bolejącej matki" mówi: „Poczekajmy, może nie zdechnie. Drapieżna miłość, przedłużająca męczarnie, żeby uratować – sobie – psa" – komentuje narrator *Dziennika* (DII 43-44).

Są w *Dzienniku* Gombrowicza głębokie refleksje o bólu zwierząt, z którymi człowiek chciałby dzielić bratersko cierpienie. Bohater-narrator *Dziennika* relacjonuje, że zabijał dziś muchy drucianą packą.

W moim pokoju, nie wiadomo skąd (bo okna mają siatki) biorą się muchy. Co dzień prawie likwiduję je w ten sposób. Dziś zabiłem około 40. Naturalnie nie wszystkie uśmiercam od razu – niektóre, silnie pokiereszowane, upadają na podłogę i co pewien czas odkrywam taką muchę, pozostawioną sam na sam z konaniem. Natychmiast ją dobijam. Ale zdarza się, że ucieknie w szparę podłogi, wtedy staje mi się ze swoim bólem niedostępna.

W młodości dręczyłem zwierzęta. Przypominam sobie jak w Małoszczycach zabawiałem się z chłopakami wiejskimi. Siekliśmy batami żaby. Dziś boję się – oto właściwe słowo – cierpienia muchy. (...) *ja rzeczywiście lękam się tego, że nie mogę znieść bólu muchy* (DII 35).

Z wiekiem, w miarę zbliżania się do śmierci, zagraża coraz bardziej ból i empatia dla niemych potępieńców rośnie, by objąć istoty na samym dole hierarchii organizmów.

Gombrowicz przyznaje, że niechętnie wykracza poza królestwo ludzkie, poza kulturę, wcale nie z braku współczucia, szczególnie dla istot nie mogących wyrazić swego bólu, ale kiedy bohater *Dziennika* próbuje wejść z nimi w braterski kontakt, nie znajduje z nimi porozumienia. Ogarnia go znużenie i „ospałość", jako przedstawiciel dominującego gatunku odruchowo okazuje obojętność niższym istnieniom, których nie może lub nie ma zamiaru w danym momencie wykorzystać. Pozostałość tej reakcji obserwujemy w stosunku do cierpienia innych.

Dla ludzi dawniejszej szkoły ból kogoś z rodziny jest najokropniejszy po własnym: ból dygnitarza ważniejszy od bólu chłopa; ból chłopa ważniejszy od bólu chłopca; ból chłopca ważniejszy od bólu psa. (...) *Ale dla ludzi nowej szkoły ból jest bólem, gdziekolwiek by się pojawił, równie straszliwy w człowieku, jak w musze* (...) *piekło nasze stało się uniwersalne.*

(...) *przypominam sobie z dawnych czasów – we dworze wiejskim przy podwieczorku, gwarząc poczciwie* (...) *a na stole był lep, na lepie muchy w sytuacjach okropniejszych niż potępieńcy na obrazach średniowiecznych. To nikomu nie przeszkadzało ponieważ w zdaniu „ból muchy" akcent padał na „mucha" nie na „ból"* (DII 36).

Język i świadomość decydują o wyrazie bólu, co więcej, formami kultury dokonujemy gradacji cierpienia, być może równie intensywnie odczuwanego przez wszystkie organizmy, nie tylko przez *homo sapiens*.

Jednocześnie człowiek zdolny jest otoczyć współczuciem istoty, które niemo znoszą męczarnie, ale za pośrednictwem ludzkich wyobrażeń i kategorii myślenia. Byt to cierpienie istnień: od największych do najmniejszych; wszystkich nas, mieszkańców ziemi, cechuje ta sama niemoc wobec powszechnej udręki. Uwrażliwiony na nią bohater-narrator *Dziennika* usiłuje zdobyć się jakby na ponadludzką świadomość i moralną zasadę: „Wasz ból jest moim bólem".

Mimo to próba przezwyciężenia tego, co nazwać można niemożnością przeniknięcia bólu innego, skazana jest na niepowodzenie. Podobnie jak śmierć jest tajemnicą dla pozostałych przy życiu. Biorąc pod uwagę mrowie istnień ginących codziennie, otoczenie nasze powinno się roić od zwłok.

Ilu ludzi wymiera codziennie? Dwieście, trzysta tysięcy? Codziennie cała armia (...) *idzie do grobu* (...) *Dyskrecja śmierci* (...) *Ktoś kto by nie wiedział, że się umiera na tym świecie, mógłby latami przechadzać się po naszych ulicach, drogach, parkach, placach, zanimby odkrył, że coś takiego w ogóle ma miejsce. A też wśród zwierząt dyskrecja jest zdumiewająca. Jak się urządzają, na przykład, ptaki, by nikt nie wiedział, że zdechły? Lasy, gaje, powinny być nimi usiane, a jednak można spacerować i spacerować i nigdy prawie nie natrafić na najmniejszy szkielecik* (D III 199).

Dyskrecja śmierci wynika z samotności umierania i nieprzenikalności tej tajemnicy dla innych.

Jedno ze zdarzeń *Dziennika* przedstawia konanie żuków na rozpalonym od słońca piasku plaży: leżą na pancerzykach, bezradnie przebierając kończynami. Bohater-narrator w odruchu współczucia zaczyna owady odwracać na nogi i wyzwalać tym samym od upieczenia się żywcem pod prażącym słońcem. Ale na jak długo? Pewna ilość, uszedłszy nieco dalej, spadnie z piaszczystego urwiska, wywróci się i znajdzie znowu w tej samej pozycji, skazującej na udrękę. Więc odroczy to tylko na chwilę wiadomy finał.

Niezwykle wyraziście epizod ten przedstawia tragizm i ból istnienia żywych organizmów. Bohater-narrator *Dziennika* w akcie buntu wychodzi poza własne *ego* ku innym istotom i czuje się cząstką „uniwersalnego" cierpienia. Ale jako człowiek świadomy, odpowiedzialny, postawiony zostaje wobec konieczności decyzji. Dalej ocalać od męczarni? Jak? Plaża aż się roi od czarnych punkcików przebierających do góry nóżkami, niezliczona ilość, bezmiar tej agonii przerasta jego możliwości: *musi nadejść moment, w którym powiem dość i musi nastąpić ten pierwszy żuk nieuratowany* (DII 47-48).

Ale kiedy? Pytanie to zyskuje wymiar etyczny i metafizyczny, nie ma na nie odpowiedzi.

Bo niby dlaczego na tym akurat robaku poprzestać i jego już nie uratować? Jakie są wystarczające powody, aby na nim akurat zakończyć pomoc? W takim razie lepiej było w ogóle nie zaczynać tej akcji, skoro teraz zaprzestana, niewiele zmieniła. Gorzej nawet, wzmogła tylko poczucie absurdalności istnienia. Próba odwrócenia biegu rzeczy w przyrodzie skazana jest z góry

na niepowodzenie. Nie da się poprawić natury. Wszyscy podlegamy jej prawom. Wyjściem byłaby więc obojętność?

W nowoczesnym społeczeństwie nie ma stałych podstaw bytu, jak kiedyś Bóg czy rozum, człowieczeństwo straciło stałe podstawy, zdane na zrządzenie ślepego trafu. Na dodatek nie da się usprawiedliwić ogromu cierpień. Gombrowicz, powołując się na Schopenhauera, pisze: *cóż to jest ból dziesięciu milionów niewolników czy stumilionowa trupiarnia? Gdybyście powołali do życia wszystkie ofiary udręczone dotychczasową historią, byłby to niekończący się pochód. I czyż nie wiadomo mi, aż za bardzo, że życie z istoty swej jest tragiczne?*

W chwili, kiedy to piszę, mała jakaś rybka w pobliżu wysp Galapagos przekracza próg piekła, ponieważ inna ryba pożarła jej ogon (DI 250).

W morzu cierpienia – samotność w bólu jest bezdenna, jak i bezsilność wobec niego (DII 36) – doda innym miejscu autor *Dziennika*, zwracając się ku sprawom ostatecznym.[46]

W medytacjach o *Boskiej Komedii* Gombrowicz pokazuje, jak wyobrażenie piekła zmieniło się od czasów Dantego. Dzisiaj, pisze w *Dzienniku*, należałoby go przede wszystkim traktować jako przedsięwzięcie spartaczone, źle urzeczywistnione, tandetne i skażone w swym bycie (DIII 194). Dalej, poprawiając Dantego, autor *Dziennika* określa *inferno* tautologiami: to kraina bezdenna, zapadająca się w swą własną otchłań, gdzie zło się sobą wieczyście kazi (DIII 195). Zauważyć warto, że także ziemskie bytowanie jest skażone, gdyż odczuwalne jest najintensywniej i najdotkliwiej właśnie przez ból. A więc przez doznania negatywne, nie pozytywne, zupełnie jak w piekle. Rzeczywistość jest tym, co sprawia ból, który jest immanentny istnieniu – użyje kategorii Schopenhauera autor *Dziennika* (DIII 198). Życie biologiczne organizmów – to męki potępieńców pożerających się nawzajem; ziemski byt skażony jest nieuchronnym bólem, doznawanym i zadawanym w zmaganiach o przetrwanie. Niczym katusze w piekle bez nadziei na łaskę odkupienia.

Gombrowicz obwinia Dantego, że inferno w jego *Komedii* ustanowiła Najwyższa Mądrość i Najwyższa Miłość. Czyżby się chciał przypochlebić? Byłoby to grzechem śmiertelnym, hańbiąco służalczym i deprawującym, aby w tej potwornej katowni na wieki widzieć sprawiedliwość i miłość Stwórcy (DIII 201-202). Ale tu w gruncie rzeczy przemówił ceremoniał, deklamacja formuł skodyfikowanych, „międzyludzki rytuał", Dante recytował epokę, ale „epoka też recytowała", poemat jest więc „podwójnym frazesem". Jednak zgodnie z zawartym w *Boskiej Komedii* kodeksem naprawdę „palono na stosie". Za pośrednictwem karierowiczów i biurokratów, wskutek degradacji świadomości i wrażliwości w wielu półciemnych i tępych umysłach, kara straciła już konkretną dotkliwość, kiedy przechodziła „w grube łapy zbirów, nieczułych na mękę". Lecz ból skazanego był zawsze rzeczywisty (DIII 202-203). Niczym *inferno* – świat jest okrutny, lepszy nigdy nie był i nie będzie. Dobro jest jedynie brakiem zła, chwilowym zawieszeniem broni, wytchnieniem w walce o byt sytych i rozleniwionych. Jest to „wizja imponująca i zarazem tragiczna, która niestety zgadza się z rzeczywistością" – podsumuje Gombrowicz filozofię Schopenhauera.[47]

Ból jest doznaniem tak zasadniczym, że do niego sprowadza się byt. Dlatego „życie dla śmierci" egzystencjalistów nie zadowala, pisze autor *Dziennika*, jest intelektualizacją istnienia nie abstrakcyjnego przecież, lecz konkretnego, odczuwalnego najdotkliwiej właśnie w bólu. Nie śmierć jest czymś przerażającym, ale właśnie ból jako doznanie zasadnicze egzystencji, „do którego wszystko się sprowadza" (DII 36). Potrzebne jest tu podejście bardziej prymarne i metafizyczne, zawierające w sobie śmierć nie tylko jako

[46] J. Olejniczak: *Gombrowicz i trupy*. „Akcent", XXI, 2000, nr 1-2, s. 165.

[47] W. Gombrowicz: *Przewodnik po filozofii w sześć godzin i kwadrans*, (w:) *Publicystyka. Wywiady. Teksty różne*, 1963-1969, Kraków 1997, s. 71.

koncept końca, ale drogi przez mękę aż do jej kresu. Takie ujęcie jest bliższe egzystencji niż absurd zmierzania do nicości, bo nie jest tylko drogą ku nicości, aż nadto jest odczuwalna w bólu, który przenika fragmenty *Dziennika*, zyskujące nieraz dantejsko-metafizyczny wymiar. Autor pisze o drodze życia jako stąpaniu „po ciemku nad rozpętanym diabelstwem bólu" (D II 42), aluzyjnie odsyłając do *Boskiej komedii*.

W innym miejscu *Dziennika* Gombrowicz pisze, że ziemia, po której chodzimy, tak jest zanurzona w bólu, że „brodzimy w nim po kolana": nie tylko w dzisiejszym, wczorajszym, przedwczorajszym oraz sprzed tysiącleci. Nie ma nawet pewności, że śmierć przyniesie wyzwolenie. „A jeśli tam jest ból, przekraczający nieskończenie wszystko, co możemy sobie wyobrazić?" Możliwe, że w łonie naszego świata „zawiera się jakaś zasada piekielna, niedostępna człowiekowi" i nie do ogarnięcia rozumem i uczuciem. Nie ma też gwarancji, że zaświat będzie mniej nieludzki. „A może jest on nieludzkością samą..." (DII 165).

Wizję równie pesymistyczną, Schopenhauerowską i zarazem metafizycznie dantejską trudno znaleźć w literaturze. Chyba u Dostojewskiego, którego Gombrowicz wysoko cenił. Inteligencja rosyjska pokolenia Dostojewskiego czytała Schopenhauera. Pełne sprzeczności tragiczne postaci rosyjskiego pisarza są prekursorskie dla modernizmu. Kiryłow z *Biesów*, rozważając samobójstwo, powiada: *Życie to ból, życie to strach (...) Życie dane jest człowiekowi za cenę strachu i bólu, i w tym całe oszukaństwo*".[48] Egzystencja, im głębiej przeniknięta świadomością, tym większą wydaje się klęską, protest jednostki na nic nie ma wpływu, niczego nie zmieni w przyrodzie, poza tym, że jest krzykiem i manifestacją człowieczeństwa.

Epilog *Zbrodni i kary* Dostojewskiego nawiązuje do ateistycznego humanizmu z *Wykładów o istocie religii* (1851) L. A. Feuerbacha. Kiedy ludzie pogodzą się z tym, że nie ma pozagrobowej sprawiedliwości i nagrody, może wtedy padną sobie bratersko w ramiona i już tu na ziemi zaczną żyć solidarnie i szlachetnie. Fragment *Dziennika* Gombrowicza proponuje humanizm, pozbawiony sentymentalizmu utopii. Autor mówi o sprawach konkretnych, bez ideowego czy ideologicznego patosu.

Domagam się Domów Śmierci, gdzie każdy miałby do dyspozycji nowoczesne środki lekkiego zgonu. (...) Gdzie człowiek znużony mógłby oddać się przyjaznym ramionom specjalisty, aby mu zapewniona została śmierć bez tortury i hańby (DII 94).

Pesymistyczne stanowisko Gombrowicza nie oznacza tu rezygnacji i zgody, aby wszystko zostawić swemu biegowi. Jest to postawa humanisty, pozbawionego nadziei, ale do końca heroicznego i aktywnego, jak w przypadku Alberta Camusa.

Sztuka

Świat międzyludzki to dżungla: jeden paczy tu drugiego – urzeczywistniając się jego kosztem. Czesław Miłosz, podsumowując rozterki modernizmu, pisze w *Ziemi Ulro*, że altruizmu i dobrowolnego ograniczania woli nie ma wśród mieszkańców padołu. Schopenhauer wybawienie z piekła istnień pożerających i pożeranych widział w sztuce jako bezinteresownej kontemplacji, co jest jednak iluzją, skoro *natura naturans*, natura tworząca i *natura naturata*, natura tworzona – pozostają odmianą dychotomii: pożerany – pożerający, *natura devorata* i *natura devorans*.[49] Niewielka więc pociecha, skoro nadal jesteśmy w piekle bólu.

Według Schopenhauera potencja woli i pęd samorealizacji w sztuce nie szuka walki, lecz kontaktu. Wysiłek twórczy owocuje dziełem, które zwraca

[48] F. M. Dostojewskij: *Besy, Polnoe sobranije sočinenij v tridcati tomach*, X, „Nauka" 1974, s. 93.

[49] Cz. Miłosz: *Ziemia Ulro*, Paryż 1980, s. 40.

się ku „drugiemu", aby wzbogacił go swym punktem widzenia. Z zaklętego kręgu konkurencji i wzajemnego zniewalania utwór staje się odkupieniem, albowiem manifestacja woli jest bezinteresowna, powiada Schopenhauer. Dzieło jest propozycją wspólnej kontemplacji świata i zatrzymanego na chwilę biegu życia, aby się zastanowić nad jego sensem.

Tylko piękno podporządkowane idei pobudza do medytacji. Natomiast krasa ekscytująca zmysły, *Reizende*, zdaniem Schopenhauera, im intensywniej podrażnia zmysły, tym większe może przynieść cierpienie. Klasyczne posągi, powtarza za Winckelmannem,[50] są doskonałe, gdyż ich nagość jest wykwintna oraz wolna od prostackiej żądzy. Takiej sztuki potrzebuje człowiek, ciemny i gwałtowny, rozdarty między antypody mózgu i genitaliów – punktu zapalnego ciała.[51] Jeśli nie okiełzna swej chuci, wówczas oddala się od bezinteresownego piękna idei i pogrąża w bezsensownym cierpieniu.

Tomasz Mann rozwija i modyfikuje koncepcje Schopenhauera. Byt indywidualny jest aktem woli, koncentracji i wysiłku, jak tworzenie – powiada. Artysta nadaje kształt skupieniem i dyscypliną, które są przeciwieństwem swobody i rozpłynięcia się w sennej nieskończoności. Wyrzekłszy się beztroski w bezkresnym królestwie bezczasowej nocy i w następstwie decyzji, aby być i cierpieć,[52] twórczość jest wolą czynu i poznania, zarazem wyborem artysty, skazującego się na błądzenie, konflikty i udrękę. Formowanie – to dążenie do zamknięcia i uporządkowania tego, co niezborne i nieokreślone. Niemieckie słowo *Dichtung*, kondensacja, zagęszczenie i zarazem twórczość, dobrze oddaje istotę dążenia woli, wysiłku budzenia się ze snu do mozołu.

Animalistyczna witalność szerzy ból i śmierć, zarazem jest źródłem życia. Człowiek podlega tym prawom, nie ma od nich ucieczki. Żądzę i pęd samorealizacji sztuka próbuje wynieść ponad miłość własną i partykularyzm, przezwyciężając *egotyzm* – pisze Tomasz Mann.[53] Pracnergia natury, potęga życia[54] i potencja erotyczna, *vis vitalis* przeistoczyć się może w *vis formatica*, która staje się najwyższym celem i ustanawia wartości.[55] Jednak sztuka, zgodzi się Gombrowicz z Arturem Rimbaud, może być terenem walki duchowej równie brutalnej, co fizyczna.

Literatura ma dwojaki sens i podwójny korzeń: rodzi się z czystej, arystokratycznej kontemplacji, z bezinteresownego dążenia sztuki; ale jest też osobistą rozgrywką autora z ludźmi, narzędziem jego walki o byt duchowy. Jest sprawą dojrzewającą w samotności, tworzeniem dla samego tworzenia, ale też sprawą towarzyską, narzucaniem się ludziom, ba, publicznym stwarzaniem siebie za pomocą ludzi. Wynika z pragnienia Piękna, Dobra, Prawdy; ale jest też żądzą sławy, znaczenia, popularności, triumfu (DI 195).

A więc na obszarze sztuki i kultury toczy się również walka o byt, a „świat moralny i duchowy podlega powszechnemu prawu okrucieństwa" (DII 121).

Instynkt przetrwania i natężenie woli szuka ujścia w dominacji, także w narzucaniu obiektom pożądanego kształtu. Może to w ostateczności prowadzić do zwycięstwa form oraz jakości lepszych nad gorszymi. Sztuka Gombrowicza jest afirmacją intensywności bytu, pełni życia.

Sztuka to luksus, swoboda, zabawa, marzenie i siła, sztuka powstaje nie z biedy, ale z bogactwa, rodzi się nie wtedy gdy się jest pod wozem tylko wtedy gdy się jest na wozie. Sztuka ma w sobie coś triumfalnego, nawet gdy załamuje ręce (DI 125).

[50] Johann Joachim Winckelmann (1717-1768) autor dzieła *Geschichte der Kunst des Altertums* (1764), które zapoczątkowało rozwój historii sztuki jako dyscypliny.
[51] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit., s 289.
[52] T. Mann: *Süsser Schlaf, Gesammelte Werke*, XI, Fisher Verlag 1960, s. 333.
[53] T. Mann: *Schopenhauer, Gesammelte Werke in Zwölf Bänden*, IX, Fisher Verlag 1960, s. 546.
[54] A. Schopenhauer: *Die Welt als Wille und Vorstellung*, op. cit, s. 193-194.
[55] K. Jaspers: *Man as his own Creator. Nietzsche*, ed. R. C. Solomon, Anchor Press 1973, s. 144-146.

Witalność i wola przez sztukę staje się szlachetnym współzawodnictwem, które wynosi walkę na wyższy poziom, gdzie przeciętność bez gwałtu ustępuje wyższości, zamiast górować nad nią.

Dlatego Gombrowicz zarzuci pisarzom krajowym „niedoistnienie" (DI 271), wynikłe z niedomyślenia spraw ważnych. Sfery wyższe w okresie międzywojennym, zagrożone, zdziczałe od biedy niższością społeczną, nie zdobyły się na nic prócz „papieru, zapisanego filantropią" (DI 271). Te nie wyrażone i nie załatwione sprawy stworzyły podatny grunt dla pseudorewolucji w Polsce, przyniesionej przez Armię Czerwoną. Narzucony ze Wschodu despotyczny kolektywizm spłycił egzystencję intelektualistów, stali się oni zakłamani, a przez to jeszcze bardziej mętni i drugorzędni. Unikając ostrych spięć z rzeczywistością, pogrążali się w ideologicznej nudzie, serwilizmie i uniżoności wobec topornych biurokratów rozdzielających przywileje.

Gombrowicz, żyjący w biedzie na emigracji, rzuca pisarzom Demokracji Ludowej nietzscheańsko wyzywające oskarżenie: *oni swojego życia nie przeżyli. Tak, to dlatego ja jestem wobec nich taki wyniosły, zarozumiały, lekceważący – nie mogę po prostu uznać, że to ludzie na moim poziomie. Otóż, zważywszy, że nie spadła na mnie ani dziesiąta część tego co im się dostało i że, gdy oni krwawili, ja wałęsałem się po kawiarniach w Buenos Aires, uczucie takie – przyznaję – nie bardzo jest w porządku. Bardziej chyba byłaby wskazana pokora i podziw. A jednak to zimne lekceważenie jest we mnie tak silne, że nie mogę go ukryć w tym dzienniku, gdzie nie chciałbym zanadto kłamać.*

Jak śmiem ich lekceważyć? (...) tych ludzi, przecież mi bliskich (...)? Nie umiem tego sobie wytłumaczyć inaczej jak tylko, że doznaję ich istnienia mniej silnie... nie, nie z powodu odległości czy długotrwałego rozstania. Przestali być dla mnie kimś. (...) nie skonkretyzowali się dostatecznie w żadnym nowym istnieniu. Są niewyraźni. Zamazani. Niepełni (DI 275).

Prawda sprowadza się do stwierdzenia: *pewność, że ja bardziej od nich jestem... nie pozwala na żadne ustępstwa. O hierarchii między nami stanowi (...) silniejsze, bardziej rzeczywiste istnienie* (DI 272).

Dwa cytowane powyżej fragmenty *Dziennika* są przykładem nietzscheańskiej bezkompromisowości wyrazu, jednak w stylu Gombrowicza. Sztuka walkę z obszarów nagiej przemocy, uciszania argumentów przeciwnika siłą, bądź likwidacji fizycznej, wynosi na wyższy poziom, gdzie zwycięstwo osiąga się nie przez unicestwienie drugiego, lecz dzięki trafności obserwacji, także oczarowaniu poezją i wdziękiem. Wrodzona człowiekowi agresja i gwałt przeistaczają się w bezkrwawą rywalizację, w agon inteligencji i talentu. Natężenie woli w szlachetnym współzawodnictwie na polu kultury przynieść może odkrycia i zwycięstwo idei głębszych i piękniejszych. Sztuka, notuje Gombrowicz w *Dzienniku*, jest *zaprzeczeniem równości i uwielbieniem wyższości. Jest sprawą talentu, czy nawet geniuszu, czyli nadrzędności, wybitności, jedyności, jest także surowym hierarchizowaniem wartości, okrucieństwa w stosunku do tego co pospolite, wybieraniem i doskonaleniem tego co rzadkie, niezastąpione, jest wreszcie pielęgnowaniem osobowości, oryginalności, indywidualności* (DII 183).

Jeżeli Tomasz Mann skłaniał się ku Schopenhauerowskiemu pojmowaniu sztuki, to Gombrowicz położył na tym rozumieniu akcent nietzscheanizmu: rozkwita ona dynamiką bytu i poddawania woli artysty tego, co kształtowane, w czym jego wola dąży do pełni wyrazu.

Według Nietzschego gwałtowne przeżycie, nawet rozdzierające, poszerza percepcję. Zaś odważne wizje i marzenia inspirują do poszukiwań, bez których życie niewiele jest warte. Nawet jeśli rozbudzone tęsknoty zostaną nie spełnione, to mogą znaleźć potężny wyraz w sztuce. Twórca modernistyczny nieraz bałwochwalczo ubóstwia obiekt pragnień, czym potęguje swe emocje, a przez to siłę wyrazu. Im silniejszy impuls, tym bardziej owocny jest dla sztuki; im mocniejsze wrażenie, tym intensywniejszy wyraz i potęż-

niejsza forma. A w rezultacie: „Im pełniejszy wyraz, tym pełniejszy byt", jak Michaił Bachtin podsumuje fragment studium o biografii, w której życie zyskuje swą pełnię.[56]

Twórczość może być także gwałtem, jak w przypadku eksperymentów Fryderyka, aby podporządkować sobie obiekt pragnień – bezwzględnie narzuca on pożądany kształt urabianym obiektom. Zgodnie z radykalną koncepcją Nietzschego sztuka wyrażać winna zachwyt i potęgować wolę życia.[57] Ma też mobilizować do czynu, aby zmieniać świat, dlatego istnieje poza dobrem i złem, ponad moralnością, toteż Fryderyk w *Pornografii*, awangardowy artysta, jednoczy sztukę i czyn. Zaczyna pracować na materiale ludzkim; oddalając się od kontemplacji, przybliża się do manipulacji: metodycznie, nie forsując, „z wyczuciem" zmierza do celu (P 152).

Im wybitniejsza indywidualność, tym potężniejsza wola dominacji i potrzeba niezwykłych doznań, usprawiedliwiająca każde okrucieństwo. Wielka jednostka w naturalny sposób posługuje się podrzędnymi i słabszymi: Fryderyk – nadczłowiek wprowadza na dwór szlachecki prawa silniejszego, czyli wojny.

Upodmiotowienie i śmiech

Indywidualne odczucie i jego wyraz w sztuce przyczynia się do tego, czego się domaga Gombrowicz. Mianowicie upodmiotowienia woli, którą w żywiole międzyludzkiego należy identyfikować jako wolę poszczególnej jednostki albo wyodrębnionej grupy. Inaczej może ona przyjąć postać owczego pędu mas, otwierającego pole działania manipulatorom, graczom politycznym i demagogom. Przyjęcie do wiadomości abstrakcyjnego, „naukowo potwierdzonego i obiektywnego uwarunkowania" procesu historycznego prowadzi do zbrodni.

Żądać należy, aby ktokolwiek zabierając głos, mówił zawsze we własnym imieniu, a nie jako reprezentant ludu, gdyż anonimowa wola, bezpodmiotowa konieczność dziejowa, przyniosła kłamstwa i największe morderstwa w historii. Nigdy gwałt na człowieku nie był równie bezlitosny, co w epoce wiary w naukę i rozwój, który wyrodził się w hegemonię rasy czy dyktat mafijnej nomenklatury, reprezentującej międzynarodowy proletariat.

Gombrowicz istnienie widział jako cierpienie, ale niezupełnie bezsensowne, jak egzystencjalizm. Jeśli Jean-Paul Sartre w *Bycie i nicości* mówi o absurdzie bytu, to pesymizm Gombrowicza zawiera pozytywną propozycję. Byt jako wola bycia – to współzawodnictwo o prymat, sławę i bogactwo; to także źródło ruchu i rozwoju cywilizacji, której pisarz nie odrzuca, gdyż pomaga zwalczać choroby i nędzę. Egzystencja jednostki jest wprawdzie klęską; cierpienia i zła nie da się uniknąć, ale zamiast powiększać możemy je zmniejszać: zachowując dystans do formy.

Nie bez przyczyny po fanatyzmach i okrucieństwach XX wieku Gombrowicz przywołuje w *Dzienniku* renesansowy humanizm jako remedium na totalitarne tendencje stulecia. Pisarz ten w epoce masowości bronił jednostki; jego sztuka była zarówno rachunkiem sumienia, jak i wysiłkiem, aby w zamęcie egoizmów stadnych znaleźć wyjście z potrzasku okrucieństwa. Ale także w jednostkowym wymiarze: wyjście ze swej zeskorupiałej roli społecznej rozładowuje agresję. Przez dystans do samego siebie człowiek staje się bardziej ludzki, samokrytyczny i życzliwszy drugiemu.

Ale co w takim razie z autokreacją autora *Ferdydurke*? Czyż nie kryła w sobie nietzscheańskiej zasady: „Jeżeli mogę coś osiągnąć, to nie powinienem się powstrzymywać od tego, bo drugi nie nałoży sobie ograniczeń względem mnie"? Wypowiedzi Gombrowicza w *Dzienniku* o konstruowaniu sobie wielkości i utrwalaniu jej w innych – odbierane były jako natrętny egocentryzm. Uwagi uszło jednak to, że towarzyszyło im dystansowanie się do *ego* artysty, który pragnie poklasku i sławy, nieraz patologicznie. Zgodnie z tym co powiada: „Moja prawda i moja siła polegają na nieustannym psuciu sobie gry" (DIII 67). Warto przypomnieć, że autor *Dziennika* mówi o sobie w trzeciej osobie, używając zaimka *on*.

Dęte *ja* ma u Gombrowicza zawsze odwrotną i szyderczą stronę, która ośmiesza i neutralizuje. Jeżeli u Schopenhauera antidotum okrucieństwa jest negacja woli, to u Gombrowicza jest nim demaskowanie własnych zapędów i ośmieszanie granej przez siebie roli.

Artysta przezwycięża opór tego, czemu usiłuje narzucić kształt. Urzeczywistnia w ten sposób swą wolę. Im bogatsza jest jego osobowość, tym większa zdolność odczuwania, tym bardziej zróżnicowane potrzeby doznań i tym potężniejsza wola, która żąda afirmacji w kształtowanym materiale. Etymologią słowa „autor" jest łacińskie *auctor*, czyli ten, kto powołuje do istnienia, twórca, a także mistrz i przywódca, mający autorytet, a więc ktoś w rodzaju zwierzchnika czy autokraty. Nie bez powodu *Rozmowy z Gombrowiczem* kończy ironiczno-śmiechowa kompromitacja oficjalnej figury autora, jak to pisarz sformułował „najtrudniej walczyć z własną skorupą". Mowa jest tu o potrzebie powrotu do początku, aby się zanurzyć w niedojrzałości i odnowić. Ale jak się tu buntować, skoro żywy Gombrowicz stał się sługą oficjalnego Gombrowicza, pisarza, roli społecznej? (R 146).

Jej właśnie towarzyszy relatywizacja w duchu uciesznej względności. Śmiech, zwłaszcza z samego siebie, ocala przed zatraceniem się w czymkolwiek, łagodzi też bezwzględną walkę o wyższość. Autoironia i dystans chronią przed zasklepiałością i sztywnością, pozwalają zachować człowieczeństwo; człowiek śmiejący się z siebie robi się dialogiczny. Życie byłoby nie do zniesienia, gdyby nie dystans i śmiech. Człowiek staje się bardziej otwarty i wzrasta jego zdolność do empatii; wówczas okrucieństwo bytu częściej neutralizuje współczucie i miłosierdzie, a walkę o wyższość – gesty wspaniałomyślności.

Gombrowicz za wtórne uważał te kultury, które nie rozwinęły form autoironii, jeśli indywiduum nie ma do siebie dystansu, to brak mu swobody i tym samym kreatywności. *Nigdy żaden naród nie potrzebował bardziej śmiechu, niż my dzisiaj. I nigdy żaden naród mniej nie rozumiał śmiechu – jego roli wyzwalającej* – pisał o rodakach (DI 133).

Nowoczesny człowiek, doświadczony fanatyzmami i szaleństwami masowymi XX wieku, wynikłymi z braku dystansu do formy, łatwiej zrozumie, jak zbawienne były postawy sceptyka Michela de Montaigne i prześmiewcy Franciszka Rabelais. Ale także rodzime ideały „złotej mierności", *aurea mediocritas*. Sobkowstwo, warcholstwo i zapyziałość na pewno tu nie należą. Ale nieufność szlachecka do abstrakcji oraz do systemu politycznego jako wymędrkowanego, nonszalancja formy – są zdrowymi odruchami człowieka praktycznego, wyznającego filozofię letnich temperatur: nie posuwać się za daleko, nie popadać w skrajności; „zawsze szukałem siły w umiarkowaniu" – powiada Gombrowicz (DII 229). Według pisarza humanizm po totalitarnych potwornościach polegałby na zdecydowanym i ostrym wyrażaniu opinii przez jednostkę, zachowującą dystans do formy i umiarkowanie w działaniu, zdolnej na dodatek do śmiechu z samej siebie.

Michał Legierski

[56] M. Bachtin: *Formy vremenii chronotopa v romanie*, (w:) *Voprosy literatury i estetiki*, Moskva 1975, s. 291.

[57] F. Nietzsche: *Nachgelassene Fragmente*. Sämtliche Werke in Fünfzehn Bänden, herausgegeben von Giorgio Colli und Mazzino Montinari, XII, Deutche Taschenbuch Verlag, Müchen 1980, s. 521.

Poeci... poeci...

JACEK BIERUT

TOPOGRAFIA MOICH SNÓW

Czytam Sosnowskiego. Ledwo pamiętam opinie innych o lokalnych sensach (widzeniu rzeczy z okna rozpędzonego pociągu), o wymykających się interpretacjach, o wprawiającym w zakłopotanie (zapewne nie bez przyczyn) uśmiechu poety, pewnie dlatego, że są mi one na tyle dalekie, że słyszę tylko ich głuche echa zniekształcone rytmem kolejnych odbić. Po prostu czytam, najchętniej rano, albo tuż przed snem, „brak gruntu pod nogami" mając za zwykłą rzecz. Czytam niestety linearnie (tak mnie nauczono w szkole i w domu), sklejam poszarpane na pierwszy rzut oka obrazki na ślinę (zwykła rzecz) przepychając się między nimi ku punktowi (punktom?) wyznaczającemu optykę tych słów (snów?). Najbardziej niejasny jest dla mnie cel, dla którego to robię.

Bo nie jest to zbyt klarowne. Ktoś mi proponuje wprost, żebym zobaczył *w strumieniach wody parodię potoków / łez całego świata*; w *systemie / niebieskich wodospadów koronę gałęzi / splątanych jak węże, cudownie / groteskową wersję mitycznego drzewa, / naturę przechytrzoną w akcie alegorii, / która przedrzeźnia ogród uciech tudzież ogród nauk / tymi hiperbolami, parabolami, sinusoidami rozkoszy, / uczonymi spiralami śmiechu* i ja pomimo wszystko coś dostrzegam, może niedokładnie to (i trochę nie tam), ale robię to porzucając swój obraz (choćby starej cegły wychylającej się na światło spod studzienki ściekowej), dopadam owej natury śliską skórą (teraz z tego wzgórza spełzamy jak węże), a potem słyszę, że ten ktoś też nie ma pojęcia *czy wszystko skończy się weselem, czy obłędem, / roślinną powagą radości czy konwulsją śmiechu* i jeszcze tłumaczy to tym, że *stosunki mogą się zmieniać, ale wygnanie / pozostaje bez zmian*. Co wynika z tego, że komuś pozwalam się podprowadzić, że chwilę postoję na szczycie owego Aqua Parku i zobaczę wszystko jak na dłoni i zaraz potem zasnę (lub przebudzę się), co nie zachwieje podstawami optyki. Niczego to nie zmienia. „Wygnanie / pozostaje bez zmian". Optyka również? A jeśli dysponuje się porządnym wysięgnikiem pod kamerą? *Czy nie pragnąłeś być jedynie perspektywą, / polem mojego widzenia, nie zaś rzeczą olśnioną / bladymi płomykami na twoich cienkich szkłach?* czytam u Sosnowskiego. Moje pragnienia nie są dla mnie do końca jasne, ale miło, że ktoś o nie tak pyta. Czyżby to była odpowiedź? Poezja to gra wygnanych, których „każdy krok będzie donikąd"?

Wracam do Sosnowskiego. Ma on wielką zaletę. Łatwo go czytać kawałkami, nie odnosząc, nie doszukując się, nie odnajdując tropów. Możliwe, że dzieje się tak dlatego, że jest ich tak dużo, że się przeplatają, przenikają, w konsekwencji być może znoszą. Łatwo go czytać (jeśli dysponuje się choć przybliżoną analogią wysięgnika). Jest jak potoczysty film o szybkim rytmicznym kadrowaniu, nie jak sekwencja obrazów. U niego słońce krwawi „wzgórze jak peleryna Supermana" nie dla wizji, nie dla oka kamerzysty, tylko dla akcji, dla ciągu wybuchających z siebie ujęć zmierzających koncentrycznie ku mnie (ja czytam), czyli ku nigdzie, „gdzie na ciebie czekam" podszeptuje Sosnowski – z mapą „tutejszego dna, którą mam na ukończeniu". Te ujęcia pędzą właśnie w to miejsce. „To proste jak piosenka".

„Świecimy nieobecnością" „byle było / o czym śnić", „a jednak / nawet przez sen zostawiasz ślady". Do snów warto będzie jeszcze wrócić, ale teraz może kilka słów o tych klockach (ujęciach), które Sosnowski układa. Jest dzieckiem nie tyle gromadzącym obrazy, co kompilującym z nich misterne (i krnąbrne) twory podszyte ironią („różnobarwny sznureczek dni") i to pod „melodią do snu" właśnie. Ale to nie wszystko. To nie są zwyczajne (trójwymiarowe) budowle. Z tego ciągu powbijanych w siebie ujęć, z konkretów wyciętych ostrzem języka z kontekstu (celne cięcie nieźle spiętrza znaczenia), z gwałtownych ruchów obiektywu coś się wychyla. Spójrz: ciepło, dzieci, łóżka, porty, odbicia w kałuży, całusy, kierunek kryształków rosy i pościg szeregowych szpiclów (sekund) aż po konieczność zadania sobie bólu. Kierunek ten sam, koncentrycznie we własną „dziurę", we własny strach („niech już zostanie na zawsze"), we własne „bez śladu, z gołą głową i boso", z cudzą (czyli powszechną) śmiercią bezczelnie siedzącą na ramieniu (w cieniu – poeta to potrafi rzucić cień) bez żadnej możliwości ucieczki, mimo witamin, snu, pompek i mylących ślad podróży. Na zewnątrz (za szybą) Ona, Śmierć – jako mała dziewczynka w oknie (z żyletką między zębami), jako chłodna a jednak kusząca granica wzrastania (i wrastania) z „prędkich słów" (wypluwanych „przeczuciem") w to „życie", które jest niewiele więcej niż „rozkosznym przeciąganiem się, protekcjonalnym ziewnięciem do słońca", na które zresztą „absolutnie sobie nie zasłużyłeś". Tak jest. Klocki są właśnie po to, żeby wiedzieć, żeby powiedzieć (obrona?) to właśnie, co zresztą można powiedzieć inaczej, wprost, tylko czy dziś wypada mówić (tak) takie rzeczy?

Co proponuje w tym układzie Sosnowski? „Pogruchotać sobie świat", czy jednak „płonąć cicho jak torf"? A może są jeszcze inne możliwości, nawet jeśli „powtarzają, że kończy się nasz czas", że „nasza muzyka nie przypomina ich muzyki", że „ich gry są ostrzejsze niż nasze zabawy"? Banda szpiclów potrafi zrobić swoje. Czyżby można jeszcze było „wyjść z powieści przez przeszklone drzwi"?

Tak jest. I żeby mi to było ostatni raz.

Za drzwiami (snu?) jednak „wiatr / rozprasza liście, a świat staje dęba / i słowa idą jak confetti w rozsypkę". Czy kierunek w poprzek rzeki wyznaczy „przekraczanie miary", przeskakiwanie („z nocy w pospiesznie poranki")? Mimo wszystko poezja jest jakimś wyjściem. Dobra czy zła. U Sosnowskiego szczególnie dobra. Poezja „nie jest strategią przetrwania, / ani sposobem na życie." To „śmieszny upór", to szukanie po omacku, być może jednak lepiej przekroczyć te „drzwi" „serią wierszy i odbić", wejść w „kształty nieprzejrzyste" z nadzieją, że „może nagle powie / jakie są ludy i wojny, jakie mozoły i rejsy, / jak sprawy stoją, a jak interesy" niż stać, bo „ziemia pod stopami wszędzie taka miękka". To wszystko. Nic więcej. „I chce się płakać, / bo cierpimy oszczędnie pośród znacznych ofiar". Poezja jako wyjście (ucieczka?) – w sen „co wyrasta na zboczach powietrza". Niczego jednak nie warto się spodziewać.

> (...) *I nikt nie odnajdzie*
> *pod tą szerokością nas lekkich niczym*
> *pośpiech światła w tunelu, owal*
> *lampki na jego bezimiennym grobie?*
> *Na końcu światła jest tunel.*

To jest optyka tych wierszy. Koniec. Nieodwołalny. I samotność (nieziszczalność) w podróży (konwoju?) w to miejsce, do którego uczepieni jesteśmy (każdy osobno) stalową, wciąż skracającą się liną. Iluż już poetów z tego miejsca krzyczało. Dlaczego więc czytać akurat Sosnowskiego? Dlatego, że prawie wie, jak wypada dziś mówić takie rzeczy. Potrafi pytać „o przestrzeń, o jakiej nie śnili" ci, którzy gdzieś mają te rzeczy. Na szczęście jednak nie jest w stanie zrobić tego ostatecznie.

Sosnowski robi błędy. Gada. Nawet w tym zbiorze krótkich (znanych już w większości) wierszy. Ma kłopoty z ucięciem świetnie zawieszonej frazy. Ma usta pełne nie tyle słów (chociaż jest jak najbardziej lingwistą), ma usta pełne kojarzeń, wielotorowości (a czas przecież jest prostakiem), chciałby szeptać jednocześnie wieloma wierszami (swoimi i nie). Czy intertekstualność i „zakręcanie" jest dziś tym, czym najwymowniej można mówić (bronić się)? A proszę sobie wyobrazić, jak mógłby brzmieć Sosnowski milczący, szukający „przygód poza tym grafikiem".

Tylko z czego w tym przypadku można by zrobić knebel (bardziej gęste sito?)? Z samej błazenady?

A swoją drogą Sosnowski potrafi żartować. Nie są to jednak zwykłe jaja. Są to półuśmiechy przywołane zawsze po coś więcej („niezwykle wybuchowy proboszcz"). Nie

zmieniają optyki, barwią tylko nieco któreś ze szkieł, przez jakie patrzymy, nigdy wszystkie jednocześnie. Tak łatwiej mówić o rzeczach, o których mówić wprost nie bardzo już można (*Taka gęsta atmosfera*). Choćby śmierć po upadku z wysokościowca („jednej z tych srebrnych żyletek golących skórę nieba"). Na każdym piętrze podnosi się „wrzask zorganizowanych gapiów", na dole „policja mizdrzy się do widzów", czapka odskakuje „jak mewa", szczegóły bawią (ta czapka przecież razem z ciałem tworzy graficzny układ odwróconego wykrzyknika – czyli do końca można zachować się „jak tekst"). „Ścisz to" – ktoś kończy tę pracę („krwotok obrazów") przelatującego umysłu. Sosnowski bada możliwość otoczenia się „pierścieniem obronnego uśmiechu" (choć szybko orientuje się, że „ten uśmiech jest pętlą ognia wokół opętanego skorpiona"). Sosnowski w ogóle bada możliwości. W tych tekstach nie ma nic pewnego. Nawet koniec, choć nieunikniony, nie wydarza się. Czyżby więc można było „wyjść z powieści przez przeszklone drzwi"?

W sen, senność, śnienie, „kiedy czas zrobi salto i zapadnie noc". „Tak jest". Trzeba tylko wysięgnik zaopatrzyć w noktowizor. Odrzucić narzędzia badawcze (i język). Tu mówi topografia twoich snów „chłopczyku".

Może gazowanej cykuty?

Andrzej Sosnowski: *Wiersze*, Biuro Literackie Port Legnica 2001, ss. 70.

JAROSŁAW CYMERMAN

PODZIEMNE ŚWIATŁO „PAPIEROWEGO LAMPIONU" SERGIUSZA STERNY-WACHOWIAKA

Często poezja współczesna szukając środków wyrazu sięga do codzienności i grzęźnie w niej, daremnie próbując wydobyć ją na poziom sztuki. Okazuje się, że nie jest ona w stanie oddać tego, kim naprawdę jesteśmy i pozostaje jedynie formalnym eksperymentem, którego wartość staje się z czasem wyłącznie historycznoliteracka. Wielkopolski poeta – Sergiusz Sterna-Wachowiak – daleki jest od zablokowania w codzienności, dąży raczej – jak napisał w posłowiu do jego zbiorku wierszy Wacław Oszajca – do „pojednania nieba z ziemią", roztrząsa metafizyczne problemy poprzez to, co dotykalne i mierzy skończoność nieskończonością.

Urodzony w 1953 roku Sergiusz Sterna-Wachowiak – poeta, prozaik, eseista, krytyk, tłumacz oraz współpracownik wielu czasopism literackich i kulturalnych (m.in. „Twórczości" w latach 1974-1981 czy obecnie „Przeglądu Powszechnego" i „Akcentu") debiutował w roku 1971 i opublikował do tej pory sześć tomików poezji. *Papierowy lampion* ukazał się po niemal piętnastu latach przerwy od poprzedniego zbiorku i zawiera utwory powstałe od 1986 roku, z których część ukazywała się już wcześniej w prasie (m.in. w „Akcencie").

Pierwszym spostrzeżeniem, jakie nasuwa się po lekturze wierszy Sterny-Wachowiaka, jest skojarzenie ich z dziełami powstałymi na styku religii i literatury, z poezją mistyczną i metafizyczną. Trzeba tu jednak od razu zaznaczyć, że „religijność" tych utworów oznacza przede wszystkim postawienie podmiotu lirycznego w perspektywie metafizycznej, a nie ukazanie z góry założonego światopoglądu opartego na konkretnych dogmatach. Jest to poezja pytań, a nie odpowiedzi. Jak już wspomniałem na początku za Wacławem Oszajcą, Sterna-Wachowiak próbuje „jednać niebo z ziemią", pod powierzchnią historycznych bądź zwykłych, codziennych doświadczeń szuka tego, co nieprzemijalne, wieczne. Świadectwem tego jest otwierający tomik wiersz *Kość, kamień* zaczynający się od parafrazy słów Kanta:

Niebo gwiaździste pode mną, księga i mierzwa nauk cenna,
światło spod ziemi znaki daje. Kość, kamień,
gwiazdy przewodnie na drogach pielgrzymich, idź,
dotknij.

Odwrócenie Kantowskiego porządku może być zrozumiane jako zachęta do rezygnacji z prób szukania Boga wśród bytów idealnych. Przecież to właśnie Kant jest uznawany za ojca idealistycznej filozofii niemieckiej, która w ostateczności wyrugowała Boga z ludzkiej rzeczywistości. Podmiot liryczny wyrusza w pielgrzymkę, w której drogę mają mu wskazywać „kości i kamienie", a więc namacalne dowody tego, co minęło – naszej historii i tradycji, a także przypomnienie o tym, że wędrujemy „dopóki nie wrócisz do ziemi, Adamie" (*Kość, kamień*). Również skojarzenie słów „idź, dotknij" z Herbertowskim Panem Cogito, co sugeruje Wacław Oszajca w posłowiu, wydaje się być jak najbardziej na miejscu, z tym, że według mnie Sterna-Wachowiak dodałby do nazwiska bohatera („myślę") także człony „doświadczam" i wreszcie „wierzę". Niczym święty Tomasz Apostoł stara się dotknąć żywego Boga. Bardzo wyraźnie jest to widoczne w wierszu *Szpital Dzieciątka Jezus*, w którym dramat ludzkiego życia ukazany został w rozpięciu pomiędzy doświadczeniem słowa i ciała. Rozpięcie to usunięte może być jedynie dzięki przemianie jednego w drugie, dzięki „wierze przeciwieństw" pozornie zwalczających się.

Lecz gdy w słojach rwących wód Jego nieruchomego oka
ujrzysz
jak ciało odmienia się w słowa
i słowo zmawia się w ciało –

Jego jest zwycięstwo, chwieje się wieża kości,
perła rozwija flagę: waga i wiara

(*Szpital Dzieciątka Jezus*)

Owo zwycięstwo wiary nie przychodzi jednak łatwo, nie zawsze człowiek jest w stanie pogodzić swoją egzystencję z perspektywą nieskończoności, nie zawsze jest pewien, że jego byt i poezja są czymś więcej niż bytem przedmiotu. Zapisem takich rozterek są między innymi wiersze *Jeszcze nie, jeszcze śpij* i *Nie, nie tak*.

nie ocalaj mnie, nie wyjaśniaj
mnie sobą, nie wykrwawiaj
– wrogu mój, Nieskończoności

(*Jeszcze nie, jeszcze śpij*)

Nicość i wiersz? Tożsamość, tak, między
mną a słowem? Pole i tętent żywego cmentarza
mowy? Nie, nie tak. Koło kole i cudzość jak planety
na mgnienie ustawione w szeregu. Jest, gdy rzecz szepcze
przez moje nieistnienie? Bo „moje" nie chce już
być. Bo nie ma nawet „mną". Bo jest tylko
„nie ma"

(*Nie, nie tak*)

Wszystkie te pytania prowadzą jednak nie do zwątpienia, a do desperackiego wręcz oddania się Bogu.

Runąć ku Panu na łeb na szyję, kamieniem
w wodę – gdy noc zapada, gdy noc zapada
gdy noc
i gorycz
pali

(*Runąć ku Panu*)

I tak jak prorok Jonasz został połknięty przez wieloryba, tak człowiek może powierzyć się w zupełności Bogu i dzięki temu znaleźć odpowiedź nawet na najbardziej niepokojące pytania.

(...) *Bo mnie połknąłeś, zjadłeś. Bo idę już, Boże*
niepokojący, przez Twój gęsty marmur. Białą noc. Bo w moim małym
sercu jeszcze biją trwożne dni – gdy Ty ciało,
słowo ziarniste rozplotłeś, widzę: wrzące warkocze powietrza,

między którymi bezradną pszczołą jesteś nawet gdy zabijasz,
kulo

(Jeszcze nie, nigdy)

Motywem, który zdaje się organizować cały tomik jest wędrówka. Począwszy od cytowanego już wiersza *Kość, kamień* otwierającego cały zbiorek, podmiot liryczny czy niekiedy bohater wierszy zdaje się być w ciągłym ruchu, którego efektem jest wewnętrzna przemiana. Adam z *Kości, kamienia* staje się dalej Jonaszem (*Jeszcze nie, nigdy, Ach, Wielorybie*), by w ostateczności przybrać postać dziecka. Owa wewnętrzna metamorfoza jest więc realizacją nakazu Chrystusa – „Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego" (Mk 10, 15). Niezwykle istotny z tego punktu widzenia wydaje się być tytułowy wiersz tomiku – *Papierowy lampion*.

Po górach, dolinach idzie dziecko z lampionem. Światełko wątle
pełga w ciemnościach, nie znika. Okręcik płomyka roztropny i ufny
chybocze się, nie tonie.

(Papierowy lampion)

Dziecko pokonuje bezdroża, ciemności, rzeki, wpatrzone w „serduszko papierowego lampionu". Ten tytułowy znak-symbol kojarzyć się może z czymś delikatnym, słabym, jak również z literaturą czy Biblią. Jednak to kruche światełko rozjaśnia ciemności, sprawia, że dziecko „idzie skacząc po górach" – tym właśnie przywołaniem *Pieśni nad Pieśniami* kończy się ów wiersz. To samo dziecko pojawia się później w jednym z ostatnich wierszy tomiku – *Pieśni o róży do „Królowej Śniegu" Hansa Christiana Andersena*, gdzie wyraźnie jest ono utożsamiane z wędrującą przez życie duszą. Nie bez przyczyny pojawia się także w tym utworze róża czerwona – mistyczny symbol oznaczający męczeństwo, jak również biała – kojarzona z czystością.

Człowiek róża czerwona, serce listeczek krwi –
róża łza, róża jawa, róża kamień co śni.

Dzieciątko biała róża, perełka, cicho sza –
obłok, krew, anioł, kamień, wędrująca dusza.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na niezwykle bogatą metaforykę światła w poezji Sterny-Wachowiaka, której można by poświęcić całe studium. Zwykle światło jest tożsame z wiarą, ale niekiedy pojawiają się mylące rozbłyski – „błędne ogniki wśród nocy – tak świecą mury Jeruzalem", „nikłe smużki dymu nad koczowiskiem w krainie Eden" (*Kość, kamień*), które są czytelnymi aluzjami do prób tworzenia raju na ziemi. Podobnie antyheretycki w duchu Alaina Besançona jest wiersz *Ja nie, ja bezradny*.

Ja nie, ja bezradny nie zastąpię Ciebie żadną rzeczy błyskotką
jarzącą jak klejnot, (...)
żadną ucieczką
na wyspy bezportne, Atlantydę, Utopię, Tytanię

Poezja Sergiusza Sterny-Wachowiaka stawia czytelnikowi wysokie wymagania, jest ona bowiem głęboko zakorzeniona w kulturze i tradycji, posługuje się często językiem hermetycznym, wyrosłym na lekturze Biblii i pism mistycznych. We wcześniejszych, młodzieńczych wierszach poeta eksplorował rzeczywistość, jego poezja była „szelestem celofanu zmęczonej wyobraźni" (cytat z utworu pt. *Zapis odwrócony* z tomiku *Może usłyszysz* z 1977 roku) pełnym eksperymentów formalnych, poszukiwań własnego sposobu wyrazu. *Papierowy lampion* jest już zbiorem poety dojrzałego, poety kultury, ale ciągle poszukującego, który (jak o tym świadczy zamykający tomik autoironiczny wiersz *W pracowni*) nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Po lekturze wierszy-esemesów czy wierszy-e-maili zmaganie się z mistycznym szyfrem wierszy Sterny-Wachowiaka może się okazać skuteczną odtrutką.

Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Papierowy lampion*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Poznań 2000, ss. 64.

ANNA KALUŻA

GORĄCZKA I WIERSZE

O czymkolwiek chciałabym napisać – w przypadku wierszy Ewy Sonnenberg – będzie nie na temat. Choć ona sama pisze zasadniczo jeden i ten sam wiersz (a więc jakby z założenia na jeden temat), badając i mierząc przy okazji głębokość gruntu pod nogami, to jednak trudno zapanować krytyczną decyzją nawet nad tak pojętym wierszem. Grunt (tekstów) Sonnenberg jest mocno niestabilny, jak lampa na rozkołysanej łodzi. Sonnenberg nie chodzi. Ona pływa (można by dalej poprowadzić tę metaforę, do figury Andersenowej syreny, raniącej stopy o ziemię). Jej żywiołem jest woda, gdy musi wyjść na ląd, nieuważnie stawia stopy. Nie wiadomo – czy nie radzi sobie z rzeczywistością, czy może realność ją po prostu nudzi: *Mój śmieszny wierszyku ogrzeję cię rękami/ przepraszając życie za to że pisaliśmy je zamiast w nim uczestniczyć* (...) *widząc jak ranisz stopy na twardym gruncie/ kochałem cię bardziej niż ktokolwiek z ludzi* (*Niepewność*).

Albo, niczym kret z wierszy Różewicza, kopie tunele pod ziemią, powoli wchodząc w ciemność. Bohaterka jej wierszy cały czas utrzymuje się w wahadłowym ruchu: raz ponad ziemią, w powietrznych bezkresach, innym razem głęboko w materii, z ustami pełnymi piachu. Poza swoją cielesnością i z jej (słodkim) ciężarem. W poszukiwaniu własnej, co chwilę traconej, tożsamości: „Zwęglone języki sypią czarnym na białe/ spalone motto tożsamości" (*Jesień. Nowela poetycka*).To wściekłość i wrzask zwiniętego w kłębek jeża. (Proszę wybaczyć aż dwie aluzje). Cała jest poezją, dla której układa hymny i nekrologi: „łączy w jeden organizm/ palce z literami maszyny do pisania" (*Jesień. Nowela poetycka*).

Nie warto pytać, co zmieniło się w poezji Ewy Sonnenberg od wydania ostatniego tomiku *Smycz*. Bo nie zmiany wywołają oklaski na sali, ale wynurzanie się z tej poezji (dosyć systematyczne i pewnie nieświadome) nurtu, który coraz bliższy jest poezji surrealistów (bądźmy precyzyjni: chodzi przecież tylko o Eluarda). Ja w każdym razie klaszczę z uznania. Może gdybym nie lubiła przygody poezji z surrealizmem i uważała ją za pomyłkę, akurat ten rys wyobraźni poetki w ogóle by mnie nie interesował. Oczywiście znana jest współzależność wyobraźni i rzeczywistości – nie można więc myśleć o pełnym podobieństwie między poezją Sonnenberg i Eluarda, każde z nich żyje/żyło przecież w innych realiach i inne doświadczenia wchodzą w grę. A jednak! Obydwoje podobnie widzą kobiety. Kobieta i mężczyzna? Podobnie? Jak to możliwe? A jednak! – powtórzę. W kontekście takich powiązań świat w *Płonącym tramwaju* (nie będzie, mam nadzieję, nadużyciem skojarzenie *Płonącego tramwaju* z *Tramwajem, zwanym pożądaniem*) unika granic. Więcej: boi się granic. Ich wyznaczenie jest równoznaczne z odsłonięciem źródła tak a nie inaczej pojmowanej kobiecości. Źródła zanieczyszczonego pragnieniami męskimi, a nie – jak do tej pory starała się pokazać Sonnenberg – bijącego wyłącznie kobiecym poczuciem niezależności.

Na czym miałoby to polegać? Na tym, że cechy, które starała się poetka pokazać jako skrajną manifestację poczucia niezależności, swobody, nieskrępowania, wreszcie: uwolnienia od męskich stereotypów, są niczym innym, jak właśnie nieświadomym (do pewnego czasu, oczywiście) podążaniem za męskimi marzeniami. Staje się to wyraźniejsze, gdy przeczyta się wiersze Sonnenberg i wiersze o kobietach i miłości do kobiet Paula Eluarda. Niewinna grzeszność i drapieżna dziewiczość jednakowo bawią poetkę i wytrawnego surrealistę. Podobnie też projektują swoje podmioty mówiące: albo znużenie i cynizm nadaje ton ich wypowiedziom, albo pokora i żałosna skarga. Z tą jednak różnicą, że w wierszach Sonnenberg nie sposób tych tonów rozdzielić. Warto docenić autorkę za inteligencję: nie dała się bowiem złapać we własne sidła.

To, co wcześniej było poczuciem wyłącznie wewnętrznej swobody (krzykliwość, bezpretensjonalność, dezynwoltura, z jaką podchodziła do zakazów, zwłaszcza w miłości), Sonnenberg w nowym tomiku potraktowała jako wynik „dogadania" się kobiety z mężczyzną (dużo tym razem jest wierszy dialogowych, kilkugłosowych). Duch negocjacji unosi się nad wierszami. Jej bohaterka odpowiada na męskie pragnienia (wyzwalając je jednocześnie), świadoma tego, że nie może od nich uciec, mądrzejsza o wiedzę własnych ograniczeń. Potrafi też z nich zakpić: *I te zęby agresywne roznegliżowane odlotowo białe/ jak środki dopingujące po jednym „keep smiling" znikają granice/ że nawet fabryka marzeń cierpi na brak wyobraźni* (*Całkowite zaćmienie*).

Lekcję surrealisty dobrze zapamiętała. Jej poezja podejmuje dialog z tamtymi wierszami. Czyż nie można określić bohaterek Sonnenberg tak, jak opisał kobiety Eluard: *Jedna czy wiele/ Stworzone z kruszejącego kamienia/ Z rozlatującego się pierza/ Z jeżyn ze lnu ze*

spirytusu z piany/ Ze śmiechów łkań niedbałości śmiesznych kłopotów/ Z ciała i prawdziwych oczu bez wątpliwości? (*Jedna za wszystkie*) „Kruszejący kamień" – to chyba utajona męskość, wyzwalana i wyzwalająca się z kobiet w tych tekstach „twardość". „Rozlatujące się pierze" – ta metafora zabiegałaby o potoczne wyobrażenie ulotności, kapryśnej, kobiecej natury. Sonnenberg pisze o tym dosłowniej: *Jej błękitny pocałunek lżejszy niż powietrze niewinnie lśni w spojrzeniu/ Jej naiwne pokusy i niewinne grzeszki podfruwają jak spłoszone jaskółki/ Jej drobne stopy śliski jedwab oddechu spływa z ramion do linii papilarnych/ Jej malutki rozum nie większy od rzęsy rozmyśla w kółko tylko o jednym* (*Czułość*).

„Więc gdzie się kończy kobieta?" – pyta zaniepokojony Eluard. W mężczyźnie. Chociaż: „Kto odgadnie/ w kim bardziej" (*Jesień. Nowela poetycka*). I kto chce, by kobieta uosabiała nieskończoność, ten metafizyczny wariant kobiecości, z którego trochę drwi Sonnenberg. Nie oznacza to jednak, że – odwrotnie – skończona fizyczność, silnie doznawana cielesność, pokazana w wierszach Sonnenberg też (a jakże!) drwiąco dwuznacznie (choćby w *Całkowitym zaćmieniu*) jest wyłącznie pragnieniem kobiet i, że to pragnienie to jedyna alternatywa dla męskiej metafizyki. Być może wiele w poezji Sonnenberg upraszczam, ale mam wrażenie, że w ostatnim tomiku *Smycz* na wiele spraw nie zwróciła autorka uwagi, spraw ważnych nawet dla zapisu, jaki uprawia – na gorąco, niekontrolowanego, nie uznającego logiki argumentów. A szczególnie na to, że nie ma powodu, dla którego można sądzić, że swoboda kobieca w poezji powstaje z oporu stawianego wyobrażeniom męskim. Bo w pewnej chwili okazuje się, że siła poezji tkwi w spiętrzaniu oporów, w wibracji czasem ledwo słyszalnych głosów, a nie w stanowczo wygłoszonych kwestiach. W *Płonącym tramwaju* nieco komplikuje głosy i znaczenia, uciekając (oczywiście nie zawsze) od potoczności i prostolinijności opisu. Zaczyna prowadzić wyrafinowaną grę, także z tekstem. Także sama ze sobą.

Stapia i łączy obrazy. Utrudnia skojarzenia. Jest niechętna dzieleniu wierszy na wersy, walczy ze zdaniem, zakłócając jego kadencję bądź antykadencję. Jeden wiersz oddaje tysiącom głosów, nie troszcząc się zbytnio o ich umotywowanie (np. wspólną sytuacją, w Jakiej się pojawiają). Często korzysta z synonimicznego wyliczenia. Buduje tekst, który rozwija się według prostych zasad składniowej powtarzalności (tu też, jak sądzę, można doszukać się pokrewieństw z praktykami surrealistów). Niechęć do granic jest oczywiście odruchem obronnym: wyznaczone pokazują stan posiadania – to kobiece, a to męskie. Moje. Twoje. Gdy wszystko jest kobiece (jak chciała poetka), pobrzmiewa odrobinę fałszywie. Tak jakbyśmy oglądali tylko część spektaklu, tylko to, co dzieje się po jednej stronie lustra. A przecież poezja jest też (a może przede wszystkim) interesująca, gdy przechodzi na drugą stronę lustra, gdy uchyla zasłonę i pokazuje to, czego nie można zobaczyć bez słów.

Sonnenberg wierzy w intuicję czytelników, w ich pamięć innych słów, w możliwość wytworzenia w piszącym i czytającym tej samej emocjonalnej aury. Dlatego w zapisie pomija jakby kontekst sytuacyjny, który, być może, jest tak oczywisty, że nie wart wspominania. Krąży wokół, nie starając się dotknąć sedna, uciekając od nazywania. I my wiemy, że to, co jest powiedziane, dotyczy też czegoś innego: *Teraz już będzie pamiętać że/ telefony trzeba wykręcać na czas/ teraz już wie że bukietów fiołków/ nie wolno kupować w biały dzień/ teraz już będę/ tylko ja/ tylko ty/ bez mojej wiedzy ciało ucieka do ciebie/ / – czy mogę? – / – wiem tyle co ty* – (*Mango*). Owe intymne, nic nie wyjaśniające półsłówka, lirycznie zapełniają krajobraz tych wierszy. Spowolniają bieg obrazów.

Bo trzeba przyznać, że tempo, w jakim pojawiają się kolejne słowa, kolejne zdania, jest u Sonnenberg zawrotne. Kresem jest zadyszka. Tak jakby gorączka gnała poetkę. Gorączkowe i nerwowe tempo, ryzykowne „na łeb na szyję" panuje też nad naszą percepcją. Mimetyczny wiersz, naśladujący ruch wirowania, zawrotnego, kolistego obłędu, nieustannie podwyższa temperaturę: *Zatańczymy na długim blond włosie Afrodyty/ pozłacany od ziemi do nieba naiwny most samobójców/ skoczymy na dno swoich źrenic balansując na cienkiej granicy uśmiechu/ Zatańczymy z czarną perłą w garści zalśni marmur posadzki. Totentanz* jest wierszem znakomitym. Kto wie, czy to właśnie nie jest najbardziej znamienne dla tej poetki: ciągle podwyższona temperatura tekstu. Zawsze była wysoka. Ale w *Płonącym tramwaju* Sonnenberg stara się raczej o zderzanie wierszy „chłodnych" z „gorącymi", o takie miejsca w tekście, w których chłód i ciepło przestają być jednoznaczne, jak tu: „Bądź czerwienią czystą jak śnieg/ przełamującą niemą taflę lodu rysunek ust" (inc. *Bądź zielenią*). Czerwień jak śnieg, taki śnieg zdarza się chyba tylko podczas stanu podgorączkowego, stanu, trzeba dodać, ulubionego przez poetki (częsta metafora choroby jest w poezji pewnie jakąś odmianą męskiego szału poetyckiego).

Tak jak nie warto pytać o zmiany w twórczości poetki, nie warto z tej recenzji wysnuwać wniosku, że *Płonący tramwaj* opowiada o gorączce. Chociaż pewnie i o gorączce też. I o katarze. Nie wspominając o długiej, przewlekłej chorobie. Na zimę tomik więc w sam raz: *Chodź wejdziemy do łóżka wielkiego jak nieśmiertelność/ zachorujemy na siebie przez długie lata nieuleczalnie zachorujemy/ rozpieszczając infekcję garściami aspiryny wypocimy wszystkie nieszczęścia* (*Ucieczka*).

Ewa Sonnenberg: *Płonący tramwaj*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2001, ss. 69.

JERZY SZYMIK

JESTEM PRAGNIENIEM I WODĄ, GŁODEM I CHLEBEM

O WIERSZACH ALFREDA MARKA WIERZBICKIEGO

Wiersze te czytałem z wypiekami na twarzy i z rosnącym napięciem. Dlaczego? Nie do końca swoje – uważnego lektora tej poezji – emocje rozumiem, ale podejrzewam, że chodzi głównie o dzieloną z autorem wspólnotę losu i pokolenia:

Powołani czy wiedzieliśmy, czym będzie powołanie?
Młodzi chłopcy za murem na wzgórzu
Czytaliśmy Miłosza i „Redemptor hominis"
Uczyliśmy się obcych słów i liturgii.
Dość wiele i za mało (…).

(*Spotkanie*, z tomu *Kogut z Akwilei*, s. 53)

Nie jest to zresztą jedyny wiersz o seminaryjnych początkach. Utwory poświęcone tamtemu, źródłowemu dla życiowej drogi Alfreda odcinkowi czasu przewijają się raz po raz w całej twórczości. Na przykład *Pierwszy dzień*;

Kolczaste kasztany leżały przed bramą.
Mój pierwszy dzień w seminarium.
Ponad wszelką miarę długie korytarze,
Zamglone lustro w łazience.
Osiemnaście lat temu, ale widzę wyraźnie.
Było to jak zakochanie, tajemniczy szyfr,
Zagadka na całe życie.

(z tomu *Znaki szczególne*, s. 43)

Charakterystyczna dla wspominanych przy tej okazji lektur jest synteza, którą w *Spotkaniu* wyraża zwrot *czytaliśmy Miłosza i „Redemptor hominis"*, a w *Wyznaniu?* fraza następująca:

Cóż jednak po poezji, która nie schodzi
do otchłani i nie staje się trwającą przez stulecia ciszą
Wielkiej Soboty. W myśli tej łączę zapożyczenia
Od Czesława Miłosza i Hansa Ursa von Balthasara,
co może być pośrednim dowodem bliskości poezji
i teologii.

(ZS, s. 69)

Właśnie owa synteza jest najoryginalniejszym bodaj rysem duchowego i intelektualnego zaplecza wierszy Wierzbickiego: autor czyta teksty Papieża i Balthasara w kontekście dzieła Miłosza, a stronice literatury pięknej w świetle wielkich dzieł teologicznych. I na takim gruncie rodzą się jego własne wersety.

Ta droga jest mi osobiście bardzo bliska, choć (raz jeszcze odwołam się do *Spotkania*) różnie jest między nami sporo: klimat Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie

był jednak – o czym miałem się przekonać zamieszkując w KUL-owskim konwikcie – światem innym niż klimat tej samej niby szkoły dla „księży", ale śląskiej i w Krakowie. I inne rzeczy działy się wewnątrz i na zewnątrz muru. Wydawałoby się też, że trzy lata różnicy między święceniami kapłańskimi to niewiele, ale kiedy wymienimy daty (1979 – moje; 1982 – Alfreda), zrozumiemy, że w polskiej rzeczywistości dzieli te lata przepaść epok. Kapłaństwo przeżywane w Polsce sierpniowej i grudniowej musiało jakoś inaczej barwić rozumienie lektury pism Papieża i Noblisty niż ostatnie lata studiów. Choć obaj – jak całe nasze pokolenie – uczyliśmy się rozumienia świata z „Redemptor hominis" i Miłosza, z „obcych słów i liturgii. Dość wiele i za mało"... Wspólnota pokolenia.

Jak przystało na człowieka wychowanego na „tamtych lekturach", ks. Alfred Marek Wierzbicki uczył się warsztatu poetyckiego u naszych wielkich, u Miłosza i Herberta. Kiedy czytam na przykład fragmenty *Oktoberfest* czy *Lekcje*, to chociaż w pierwszym autor przyzywa Mickiewicza, a drugi naznacza mottem z Rimbauda, to jednak wiem, że prawdziwymi patronami tych strof są Miłosz i Herbert. Przez soczystość frazy, hieratyczność składni, charakter obrazowania, tematykę:

(...) *Co mnie ciągnie do ich obrzędu? Ciekawość.*
Religijność. Ochota na piwo. Bycie w tłumie.
W gruncie rzeczy do wielu należę obediencji.
Przy długim stole w Bawarii zwołuję mych przodków
na dziady wedle przykazania poety z ich okolic. (...)

(*Oktoberfest*, KzA, s. 32)

O saisons, o chateaux!
Artur Rimbaud

Sezony, zamki! Wykrzykiwałem w Nantes,
Żeby wywołać króla Henryka, ogłaszającego edykt.
W szkole na lekcji historii pytany byłem o datę
i okoliczności, ale czas jest biciem serca,
ciepłem skóry i oddechem ludzi.
Z biletem od losu wchodzę na dziedziniec.
Wały obronne. Port na Loarze.
Było czy jest? O poranku pachnie kawa,
Wyładowują ryby, wino i niewolników.
Na lekcję do muzeum wchodzi klasa.
W książeczkach narysować trzeba mapę,
statek, klatki na ludzi, kajdany z żelaza,
postronki z konopi i monety ze śniedzią.

(*Lekcje*, KzA, s. 13)

Choć wśród wierszy znajduje się cykl *Zapisane w Moskwie*, to jednak Wierzbicki jest poetą na wskroś „śródziemnomorskim". Trudno o bardziej „grecki temat" (s. 6) jak podróżowanie (w dosłownym i zmetaforyzowanym sensie tego słowa), a podróże przecież stanowią źródło inspiracji i tematyki dla większości zgromadzonych w tych książkach utworów. Trudno też o bardziej „zachodnioeuropejskie" pragnienie jak poszukiwanie recepty na przemijanie, czy też na samą boleść związaną z upływem czasu. Więc najbliższe okolice rzymskiej Fontanny di Trevi są dobrym miejscem artykulacji tego pragnienia–pokusy:

(...) *Kuszenie by trwało to, co płynie.*
Uwodzicielska melodia młodości

(*Fontanna di Trevi*, KzA, s. 49)

Ksiądz Alfred jest najbardziej śródziemnomorski wtedy – moim zdaniem – kiedy na aksjologicznej mapie rzeczywistości próbuje opisać miejsce właściwe sztuce, właściwe „znaczy": nie za wysokie, nie za niskie. Na miarę bezbronnego blasku piękna:

(...) *Nie nawróci świata*
chorał kolumnady, ale nie pozwoli mu zginąć

(*Bernini*, KzA, s. 45)

(...) *czym byłaby poezja, nie zabierająca rozbitków na pokład* (...)

(*Nad morzem*, KzA, s. 51)

„Śródziemnomorskość" Wierzbickiego jest ochrzczona. I to nie tylko dlatego, że językowa i problemowa tkanka tych wierszy jest nasycona obficie judeochrześcijańskimi toposami i pojęciami rodem z tego właśnie świata: Księga Rodzaju, skrwawiona Biblia, krzyż, ambona, konfesjonał, Piłat, Goliat, Zwiastowanie, roraty – wiele, wiele innych. Przede wszystkim, moim zdaniem, o chrześcijańskiej specyfice wymowy tych tekstów decyduje poetycka antropologia utworów, wywiedziona z głęboko chrześcijańskiej wizji człowieka. Jej zarys kreślą te zwłaszcza wersety Wierzbickiego, które podejmują problematykę etyczną. Człowiek tych wierszy to grzesznik potrzebujący zbawienia. Ktoś rozpięty między skrajnościami. Ale też ktoś godny przebaczenia, miłości, zachwytu (por. s. 5, 12). Wyglądający Boga.

Metoda Wierzbickiego jest, rzekłbym, inkarnacyjna, to znaczy iż w jego poetyckiej wizji to co boskie jest (na inkarnacyjny wzór właśnie) obecne w tym, co ludzkie, a to co najczystsze duchowo jest do wyrażenia i odkrycia w tym, co przejmująco cielesne. W *Ludziach z Qumran* pisze:

(...) *W końcu to przedmioty z kamienia i metalu,*
wypolerowane ręką, wypieszczone wzrokiem,
uwiarygadniają istnienie duszy.

(*ZS*, s. 12)

Zaś w *Pater Noster*:

Na dziedzińcu kościoła „Ojcze nasz"
zastaję wykorzenione drzewo.
Fakt przyrodniczy, happening,
czy przypowieść o naszej epoce?
Interpretacja zależy od stopnia samopoznania.(...)

(*ZS*, s. 13)

„Stopień samopoznania" jest kształtowany we wnętrzu tych wierszy przez teologiczne obcowanie z tajemnicą Wcielenia. Nasza ziemia – taka teza unosi się nad wersetami autorstwa Wierzbickiego – kryje i udostępnia wystarczająco wiele znaków stwórczego i zbawczego działania Ojca, Syna i Ducha Świętego. Rzeczą sztuki jest do znaków owych docierać:

(...) *Czym byłaby kultura bez realnego odbicia*
Chrystusa w ludzkim wnętrzu i w naszych dziełach?
Pozostałaby zapewne tylko apokryfem, opowieścią
jedną z wielu, chybotliwą literą bez obrazu, snem
bez przebudzenia, wędrówką atomów po koślawej orbicie,
skrzepem krwi nie przemienionej w blasku
zmartwychwstania.

(*Stacja VI*, *ZS*, s. 23)

Wierzbicki-poeta nie przestaje być duszpasterzem. Ani na moment. Ale jest nim z wdziękiem, bez namolności, której nie udźwignąłby wiersz. Duszpasterskie uwagi, rzucane jakby od niechcenia, mimochodem, ale starannie i czujnie, dźwiga ta poezja bez trudu: „...kiedyś, w pewnej nie zaplanowanej przeze mnie godzinie Bóg poprosi mnie o pomoc" – podpowiada czytelnikowi w *Stacji V* (*ZS*, s. 22).

Bywa to zresztą duszpasterstwo pełne gorzkiej wiedzy o człowieku, choć zawsze prowadzące ku światłu:

Ukrzyżowany pomiędzy dwoma łotrami.
Pokazana została zbrodnicza strona człowieka.
Chociaż jeszcze nie wszystkie zbrodnie zostały dokonane,
nic już gorszego nie można powiedzieć o naszym gatunku.
A jednak Jezus nie raczy nami gardzić.(...)

(Stacja XI, *ZS*, s. 28)

W ogóle wiedza o człowieku jest mocną stroną tych wierszy. W *Pieśni o ciele* znajdują się najbardziej olśniewające wersety *Znaków szczególnych*:

Jestem pragnieniem,
a dla innych wodą.

Jestem głodem,
a dla innych chlebem.

(*Pieśń o ciele*, ZS, s. 37)

Także tutaj wychylenie człowieka ku Transcendencji i „nieogarnioność" ludzkiej osoby zostały wyrażone jeszcze w inny sposób:

Ciało otrzymane w chwili poczęcia,
jakby jeszcze w zasięgu ramion
tych dwojga, a oni już nie mogą
go ogarnąć. Nie im zostaje dany
los w zmiennej dwojakiej postaci.

(*Pieśń o ciele*, ZS, s. 36)

Jeszcze jeden to dowód „inkarnacyjnej podszewki" tych wierszy. W wielu utworach jest bowiem tak, jak w puencie *Przypowieści*:

Każde zdarzenie chce być przypowieścią,
odzyskaniem sensu, nabraniem powietrza.

(ZS, s. 41)

Myślę również, że pewien rodzaj mądrej (bo pokornej) autoironii nie jest najmniej ważną z chrześcijańskich cnót. Zwłaszcza wtedy, kiedy przyjmuje ona postać wolności od natrętnego wyciągania umoralniających wniosków z każdej sytuacji. A jest tego rodzaju autoironii niemało w wierszach. Przykład:

Może pragnąłem ćwiczyć styl, a może charakter.
(...)
Będę szczery, bez konkluzji pozostawiam dzień i zdanie

(*Pracowity dzień*, KzA, s. 9)

Kończę więc swój lektorski tekst tak samo bez konkluzji: szczerze, ćwicząc nie tylko styl, ale i charakter.

Alfred Marek Wierzbicki: *Kogut z Akwilei*, „Norbertinum", Lublin 1999, ss. 69.
Alfred Wierzbicki: *Znaki szczególne*, „Norbertinum", Lublin 2000, ss. 55.

RYSZARD KOŁODZIEJ

NIE TU, NIE TAM – A JEDNAK – I TU, I TAM

Jerzy Gizella opuścił Polskę piętnaście lat temu. Na początku przebywał we Francji. Po roku przeniósł się do USA, gdzie mieszka do dzisiaj. Od czasu do czasu daje o sobie znać publikując tomiki wierszy, zamieszcza recenzje w prasie krajowej i polonijnej. Ostatnio wydał *Odkrywanie Ameryki*. Tematem najnowszego zbiorku jest rozczarowanie, zarówno sytuacją na emigracji, jak i porządkiem panującym w odrodzonej ojczyźnie. Na każdym kroku brak zrozumienia, nieufność i podejrzliwość. „Bohaterowie liryczni" przeżywają wiele trudności. Kłócą się. W nostalgii próbują utopić prawdę o bolesnej teraźniejszości, a co za tym idzie, o samych sobie.

Emigranci bezmyślnie hołdują utartym stereotypom, rżną głupków. Pełni kompleksów wszędzie węszą wroga (*Nie możemy się ciągle zrozumieć*, *Dwa miasta*).

Mówimy o dwóch
Różnych miejscach

O innych czasach
Innych światach

Dwoma obcymi
Językami polskimi

Obaj katolicy
A jeden drugiemu
Nie wierzy

(*Dwa miasta*)

Oprócz nieudaczników, cwaniaków, istnieją również ci, którym powodzi się nieco lepiej, ale ich egzystencja to nie eldorado.

Bez względu na to, jak się rodakom wiedzie za oceanem, nie chcą wracać do kraju. Wcześniej ogromnie pragnęli, ale teraz już nie. Przynajmniej bardzo się ociągają, mimo że sprawy Polski ogromnie im leżą na sercu. Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, wraz ze zmianą ustroju zmienili się ludzie. Nie tylko przyjaciele, ale także najbliższa rodzina. Po drugie, zbyt wiele dzieli: wybory życiowe, przekonania polityczne, interpretacja przeszłości, rozgoryczenie polskim kapitalizmem (*Nie mam tam po co latać*). Do tego dochodzą głupie docinki, zazdrość, niekiedy nawet zawiść (*Ciągle ciągnie?*, *Bezeceństwo narodowe*, *Odwrót powrotu*).

Poeta zamyka się w pokoju, przeszukuje zasoby internetu. Pozbawiony złudzeń obiecuje, że znowu przyjedzie. Nie interesują go salony, układy. Wybiera miejsca pośród zwykłych, szczerych ludzi, gdzie człowiek więcej znaczy niż bilet wizytowy czy list polecający (*Odkrywanie Ameryki*, *O niedostatkach stylu wysokiego*).

W utworze kończącym zbiorek wyznaje:

Nie słucham klasycznej muzyki
Nie tracę czasu na malarstwo

Mieszkam na antypodach
A to się nie liczy w świecie
Kongresów i zjazdów

Nocami buszuję po internecie
Z nadzieją na ciepłe spotkanie
Kogoś z zimnych krajów
Ci, których szukam – milczą

(...)
Wyłączam plastykowe pudło
I zapalam świece

Chiński teatr cieni
Ożywia się na ścianie
A za tą ścianą obcość
I pusty ocean
Włoskiego malarstwa
Klasycznej muzyki

I ani pijak nie ryknie
Ani pies nie zaszczeka
Do nieba, Panie,
Do nieba!

(*Milczenie postronne*)

Pomimo ogromnej odległości wyraźnie słyszymy głos poety z dalekiej Alabamy. Więc jednak warto, żeby nadal przyjeżdżał i pisał, choćby dla nielicznych.

Jerzy Gizella: *Odkrywanie Ameryki*, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 2001, ss. 63.

WALDEMAR MICHALSKI

JANUSZA KONIUSZA „DROGA DO HAMLETA"

Od książkowego debiutu Janusza Koniusza pt. *Tempo krążenia* (1958) po wiersze *Z Kaina i Abla* (1988) minęło wiele lat. I oto Muzeum Ziemi Lubuskiej opublikowało kolejną książkę tego poety pt. *Droga do Hamleta*. Już pierwsza lektura tomu potwierdza fakt, że Koniusz jest autorem ciągle modyfikującym swoją wypowiedź poetycką.

Przypomnijmy, że debiutował wierszami będącymi umiejętną kontynuacją zdobyczy poetyckiej awangardy Peipera i Przybosia: „najmniej słów, najwięcej znaczeń", przemawianie obrazem, zagęszczenia, przerzutnie itp. – to wczesny okres twórczości Koniusza, bardzo interesujący i znaczący także dla poezji „po Październiku 1956 r." Z czasem fascynacja nauką, techniką, architekturą ustępuje w jego poezji zauroczeniu światem natury. Niemal wszystkie przedstawienia wtórne mają swoje źródło w „zielonym morzu", które nas otacza. Motyw przewodni „morza-drzewa-jabłka-księgi rodzaju ludzkiego" staje się dominantą najnowszych wierszy Koniusza. Już wcześniej określał on proces twórczy jako swoiste „wykrztuszanie siebie nerw po nerwie, tkanka po tkance". Jest poetą, który „chce ocalać i pielęgnować". Czas i miejsce w tej poezji zaczynają odgrywać coraz większą rolę. W 1970 r. na łamach pokoleniowej „Współczesności" (nr 9) Koniusz pisał (odpowiedź na ankietę): *Najważniejsze są sprawy, które dzieją się w ludziach i między ludźmi. Literatura to przede wszystkim dialog pomiędzy autorem a czytelnikiem, o autorze i czytelniku, czyli o nas zdeterminowanych przez czas i miejsce w którym żyjemy.* Mocną stroną „poetyckiego dialogu" są w tekstach Koniusza odwołania do „tradycji wieków", do cywilizacyjnych znaków rozwoju i postępu, do biblijnych mądrości. Wszystko to w obrazach i faktach konkretnych, ale coraz częściej utrwalanych w refleksji zapisywanej pełnymi zdaniami, dalekimi od ascetycznej skrótowości:

Zgarniam ze stołu okruszyny wiersza
I posypuję nimi za oknem śnieg
Jakbym świat do ręki przynęcał

(*Gołąb i ja piszący wiersz, Z Kaina i Abla*)

Wiersze z tomu *Droga do Hamleta* łączy wspólny motyw: troska o los człowieka, jego nadzieje i obawy, wątpliwości i pytania. Wprawdzie świat nieustannie się zmienia, ale człowiek jest jednakowo poszukujący miłości, przyjaźni, prawdy i wiary. Wiersze najnowsze Koniusza coraz bardziej przypominają lirykę refleksyjną o narracyjnej strukturze wypowiedzi, bardzo odmienną od debiutanckich tekstów tego autora. Jako przykład wyjątkowego „rozgadania" można wymienić tu trzy utwory: *Kto to ci dwaj, O trzech monarchach* i *Z dziennika podróży*. Koniusz przyzwyczaił nas do innej poezji, ale czasy się zmieniają, więc poeci i poezja także...

Tytułowym hasłem zbiorku przywołane zostało pytanie Hamleta, ale także i człowieka współczesnego: *Być albo nie być?* Dawne dylematy egzystencjalne i duchowe pozostają wciąż aktualne. Warto zwrócić uwagę na ton wypowiedzi podmiotu lirycznego tych wierszy. To liryka „wyciszona". To kontemplacja, w której „słychać tylko milczenie Boga" – zupełnie nowy akcent w tej poezji. Metafizyczne czy nawet eschatologiczne przesłanie wielu utworów objawia Koniusza jako poetę, którego na nowo trzeba poznawać, odkrywać.

W kręgu tych wierszy pojawiają się postacie – symbole: Mojżesza, Jezusa, Weroniki, ale także dwóch łotrów i Barabasza... Czas teraźniejszy jest tu często czasem biblijnym, koniec znaczy początek, a rodzaj ludzki to księga odczytywana wciąż na nowo i jakby ciągle niezmiennie ta sama. „Wszystko ukartowane na końcu" – mówi podmiot liryczny z wiersza *Początek*, ale czy to oznacza, że Homer, Sokrates, Szekspir i Grochowiak – przywoływani w tych tekstach – są tylko znakami tego co było? Janusz Koniusz w poetyckim dialogu z czytelnikami swobodnie traktuje granice czasowe, posługuje się nazwiskami jako kluczami, próbuje otworzyć karty księgi, która bywa także rodzajem ludzkim (*Księga*).

Jest w tomiku wiersz pt. *Dom*, który kończy wymowny trójwiersz:

Bezradny stoję przed progiem
za wysokim na moje nogi
przykute do kamiennych tablic –

to znamienne stwierdzenie różnych, także kulturowych, uwarunkowań samorealizacji człowieka. Tym niemniej świadomość wielkich możliwości, ale też i ograniczeń w nieustannie zmieniającym się świecie (panta rhei...) – to tylko niektóre przesłanki refleksji podmiotu wierszy Koniusza. Jest on poetą, który posiadł umiejętność (dar?) tworzenia poetyckich syntez i przekazywania wiary w możliwości słowa, siłę miłości, potrzebę nadziei, *które na naszych oczach stały się nieskończone jak życie i śmierć* (*Zapis*). Piękna, ale egzystencjalnie trudna filozofia wierszy Koniusza czyni z tej poezji portret duchowych potrzeb współczesnego człowieka, który mieni się „pierwszym po Bogu" i ciągle „wyrusza w podróż dookoła siebie".

W różnych aspektach można rozpatrywać język tej poezji. Koniusz jest mistrzem w tworzeniu rozbudowanych metafor. W czasie jego debiutu wystarczyły one za wiersz „pisany na Przyboś". Dziś są ważnym węzłem poetyckiej refleksji. Oto dla przykładu kilka z nich: *drzewo zanurza się w gruby korzeń morza*; *Sokrates przed Ksantypą ucieka, gdzie rośnie pieprz filozofii*; *echem przywarł do muszli obeschłej ze snu*; *ciężka fala podniosła w zatoce szkarłatną płetwę świtu* itp. Niewiele tu porównań, a jeśli już występują to także jako porównania rozbudowane, metaforyczne: *drzewo rodzi owoc czerwony jak noworodek*; *wygląda jak Apollo, który perłową polewkę do dna siorbie*; *zaskarbił sobie łaskę cesarza jak dożywotnią rentę*; *jakby mi kto wyssał tlen z dmuchawca płuc* itp. Metaforyka wierszy Koniusza czyni obrazowanie tych utworów bardzo plastycznym i sugestywnym. Pamiętajmy, że funkcję metafory pełni w tych wierszach także sytuacja liryczna.

Nietrudno zauważyć – wspominałem o tym już wcześniej – że w strukturze składniowej utwory z tomu *Droga do Hamleta* zdecydowanie przełamały asceezę wierszy sprzed lat. Mamy tu zdania pełne, rozwinięte. Jest to poezja nowa, ale wykorzystująca doświadczenia poetyckiej młodości. W jednym z wierszy Koniusz wyznaje:

Z tamtym dniem
jak z sobą
nie mogę się rozstać

(*Z dziennika podróży*)

i słusznie, bo tylko szaleni odcinają się od tradycji, zrywają ciągłość. Urok poezji Koniusza, autora *Drogi do Hamleta* i wielu tomików wcześniej wydanych, polega m.in. na tym, że od czterdziestu lat jest on niezmiennie „młodym poetą", współtworzącym język nowej poezji i to zarówno w zakresie leksyki, składni, jak i układów wersyfikacyjno-intonacyjnych.

Najnowsza książka poetycka Koniusza jest ważnym głosem w życiu literackim pokolenia przełomu wieków. Warto także dodać, że edytorsko pięknie zrealizowany tom (wydany przez regionalne muzeum!) z ilustracjami Adama Falkiewicza otrzymał niedawno „Lubuski Wawrzyn Literacki za 2000 r."

Janusz Koniusz: *Droga do Hamleta*. Projekt okładki i rysunki Adam Falkiewicz. Wyd. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2000, ss.52.

ANNA KAŁUŻA

CZYSTA POEZJA

Czyżby zapanowała moda na autorskie antologie? A może nadeszła pora na podsumowanie poetyckiego dorobku tych poetów, którzy jeszcze tak niedawno uznawani byli za młode i nowe pokolenie? Co prawda tylko Jacek Podsiadło przedstawił tradycyjny wybór wierszy (I tom w 1998 roku), a już M. K. E. Baczewski ukrył za dymną zasłoną tytułu *Wybór wierszy* rzecz całkiem inną. W *Destylacie* Marcin Baran także dosyć swobodnie poczyna sobie z realizacją tych założeń, które są, bądź co bądź, dla antologii znamienne. Tę swobodę i innowacyjność widać już chociażby w ominięciu zużytej nazwy (chodzi o nazwę typu „wybór wierszy", „poezje zebrane") i zastąpieniu jej jednorazowym „destylatem", który nie jest hasłem wywoławczym, a w każdym razie, nie literackich antologii. Można więc raczej myśleć o modzie na modyfikacje i warianty, ctwierającej przestrzeń tekstu na zaskoczenie i niespodziankę, których brakuje w klasycznych, wydawanych w celu podsumowania, wyborach wierszy.

Co zapowiadać ma bowiem formuła: wiersze zebrane? Same oczywistości. Wśród nich na pierwszym miejscu są wiersze, doskonale już przecież (przynajmniej teoretycznie) znane. Zamysłem idealnym antologii jest potwierdzać, utrwalać wcześniejszą recepcję, stworzyć pełny, a na pewno pełniejszy niż do tej pory, obraz autora. Antologia to wszystko na jednym talerzu, posegregowane, uporządkowane i odpowiednio przyprawione. Być może już nawet przetrawione, jeśli pomyśleć o modelu lektury: teraz ponawianej, odświeżającej wrażenia „pierwszego razu". Oczywistością jest też przekonanie, że antologie należą się „zasłużonym" piszącym, że w jakimś sensie wieńczą pewien etap i w chwale i glorii pokazują swojego bohatera. Mają przypieczętować jego sławę i uznanie w oczach potomnych.

Niemniej jednak, od pewnego czasu (gdy średnia wieku autorów wierszy, zawartych w antologii, ledwie dobija do czterdziestki, podczas gdy dawniej ten wiek był o wiele „poważniejszy") efekt nobilitacji i uznania, jaki wydanie antologii podsycało, stał się efektem niedwuznacznie wyśmiewanym. Jest to zrozumiałe tym bardziej, że uznanie i popularność, które kojarzą się z wydaniem „poezji zebranych", należą do porządku kultury oficjalnej, prawomyślnej, „grzecznej". A od takiej ucieka większość poetów pokolenia „bruLionu", w tym także Marcin Baran.

Oczywiście nie rezygnuje on w *Destylacie* (co za przyjemnie alkoholowy tytuł!) z wszystkich chwytów budujących formy pochodne antologii. Jest jednak bliższy czemuś, co nazwałabym autorską próbą korekty niż stabilizującym podsumowaniom. Kiedyś Bieńkowski opisał poezję Karpowicza jako robienie „poezji bez krzty niepoezji". Podobnie postępuje Baran. Destylacja, jakiej poddał autor swoje wiersze, polega właśnie nie tyle na ustawieniu filtru, przez który przesączyłyby się teksty, ile na sublimacji, zagęszczeniu materii wiersza. Pomysł (o ile dobrze myślę) zmierza w stronę Przybosiowego „najmniej słów" (przy całkowicie odmiennym rozumieniu sensu poezji), a także – gdyby sięgnąć głębiej – do Mickiewiczowskiego cyklu *Zdań i uwag* (u Barana: *Zdania i obrazy*). W tym też cyklu *Destylatu* najwyraźniejszy jest zamysł kondensacji, oczyszczenia (z nadmiaru, który zakłóca, gwałci precyzję?) i tam też widać jak na dłoni to, co zapowiada tytuł tomiku.

Warto chyba zastanowić się, o czym świadczy takie dążenie. Tym bardziej że sąsiaduje ono w poezji Marcina Barana z zupełnie odmienną tendencją: do rozciągania tekstu ponad miarę, przedłużania, bełkotliwo-absurdalnej gadaniny. Czy maksymalny skrót – podobny do tego, jaki wprowadził autor do wiersza *Rozwiązłe krople czerwca*, redukując go do dwóch wersów: „Bardzo kochałem, zdradzałem nieśmiało, ale/ wszystko było już gotowe" – czy taki skrót nie jest równie mało precyzyjny, co „przegadany" celowo tasiemiec (np. *Nie umyty Harry*, *Plakat parafialny*)? Czy zatem w destylacji znaczeń, odchudzaniu tekstów chodzi Baranowi o precyzowanie sensu? Mówić dużo i mówić mało – jaka między tym różnica? Niepoezji i poezji?

Tomik porządkowany jest tematyką (choć nie do końca i nie zawsze, już trafniej tę zasadę nazwać zasadą podobieństwa, choć nigdy pary podobieństw się nie powtarzają). Odmienna jest zwykle tonacja emocjonalna cyklicznych kręgów, ich godna podziwu skala: od ironicznego dystansu do sentymentalnego (wstydliwie) wyznania. W grę wchodzą więc: pure nonsens, tak charakterystyczny przecież dla poetyki tegoż autora, tonacja buffo przedstawianych obrazków obyczajowych, minorowa gama, według której prowadzi się głównie, melancholijne i od czasu do czasu rzewne, opowieści o miłości i śmierci, kpiarsko-prześmiewczy ton, dzięki któremu wkracza codzienność, wreszcie zmysłowość, zwłaszcza w *Zdaniach i obrazach*. Chce Baran przedstawić się jako poeta nastroju, nie intelektu; emocji i własnego stylu, a nie znaczenia i sensu.

Nie obchodzi go „rozwojowość" poezji, kształtowanie się i zmiany we własnej poetyce, co można by łatwiej dostrzec, gdyby przyjął zasadę chronologiczną. Zależy mu widocznie na obrazie pełnym, wielowymiarowym i wielogłosowym, dlatego woli pokazać się jako poeta statyczny niż ewoluujący. Uparcie wraca do wierszy dawno zapisanych i szuka w nich czegoś innego, z tej samej formy chce wyłuskać to-samo-nie-to-samo, wskazując na trwałe niedokończenie, przyrodzoną nieostateczność wierszy, trochę oczywiście na wzór Różewicza albo ready-mades. Bo też blisko w tekstach Barana od destylacji do destrukcji sztuki, a tę ostatnią wiąże się przecież z ready-mades. Czy nie jest podniesieniem do rangi sztuki decyzją autora wersów: „Aluminiowe łyżki, trzęsące się dłonie, głowy pochylone nad pomidorową" albo „Zobojętniałe powieki" czy „Rekonstrukcja niewidzianej rzeźby"? A zresztą: czy moje pytania nie są naiwne, bo czy jest jeszcze coś, co nie stało się poezją, co jest odczuwane jako nie-poezja? Jeżeli ktoś ma jeszcze wątpliwości, to proszę przeczytać *Destylat*, w którym niesamodzielne niegdyś wersy stają się najprawdziwszymi (i zresztą bardzo zmysłowymi, prawie że cielesnymi) wierszami. A więc destylacja/sublimacja/kondensacja nie jest potrzebna Baranowi do oddzielenia poezji i niepoezji.

Uderzającą cechę tomiku: ogromną rozpiętość między skrótem a ślimaczącą się gadaniną, Baran tłumaczył tym samym argumentem. Jakby chciał powiedzieć, że nie ma różnicy między zaciśniętym gardłem, z którego trudno jest wydusić słowo – a jeżeli już się uda, to chropawe, pokraczne, jak to: *Miniaturowe truchło konika z ligniny cwałuje po/ parapecie* – i histerycznym paplaniem, śmierdzącym strachem na kilometr: *Tak wiele nie pamiętam. To, co zapomniane, to, co zapomniane – pamiętać. Pamiętać... Pamięć ucieka, umysł zaśmiecony. Nie pamiętam wiele: tylko niektóre słowa, niepełne obrazy... Ile z mojej niepamięci mogę opowiedzieć? Co powinienem zapomnieć – pamiętam* (...). By wyjaśnić obecność nadmiernych dłużyzn, pisze o niewiedzy, przypadkowym nieporządku, który uniemożliwia hierarchie: wszystko jest ważne albo wszystko należy zlekceważyć. Z niewiedzy i skrupulatności powstaje tekst bez przecinków, tekst, na który musimy się zgodzić, ponieważ chce być szczery (w swojej chaotyczności, mglistej sprawozdawczości, którą zawsze można posądzić o zdawkowość): *Nie wiem, więc rozwijam/ szeroki wachlarz możliwości jak szalenicze tempo: nad wyraz* – czytam w *Zbiórce wrażeń*.

Podobne wyjaśnienie podaje autor, gdy nie nadmiar, ale brak słów buduje wiersze (ubywanie jest ludzkie, wiersze żyją podobnie jak ludzie): *Nie mam słów, by wyrazić swoje przerażenie – żyję teraz, nie żyję za godzinę* (*Śmierć*). Może więc destylacja – oczyszczanie, spływanie kroplami, lekka para nad ziemią, mgła – to naturalna kolej rzeczy, ludzi i wierszy? Zostanie kropla, krop, kro, k..? Nieskazitelna czystość śmierci, o której wyrażenie tak wielu zabiegało (na przykład Mallarmé pragnący napisać wiersz o nicości, wiersz pozbawiony wszelkiego znaczenia, wiersz wydestylowany z sensu) byłabyż pułapem, który chce osiągnąć także Baran?

Tam, gdzie najmocniej dają o sobie znać likwidatorskie zapędy autora, czyli w cyklu *Zdania i obrazy*, na szczęście nie jest sterylnie. Wiersze, wybijane „z chaosem i rytmem", są cudownie liryczne, (przybliżające się, jakby przygotowujące do zamilknięcia): „Szara zasłona śniegu" albo „Kruche kości śniegu", wulgarne, obsceniczne (w nich cała wściekłość za strach, który jest w człowieku), dowcipne. Prawdziwy destylat. Marzenie poetów: czysta poezja, tu właściwie się staje. Czyżby było to tak proste? Na pewno pomysłowe i zabawne, nawet jeśli jest w tym trochę wisielczego humoru.

Innym efektem destylacji (oprócz skrótów i skreśleń) jest negliż niektórych wierszy – rozebranie ich z metafor, sztuczności, zaklęć poetyckich, piękna sztuki. Dba Marcin Baran o swoją poetykę „przezroczystego bezpieczeństwa nawyku". To, czym zachwycił w swoim debiucie (na równi z konceptualizmem), przetrwało. Nawet miłość jest banalnie przewidywalna, odrobinę z literatury i filmu, z domieszką perwersji, znudzenia i kiczu: *Kobieta w kapeluszu wielkim/ jak pożądanie nie daje odpocząć/ oczom. Kupować chleb i przewijać/ dzieci, chodzić do dentysty/ albo do spowiedzi – jest w tym/ godzien podziwu rytm i przeznaczenie* (*Okruchy miłości, pęczniejące kłamstwa*). Tam jednak, gdzie wkracza liryzm, kończy się negliż wierszy. Za metaforami, szelestem sylab, migotaniem skojarzeń kryje się poeta. O miłości pisze więc: *To się dzieje wśród wody zasuszonej w śnieg i czereśnie./ Pomiędzy mną a uczynionymi nie z prochu lecz z kości. Pomiędzy mną a tymi, które stwarzam oczami*.

Nie jest więc *Destylat* klasyczną, „po bożemu", zredagowaną antologią. Przynosi za to wyraźną propozycję poezji (nawet jeśli wyrazistość i konsekwencja nie są cechami, które ceni najbardziej Marcin Baran w swoich wierszach, to w pomyśle na zbiorek wierszy mogą być pożądane). Propozycję dosyć przewrotną – bo czy tylko tak, tylko już w smutnym naigrywaniu się ze sztuki czystej, można wspominać tamten rozdział w historii poezji? Z drugiej strony – w tej propozycji słychać mocne zaakcentowanie istotnego faktu, że „czystość" rozumiana jako skłonność do skreśleń, eliminacji, destrukcji, nie jest w żadnym razie sygnałem końca czy „wyczerpania", ale żywą, twórczą siłą, jedynie pogodzoną z niemożliwością oryginalności.

Marcin Baran: *Destylat*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2001, ss.131.

MAGDA OPOKA

„ŁADNIE TU U PANA"

Marcin Świetlicki jest zmęczony. Albo, jeśli cytować jego własne słowa, „rozproszył się". (W jednym z ostatnich wierszy pisze, że dałby wiele, żeby przy nim go nie cytowano. Czuję się jednak usprawiedliwiona odległością). Zatem poeta Świetlicki rozproszył się. Był zajęty występowaniem na scenie, w radiu i telewizji. Był zajęty tworzeniem Marianny G. Świeduchowskiej i jej książki. Był zajęty jeszcze mnóstwem innych czynności i w rezultacie nie starczyło mu czasu na poezję. Ostatni tomik Świetlickiego *Czynny do odwołania* raczej nie zachwyca.

Winę za to ponosi między innymi popularność, która przecież zawsze ma swoją cenę. Nawet jeśli jest się znanym poetą, co, wiadomo, w dzisiejszych czasach nie brzmi zbyt dumnie, to rozpoznawalność nazwiska i twarzy ma swoje nieprzyjemne konsekwencje.

bo chcą chcieć, bo im się rzekomo należę,
leżę, patrzę w podłogę i nie chcę.

(Chcenie)

Znana publicznie osoba postrzegana jest jako idealny kandydat do załatwienia szeregu spraw. Spada na nią mnóstwo zaproszeń, konieczność udziału w co najmniej części z nich, a ponadto odpowiadanie na pytania o sens życia czy wysłuchiwanie próśb o poparcie oraz wsparcie. Od tej pory bowiem „rozpoznawalnik" postrzegany jest jako „czynny do odwołania, otwarty do ostatniego czytelnika" (*Robienie*). A to przecież poeta jest tym, który chce, żeby mu postawić. Jedyną dobrą stroną popularności (choć może dobra to za dużo powiedziane) jest fakt, że to oni teraz dzwonią – znana osoba już nie musi zabiegać o zaproszenia do miejsc, w których trzeba być. Teraz, przy określonej pozycji społecznej, zadanie polega tylko na nie odbieraniu telefonów. Bo on obiecał, że będzie, że odpowie itd., ale zapomniał. Już mu wolno.

Poza popularnością przeszkadza Świetlickiemu także technicyzacja współczesnego świata.

Kiedy patrzę w twoje
oczy – to się jak akwizytor czuję, mały,
przegrany, próbujący kupę śmiecia sprzedać
nikomu. Jeśli jesteś – przyślij mejla. (...)
Jeżeli istniejesz – to przyślij esemesa.

(Baczność!)

Wiele się zmieniło. Pod koniec lat 80. Kazik, z pomocą Kultu wyznawał Ani, że gdy jej nie ma, to umiera co najmniej dziewięć razy. A gdy patrzy w jej oczy, to zaczyna się dzień (*Do Ani* z płyty *Posłuchaj to do ciebie*, 1987). Natomiast obecnie w podobnej sytuacji można się poczuć wyłącznie jak akwizytor. Bo i jak tu kochać prawdziwie, jeśli zamiast spotkania i rozmowy załatwia się wszystko esemesem czy mailem?

Z techniki trzeba bowiem umiejętnie korzystać. A raczej – umiejętnie jej się przeciwstawiać. Możliwości, jakie daje, pomagają niewątpliwie komunikować się z bliskimi. Jednocześnie pozwalają na poznawanie zupełnie nowych osób. I to jest interesująca, ale zarazem niebezpieczna przygoda. Bo owszem, możemy poprzestać na spotkaniach wirtualnych. Jednak, nie oszukujmy się, takie ograniczenie to jedynie skutek niewykorzystanych okazji lub braku możliwości – *Mogę być ci wierny./Nic mi nie pozostało* (*Baczność!*).

Nie należy się jednak dziwić, że znaczenie wierności tak zmalało. Czyż ludzie, dla których miłość jest jedynie środkiem do załatwiania spraw codziennych, mogą zachowywać się inaczej?

Kocham cię, kocham. Obsesyjna mantra,
na którą Bóg uprzejmie reaguje, a i
– a i ludziom świeckim podoba się całkiem.

(Kochanie)

Wystarczy powiedzieć dwa wyrazy, a ludzie już inaczej na ciebie patrzą. O wiele więcej rzeczy można dzięki temu załatwić. Te dziewięć liter potrafi też sprawić, że „wraca świat" i znowu śpi z tobą w łóżku. A jeśli to się nie powiedzie, to można ściągnąć „świat zastępczy".

Wystarczy tylko użyć innych słów – okazało się, że Świetlicki jest całkiem niezły w uwodzeniu:

(...) jesteś najlepszym punktem tego miasta,
centralnym punktem.
Kiedy wracam do miasta – to do ciebie wracam,
Miasto po prostu nie istnieje, kiedy
nie ma w nim ciebie. (...)
Miasto istnieje, jeśli ty zechcesz.

(Uwodzenie)

To jedno z najładniejszych wyznań ostatnich polskich wierszy. A takim słowom trudno się oprzeć, przez co odkurzacz musi bardzo często robić „zasłonę dźwiękową" (niezorientowanych odsyłam do *Katechetów i frustratów* niejakiej Marianny Ś.). I mimo że kobiety lubią słuchać takich rzeczy, to jednak prawdziwi mężczyźni rzadko im to mówią. Powód jest prosty – zajmują się poważniejszymi sprawami.

Napiszemy felieton do kolorowego
pisemka. To doprawdy jest
zajęcie dla prawdziwych mężczyzn. I poprowadzimy
telewizyjny program kulturalny.

(Baczność!)

Można do tego również dodać picie przeróżnych płynów w towarzystwie lub z powodu jego braku. Zalążek takiej sytuacji mamy w wierszu *Topnienie*, a dokładnie i ze szczegółami pisze o tym M. G. Świeduchowska.

I to by było na tyle. Kończy się dzieciństwo, pozostaje zdzieranie z twarzy maszynką śmierci. Ta sztuczka pozwala jednak oddalić tę myśl od siebie na bardzo krótko. Innym sposobem jest wykonywanie codziennych czynności, np. robienie posiłków. Tu warto zauważyć, jak spłycił się podmiot wierszy Świetlickiego – od dwóch porów, które niósł na kolację, trzymając za plecami, jak kwiaty, doszedł do kupowania: „ryż, bo ryż (...) szpinak, ponieważ brak mi wyobraźni" (*Kupowanie*). Problemy też ma inne, a ważne stają się dla niego proste przyjemności. Należy do nich jazda pociągiem w przedziale dla palących – aby była komfortowa, nie mogą do przedziału dla palących dosiąść się żadne matki z dziećmi. Do rangi problemu urasta natomiast zarówno zmiana numeru telefonu, jak i gnój, który urodził się tylko po to, by zabijać. Tak wygląda teraz świat. A ponadto Czesław Miłosz nie chce rozmawiać z Marcinem Świetlickim.

W *Czynnym do odwołania* jest kilka niezłych utworów, które kojarzą się z wcześniejszymi wierszami poety. Jest sporo zabaw językowych, poczynając od alfabetycznego układu wierszy, kończąc na takich językowych układankach jak np. *Wracanie*. Wadą tomiku jest jednak oczywistość. Jeśli ktoś pilnie śledzi twórczość Świetlickiego, to zaskoczy go tutaj bardzo niewiele. Sporo utworów Świetliki czy The Users już dawno wyśpiewali na swoich płytach czy koncertach. Może należałoby zsynchronizować wydawanie płyt i książek? Może zabrakło zmysłu marketingowego? A może to utwory dla przyszłych pokoleń, które przecież nie będą kojarzyły jednego z drugim? Na razie „źle mi się śni", jak pomyślę, że Świetlicki niczym mnie już nie zaskoczy. Kolejne tomiki będą równie ładne, równie oczywiste.

Marcin Świetlicki: *Czynny do odwołania*, Wyd. Czarne 2001, ss. 58.

MARIA KUNOWSKA-PORĘBNA

CZYTAJĄC ENCYKLOPEDIĘ

Kolejny tom *Encyklopedii katolickiej* – już ósmy – pojawia się na rynku w szczególnym momencie. Od pewnego czasu tenże rynek jest nasycony przez wydawnictwa leksykograficzne z religioznawstwa, religii i dziedzin pokrewnych. Oficyny prześcigają się w publikowaniu słowników biblistycznych,[1] eklezjologicznych,[2] hagiograficznych.[3] Największą popularność zdobyły chyba jednak dzieła religioznawcze.[4] Nie brakuje też leksykonów dotyczących mitologii.[5] Mamy wreszcie całą masę wydawnictw „aspektowych" od angelologii po demonologię i tematy pokrewne.[6] Wspomnieć także warto o słownikarstwie z dziedziny kultury chrześcijańskiej[7] oraz symboliki.[8] Ta bogata, choć jedynie sygnalizowana w przypisach oferta, tylko w części zaistniała za sprawą chęci uzupełnienia limitowanego do niedawna przez nadzór cenzorski rynku, znaczną jej część stanowią owoce postmarksistowskiego religioznawstwa, a pozostała jest ukłonem w stronę dekadenckich nastrojów kończącego się tysiąclecia.

Jak w tej sytuacji broni się wydawnictwo *Encyklopedii katolickiej?* Dzieło to jest – jak wiadomo – *syntezą kulturową, która nie tylko eksponuje problematykę światopoglądową, ale ujmuje także omawiane zagadnienia w perspektywie religijnej* [uwzględniając] *dorobek dyscyplin służących formułowaniu i pogłębianiu światopoglądu czytelnika, a więc obok szeroko rozumianych dyscyplin teologicznych, także filozofii, historii, nauki o literaturze i sztuce, socjologii, psychologii, pedagogiki, prawa, ekonomii i przyrodoznawstwa* (tzw. skrzydełko okładki *Encyklopedii katolickiej*). Ten długi cytat, przywołując cele i wspominając o środkach, niejako sam w sobie stanowi odpowiedź na pytanie o usytuowanie *Encyklopedii* w polskiej literaturze leksykograficznej. Dodać do tego wypada tradycje budowanego przez dziesięciolecia warsztatu naukowego uniwersytetu stanowiącego zaplecze encyklopedycznego przedsięwzięcia.

Dostępne na rynku słowniki nowej generacji na ogół pomijają polską problematykę, czasem tylko ją markują przy pomocy krajowej ikonografii – *Encyklopedia katolicka* do tej tematyki przywiązuje szczególną wagę. Trzeba w tej ambicji upatrywać zasługę edytorów, którzy w ten sposób systematycznie penetrują nieeksploatowaną niemal dziedzinę.

A jak te założenia są realizowane w ósmym tomie? Omawiany wolumen przynosi 309 haseł na literę „J" – od „język" poczynają a na „Juwentas" kończąc, oraz 858 na „K" – od „Kaaba" po biogram E. F. Kino. Tom uwzględnia hasła z zakresu: doktryny, historii i

[1] D. Fouilloux, A. Langlois, A. Le Moigne, F. Spiess, M. Thibault, R. Trebuchon: *Kultura biblijna. Słownik*. Warszawa 1997; P. Cz. Bosak OP: *Postacie Biblii. Słownik – konkordacja*. T. 1, Poznań 1999.

[2] H. Stadler: *Leksykon papieży i soborów. Dzieje Kościoła w dziejach świata. Osoby. Zdarzenia. Pojęcia*. Przeł. L. Kalinowski, M. Struczyński, B. Tarnas. Warszawa 1992; H. Masson: *Słownik herezji w Kościele katolickim*. Przekł. B. Sęk, Warszawa 1993.

[3] *Księga imion i świętych*. Oprac. H. Fros SJ, F. Sowa. T 1-4, Kraków 1997; V. Schauber, H. M. Schindler: *Święci na każdy dzień. Patroni naszych imion*. Przekł. B. Widła. Warszawa 2000.

[4] *Leksykon podstawowych pojęć religijnych. Judaizm. Chrześcijaństwo. Islam*. Pod red. A. T. Khoury. Przeł. J. Marzęcki. Warszawa 1998; M. Malherbe: *Religie ludzkości. Leksykon*. Przeł. M. Frankiewicz, Kraków 1999.

[5] J. Schmidt: *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*. 1992; M. Kempiński: *Słownik mitologii ludów indoeuropejskich*. Poznań 1993.

[6] G. Davidson: *Słownik aniołów, w tym aniołów upadłych*. Przeł. J. Ruszkowski. Poznań 1998. M. Lurker: *Leksykon bóstw i demonów*. Przeł. J. Prokopiuk, R. Stiller, Warszawa 1999; *Leksykon: Zaświaty i krainy mityczne*. Red. M. Sacha-Piekło. Kraków 1999.

[7] N. Lameitre, M.-T.Quinson, V. Sot: *Słownik kultury chrześcijańskiej*. Przekład i uzup. T. Szafrański, Warszawa 1997; M. Korolko: *Leksykon kultury religijnej w Polsce: Miejsca. Obrzędy. Wspólnoty (z przydatkiem literackich wypisów)*. Warszawa 1999.

[8] D. Forstner OSB: *Świat symboliki chrześcijańskiej*. Przekład i opracowaie W. Zakrzewska, P. Pachciarek, R. Turzyński. Wybór ilustr. i komentarz T. Łozińska. Warszawa 1990; W. Kopaliński: *Słownik symboli*. Warszawa 1990; J. F. Cirlot: *Słownik symboli*. Przeł. I. Kania. Kraków 2000.

geografii Kościoła, biblistyki, teologii moralnej, hagiografii, socjologii religii, a także filozofii, ekonomii, prawa, pedagogiki, psychologii i kultury (literatura, architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka, ludzie książki, czasopiśmiennictwo). Ważne dla tomu „bloki tematyczne" stanowią zgrupowania haseł związanych z pojęciem „katecheza" oraz „kaznodziejstwo", a także rozbudowane, złożone z 19 całostek hasło „katolickie stowarzyszenia" – to ostatnie bije rekord tomu w zakresie objętości, liczy bowiem 2960 wierszy (następne w kolejności są: Józef Oblubieniec 2445, Katolicki Kościół 1853 i... Katolicki Uniwersytet Lubelski 1724). Najczęściej powtarzające się informacje dotyczą diecezji i pojęć pokrewnych – tom zasypany jest drobnymi najczęściej hasłami z tego zakresu (blisko 100). Szeroko reprezentowana jest wiedza z zakresu hagiografii – przeszło 90 haseł.

Dla porównania: na literę „J", ściślej od „Język" encyklopedia przynosi 60 „jednostek", podczas gdy niemiecki słownik *Święci na każdy dzień* V. Schauber i H. M. Schindlera aż 82. Skąd taka różnica? Otóż *Encyklopedia* uwzględnia tylko imiona osób uznanych oficjalnie przez Kościół za świętych czy błogosławionych. Nie zaliczy do nich np. Joachima z Fiore, którego w gronie świętych wymienia przywołany słownik. Niemiecki leksykon ponadto wylicza świętych, których procesy są dopiero w toku, a nawet osobę, o której beatyfikację trwają jeszcze modły. U podłoża różnic między leksykonami legła zatem między innymi terminologia. W związku z przyjętą metodologią wymieniania świętych patronujących poszczególnym dniom św. Józef Oblubieniec pojawia się tam dwukrotnie: raz jako Józef z Nazaretu, drugi – jako Józef Robotnik. Ale nawet to „rozmnożenie bytów", zajmujące łącznie 138 wąziutkich wierszy trzyszpaltowej kolumny, nie przystaje w żadnym stopniu do specjalistycznego, wieloaspektowego opracowania z *Encyklopedii*, wspartego dodatkowo hasłami „józefitki" i „józefologia". Omawiany materiał obejmuje problematykę życia, rozbudowaną informację o kulcie, bractwach i stowarzyszeniach oraz instytutach życia konsekrowanego i stowarzyszeniach życia apostolskiego, związanych z jego postacią (łącznie ok. 120), a także o ikonografii i literaturze pięknej nawiązującej do osoby tego świętego. W zakres józefologii wchodzą natomiast zagadnienia: dzieje i istota teologiczna tej dyscypliny, jej odwołania do współczesności, centra, kongresy i czasopisma józefologiczne. Każdy człon hasła zaopatrzony jest w podstawową bibliografię.

Wymieniam zawartość opracowania, by zorientować czytelnika w zakresie dokonywanej penetracji problemu – w tym momencie wkraczam na grunt własnych doświadczeń wskazujących na potrzebę prowadzenia takich badań. W trakcie opracowywania obecności kultu świętych Ambrożego i Barbary w Polsce natknęłam się wiele razy na bałamutne wiadomości o związkach owych kultów z zakonem cystersów. Równie niepewne informacje dotyczyły powiązań tego zakonu z kultem św. Leonarda czy Józefa. I choć może jeszcze nieprędko badania prowadzone przez specjalistów związanych z *Encyklopedią* odpowiedzą na rodzące się wątpliwości, to stanowią one ważny krok na tej drodze.

O ile badania w zakresie hagiografii witam z nadzieją, o tyle materiały typu „sztuka karmelitańska" przeglądam z radością. Marzy mi się rzetelne podsumowanie kulturotwórczej roli zakonów i to nie tylko męskich. Hasło „sztuka karmelitańska" uruchamia jedynie sferę architektoniczno-ikonograficzną zagadnienia i choć trzeba cieszyć się tym zakresem, warto pomyśleć przy okazji o poszerzeniu horyzontów także o literaturę. Może byłaby to sposobność do rzetelnego spojrzenia na wpływy mistyki hiszpańskiej – via karmelici i karmelitanki – na piśmiennictwo i to nie tylko religijne.

Szkoda, że w tomie ósmym zabrakło informacji o sztuce kapucyńskiej – odmiana baroku, widoczna w organizacji budownictwa ich świątyń, wydaje się warta uwzględnienia. Szkoda, że nie ma też wiadomości o dziełach sztuki przechowywanych w polskich klasztorach kapucyńskich. Dobrze byłoby też podsumować ich wkład w „sztukę słowa".

Z satysfakcją obserwuję dział wiedzy o literaturze – obejmuje on charakterystykę prądów literackich, przegląd gatunków mających odniesienia do religii, biografie poszczególnych pisarzy, ważniejsze motywy i utwory literackie. Suma tych materiałów ma stworzyć obraz relacji między literaturą a religią, przede wszystkim w Polsce. Ten pierwszoplanowy cel koresponduje z próbą napisania nowoczesnej historii literatury nie tylko w odniesieniu do wybranego aspektu religijnego. Służy temu większość zamieszczanych informacji, „krojonych" na ponadaspektową miarę. Omawiany tom realizuje ten kurs, choć nie wszystkie elementy są w nim reprezentowane – nie ma więc np. wiadomości z dziedziny gatunków literackich. Najwięcej jest sylwetek pisarzy – 63, w tym polskich i z Polską związanych 24. *Encyklopedia* uwzględnia pisarzy różnego „kalibru" – obok uznanych wielkości znajdują się w niej rzemieślnicy literatury, twórcy niższych lotów, a także autorzy piszący dla potrzeb masowego czytelnika. Nierzadko poziom adresowany do najszerszej publicz-

ności okazywał się najbardziej nośnym ze względu na relację religia – literatura. Penetracja badawcza na tych poziomach dotyczy jedynie stosunków polskich, jeśli chodzi o literatury obce zatrzymuje się ona na nazwiskach występujących w podręcznikach historii literatury. Opracowania sylwetek przynoszą nie tylko skrótowe informacje biograficzne i informację bibliograficzną – akcent położono również na interpretację utworów.

Doniosłym wkładem twórców *Encyklopedii* w badania literackie jest nowatorski pomysł systematycznego prześledzenia dziejów centralnych motywów literackich proweniencji religijnej. Z tego zakresu ósmy tom przynosi hasła: „Józef Oblubieniec", „Judasz Iskariota", „kapłan" i „Kinga". Odwołują się one do różnych pokładów literatury. Osoba Józefa związana jest przede wszystkim z literackim opracowaniem Ewangelii Dzieciństwa i pokrewnych jej apokryfów, tj. bożonarodzeniowym misterium i jego pochodnymi: szopką i jasełkami oraz kolędą i pastorałką. Kinga uruchamia kontekst polskich legend i podań ludowych. Judasz Iskariota natomiast stanowi pole obserwacji postaw kontestacyjnych lub tylko niekonwencjonalnych, wybiegających poza ortodoksyjny przekaz. Opracowanie motywu kapłana w polskiej literaturze odwołuje się do rozszerzonego wzorca funkcjonującego w poprzednich tomach w odniesieniu do motywów kluczowych, takich jak Bóg czy Jezus Chrystus, których dzieje prześledzono szczegółowo w kolejnych okresach literackich. Sumując: przywołane hasła przywracają literaturze obszary przez ostatnie pięćdziesiąt lat wykreślane systematycznie z rejonów kultury.

Na uwagę zasługuje materiał dotyczący literatury w polskich kalendarzach, lekturze niezwykle popularnej a totalnie niedocenianej. Jej walory dostrzegali jedynie najświatlejsi, np. A. Mickiewicz, który postawił w jednym szeregu modlitewnik i kalendarz z racji codzienności ich użytkowania i oddziaływań, oraz... księgarze, którzy je masowo wydawali.

Szczegółowy ogląd ósmego tomu wskazuje na stałe ciążenie ku niemieckości. Rozumiem, że litera „K" skłania leksykografów do operowania w tym kręgu kulturowym, jednak gdy na 216 polskich, mówiąc umownie, biogramów doliczyłam się aż 74 niemieckich (jedna trzecia całości), zaczęłam mieć wątpliwości. Ten sam tom ze względu na literę „J" wydaje się predestynowany do propagowania francuszczyzny, mimo to ludzi z tego kręgu w prezentowanym materiale znajdujemy znacznie mniej – tylko 32 osoby. A przecież kultura polska rozwijała się w orbicie francuskich wpływów przez stulecia – i tu nagle takie przesunięcie? Wiem, że fachowa literatura niemieckojęzyczna jest łatwo dostępna, że tkwiliśmy w rzeczywistych zależnościach w dziedzinie kultury i religii od Niemców, jednak nie chce mi się wierzyć, by wzmiankowana propozycja była w pełni prawidłowa. Druga rzecz, że i inne wpływy też wydają się być zakłócone: wyżej niż francuskie uplasowały się italianica (35), których „potencjał" praktycznie w Polsce jest słabo wyczuwalny. Również wpływy angielskie wydają mi się przeszacowane (25).

W omawianym tomie daje się zaobserwować coś w rodzaju prowincjonalizmu. Wspomniałam już, że czwartym w kolejności (jeśli chodzi o obszerność) jest hasło „Katolicki Uniwersytet Lubelski". Wiem, że to instytucja sprawcza całego przedsięwzięcia, że przysłowiowo „od Berlin do Seulu" była do jedyna w swoim rodzaju „wartość", funkcjonująca w części świata ogarniętej komunizmem, ale... Jeśli dodamy do tego opracowanie dotyczące osoby ważnego dla środowiska filozofa ks. Stanisława Kamińskiego, najobszerniejsze z publikowanych biografii – i wcześniej, i w bieżącym tomie – profesorów KUL, łącznie z rektorami uczelni – to bez względu na wagę omawianych postaci czy spraw odnosimy wrażenie zbytniego skupienia uwagi na własnym podwórku.

I ostatnia sprawa – wydaje mi się, że wypracowana wcześniej linia w odniesieniu do omówień czasopism w omawianym tomie została zagubiona czy też nie wydobyta dostatecznie. Szczególnie źle zostały potraktowane periodyki noszące w tytule określenie „Jutrzenka". Autor hasła jakby nie zrozumiał, że nie wystarczy wymienić tytuł i podtytuł, czas i miejsce wydania oraz zamarkować w jakiejś ćwierci zdania tematykę. Pisemka, najczęściej ludowe bądź lokalne – nawet drobne – miały swoją specyfikę, były adresowane do konkretnych środowisk i tam pełniły bardzo ważną rolę religijną, kulturotwórczą, narodową. Potraktowane sumarycznie praktycznie przestają znaczyć coś więcej niż adres bibliograficzny. Poza tym autor opuścił tygodnik „Nowa Jutrzenka" (1908-1924) wydawany przez ks. A. Kwiatkowskiego w Bychawie (por. hasło „Bychawa" *Encyklopedia katolicka*, T. 2).

Na zakończenie wypada wyrazić nadzieję, że to monumentalne przedsięwzięcie będzie się w przyszłości coraz bardziej otwierało na nowe perspektywy.

Encyklopedia katolicka. Tom VIII. Język-Kino. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2000, ss. VIII + 1456 szpalt w układzie dwułamowym.

WACŁAW SADKOWSKI

KSIĄŻKA Z CIENIEM

Bożena Umińska zdobyła rozgłos opublikowanym w miesięczniku „Res Publica Nova" (lipiec-sierpień 1999) studium zatytułowanym *Naród z natury egzystencjalny, płeć z natury metafizyczna* opatrzonym nadtytułem (zapewne redakcyjnym): *Imaginarium nienawiści: antysemityzm*. Tzw. opinię czytelniczą zbulwersowała zawarta w tym studium brawurowa szarża na jedną z – nie zawsze niekwestionowanych – świętości narodowych, Stefana Żeromskiego i na jedną z ostatnich ofiar narodowej martyrologii alkoholizmu, Krzysztofa Mętraka. W twórczości pierwszego z nich dosłuchała się Umińska antysemickich uprzedzeń, u drugiego – także ech, sprzężonych z mizogynicznym sarkazmem.

Zasadnicze ogniwa jej ówczesnych wywodów weszły w skład wydanej obecnie książki poszerzającej znacznie pole badawcze, a przede wszystkim opatrzonej wykładającym założenia metodologiczne autorki wstępem oraz dwoma rozdziałami („*Żyd" i „kobieta" – zakres wspólnoty konstruktów* i *Specyfika żydowskiego patriarchatu*) uszczegółowiającymi te założenia i precyzującymi stosowaną przez autorkę terminologię. Książka *Postać z cieniem* pozwala więc w pełniejszym niż to było dotychczas możliwe stopniu poznać program badawczy autorki i ocenić go sine ira et studio. Zarazem intrygujący tę opinię program tzw. gender studies, prowadzonych w Uniwersytecie Warszawskim, po raz pierwszy zyskał wyłożoną expressis verbis wykładnię pisarską.

Co się tyczy założeń – jeśli tak można powiedzieć – metodologicznych, Umińska bada problem „kulturowej tożsamości płci (gender), nadając temu staremu wyrazowi angielskiemu znaczenie węższe od jego potocznego rozumienia (zgodnie z którym oznacza po prostu rodzaj, płeć) i ukazuje, *jak owa treść splata się i spotyka ze sposobem widzenia, konstruowania postaci etnicznie, kulturowo czy religijnie odmiennej* oraz *jak przecinają się treści genderowe i etniczne (ewentualnie „rasowe") i jaka jest ich zawartość*.

Wracając do owego podstawowego pojęcia – gender: za Maggie Humm (autorką przełożonego na polski, przez Bożenę Umińską i Jarosława Mikosa, *Słownika teorii feminizmu*, Warszawa 1993) autorka książki uznaje, że *kobiecość jest konstruktem społecznym (...) w kulturze obowiązuje pewien wzór kobiecości i męskości, który wyznacza rozumienie kobiecości i męskości, który wyznacza rozumienie tożsamości płciowej osoby, zarówno przez innych, jak i najczęściej przez nią samą (...) Inaczej mówiąc, płeć biologiczna od początku jest kształtowana kulturowo i proces ten zaczyna się wcześniej niż może to ująć jednostkowa świadomość*.

Przejawem umysłowej niepoczytalności byłoby kwestionowanie tych kulturowych uwarunkowań tożsamości płciowej człowieka (określenia „kulturowe" używam tu w rozumieniu bardziej tradycyjnym, bliższym Freudowskiej wykładni, niż to, którym wydaje się posługiwać Umińska, ale nie zachodzi między tymi rozumieniami sprzeczność). Nie sądzę jednak jako człowiek (mężczyzna – w iluż językach są to określenia wymienne!) wychowany w przekonaniu o psychosomatycznej jedności, jaką stanowi istota ludzka – przekonaniu wzbogaconym całą później uzyskaną wiedzą o przynależności gatunku ludzkiego do świata przyrody – by płciowa tożsamość człowieka w niczym nie przypominała takiejże tożsamości przynajmniej ssaków naczelnych. Te zaś z kolei zbieżności i analogie otwierają perspektywę na dwa obszary badawcze: jeden wyznaczałby ustalenia ewentualnych czynników kulturowych w kształtowaniu poczucia (lokującego się chyba tuż pod progiem „świadomości jednostkowej", którego to pojęcia Umińska chętnie używa) tożsamości płciowej naszych „braci mniejszych", drugi – określenia zakresu fizjologicznych uwarunkowań naszej, człowieczej tożsamości płciowej.

W ten pierwszy obszar autorka książki nie ma powodu wkraczać, żadnej natomiast nie czuje potrzeby dostrzegania obszaru drugiego, a ową tożsamość uznaje wyłącznie za „konstrukt społeczny". Nie czuję się kompetentny do orzekania, czy stanowisko takie da się naukowo uzasadnić, ale odnoszę wrażenie (stale odnawiające się we mnie w trakcie lektury *Postaci z cieniem*), że w odczuwalny sposób zubaża ono rozumienie niejednego z dzieł sztuki pisarskiej, eksplorującego właśnie psychosomatycznie uwarunkowania (a niekiedy wręcz determinanty) osobowości człowieka. Niektóre z objętych analizą Umińskiej utworów tę właśnie problematykę starały się z różnym powodzeniem drążyć.

Z tego arbitralnie przyjętego założenia wynika żarliwy zapał autorki w tropieniu klisz – stereotypów myślowych, „grup pryzmatycznych", uformowanych w tyglu apriorycznych

założeń, którymi autorzy (głównie powieściopisarze i noweliści) polscy ostatniego półtorawiecza posługiwali się nagminnie, niejednokrotnie pod- czy pozaświadomie, przy konstruowaniu sylwetek kobiet Żydówek. Postaci te w większości rozpatrywanych przez autorkę utworów zlepiano z obiegowych wyobrażeń osadzonych od wieków w „wielopostaciowej i dobrze zadomowionej w całej Europie tradycji patriarchalnej, mizogynicznej oraz antysemickiej".

Istotnym *novum* interpretacyjnym studium Bożeny Umińskiej jest uchwycenie i udowodnienie swoistego iunctim zachodzącego między oboma członami tej dyskryminacyjnej mentalności, przy dość istotnym ich zróżnicowaniu. Autorka książki powołuje się na studium Sandera L. Gilmana *Freud, Race and Gender* (1993) dowodzącym – jak pisze – *iż kobieta reprezentowała (i dla wielu nadal reprezentuje) inkluzywny obraz Obcego, obraz dający się włączyć w obręb tego, co własne, choćby dlatego, że kobiety są niezbędne w procesie reprodukcji. Żydzi zaś stanowili obraz Obcego, który mógł być wyłączony, w żadnym sensie bowiem nie byli niezbędni.* W każdym jednak razie obie te „grupy pryzmatyczne" stanowiły tworzywo tematyczne i materiał egzemplifikacyjny nader sposobny dla wyrażenia najgłębszych urazów, fobii i uprzedzeń dziedziczonych i przejmowanych od otoczenia, niekontrolowanych bądź wręcz kultywowanych i rozwijanych w pisarskiej wyobraźni omawianych przez Umińską autorów.

I choć nie każda ewokacja literacka mizogynizmu uzewnętrzniała zarazem uprzedzenia antysemickie i nie każda pisarska manifestacja antysemityzmu podbarwiona była mizogynizmem, „sprzężenie zwrotne" zachodzące między tymi dwoma rozszalałymi w uśpionych umysłach demonami w nakreślonych przez różnych autorów polskich omawianego przez Umińską okresu negatywnych portretach Żydówek tak jest nagminne, iż zdaje się dowodzić istnienia swoistego nawyku wyszukiwania najsłabszych ofiar dla rozładowywania agresywnej frustracji oskarżycieli, wywołanej słabością różnych rodzajów – męską, intelektualną, moralną, społeczną i wszelką inną. Uwznioślonym, wysublimowanym wyrazem tychże dyskryminacyjnych w istocie wyobrażeń jest koncepcja ofiary bezsilnej i bezbronnej, którą powinni w pokorze składać z samych siebie przedstawiciele obu „grup pryzmatycznych", a przede wszystkim uosabiające sobą oba człony mizogynicznej i antysemickiej tradycji kobiety Żydówki.

•

Wyobrażenia te, przejmowane i wcielane w materię literacką, modyfikowane na różne sposoby, ale z rzadka tylko kwestionowane lub wręcz negowane, tropi Bożena Umińska z wielką wnikliwością w utworach wielu pisarzy, w tym Prusa, Zapolskiej, Reymonta (istotne przeprowadza w tym punkcie rozróżnienie między „umiarkowanym" obrazem powieściowym Żydówki w *Ziemi obiecanej* i stuszowanym zresztą po latach jej portretem filmowym Andrzeja Wajdy), Wyspiańskiego, Konopnickiej, Żeromskiego, Witkacego, Nałkowskiej, Choromańskiego, Kuncewiczowej, Gombrowicza, Schulza i Iwaszkiewicza, a także z zakresu literatury niższego lotu, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza i Stefanii Zahorskiej. Ta ostania pisarka, w powieści *Korzenie* (1937) zdobyła się zresztą – zdaniem Umińskiej – na najbardziej radykalne i śmiałe wyszydzenie owych antysemickich i mizogynicznych uprzedzeń rozszalałych w drugiej połowie lat 30 w Polsce, prezentując się jako dziedziczka najszlachetniejszych kart twórczości Zapolskiej i Konopnickiej (nie w całej twórczości zresztą – zdaniem Umińskiej – konsekwentnych w swych światłych poglądach).

Już dyskusja tocząca się przed dwoma laty o Bożeny Umińskiej odczytaniu *Przedwiośnia* dowiodła, że o każdej niemal z jej interpretacji wieść można spory, niekoniecznie frontalne, które w żadnym razie nie powinny jednak przybierać charakteru konfrontacyjnego. W wielu punktach (choćby co się tyczy *Wesela* Wyspiańskiego, *Panny Mery* Przerwy Tetmajera, powieści Gawalewicza, *Zazdrości i medycyny* Choromańskiego) analizy zawarte w *Postaci z cieniem* uderzają trafnością i przekonują (niemal!) bez reszty. W wielu innych punktach prezentują intrygującą, płodną zaczepność ocen, zawsze cenną dla rozwoju myśli i dyspozycji krytycznoliterackich. Niektóre z kolei przy pierwszej już lekturze budzą niepokój lub wręcz sprzeciw, który niekoniecznie musi być słuszny – raczej skłaniać winien opornego czytelnika wywodów Umińskiej do skontrolowania jego przyzwyczajeń i upodobań czytelniczych.

Sięgnąłem więc ponownie po jedną z mych najukochańszych powieści polskich – po *Faraona*; z tego, co pisze Umińska o zawartym w powieści Prusa portrecie Żydówki (*Sara jest postacią uległą do samozatracenia* w przeciwieństwie do pozostałych postaci kobiecych, które *dysponują specyficzną siłą, czasami bezwzględną, jak Fenicjanka Kama, która czerpie z poczucia swej kobiecości, z mocy płci, seksu, erosa*), zdaje się wynikać

niewrażliwość interpretatorki na skupienie w osobie tej pięknej dziewczyny tych niemal wszystkich subtelnych i szlachetnych cech, opromienionych w dodatku kobiecym wdziękiem, jakie autor ceni sobie nierównie wyżej od wyuzdanej i przebiegłej interesowności kapłanki fenickiej, której swoistą przebojowość – pokrewną, jeśli nie tożsamą z „najstarszym zawodem świata" – autorka *Postaci z cieniem* zdaje się przedkładać nad „pasywne" cnoty kobiece. Można by przyjąć, że to jej sprawa – ale niechże więc i Bolesław Prus ma prawo do swoich preferencji, nie tylko nie gorszących, ale wręcz służących w artystycznej strukturze powieści apologii postaci Sary. Satysfakcjonująca feministyczny fundamentalizm agresywność Kamy zyskuje w układzie powieściowym znak etycznie ujemny, co we mnie osobiście nie budzi sprzeciwu.

Ta zapalczywość interpretacyjna Umińskiej wydaje się świadczyć o niepowściąganym niekiedy ideologizowaniu materii literackiej. Niektóre z jej ocen dają wyraz przedkładaniu przez autorkę *Postaci z cieniem* wyznawanych i z godną podziwu żarliwością stosowanych pryncypiów „genderowskiej ideologii" nad upodobaniami i wyczuciem specyfiki ekspresji literackiej. Nie jest jednak tak, żeby Umińska była gotowa je złożyć na ołtarzu ideologii. Widać to wyraźnie w tych partiach jej książki, w których zajmuje się Witkacym i Gombrowiczem. Rekonstruujące obiegowe przekąsy środowiskowe – o oczywistym rodowodzie antysemickim – zgryźliwości i szyderstwa Witkacego tłumaczy (łamiąc wszelkie filologiczne kanony) niemal na zasadzie „czym skorupka za młodu nasiąknie", przywołując listy Witkiewicza ojca do syna, z okresu gdy Stanisław Ignacy zamierzał poślubić szesnastoletnią pannę Oderfeld. I nie ma dla Umińskiej znaczenia to, że Witkacy sarkastycznie wydrwiwał wszystkie wartości, postawy i tradycje, z jakimi się stykał i w jakie się wpisywał, włącznie z „polskością", do której przywiązanie skłoniło go do samobójczej śmierci w poranek wrześniowy w roku 1939. Autorka książki zdobywa się co najwyżej na stwierdzenie, że w „poważnych" wypowiedziach pisarskich nie aprobował Witkacy żadnej formy ksenofobii ani nacjocentryzmu. Jego rozprawy z „kobiecością" (w istocie przecież – z „kobietonami") nie zjednują mu jednak sympatii interpretatorki.

Łatwiej jej zdobyć się na sympatię dla indyferentnego w tej kwestii Gombrowicza, którego sardonicznych prześmieszek z różnych „Młodziakówien" broni Umińska przy zastosowaniu wysoce sofistycznej koncepcji Zygmunta Baumana na temat „nowoczesności" i „ponowoczesności". Tę pierwszą, mającą polegać na wyodrębnianiu i identyfikowaniu wszelkich różnorakości (w tym etnicznych, kulturowych, płciowych) reprezentuje Witkacy – i Umińska radzi podchodzić do niej ostrożnie, bo kryje w podtekście i genealogię, i ukierunkowania „swojskościowe". Tę drugą natomiast uznaje za cnotę Gombrowiczowi, który, jej zdaniem, reprezentuje „ponowoczesną" postawę szyderczego negowania wszelkich modernistycznych identyfikacji i kategoryzacji. Niestety, przyznać się muszę do całkowitej niemożności uchwycenia jakiejkolwiek (poza stylistyczną, wynikłą z odrębnej świadomości i wrażliwości językowej obu pisarzy) różnicy między postawą ideowo-artystyczną objętych jej analizą „prześmiewców". W każdym razie lepiej zasłużyć na sympatię Bożeny Umińskiej niż na jej dezaprobatę, obiecuję więc solenną pilność w zrozumieniu tej różnicy, jeśli autorka *Postaci z cieniem* zechciałaby mnie w tej materii oświecić.

Nawet tam, gdzie nie zostałem przez nią, jak dotychczas, przekonany, doceniam w pełni odkrywczą odwagę jej sądów, hipotez i koncepcji interpretacyjnych. Najsubtelniejsza (prawie „niezideologizowana") wydaje mi się analiza *Pasji błędomierskich* Iwaszkiewicza potwierdzająca – niestety – zdziwienia i zaskoczenia, jakie budziła lektura korespondencji Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, pełnej określeń i zwrotów nie odbiegających od poziomu mentalnego polskiego „Homera w spódnicy", zaświadczonego w *Dziennikach* Marii Dąbrowskiej. Ale na miejscu autorki książki wspomniałbym przynajmniej o udokumentowanym okupacyjnym rozdziale historii Stawiska albo o przekroczeniu tych „wyssanych z mlekiem matki" uprzedzeń i stereotypów w latach, które nadeszły po powstaniu tej powieści.

•

W dowód wdzięczności za wszystko, czego się z książki Umińskiej dowiedziałem i nauczyłem, śpieszę też z pewnym uzupełnieniem, które być może okaże się autorce *Postaci z cieniem* przydatne w dalszych badaniach (a może przy ewentualnym wznowieniu tej książki). Mam na myśli powieść Józefa Wessenhoffa *Hetmani* (1911), w swoim czasie dorównującą popularnością *Żywotowi i myślom Zygmunta Podfilipskiego*, tyle że nie zdołał jej uchronić przed blamażem w oczach krytycznego czytelnika taki pomysł interpretacyjny, jaki uratował ów *Żywot* (uznany, jak wiadomo, za pastisz szaraczkowego kretynizmu środowiska reprezentowanego przez bohatera tytułowego). Autor uważał *Hetmanów* za swą powieść programową; w *Moim pamiętniku literackim* (1925) wyznawał:

Pierwszy to raz na przykład wybrałem na bohaterkę romansu – i to regularnego romansu z jaskrawymi przypadłościami – duszę kobiecą ohydną – i pierwszy, a jedyny raz – Żydówkę (...) Traktowałem zawsze kobietę polską z uszanowaniem dla jej cnót i zalet, z zapałem dla jej piękności – jak sumiennemu odtwórcy naszej epoki przystoi. Nawet sylwety kobiece ujemne przebierałem po cudzoziemsku. Tym razem wyprowadziłem na pierwszy plan kobietę piękną – bo jej powab fizyczny musiał mi służyć za tłumaczenie jej roli w polityce i w opanowaniu umysłu Tadeusza Sworskiego – a cudzoziemkę par excellence, bo Żydówkę. Chociaż postać Heli Latzkiej zaliczam do swych najudańszych, nie miałem na nią wyraźnego wzoru, a nawet z tym gatunkiem intrygantek i obłudnic nie miałem nigdy bliższych stosunków.

Ponieważ nie umiem się przymusić do ponownej lektury *Hetmanów*, pozwolę sobie zacytować omówienie tej powieści, jakie pomieściłem w książce *Literatura katolicka w Polsce* (Warszawa 1963), prawie w żadnej – poza naukowymi – bibliotece niedostępnej: *prowadzi autor swego bohatera przez szereg bolesnych rozczarowań związanych z działalnością rewolucyjną i perypetiami uczuciowymi, tak niestosownie skierowanymi. Rozczarowania te doprowadzają w końcu Tadeusza Sworskiego* [...] *do stanowczej decyzji zerwania z niecnymi siłami i – co więcej – do nawrócenia na nader mglisto ujętą, ale dającą się w końcu ściśle odczytać ideę symbolicznego Piasta, będącego rzecznikiem interesów i celów narodowej demokracji.*

Marzyłoby mi się też, by Umińska objęła w przyszłości swoją analizą piśmiennictwo polskie drugiej, powojennej połowy zeszłego wieku. Ciekaw byłbym, co by miała do powiedzenia o *Uprowadzeniu Baucis* Leona Gomolickiego, o książkach Marka Sołtysika zrodzonych z fascynacji osobą i losami autora *Zazdrości i medycyny*, a także na przykład o relacjach zachodzących między *Wielkim Tygodniem* Jerzego Andrzejewskiego a jego filmową wersją Andrzeja Wajdy.

Bożena Umińska: *Postać z cieniem. Portrety Żydówek w polskiej literaturze od końca XIX wieku do roku 1939*. Wydawnictwo Sic, Warszawa 2001, ss. 373.

SŁAWOMIR BURYŁA

„ZMYŚLONA" OPOWIEŚĆ

Po Galicji Martina Pollacka to kolejna pozycja z przygotowywanej przez Wspólnotę Kulturową „Borussia" serii „Odkrywanie światów". Jej ideą jest prezentacja książek, które ukazują zapomniane przestrzenie kulturowe Mazur, Śląska, północnych i południowych krańców dawnej Rzeczypospolitej. Jeszcze raz przed naszymi oczyma odżywa mit monarchii habsburskiej, tym razem jednak opisany nie przez kogoś, kto w tych stronach spędził dzieciństwo i młodość, ale przez człowieka, który urodził się w epoce, gdy Franciszek Józef i jego królestwo żyły już tylko w ludzkiej pamięci.

Martin Pollack, austriacki dziennikarz i pisarz, tłumacz literatury polskiej (przekładał m.in. utwory Ryszarda Kapuścińskiego, Andrzeja Bobkowskiego) wielokrotnie odwiedzający nasz kraj, swą „imaginacyjną podróż po Galicji Wschodniej" odbywa we własnej wyobraźni. Podporą dla niej są stare przewodniki, mapy, atlasy, lokalne gazety, wreszcie wspomnienia prozaików i poetów ukraińskich, żydowskich, niemieckich, czeskich, polskich. To na ich podstawie autor próbuje wskrzesić krainę, którą jest wyraźnie zafascynowany. Podróż, w jaką się wraz z nim udajemy, prowadzi jedynie przez wycinek olbrzymiego królestwa Austrii i Węgier. Wybór trasy nie jest jednak przypadkowy. Tereny te otaczała zawsze dziwna aura niezwykłości i tajemniczości. Podtrzymywały ją m.in. grasujące w okolicy bandy rozbójników, którzy w oczach tamtejszych chłopów uchodzili za bohaterów, mścicieli, a wśród nich najbardziej znany – Oleksa Dowbusz. Działo się tak mimo iż prawda o zbójnikach – jak odnotowuje autor *Po Galicji* – wyglądała bardziej prozaicznie: z pogromców pańskiej fortuny często przeistaczali się w grabieżców najuboższych. Przy tej okazji dość egzotycznie, w konfrontacji ze stereotypem Żyda pokutującym w naszej kulturze, brzmią przytaczane przez austriackiego pisarza wzmianki o działających na tym obszarze bandach Mosze Jankla Reisnera czy Berla Lewiego.

Karl Emil Franzos, z którego Pollack cytuje obficie, powołując się wielokrotnie na jego oceny i diagnozy, odnotowywał: *Zaprawdę, bardzo to przyjazny człowiekowi gest ze strony kolei Karola Ludwika, że pociąg pośpieszny jeździ nocą. Z okien żadnego bodaj wagonu na tym kontynencie nie roztacza się widok równie beznadziejny. Jałowe błonie, mizerne łany, obdarci Żydzi, brudni chłopi. Albo też jakaś zapuszczona dziura, na dworcu kilku ziewających miejscowych notabli, paru Żydów i parę innych istot, których niepodobna raczej obdarzyć mianem człowieka.* A jednak mimo przerażającej biedy, przysłowiowego wręcz nieporządku, chaosu i przerostu struktur biurokratycznych, tradycyjnego pijaństwa tutejszych chłopów połączonego zwykle z zacofaniem, galicyjska prowincja kryje w sobie niezwykły czar, któremu zdają się ulegać autorzy powieści i wspomnień o monarchii habsburskiej. Na równi z nimi ulegamy mu również my, którzy – podobnie jak Martin Pollack – mamy do niej dostęp jedynie drogą imaginacji. Wydaje się nawet, że – paradoksalnie – często to, co odpychające decyduje o uroku galicyjskiej prowincji, w której dzień targowy był jedynym wydarzeniem naruszającym senny żywot wiejskiego i małomiasteczkowego środowiska. Stacyjki kolejowe Złoczowa, Brodów, Krasnego, Sadagóry zaniedbane, pojawiające się nagle na horyzoncie, pozostają jedynym miejscem łączącym te zapomniane krainy z resztą królestwa oraz Europą. Z okien zatrzymującego się na nich pociągu podróżny mógł dostrzec w oddali żydowski sztetl, który dla wielu potomków Izraela stał się synonimem krańcowego ubóstwa.

Barwność ziem Galicji Wschodniej oraz powstających tu legend, opowieści oraz przekazów jest wypadkową zamieszkujących je niezwykłych ludzi i narodów. W środkowej części Karpat osiedlili się Bojkowie, zachodniej – Łemkowie. W trudno dostępnej Bukowinie spotkać można było Węgrów, Słowaków, Rumunów, Cyganów, Ormian, Rusinów. Każda z tych grup dzieliła się dodatkowo na przedstawicieli różnych religii, w ich obrębie mieścili się jeszcze wyznawcy poszczególnych obrządków i sekt. Mozaikowość i złożoność tej sytuacji doskonale ilustruje chociażby społeczność żydowska, którą dzielą spory między zwolennikami tradycji rabinackiej, chasydami, karaimami.

Chyba największą ciekawość u pisarzy i artystów rozbudzały zawsze plemiona Huculów, których pochodzenie jedni wywodzili od Scytów, inni zaś od ludów rumuńskich i rusińskich. Autor *Po Galicji* pisze o nich z wyraźną sympatią, która daje się odczuć również w takim oto fragmencie ukazującym wygląd Hucuła: *Nawet najubożsi z nich wyglądali malowniczo: opadające na plecy, połyskliwe loki, często natłuszczone masłem, filcowe kapelusze z szerokim rondem i wstążką z mosiężnej blachy, wetknięte za nią pióra głuszca i pawia, wąskie, jaskrawoczerwone spodnie, czerwone dziergane pończochy i sandały z surowej skóry; na ramionach długa, lśniąca od tłuszczu koszula z lnu, „mazanka", którą pasterze impregnowali dla odstraszenia dokuczliwych insektów, rozpuszczonym masłem i siarką; na to serdak z grubego filcu lub baraniego kożucha; za szerokim pasem puginał zwykle też starodawny pistolet, w ręku topór, czyli ciupaga z ostrą jak brzytwa głowicą – oręż przydatny w razie bijatyki.*

Jednak już w połowie dziewiętnastego wieku spokój cichej, zapomnianej krainy Europy zakłóca rytm „nowego". Drohobycki kupiec, Jakub Schulz, coraz gorzej znosi konkurencję z zalewem tandety, jaka wdziera się wraz z odkryciem na tych terenach pokładów ropy. Życie przyśpiesza. Chłopi rusińscy, od dawna w najróżniejszych zagłębieniach zbierali ropę wykorzystywaną później m.in. w zagrodzie, teraz muszą ustąpić wyrastającym jak grzyby po deszczu rafineriom, których właściciele dorabiają się olbrzymich pieniędzy niemal z dnia na dzień. Senny nastrój Drohobycza oraz okolic mącą najróżniejszej marki spekulanci i handlarze. Dokonujące się przemiany w strukturze społecznej, stylu życia i wiążącą się z tym walkę tradycyjnego kupiectwa z nafciarzami opisał w *Sklepach cynamonowych* Bruno Schulz. W niepamięć stopniowo odchodzą opowieści o strzygach i wampirach, jak chociażby ta o Selmanie Wolfowiczu, żądnym władzy obywatelu Drohobycza, który według legendy miał wracać do świątyni rusińskiej i niszczyć konfesjonały, naczynia liturgiczne.

Książka Martina Pollacka uświadamia nam fakt, iż znaną z przekazów wszechobecną nędzę tej ziemi przesłania mityczne wyobrażenie Galicji – krainy barwnej koegzystencji różnorodnych narodów i obyczajów. Niestety wraz z upadkiem monarchii austro-węgierskiej Europa musiała pożegnać się z mitem pokojowego współistnienia odmiennych tradycji i kultur. Czy rozstała się z nim na zawsze?

Martin Pollack: *Po Galicji. O chasydach, Huculach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli wyprawa w świat, którego nie ma*, przeł. A. Kopacki, Wspólnota Kulturowa „Borussia", Seria: „Odkrywanie światów", pod red. R. Traby, Olsztyn 2000, s. 181.

WALDEMAR DAGILIS

DOKUMENTACJA LUDOBÓJSTWA

O tragedii ludności polskiej zamieszkałej na Wołyniu w latach II wojny światowej napisano już sporo. Wyszły wspomnienia żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK: Michała Fijałki (*27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK*), Józefa Turowskiego (*Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK*), Wincentego Romanowskiego (*ZWZ-AK na Wołyniu 1939-1944*). Recenzję z tych prac zamieściłem w „Akcencie" nr 1 z 1997 roku. Obszerniej o zagładzie Polaków i polskości na Wołyniu pisano w pracach Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej autorstwa Leona Popka i innych. Były to książki: *Świątynie Wołynia*, *Wołyński testament* i *Okrutna przestroga* (recenzja w „Akcencie" nr 1-2 z 1998). Teraz jednak ukazało się dzieło niezwykłe: monumentalna praca Władysława i Ewy Siemaszków (ojca i córki) *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*.

Władysław Siemaszko, były żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, wraz ze wspomnianym już Józefem Turowskim opublikowali w r. 1990 opracowanie pt. *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1945* (wydane przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytut Pamięci Narodowej). Praca ta zawierała krótkie opisy zbrodni w poszczególnych miejscowościach na Wołyniu wraz z liczbą ofiar, podanych w układzie chronologicznym. Powodzenie tego opracowania w środowiskach byłych żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji i byłych mieszkańców Wołynia skłoniło autorów do dalszych badań tych tragicznych wydarzeń. Po śmierci J. Turowskiego Władysław Siemaszko kontynuował pracę wraz z córką Ewą. Wstępne podsumowanie swych badań zawarli w krótkim referacie *Terror ukraiński i zbrodnie przeciwko ludzkości dokonane przez OUN-UPA na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1945* wygłoszonym na sympozjum naukowym *Polacy i Kościół rzymskokatolicki na Wołyniu w latach 1918-1997*, które odbyło się na KUL-u w 1997 r. Referat ten z załącznikami wydany został w formie niewielkiej książeczki przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Nacjonalistów Ukraińskich w Warszawie (1998).

Jak zapowiedzieli autorzy, wyniki ich dziesięcioletnich badań przedstawione zostały w opublikowanym właśnie dwutomowych dziele. W pierwszym tomie znajdują się opisy krwawych wydarzeń na Wołyniu w układzie terytorialno-chronologicznym. Zakres poszczególnych rozdziałów pokrywa się z zasięgiem powiatów Wołynia. W obrębie powiatów wyszczególniono gminy, a w obrębie gmin miasta, wsie, kolonie, futory, osady, majątki, w których dokonano zbrodni. Podano rodzaje aktów terroru (zabójstwa, pobicia, rabunki, podpalenia), przybliżoną liczbę ofiar w danej miejscowości i ich dane personalne. Odtworzono też przebieg wydarzeń i podano numery źródeł, z których autorzy korzystali, a których wykaz znajduje się na końcu pracy.

W drugim tomie uwzględniono zbrodnie dokonane poza Wołyniem na ludności polskiej, której udało się uciec z Wołynia, a więc w województwach: lubelskim, poleskim i tarnopolskim, gdzie również dosięgnął uchodźców terror OUN-UPA. Wymieniono i scharakteryzowano pokrótce nacjonalistyczne formacje ukraińskie odpowiedzialne za zbrodnie ludobójstwa (zwłaszcza trzy główne: Tarasa Bulby, Stepana Bandery i Andrija Melnyka) wraz z imiennym wykazem członków, sprawujących różne funkcje w tych ugrupowaniach. Wreszcie w podsumowaniu przedstawiono ogólny zarys wydarzeń na Wołyniu w latach II wojny światowej.

Na tym kończy się część pierwsza tej wielkiej pracy autorów. Część drugą stanowią aneksy, czyli zbiór 79 dokumentów, z których większość to relacje świadków zbrodni z poszczególnych powiatów i miejscowości. Inne dokumenty to raporty i informacje komend AK i okręgów Delegatury Rządu na Kraj, rejestry zgonów ofiar rzezi w niektórych parafiach rzymskokatolickich na Wołyniu (w Kołkach i Włodzimierzu Wołyńskim), fragment listu biskupa diecezji łuckiej Adolfa Szelążka do papieża Piusa XII (26 V 1946 r.) oraz niektóre dokumenty OUN-UPA. W książce zamieszczono też 78 fotografii wykonanych przez Polaków jako świadectwo tamtego czasu. W bibliografii autorzy podali wykaz źródeł do swojej pracy. Są to: relacje i wspomnienia świadków, akta śledztw w sprawie popełnionych zbrodni, akta spraw o uznanie za zmarłych i uznanie faktów zgonów, księgi parafii rzymskokatolickich diecezji łuckiej, dokumenty i materiały Polskiego Państwa Podziemnego, dokumenty OUN-UPA oraz publikacje książkowe i prasowe dotyczące badanego tematu.

Warto dodać, że oba tomy liczą w sumie 1433 strony. Trud autorów jest imponujący, a ich dzieło ma po prostu wartość historyczną, jako pierwsza tego rodzaju dokumentacja tragicznych wydarzeń na Wołyniu w latach II wojny światowej. *Praca Siemaszków, produkt ponaddziesięcioletniego trudu stanowi obszerne i podstawowe dzieło w zakresie podjętej tematyki, zrealizowane na skalę u nas w tej dziedzinie dotąd nie spotykaną, zapełniającą pokaźną lukę w historii Polski okresu II wojny światowej w ogóle, a historii ludobójstwa na Polakach w tamtym okresie w szczególności* – pisze w przedmowie do książki prof. Ryszard Szawłowski. Profesor uzasadnia zastosowanie przez autorów pojęcia ludobójstwa w odniesieniu do zbrodni dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich. W planach przywódców OUN-UPA zakładano całkowitą eksterminację wszystkich Polaków „od niemowląt po starców", co można porównać tylko do hitlerowskich planów totalnej zagłady Żydów. Należy dodać, że mordy dokonywane na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich połączone były ze stosowaniem barbarzyńskich tortur, czego nie stosowali nawet okupanci hitlerowscy i sowieccy.

Napady na Polaków i zabójstwa zaczęły się już po wkroczeniu Armii Czerwonej na Wołyń we wrześniu 1939 r. Wielu polskich funkcjonariuszy państwowych zostało wydanych przez Ukraińców w ręce najeźdźców. Ale okupanci sowieccy nie tolerowali żadnych samowolnych działań Ukraińców, choć korzystali z ich usług. Tym samym nacjonaliści ukraińscy nie mieli pod okupacją sowiecką możliwości rozprawy z Polakami na szerszą skalę.

Sytuacja zmieniła się w czerwcu 1941 r., kiedy po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Wołyń znalazł się pod okupacją hitlerowską. Ujawniły się wówczas ukraińskie ugrupowania nacjonalistyczne, dążące do utworzenia niepodległej Ukrainy. Największe wpływy uzyskało OUN Bandery i podległa mu UPA. Banderowcy wezwali ludność ukraińską do walki z Polakami, Żydami i Rosjanami jako wrogami Ukrainy. Lojalnie zachowali się natomiast wobec Niemców, licząc na ich pomoc w odbudowie wolnej Ukrainy.

W latach 1941-1942 nacjonaliści ukraińscy wespół z okupantem hitlerowskim wymordowali większość ludności żydowskiej zamieszkującej Wołyń (z ok. 200 000 Żydów ocalało ok. 3500). W okresie tym nasilił się też terror wobec Polaków. Na Wołyniu mieszkało, według spisu z 1931 roku, 346 tys. ludności polskiej. W okresie okupacji sowieckiej wielu Polaków zostało wywiezionych w głąb ZSRR. Pod rządami hitlerowskimi represje spadły na społeczność polską zarówno ze strony Niemców jak i Ukraińców. Okupantom niemieckim na rękę były konflikty narodowościowe. Nie przeszkadzali oni zbroić się oddziałom UPA, podczas gdy Polakom za posiadanie broni groziła śmierć.

Ośmieleni tolerancyjną polityką okupanta w 1943 r. nacjonaliści ukraińscy rozpoczęli na wielką skalę ludobójstwo ludności polskiej. Napadano na polskie kolonie i miejscowości o przewadze elementu polskiego, wyłapywano Polaków w miejscowościach o ludności mieszanej, a także przypadkowe pojedyncze osoby narodowości polskiej. Ofiarami mordów byli wszyscy Polacy bez względu na wiek i płeć. Dokonywano tego z sadystycznym wręcz okrucieństwem. Zabójstwom towarzyszyły rabunki mienia i palenie gospodarstw oraz niszczenie wszelkich śladów polskości. Tragiczny był też los rodzin mieszanych, polsko-ukraińskich. Mężowie-Ukraińcy lub żony-Ukrainki zmuszani byli przez oprawców z UPA do zabicia swojego polskiego współmałżonka. Odmowa równała się wyrokowi śmierci na całą rodzinę. Nie oszczędzano dzieci z małżeństw mieszanych.

Ocalała z pogromów ludność polska uciekała do większych miast, gdzie tworzyła ośrodki samoobrony lub oddawała się pod opiekę stacjonujących tam wojsk niemieckich lub węgierskich. Wielu Polaków uciekało do oddziałów partyzanckich polskich lub nawet sowieckich. Niektórzy wstępowali do policji współpracującej z okupantem (Schutzmannschaften), wielu dobrowolnie zgłosiło się do wyjazdu na roboty do Niemiec. Wszystkie te rozpaczliwe kroki podejmowano dla ocalenia życia. Nic dziwnego. Opisy rzezi i mordów w relacjach ocalałych świadków lub w świetle dokumentów są wstrząsające.

Autorzy przedstawiając sytuację na Wołyniu odrzucają jednocześnie twierdzenia niektórych historyków ukraińskich i nawet niektórych historyków polskich, jakoby również ze strony polskich formacji zbrojnych dopuszczano się zbrodni wobec ludności ukraińskiej. Ludność polska była stroną wyraźnie słabszą pod względem liczebności i uzbrojenia. Organizacja samoobrony stawała się dla niej koniecznością, o ile nie zdążyła uciec przed prześladowcami. Jednostki samoobrony tworzone naprędce i słabo uzbrojone okazywały się zresztą przeważnie niewystarczające wobec przeważających sił UPA.

Bardziej skuteczna okazywała się akcja polskich oddziałów partyzanckich, utworzonych do walki z Niemcami, lecz zmuszonych do obrony ludności cywilnej przed ukraińskimi

napastnikami. Znamienną wymowę ma rozkaz wydany przez dowódcę Okręgu AK Wołyń płk. Kazimierza Bąbińskiego z 22 kwietnia 1943 r.: *Zakazuję stosowania metod, jakie stosują ukraińskie rezuny. Nie będziemy w odwecie palili ukraińskich zagród lub zabijali ukraińskich kobiet i dzieci. Samoobrona ma bronić się przed napastnikami lub atakować napastników, pozostawiając ludność i jej dobytek w spokoju.* Tymczasem w rozkazach dowódców UPA jawnie poleca się mordować wszystkich „Lachów".

Niemniej zdarzały się akcje odwetowe polskich jednostek samoobrony i polskich partyzantów, gdyż wielu poszkodowanych pragnęło zemsty na mordercach, ale akcje te skierowane były z reguły przeciwko członkom UPA. O atakach na ukraińską ludność cywilną niewiele słychać, chociaż Józef Turowski podał około 2000 zabitych spośród ludności ukraińskiej, w domyśle przez Polaków.

Napadów i mordów na Polakach dokonywano, choć na mniejsza skalę, jeszcze w latach 1944-1945, a więc już po ponownym zajęciu Wołynia przez Armię Czerwoną. Ale wiadomo było, że losy Wołynia i całej Ukrainy są przesądzone, że choć zniszczono praktycznie żywioł polski, nie osiągnięto w ten sposób celu, jakim było niepodległe państwo ukraińskie.

Autorzy liczbę zamordowanych Polaków na Wołyniu oceniają w przybliżeniu na 50-60 tys. Była to głównie ludność rolnicza, stanowiąca większość społeczności polskiej. Ponadto, jak wyliczono, zamordowano16 duchownych katolickich, ok. 80 właścicieli ziemskich z rodzinami, 123 nauczycieli, 85 pracowników leśnictwa. Spalono lub zniszczono 58 kościołów, 27 kaplic, 163 majątki ziemskie. Nie są to wyliczenia ścisłe. Takie liczby szacunkowe udało się po prostu autorom ustalić. Dla porównania można dodać, że w opracowaniu Komendy AK Lwów z 1944 r. podano liczbę 70 000 zamordowanych Polaków na Wołyniu.

Ofiarami mordów padły też inne narodowości zamieszkujące Wołyń, Czesi i Rosjanie (zwłaszcza schwytani partyzanci rosyjscy), ale rozprawę z nimi zostawiano na później. Mieli być wymordowani w dalszej kolejności, po Żydach i Polakach. Również wielu Ukraińców padło z rąk swoich rodaków z UPA za jakąkolwiek pomoc okazywaną Polakom lub choćby za odruch litości. Postawa takich Ukraińców, którzy nie ulegli szałowi szowinistycznej nienawiści, była niewątpliwym bohaterstwem.

W całej pracy Siemaszków uderza matematyczne wręcz wyliczanie akcji terrorystycznych i ofiar, podawanie danych personalnych zabitych i katów, odwoływanie się do jak największej ilości dokumentów, a więc ścisłe trzymanie się faktów, bez zbędnego komentarza. Bo też same fakty służą za komentarz.

Wołyń nie był jedynym terytorium, na którym nacjonaliści ukraińscy dopuścili się zbrodni ludobójstwa. Do przebadania są jeszcze zbrodnie dokonane w Małopolsce wschodniej, a więc w województwach tarnopolskim, lwowskim i stanisławowskim oraz w województwie poleskim, na Chełmszczyźnie i na Lubelszczyźnie. Ale bez względu na dalszy rozwój badań, omówiona praca pozostanie na pewno trwałą i ważną pozycją w historiografii polskiej okresu II wojny światowej. Jest to dokument, którego poznanie potrzebne jest obu narodom, polskiemu i ukraińskiemu.

Książka uzyskała nagrodę „Przeglądu Wschodniego" za 2000 rok.

Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko: *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*. T. 1 (do s. 997), t. 2 (od 998 do 1433). Wyd. von Borowiecky, Warszawa 2000.

BOGUSŁAW BIELA

JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO PORTRET WŁASNY

Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej ukazała się w tym roku praca poświęcona poezji i działalności przekładowej wybitnego publicysty paryskiej „Kultury", tłumacza literatury ukraińskiej na język polski, Józefa Łobodowskiego. Ta starannie wydana książka jest pokłosiem konferencji naukowej, zorganizowanej przez Zakład Filologii Ukraińskiej Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, która odbyła się w Lublinie w dziesięciolecie śmierci autora *Złotej Hramoty*.

Madrycki współpracownik „Kultury" był jednym z nielicznych Polaków wielokrotnie zapraszanych – jako ceniony referent – przez Ukraińskie Towarzystwo Naukowe w Sarcelles Saint-Brice pod Paryżem. Liczono się z jego zdaniem i ceniono wyjątkowo udane tłumaczenia. Już na początku lat sześćdziesiątych najpoważniejsze ukraińskie wydawnictwa emigracyjne poświęciły mu biogramy.[1]

Dobrze się stało, że w Lublinie, mieście młodości Łobodowskiego, zadbano o wydanie referatów wygłoszonych w czasie tej konferencji. Próbują one bowiem naszkicować złożony portret człowieka, poety, tłumacza i publicysty. Łobodowski poświęcił całe życie sprawie pojednania między Polakami i Ukraińcami pozostając wiernym do końca tej idei. Jej zalążkiem był – jak podkreśla Jadwiga Sawicka – jego związek biograficzny z Ukrainą (s. 9). Autorka referatu zatytułowanego *Świadomość kresowa Józefa Łobodowskiego* dodaje, iż bunt młodego poety, jego krańcowy indywidualizm wiązał się prawdopodobnie z kryzysem wartości po dramatycznym zerwaniu z komunizmem (s. 10).

Wybory, początkującego wówczas, tłumacza dotyczyły różnorodności kresowej, a spajała je naczelna myśl: pokazać to co najlepsze w literaturze ukraińskiej. Takie wybory oznaczały również, że Łobodowski zwracał się do określonego czytelnika. Tego mianowicie, który zajmuje postawę akceptującą (s. 11). Działalność tłumacza przybrała z czasem charakter dyskretnej dydaktyki. Obejmowała ona inspiracje prac translacyjnych przyjaciół poety, publicystykę demaskującą zbrodnie stalinizmu, dokumentację win i zbrodni nacjonalistów nie pomijając również krytyki polskiej obojętności „wobec spraw ukraińskich, polską, a głównie endecką ignorancję". *Człowiek kresowy* – zauważa Jadwiga Sawicka – *jest wewnętrznie dwoisty, nie należy tylko do jednej kultury. I jedna, i druga wzbogacają się wzajemnie, a efekty owego dialogu i stymulacji są płodne kulturowo. Poprzez wspólne romantyczne dziedzictwo, wspólną przestrzeń – z czasem coraz bardziej mityzowaną – ukształtował Łobodowski własne centrum* (s. 14). Wysiłek twórczy i artystyczny emigranta owocował z biegiem lat, wszak *poeta osiągnął tę najtrudniejszą formę świadomości kresowej – uwewnętrznienie dwoistości, kiedy próba porozumienia panuje nad stadną nienawiścią.*[2] *Złotą Hramotę* z punktu widzenia toponimów i ich wartościowania analizuje bardzo interesująco Anna Sobieska podkreślając, iż konkretność, realność tej poezji są dla Łobodowskiego wartością, fundamentem sensu artystycznego, jego podstawowym wymiarem (s. 17). Obok znaczeń konkretnych, topograficznych, prymarnych – język tej poezji posiada znaczenia naddane, konotacyjne. Wyznaczają je przestrzeń literatury, kultury, historii – twierdzi autorka tekstu. Istotną część referatu stanowi subtelna analiza trzech kategorii nazw rzek. Pierwsza to wzór arkadyjski. Rzeki niosące ukojenie, ochłodę i wyciszenie, stąd charakterystyczny przy ich przedstawianiu motyw kołysania, kolebania (s. 19). Rzeki te (Horyń, Stochód, Słucz, Ikwa) należą do świata, który trwa wiecznie. Dramaty historii są im obce, a charakteryzuje je pradawna ahistoryczność. Drugą kategorię otwierają obrazy rzek „napiętnowanych historycznością", rzek będących „księgą dziejów". I na koniec – trzeci typ wartościowania. Rzeki obce, rzeki rosyjskie: Newa, Wołga, Don, Doniec. Zmartwiałe, złodowaciałe, zabrudzone. Zapowiadają zniszczenie, walkę, śmierć. Rzeki, pisze Sobieska, funkcjonują w utworach często jako skrót przemyśleń, synonim określonych idei, interpretacyjne uogólnienia.

Ważnym składnikiem rozważań autorki są również nazwy miast carskiej Rosji. Wywołują one silne napięcie uczuciowe, atmosferę nienawiści, wrogości, obcości (s. 23). Niemniej, co podkreśla sama referentka, winniśmy pamiętać, że niechęć Łobodowskiego do Rosji była wynikiem jego odrazy do imperialistycznej polityki Moskwy. Inaczej natomiast patrzył poeta na kulturę i literaturę rosyjską. Wystarczy tutaj przypomnieć jego liczne tłumaczenia poezji rosyjskiej, a w szczególności niezwykłe wiersze Borysa Pasternaka.[3]

Nazwy naznaczone starożytnością odgrywają również ważną rolę wprowadzając klimat pradawności, świetności i legendarności dziejów oraz ukraińskiej przestrzeni. Sobieska dodaje, iż charakterystyczne nakładanie się czasów jest również symbolicznym wyrazem przekonania autora o fatalizmie ciążącym nad historią Ukrainy, rozumianym jako nieustanne powtarzanie się klęsk i zagrożeń. Żywym symbolem takiego zagrożenia jest step: „obszar zetknięcia się historii i wieczności" tylekroć przedstawiany przez Jewhena Małaniuka,

---

[1] Zob. *Encyklopedija ukrajinoznavstva*. Paryż, Nowy Jork 1962, t. 4, s. 1357. Zob. też *Encyclopedie of Ukraine*, t. 3. s. 179-180.

[2] Op. cit., s. 15.

[3] Zob. B. Pasternak: *Doktor Żiwago*. Przeł. z ros. P. Hostowiec. Wiersze w przekładzie J. Łobodowskiego, Paryż, Instytut Literacki, 1959 (Biblioteka „Kultury"). Zob. też znakomity artykuł Łobodowskiego na temat rzemiosła tłumacza pt. *Strapienia tłumacza* w: „Kultura" 1959 nr 6/140, ss. 41-48.

najwybitniejszego w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych poetę emigracji ukraińskiej. Analizując przestrzeń w poezji referat Sobieskiej wydobywa jej niezwykłe bogactwo. Mamy więc z jednej strony zmaganie się z zaborczym centrum świata, a z drugiej ruch w górę i w dół. Ruch ku górze wiąże się z marzeniami o wolności, wieczności, z tęsknotą za jednością. Podobną atmosferę ewokuje ruch ku dołowi. Przywołuje aurę refleksyjności, baśniowych wspomnień.

Swoją błyskotliwą interpretację przestrzeni poetyckiej toponimów tak oto podsumowuje Sobieska: *Poeta przemienia toponimy, nadbudowując znaczenia, wartości duchowe, np. oceny etyczno-estetyczne, czy inne idee. W ten sposób nazwy miejscowe stają się narzędziem kształtowania i wyrażania ocen, narzędziem ekspresji. Nie odrywając się od swej treści bezpośredniej, nie zatracając funkcji referencjalno-identyfikacyjnej stają się językiem wyrażającym kategorie pozaprzestrzenne.*

Trudno powiedzieć, czy poezja ta może się jeszcze obronić sama! Przypisano jej bowiem z rozmachem i nader ciekawie wiele znaczeń, których być może jej nie dostawało. W każdym razie toponimy winny odtąd wyraźniej kierować naszą lekturą *Złotej Hramoty*, podobnie jak nazwy własne, których rekonesansu i skrupulatnego odnotowania dokonał w swoim czternastostronicowym artykule Michał Łesiów.

Wyróżnia on w poetyckim uniwersum Łobodowskiego antroponimy „wydumane", które są nader rzadkie, popularne imiona żeńskie i nazwy własne osobowe pochodzenia literackiego. Te ostatnie to głównie postacie mityczne, zaczerpnięte z tradycji klasycznej. *Większość tych nazw* – pisze Łesiów – *w tradycji europejskiej i w ogóle światowej stanowią symbole, skróty oznaczające jakieś pojęcia czy sytuacje życiowe* (s. 33). Symboliczną rolę pełnią imiona własne wybrane z mitologii greckiej, rzymskiej, germańskiej i słowiańskiej. Autor artykułu doszukał się trzydziestu takich imion ilustrując to stosownymi przykładami.

Trzecią grupę antroponimów literackich stanowią nazwy własne zapożyczone z Pisma św. Starego i Nowego Testamentu, które służą poecie do wyrażania określonych zdarzeń, myśli będących wynikiem doświadczeń życiowych, a pełniących rolę uniwersalnych uogólnień. Łesiów wyróżnia ponadto grupę hagionimów, czyli imion świętych, „które cieszą się w Kościele i społeczeństwie utrwaloną sławą i kultem" (s .40). Matka Boska wielokrotnie przywoływana przez poetę zajmuje szczególne miejsce w hagionimii literackiej. Przegląd tych licznych grup antroponimii literackiej w poezji Łobodowskiego winien – zdaniem referenta – lepiej służyć charakterystyce jego języka i stylu poetyckiego uwydatniając jednocześnie miarę jego zainteresowania kulturą rodzimą, europejską i światową.

W omawianym tomie umieszczono także ważne referaty naukowców ukraińskich wygłoszone w czasie konferencji. *Językowe kreacje pola semantycznego „Ukraina" w utworach Józefa Łobodowskiego* przedstawiła Natalia Sydiaczenko z Uniwersytetu w Kijowie przypominając, iż polski poeta w dzieciństwie spędził kilka lat na Kubaniu, miejscu przesiedlenia Kozaków z Siczy Zaporoskiej na rozkaz Katarzyny II. Niesforni Kozacy zachowali jednak swój język i obyczaje – co nie uszło uwagi młodego, bystrego obserwatora, przyszłego redaktora tygodnika „Wołyń" w Łucku. Odtąd kultura i historia Ukrainy, a także jej współczesność będą mu stale towarzyszyły w życiu i w twórczości. Obraz Ukrainy, przyroda, charakter narodowy, los narodu, jego szczęśliwa przyszłość stają się – według autorki – wizją jego artystycznego świata.

Analiza pól semantycznych takich słów jak „wiatr", „noc", „przyroda" wykazuje mistrzostwo personifikacyjne Łobodowskiego, który uważał, że Ukraina przekształci się z prowincji w samodzielne państwo (s. 52). „Los Ukrainy", ongiś chłopskiej i pańskiej, dziś prowincjonalnej, jest w ujęciu Łobodowskiego przeciwieństwem dwóch antonimów „ziemi cmentarnej" i „zmartwychpowstałej Ukrainy". Te z kolei modelują – w interpretacji Sydiaczenko – skrajne punkty czasoprzestrzeni: tragiczna przeszłość i szczęśliwa przyszłość, „która w czasach obecnych zaczyna się wypełniać".

Dzięki ogromnej pracowitości, talentowi i słuchowi poetyckiemu Łobodowski doprowadził sztukę przekładu do bardzo znaczących osiągnięć. Zagadnienie to przedstawia współredaktorka tomu Ludmiła Siryk. Badaczka literatury ukraińskiej wyróżnia pięć kręgów zainteresowań polskiego tłumacza w dziedzinie poezji naszych sąsiadów. Były to: przedrewolucyjna klasyka ukraińska XIX i XX wieku, pokolenie Rozstrzelanego Odrodzenia i poezja Ukrainy radzieckiej, poezja „oporu" w latach 60. i 70. oraz – poezja intelektualnej ukraińskiej emigracji. Przedstawiając sztukę przekładu polskiego tłumacza na przykładzie utworów Pawła Tyczyny, autorka stawia pytanie: dlaczego Łobodowski doskonale znając język polski, posługiwał się słowami nieistniejącymi? I odpowiada „aby przekazać autorski styl, dźwiękowo rytmiczny koloryt, tworzący nadzwyczajnie muzyczną poezję".

Tłumacz zwraca uwagę na elementy, które są naturalną „tkanką" poezji: aliteracje, asonans, konsonans, rytm, współdźwięczność, cezura (s. 64). To ich połączenie, konfiguracja, pełne niuansów zestawienie powoduje, że „przez przekład przelatują iskry tego samego wzruszenia, co w oryginale". Łobodowski przedstawił dwie wizje Ukrainy; tę ziemskiego piekła i tę bogatą i radosną. Ukraina jako już to jasna gwiazda – symbol marzenia, już to jako gwiazda zgasła – symbol minionej sławy i wielkości. Wieloletnie doświadczenie, duża świadomość teoretyczna, współpraca z poetami, prozaikami i publicystami złożyły się – sądzi autorka artykułu – na osiągnięcia przekładowe publicysty „Kultury". Ponieważ tłumaczone utwory były mu duchowo i tematycznie bliskie, tłumacz odtworzył nie tylko realny obraz Ukrainy, ale pozostawił wiele przekładów nie ustępujących wartością artystyczną oryginalnym utworom polskim – konkluduje Ludmiła Siryk. Niewątpliwie – osiągnięcia przekładowe rzecznika dialogu z naszymi najbliższymi sąsiadami można porównać z Boya-Żeleńskiego przyswajaniem Polakom literatury francuskiej. I jeden, i drugi tłumacz potrafił przekazać czytelnikom nieustający żar poezji, umiłowanie wolności, niezależności i swobody. Tyle tylko, że Francuzi mieli dużo więcej szczęścia. Ale historia nie dla wszystkich jest łaskawa.

Nad przekładami poetów *Pieśni o Ukrainie* Łobodowskiego zastanawia się Stanisław Szewczenko z Państwowego Radia i Telewizji w Kijowie. Najważniejszą cechę stylu polskiego poety upatruje autor artykułu w mitologizacji Ukrainy jako obrazu Hellady Scytyjskiej, a także późniejszej historii Ukrainy w przededniu wielkich katastrof, w kraju ginących romantycznych namiętności. Formalnie wiersze o Ukrainie charakteryzują się podniosłą retoryką, licznymi epitetami, metaforami, metonimią, symbolami, różnorodną budową strof, różną długością zdań i wreszcie różną ilością wersów. Taka budowa wiersza – sądzi autor – potęguje ekspresję, ale stanowi równocześnie niełatwe zadanie dla tłumacza. Podane przykłady tłumaczeń Swiatosława Hordynskiego, Myrona Boreckiego, Leonida Połtawy, Jara Slawutycza, mimo drobnych niedokładności treściowych, są bardzo bliskie oryginałom. Zdaniem autora tekstu, ukraińskim poetom udało się umiejętnie przekazać rytmikę wiersza i sposób obrazowania dzięki zastosowaniu licznych środków poetyckich, bliskich duchowo poezji Łobodowskiego.

Tom z lubelskiej konferencji zawiera również wspomnienia osobiste, które przybliżają nam postać Łobodowskiego, stanowiąc jednocześnie osobliwe „szkice do portretu" artysty. Dzięki Leszkowi Gzelli dowiadujemy się na przykład, że poeta był mężczyzną ponoć brzydkim, że przybierał postawę zadziornego Kozaka i że nie budził sympatii ani swym wyglądem, ani zachowaniem (s. 77), że wreszcie nie stronił od alkoholu i nie miał powodzenia u kobiet. Ale rzutkość, energia, zdolność do pracy i dużych wysiłków, czyż nie kompensowały tych wad i słabości – prawdziwych lub urojonych? A tak charakterystyczna dla niego, agresywna publicystyka, zawziętość, swada – czyż nie są najważniejsze w trudnej sztuce dziennikarskiej? Prowokacja i awanturnictwo wpisane były w ten żywot.

Na łamach „Kuriera Lubelskiego" zajmował się Łobodowski wadami kasy chorych, pisał o wystawach sztuki i teatrze. Atakował wszystkie grzechy główne Kościoła, niedostatki katolicyzmu i organizację prawicową Młodzieży Wszechpolskiej. Zmieniając orientację z lewicowej na prawicową nie powściągnął, bystry obserwator życia, swego wybujałego temperamentu. Po wojnie – pisze autor wspomnienia – uprawiał Łobodowski swoje boje w madryckiej rozgłośni radiowej w audycjach w języku polskim przeznaczonych dla Polski.

Konstantyn Zełenko z Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Londynie przypomina liczne w ciągu 25 lat spotkania z polskim poetą. Nazywa go człowiekiem wielu kultur, pisarzem wielowymiarowym w swoich zainteresowaniach, aspiracjach i osiągnięciach, dodając jednocześnie, że był on otwarty na kultury innych narodów historycznej Rzeczypospolitej. Ze wspomnienia Zełenki dowiadujemy się też, jaka była geneza *Złotej Hramoty* wydanej w 1954 r. przez Instytut Literacki w Paryżu. Utwór jest swoistym literackim testamentem ostatniej woli ojca poety, który umierając w 1922 r. w Kubaniu polecił trzynastoletniemu chłopcu kultywowanie tradycji i kultury ukraińskiej. Przypomniał mu wówczas, iż jeden z jego przodków otrzymał szlachecki indygenat zostając Polakiem. Łobodowski nie tylko głęboko uszanował ojcowską wolę, ale i wiernie ją wypełniał. Jego artykuły, rozmyślania i polemiki, poezje i tłumaczenia, recenzje i wnikliwe komentarze publikowane na łamach paryskiej „Kultury" są tego najlepszym dowodem.

Przez kilka dziesięcioleci tłumaczenia i artykuły Łobodowskiego nie docierały do Polski. Mogła je czytać jedynie nieliczna, uprzywilejowana grupa specjalistów. Lubelski „Akcent" zainicjował poważne zainteresowanie sprawami pogranicza, kiedy zagadnienia te były jeszcze blokowane przez PRL-owską cenzurę – pisze Waldemar Michalski w artykule

Józef Łobodowski i problematyka ukraińska na łamach kwartalnika literackiego „Akcent". Pismo to stworzyło płaszczyznę współpracy Polaków i Ukraińców. Trzy wydane numery tematyczne[4] ukazały stosunki polsko-ukraińskie w wymiarze historycznym, narodowościowym i kulturalnym. Numery te opracowali przedstawiciele trzech narodów. To w „Akcencie" – przypomina Michalski – ukazał się po raz pierwszy w kraju bez skreśleń cenzorskich pełny tekst poematu Józefa Łobodowskiego pt. *Ballada lubelska*.

Sekretarz redakcji lubelskiego kwartalnika wyjaśnia, że twórca tego poematu był w Polsce objęty całkowitym zakazem druku. Zakaz ten nie był niestety martwą literą prawa, skoro z recenzowanej *Antologii lubelskich poetów dwudziestolecia międzywojennego* wykreślono mu wszystko, co dotyczyło Łobodowskiego. Lubelski poeta czuł się spadkobiercą tradycji „romantycznej szkoły ukraińskiej" we wszystkich przejawach poetyckiej wyobraźni i języka (s. 95). Wynikiem takiej postawy było zamknięcie na impulsy pochodzące z zewnątrz, a także brak asymilacji wartości, jakie liryka europejska wypracowała po II wojnie światowej. Te opinie znanych krytyków drukowane w „Akcencie", a przytoczone przez autora artykułu, dotyczą następnej jakże ważnej kwestii, mianowicie trwania tej poezji w świadomości czytelników. Ale to już „historia korektorka wieczna" dokona właściwego bilansu. Zaproszeniem do wspólnego stołu były w zamyśle redakcji pograniczne numery „Akcentu". Stąd też obecność osoby i poezji autora *Ballady lubelskiej*.

Pięć artykułów włączonych do tomu stara się niejako „podmalować tło" wydarzeń, liczących się postaci, samorządu terytorialnego, ruchu religijnego w okresie międzywojennym i stosunków polsko-ukraińskich w trudnym okresie powojennym.

Pierwszy, Mykoły Kuczerepy z Uniwersytetu Wołyńskiego w Łucku, wyczerpująco i interesująco przedstawia działalność Henryka Józewskiego, wojewody wołyńskiego, który dla jednych był „grabarzem sprawy wschodniej na Kresach", zdrajcą Polski czy wręcz hetmanem ukraińskim, dla innych – przeciwnie – ukrainofobem, katem narodu ukraińskiego (s. 99). Argumentacja autora, obficie korzystającego z dokumentów archiwalnych i wspomnień, zmierza do przywrócenia właściwych proporcji w ocenie tej niebanalnej postaci. Przyznając, że problem ukraiński w Polsce międzywojennej należał do najtrudniejszych, Kuczerepa śledzi działania wileńskiego wojewody usiłującego zmienić kurs polityczny swoich niefortunnych poprzedników. Wrogi był Józewskiemu nie tylko ukraiński nacjonalizm Galicji Wschodniej, endecy ze Stronnictwa Narodowego również nie ułatwiali mu zadania. Wojewoda pragnął wykształcić u Ukraińców wołyńskich poczucie przynależności do państwa polskiego, wychować wiernych obywateli Rzeczypospolitej drogą asymilacji ludności niepolskiej (s. 101). Działalność Józewskiego ówczesna prasa, zarówno polska jak i ukraińska, oceniała negatywnie. Mimo odmienności punktów widzenia i przy różnym rozłożeniu akcentów Ukraińcy twierdzili, że jego wołyński program zbliżał się do przedwojennej galicyjskiej koncepcji tzw. wspólnego dachu. Takie też wydaje się być podsumowanie akcji polskiego wojewody przez ukraińskiego badacza.

Samorządy na Wołyniu w latach 1919-1939 omawia Jarosława Martyniuk z Uniwersytetu Łuckiego. Badaczka podaje liczne przykłady ich sprawnej i wręcz modelowej działalności. Rozwijając własną aktywność gospodarczą: cegielnie, betoniarnie, rzeźnie miejskie, zwiększając hodowlę bydła przysparzały one ludności dodatkowych źródeł dochodów. Samorządy dokonywały również sprawnie i skutecznie elektryfikacji Wołynia. Mimo braku środków materialnych i ludzi do pracy, pomimo przeszkód ze strony administracji lokalnej, samorząd terytorialny na Wołyniu spełnił ważną rolę w rozwoju życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego regionu, o czym świadczy najlepiej budowa nowych szkół i szpitali, dworców autobusowych, brukowanie ulic. Towarzyszyły im prace przy tworzeniu sieci wodociągów i centrali telefonicznej.

W okresie międzywojennym Wołyń był miejscem ruchu neounijnego, którego zasadnicze etapy omówiła Wiktoria Oniszczuk z Uniwersytetu w Lucku. Do akcji neounijnej nie dopuszczono kapłanów greckokatolickich, motywując to tym, że nie uznają celibatu i innych kanonów, uznanych przez Kościół rzymskokatolicki (s. 126). Kościół katolicki w swojej działalności propagandowej wielokrotnie wykorzystywał przykłady tych prawosławnych kapłanów, którzy nie wyróżniali się zbytnimi wartościami moralnymi – zauważa autorka referatu. Diaspora ukraińska nie poparła ruchu neounijnego. Nie stał się on również ruchem masowym z powodu małej ilości kapłanów – nieprzygotowanych ponadto do pracy misyjnej z powodu niestabilności duchowieństwa i małej pomocy (a w niektórych przypadkach jej braku) ze strony kleru rzymskokatolickiego. Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem także

[4] W 2000 r. ukazał się kolejny, zatytułowany *Czytanie Ukrainy. Poezja i proza najbliższych sąsiadów*. Zob. „Akcent" 2000 nr 3 (81).

z powodu małych zasobów finansowych i negatywnego stosunku władz państwowych do nowej Cerkwi.

Na konferencję w Lublinie przyjechała również z kilkoma łuckimi prelegentami Ruslana Dawydiuk z referatem na temat możliwości porozumienia polsko-ukraińskiego w latach trzydziestych dwudziestego wieku, a więc w okresie sprzyjającym powstaniu nowej partii o charakterze centrowym, która popierała tzw. politykę wołyńską wojewody Józewskiego. Partia ta, Wołyńskie Zjednoczenie Ukraińskie, dystansowała się od ugrupowań nacjonalistycznych. Z czasem jednak zaczęła z nimi sympatyzować. Po zmianach personalnych w jej składzie, w połowie lat trzydziestych, obóz narodowy przechodził kryzys. Jakiekolwiek propozycje sprzyjające rozwojowi jednej narodowości wywoływały reakcje drugiej. Osłabiło to wpływ i autorytet partii centrowej. Wnioski referentki są negatywne dla polskiej strony, ponieważ to ona – według badaczki – mając swoje państwo mogła decydować o charakterze stosunków między dwoma społeczeństwami. Poddając szczególnej kontroli obóz narodowy, polonizując ludność ukraińską zaprzepaszczała jednocześnie szansę porozumienia.

Roman Drozd z WSP w Słupsku, swoimi rozważaniami o *Stosunkach między Polakami a Ukraińcami w Polsce w latach 1944-1952* powraca do tematu konferencji i tematu wydanej pracy *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego* stwierdzając że polski poeta w pełni na takie miano zasługuje. Albowiem z perspektywy czasu wydaje się, iż gdyby poglądy publicysty paryskiej „Kultury" legły u podstaw kształtowania się stosunków polsko-ukraińskich, stosunki te na pewno nie potoczyłyby się tak tragicznie dla obu stron (s. 142). Autor wyróżnia kilka czynników, które się na nie złożyły. Były nimi: antyukraińska propaganda prowadzona przez polskie władze komunistyczne, negatywny stosunek do Polaków ludności ukraińskiej i społeczna izolacja – wynik wrogiego nastawienia obu narodów.

Proces wzajemnego poznawania się, przełamywania barier dzielących Polaków i Ukraińców nie zakończył się, a pojednanie – zdaniem polskiego naukowca – uzależnione jest od wzajemnego zrozumienia.

Do wszystkich referatów opublikowanych w tomie dołączono streszczenie w języku ukraińskim, co znakomicie ułatwia zainteresowanym badaczom zapoznanie się z problematyką konferencji. Wydaje się jednak, iż w tak ważnej publikacji należałoby dołączyć indeks osób.

Recenzowany tom jest przykładem zachowania miary między tym, co stanowi dorobek twórczy Łobodowskiego (tłumaczenia, poezja, publicystyka), a tym, co jest dramatyczną historią Ukrainy w aspekcie ekonomicznym, religijnym, politycznym. Dzięki tej symetrii będącej również wynikiem udziału w konferencji naukowców ukraińskich, którzy przedstawili rezultaty najnowszych badań, powiodła się organizatorom próba sportretowania człowieka, jego dzieła, epoki i naszego sąsiedzkiego, jakże powikłanego dochodzenia do porozumienia przez dialog.

L. Siryk, J. Święch (red.): *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*. Wyd. UMCS Lublin 2000, ss. 156.

JAN ZDZISŁAW BRUDNICKI

POWRÓT ŁOBODOWSKIEGO

„Młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą" – taką opinię zostawił o sobie Józef Łobodowski w wierszu o matce i Lublinie z roku 1945. Dodać do tego można zdania interpretatorów, i tak Ignacy Fik, zapisał, że jest to „zżarty anarchizmem i nihilizmem romantyk". Współcześni nam rozwinęli to na: „ostatni zagończyk literatury" (Krzysztof Masłoń), „był typowym ekstremistą" (Jan Tomkowski). Publikowany od 1988 roku w kraju, po wcześniejszym obłożeniu go anatemą „doczekał się" paru solidnych wyborów wierszy: Józefa Zięby w Wydawnictwie Lubelskim i LSW, Jerzego Święcha w Wydawnictwie KUL, a także Ireny Szypowskiej w PIW, książki złożonej z publicystyki literackiej o literaturze krajowej pt. *Worek Judaszów* (1995). Wydano go też w niepodległej Ukrainie. Jesienią 1998 r. z inicjatywy ukraińskiej doktorantki Ludmiły Siryk z Żytomierza zorganizowano na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie polsko-ukraińską konferencję pod nazwą *Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego*. Studia ukazały się

w formie książkowej w 2000 r. A niedawno opublikowana została monografia doktor Ireny Szypowskiej pt. *Łobodowski*, której warto poświęcić kilka słów.

Tak się złożyło, że miałem niejaki udział w powstawaniu książki. W „Poezji" 1988 nr 6 ukazał się obszerny blok materiałów poświęconych Łobodowskiemu: niepublikowane wiersze, wywiad z poetą, charakterystyki, wspomnienia. Irena Szypowska przyjaźniła się z pisarzem i przywiozła te materiały z Hiszpanii. Cenzura już wówczas oponowała słabo i udało się je ogłosić jako pierwszą prezentację wojowniczego autora. Zobaczył je złożony śmiertelną chorobą i był zadowolony. Nie miał racji twierdząc, że za swego życia nic mu już w kraju nie opublikują. Korzystając z posiadanych notatek, listów, brulionów, nagrań – przejętych za życia autora i po śmierci – Irena Szypowska zastosowała w monografii melanż stylów: barwnej biografistyki, interpretacji inkrustowanej reportażem ze spotkań, obszernymi zwierzeniami autobiograficznymi (pisanymi i mówionymi). Zebrała też opinie wśród hiszpańskich znajomych Łobodowskiego, listy i fotografie. Takie są teraz zamówienia rynku. Szypowska zrobiła wiele, aby przybliżyć osobę pisarza, wokół którego panowała zmowa milczenia i mur cenzury, a który niedawno znalazł się w czołówce kandydatów na Lublinianina Stulecia.

Józef Łobodowski w sposób nadzwyczajny wpisał się w nurt kresowy kultury polskiej. Urodził się na Litwie kowieńskiej, w tym – jak to Szypowska pisze – zagłębiu radykałów. Wśród jego przodków nie zabrakło powstańców, atamanów, carskich oficerów. Był nazywany wcielonym Cezarym Baryką literatury polskiej i bujnego pokolenia urodzonego w pierwszym dziesiątku lat swego wieku. Tak się złożyło, że w życiu pisarza Lublin stał się arkadią, zarówno w czasie pierwszego pobytu i wczesnego dzieciństwa, kiedy ojciec dostał przydział wojskowy do tego miasta, jak też po doświadczeniu wojny i rewolucji spędzonej W Moskwie i na Kaukazie. Podczas kaukaskich okrutnych wojen lokalnych i rzezi utracił ojca i siostrę – ponownie znalazł się w Lublinie w wieku lat 13. Tu zdobywał szlify literackie, wykształcenie, „zażywał" cyganerii, uczył się redagowania, odbywał pierwsze boje literackie i ideowe, w sposób anarchistyczny wiążąc się z lewicą. Doprowadzał do skandali, od których huczało na całą Polskę, przewodniczył także Związkowi Literatów Lubelskich. Toteż niezrównane są jego liryki lubelskie, zarówno te z *Nocy lubelskich* (1934) jak i pisane przez całe życie, poświęcone słynnej piękności z Równego Zuzannie Ginczance, i te żartobliwe spod znaku Loży Wielkiego Uśmiechu i cukierni Semadeniego. Oczywiście były też niepowodzenia i kopniaki: procesy, konfiskaty, aresztowania, wyrzucenie z KUL za lewactwo, wojsko w podchorążówce i samoprzestrzelenie się, nieudane romanse. Ale wszystkie te skandale owocowały nowymi sukcesami literackimi, znajomościami, także w sferach rządowych, znaczącymi książkami, czołowymi nagrodami literackimi. Czy nie o to chodziło? Nic dziwnego, że z dwóch wielkich cykli powieści autobiograficznych jeden dotyczy rewolucji bolszewickiej, jako najważniejszego doświadczenia traumatycznego, a drugi dziejów lubelskich jako najważniejszej przygody literackiej i towarzyskiej.

Na etapie warszawskim, który rozpoczął się w 1934 r., Łobodowski ostatecznie dojrzał do największej misji swego życia. Odszedł od KPP, zbliżył się artystycznie do grona katastrofistów Drugiej Awangardy, nawiązał przyjazne kontakty ze skamandrytami; rewolucję na wschodzie skwitował wersetem: „padły forpoczty jutra". Podjął współpracę z „Pionem" Adama Skwarczyńskiego, ze „Skamandrem", „Wiadomościami Literackimi" i z „Kwadrygą". Ale swoisty odcień jego twórczości i postawie nadała przede wszystkim współpraca z Ukraińskim Instytutem Naukowym, z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim", ze środowiskiem intelektualistów i pisarzy ukraińskich w Polsce na czele z Feliksem Zahorą. Z całą mocą przyłączył się do opinii, że Polska i Ukraina są na siebie skazane, a im prędzej to pojmą, tym lepiej dla obydwu narodów. Znany ideolog współpracy kresowej, świetny mecenas literatury, wojewoda Józefski „kupił" to i ściągnął w 1937 r. Łobodowskiego do Łucka. Oddał mu pismo „Wołyń – Tygodnik Społeczno-Polityczno-Gospodarczy". Wedle fraszki poety: „Wykupisz bilet... Wio... na wschód!... I jest na kresach dziennikarzem". Ale też wpływowym politykiem piszącym, organizującym front przyjaźni pomiędzy skłóconymi nacjami, wygłaszającym, nowocześnie tłumaczącym, wskrzeszającym żywe tradycje romantyków, wpływu całego Wschodu na kulturę polską (Szoty Rustawellego), usiłującym to wszystko syntetyzować w dramacie utrzymanym w stylu Wyspiańskiego. Niestety, nie było wówczas warunków dla takiej postawy. A do wojny przyszło mu jeszcze zetknąć się z najbardziej nowoczesnym medium, jakim było naówczas Polskie Radio.

Do całej tej epopei, włącznie z kampanią wrześniową, losem jeńca, więzieniem we Francji i Hiszpanii, autorka nie ma wielu faktów do dodania, ale uzyskała oceny i opinie samego Łobodowskiego odnośnie ludzi, wydarzeń. Natomiast okres hiszpański, od sierpnia 1941 r. do śmierci z pewnością wyposaża Szypowska we własne spostrzeżenia i ustalenia. I znów

konsekwencja, wątek ukraiński jest w życiu i pisarstwie autora *Złotej Hramoty* traktowany jako najważniejsza misja życia, podobnie jak reprezentowanie polskiej literatury pod przydomkiem „Dux et hetman cohortum poeticarum". Przeszkadzały mi w lekturze książki generalizacje polityczne czy syntezujące. Natomiast dobrze wypadł wątek niesamowitego hartu tego człowieka z bokserskim i anarchistycznym zacięciem. Emigracja była podzielona i zawiedziona, Łobodowski zdołał się narazić wszystkim stronnictwom, nie wierzono w jego patriotyzm, do tego dalej był waleczny, uderzał w PRL, ale też w osobistości życia emigracyjnego, np. w Miłosza. Wszyscy woleli, aby trzymał się od nich jak najdalej. Łobodowski przechwytywał tyrtejskie tony, włączał się namiętnie we wszystkie bunty Europy Środkowej, używał trybuny, którą było Radio Madryt powołane przez bojkotowanego generała Franco. A jednak w tym czasie, w więzieniu czy na wolności, w chorobie czy zdrowiu, w komforcie czy skrajnej biedzie intensywnie pisał wiersze, powieści, eseje, reportaże, felietony, wygłaszał pogadanki i wykłady, nie tylko „u siebie", ale też w całej Europie Zachodniej, a nawet na antypodach. Jego temperament idealnie pasował do pracy w radiu (1949-69).

Szypowska dotarła do ludzi, którzy byli dla Łobodowskiego oparciem, jak Amelia i Kazimierz Tylkowie, zdobyła zdjęcia i informacje o pięknej Hiszpance imieniem Marisa, którą poeta był zafascynowany. Zidentyfikowała pisma i środowiska hiszpańskie, gdzie bywał i publikował. Wysmakowała atmosferę kawiarni, gdzie pijał wino, dotknęła tu i ówdzie trudnego charakteru poety i jego bezkompromisowości, które to skazywały go na samotność, ostracyzm. Ale też powodowały fascynacje, zwłaszcza środowisk emigracyjnych z Ukrainy, Rosji, bo nigdy nie zwątpił w swoją misję rzecznika pojednania ze Wschodem po zdemokratyzowaniu się tamtejszych społeczeństw. Za tym wszystkim stał mur z książek: 19 tomów wierszy, 7 prozy, ze 20 książek tłumaczonych. Gdyby zebrać teksty rozproszone w prasie może powstałoby drugie tyle. Oczywiście, teraz w całym dorobku gospodaruje czas i wedle swoich nieubłaganych praw odsiewa rzeczy doraźne od trwałych.

Monografia Szypowskiej jest próbą ogarnięcia całości życia i dzieła Łobodowskiego jako punktu wyjścia do dalszych interpretacji. Ukazuje genezę i meandry skrajnej ewolucji światopoglądowej pisarza przy podobnej ekspresjonistycznej metodzie wyrażania emocji. Konsekwentna jest walka pisarza o wybitność połączona z determinacją życia z literatury. Podziw autorki budzi konsekwentna i nakierowana na przyszłość działalność na rzecz godzenia kultur i narodów kresowych. I wreszcie – prorocza okazała się wizja jednoczącej się Europy demokratycznych państw, przy czym Łobodowski objął refleksją i wyobraźnią cały kontynent od Kaukazu do Gibraltaru: Ona „pozna mój głos".

Irena Szypowska: *Łobodowski. Od „Atamana Łobody" do „Seniora Lobo"*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2001, ss. 219. portr.

MARIA WRZESZCZ

DOTKNIĘCIE TAJEMNICY POZNAWANIA

W końcu lipca 1998 roku odszedł jeden z największych twórców minionego stulecia i najbardziej niezłomny z poetów – Zbigniew Herbert, dla którego naprawdę liczyły się poezja i Polska. Oprócz zbiorów wierszy obdarował czytelników trzema tomami esejów odzwierciedlających jego fascynacje sztuką i cywilizacją Południa i Północy, od antyku do czasów współczesnych.

Do wydanych za życia autora książek *Barbarzyńca w ogrodzie* (Czytelnik 1962, pięć wydań) i *Martwa natura z wędzidłem* (Wydawnictwo Dolnośląskie 1993) dołączyła opublikowana przed rokiem przez Fundację „Zeszytów Literackich" trzecia część niezwykłej trylogii, zatytułowana *Labirynt nad morzem*, której maszynopis złożył poeta w wydawnictwie Czytelnik jeszcze w maju 1973 roku. Książka nie ukazała się. Po ogłoszeniu stanu wojennego w roku 1981 Katarzyna Herbertowa, na prośbę męża, wycofała maszynopis, by po upływie osiemnastu lat, w roku 1999, powierzyć go do druku „Zeszytom Literackim". W rok później ukazała się książka wyjątkowo starannie zrealizowana pod względem edy-

torskim. W wydaniu specjalnym dla subskrybentów (płócienna oprawa w pięknej obwolucie z gwaszem niedawno zmarłego Jana Lebensteina) wytłoczono osiemset pięćdziesiąt pięć egzemplarzy numerowanych (mój nosi numer 763).

Na *Labirynt nad morzem* składa się sześć esejów opublikowanych wcześniej w „Twórczości", „Poezji", „Więzi" i „Odrze" (tytułowy *Próba opisania krajobrazu greckiego*, *Duszyczka*, *Akropol*, *Sprawa Samos*, *O Etruskach*) oraz siódmy pt. *Lekcja łaciny*, którego fragment wydrukowano po raz pierwszy w roku 2000 w „Zeszytach Literackich". Stanowią one owoc wielu wypraw Zbigniewa Herberta, wywołanych wewnętrzną determinacją oraz przemożną chęcią zobaczenia wybranych arcydzieł i obcowania z nimi, zmierzenia się z historią, wręcz – „dotknięcia jakiejś tajemnicy", bo jak pisał – *Pragnąłem zawsze, żeby nie opuszczała mnie wiara, iż wielkie dzieła ducha są bardziej obiektywne od nas. I one będą nas sądzić. Ktoś słusznie powiedział, że to nie my czytamy Homera, oglądamy freski Giotta, słuchamy Mozarta, ale Homer, Giotto i Mozart przypatrują się, przysłuchują nam i utwierdzają naszą próżność i głupotę* (*Duszyczka*).

Herbert eseista ukazał w *Labiryncie* swoją wiedzę, erudycję i mądrość, a także dokonał konfrontacji z tradycją, jej przemyśleniami i przyjęciem, podkreślił problemy, jakie się z tym łączą. Zbliżając się do Akropolu powtarzał sobie *niezdarną formułę: on jest i ja jestem, a ogromna przestrzeń czasu, dzieląca daty naszych urodzin, kurczyła się, nikła. Byliśmy współcześni* (*Akropol*).

Dotarłszy na wybrane miejsce *kiedy zwiedzał, nic go nie obchodziło. Nie było ważne, czy je, czy się wysypia, marzył, by dać się tu zamknąć i spędzić noc i poranek sam na sam bez natrętnych wycieczek, nauczyć się na pamięć wszystkich jego kolorów i linii tak, żeby potem, kiedy już będę daleko, można było zamknąć oczy i wywołać jak film wspomnienie – obraz dokładniejszy od wszystkich reprodukcji* (*Labirynt nad morzem*; podkreślenie moje, M.W.).

Herberta wędrówka po Krecie – „tajemniczej wyspie na morzu ciemnym jak wino" – przeniosła mnie wspomnieniami do czasu studiów i niezapomnianych wykładów z historii starożytnej śp. prof. Edwarda Zwolskiego i jego pasji w zapoznawaniu nas z pierwszą europejską cywilizacją, stworzoną na tej „wyspie sejsmicznej, doświadczającej często gniewu Posejdona" przez Minojczyków, cywilizację, „która miała być przesycona szczęściem, pokojem i radością", a którą zniszczył wybuch wulkanu, pozostawiając po niej ruiny labiryntu – „pałacu toporów o podwójnym ostrzu". Panie Zbigniewie, gdziekolwiek jesteś, dziękuję za tę po latach dogłębną powtórkę z historii, bo *szczątki imperium, potężnych zamków i stolic nie wzruszają tak bardzo, jak ruiny pałaców minojskich!*

Opuszczając Kretę, gdzie *jeszcze nigdy tak cierpliwie nie ścierał kurzu historii, jeszcze nigdy tak łapczywie nie łykał starych kamieni* udał się autor do Grecji na spotkanie z krajobrazem, *wymykającym się opisowi przez samą swoją naturę. Niepodobna znaleźć miejsca, które byłoby choćby w przybliżeniu sumą, syntezą doznań wzrokowych podróżnika, niepodobna wykroić z tego splątania błękitu, gór, wody, powietrza i światła żadnego widoku i powiedzieć – to jest Grecja*, bo *krajobraz znajduje się nie tylko przed oczami, ale także z boku, za plecami, czuje się jego natarcie, oblężenie, jego intensywną obecność*.

Zwiedzając Epidauros, Mykeny, Delfy, Spartę, Olimpię, wyspę Delos, poeta skonstatował *– krajobraz górski przemówił do mnie tedy patetycznym głosem mitu i tragedii. Tego osobliwego uczucia zbratania z przyrodą, naturalnej łatwości, z jaką daje się przemienić w kształty ludzkie, nie doświadczyłem w żadnym innym kraju* (*Próba opisania krajobrazu greckiego*).

Po krótkim popasie na „wyspie Samos na falach Morza Egejskiego, zwanego tutaj pięknie Morzem Ikara" zagłębił się Herbert w dzieje Etrusków, którzy wyrwali Italię „z długiego przedhistorycznego snu" i „byli właściwymi twórcami Rzymu".

Kierując swe pierwsze kroki na Forum wrócił pamięcią do lekcji łaciny (wyjątkowej piękności jest ten szkic ostatni – *Lekcja łaciny*) w swoim lwowskim gimnazjum i do nauczyciela tego przedmiotu, zwanego przez uczniów Grzesiem. Jego to zasługą jest bowiem, „że nie czuł się zagubiony wśród kamieni".

To Grzesio sprawił, że łacina zaczęła lwowskich uczniów wciągać i fascynować. *Pracowaliśmy w pocie czoła. Zbliżała się pora owocowania: w następnym roku mieliśmy przejść do poezji Katullusa i Horacego. Ale wtedy wkroczyli barbarzyńcy* (sowieci – M.W.).

Poznawanie starożytności z Herbertem jest wspaniałym doświadczeniem. Niech je poprzedzi wnikliwa lektura króciutkiego eseju zatytułowanego *Duszyczka*: choć *w istocie rzeczy każdy kontakt z przeszłością wymaga wysiłku, pracy, jest przy tym trudny i niewdzięczny, bo nasze małe ja skrzeczy i broni się przed nim*, to przecież niesie z sobą radość z przeżywania rzeczy pięknych.

Wielka szkoda, że nie dana ona była „drogim nieobecnym, naszym bliskim zmarłym", dlatego *stojąc na Akropolu przywoływałem dusze moich poległych kolegów, użalałem się nad ich losem, już nawet nie nad śmiercią okrutną, ale współczułem, że odebrana im została niewyczerpana wspaniałość świata*.

Skoro on, Zbigniew Herbert, jeden z nich, został wybrany, to musi temu wyborowi nadać sens, tzn. *sprostać wyborowi i uczynić go wyborem moim. Wyobrazić sobie, że jestem delegatem czy posłem tych wszystkich, którym się nie udało. I jak przystało na posła, zapomnieć o sobie, wysilić całą swoją wrażliwość i zdolność rozumienia, aby Akropol, katedry, Mona Liza powtórzyły się we mnie, na miarę oczywiście mego ograniczonego umysłu i serca. I żebym to, co z nich pojąłem, potrafił przekazać innym*. Potrafił – jak mało kto przed nim.

Wybierając się do Grecji, na Kretę lub do Italii sięgnij Czytelniku po *Labirynt nad morzem*. Jestem pewna, że książka ta urzeknie was i sprawi, że rozkoszując się wspaniałością Herbertowego opisu pokochacie wielką kulturę antyczną. A może odkryjecie w niej tajemnicę własnej wrażliwości.

Zbigniew Herbert: *Labirynt nad morzem*. Fundacja „Zeszytów Literackich", Warszawa 2000, ss. 209+7 nlb.

KAMILA BORYSEWICZ

PRYWATNA MITOLOGIA ZBIGNIEWA HERBERTA

Któż z nas nie lubił słuchać w dzieciństwie bajek? Fantastycznych opowieści, które zapierały dech w piersiach, by potem pojawić się w kolorowych snach, pachnących cynamonem i wanilią.

Zbigniewa Herberta od zawsze fascynowały przygody olimpijskich bogów. *Król mrówek* jest powrotem do krainy dzieciństwa, ale powrotem człowieka dorosłego, któremu obcy jest dziecięcy zachwyt mitologicznym światem.

Wydany pośmiertnie zbiór esejów poświęcony jest bogom greckim, ale nie – jak można by się spodziewać – tym ze szczytów Olimpu, lecz tym „zapomnianym", pokrzywdzonym, o których jakoś rzadko wspominają poeci, historycy, filozofowie. Zainteresowanie autora wzbudzają ci wszyscy, którzy cierpią, których wysiłek nie został doceniony, którzy giną gdzieś w mrokach niewiedzy, przytłoczeni sławą Zeusa, Posejdona czy Herkulesa.

Przed nami poeta roztacza korowód postaci pospolitych, wręcz tuzinkowych. Ich ułomności, wady nie wywołują w nim gniewu, a wręcz przeciwnie – dziwną tkliwość. *Bogowie, tytani, herosi, ach, jakże to pasjonująca i bogata galeria różnych dewiacji psychicznych. W ich świecie roi się od monomaniaków, paranoików, melancholików, schizofreników, nie mówiąc już o tak łagodnych odchyleniach, jak alkoholicy czy erotomani* – zauważy w jednym z esejów. Jak bardzo im blisko do ludzi! Każdy z nas w ich twarzach z pewnością dostrzeże własne odbicie.

U Herberta mit bowiem zachowuje wymiar przypowieści, paraboli. Staje się pretekstem do „rozmowy" o kondycji człowieka współczesnego. Nie należy jednak zapominać, że Herbert to poeta i ta z pozoru tylko prostolinijna rozmowa przesycona jest ironią, a także sarkazmem. Naiwny czytelnik może łatwo wpaść w pułapkę dosłowności i szybko zgubić prawdziwy sens Herbertowskich przypowieści.

Podczas lektury *Króla mrówek* co i raz jesteśmy zaskakiwani. Już od pierwszych stron uderza kompozycja książki. Jej główny trzon to dwadzieścia narracji zatytułowanych *Bogowie z zeszytów szkolnych*. Poprzedza je dedykowany Josifowi Brodskiemu wiersz pt. *Czarnofigurowa waza garncarza Eksekiasa*, a kończy niezwykły dekalog poety *Dziesięć ścieżek cnoty*. Poruszamy się tu nieustannie (mimo że to proza) w świecie poezji. Piękno języka nie służy jedynie wzbudzaniu zachwytu; ma poruszyć czytelnika, wzmóc jego

czujność, a co najważniejsze poprzez swoją niejednoznaczność – podważyć utarte opinie.

Herbert patrzy na mitologiczne postaci wbrew ustalonej tradycji. Według niego Narcyz „był pospolitym chłopakiem o wulgarnych rysach, nieczystej cerze, szerokich barach i długich kończynach", Tezeusz „zręcznym mordercą", a Minotaur „melancholijnym matołkiem". Tersytes „najbrzydszy wojownik przybyły pod Troję", ukazany przez Homera jako „tchórz, kłótnik, wieczny malkontent", u Herberta „wygląda" już zupełnie inaczej. *Jego jedyną bronią było złorzeczenie, bunt bezsilnych – beznadziejny, ale właśnie dlatego zasługujący na podziw i szacunek* – oceni go poeta.

Herbert w *Królu mrówek* powraca do opowieści z dzieciństwa, do mitologii, ale nie jest to powrót zachwyconego bogactwem antycznego świata dziecka. Mam wrażenie, że do oswojonej, ujarzmionej krainy mitu wkroczył barbarzyńca i zburzył zastany tam ład i harmonię. Nie zrobił tego jednak bez powodu. Herbert doskonale wiedział, że współczesny człowiek nie może sobie pozwolić na zwyczajne wędrowanie po mitologicznym świecie. Zbyt dużo widział i zbyt dużo przeżył. Czytając takie eseje jak *Triptolemos*, *Król mrówek* czy *Securitas* bardzo szybko zorientujemy się, że poeta demaskuje metody funkcjonowania państwa totalitarnego. I tak na przykład władca Myrmidonów, który w swoich poddanych *pragnął obudzić uśpione poczucie odrębności narodowej, dumy, wyzwolić tę niepojętą skłonność człowieka do wywyższania się nad innych z przyczyn raczej błahych: miejsca urodzenia, pigmentacji skóry, kształtu nosa*, prawie w niczym nie różni się od Hitlera czy Mussoliniego.

Każda opowieść Herberta zawiera ukryty sens. Przygody olimpijskich bogów są nieustannie zestawiane z tym co współczesne, bliskie człowiekowi XX wieku. I tak Ares odkrywa w sobie „skłonność do spisków, gangów i organizacji terrorystycznych", Narcyz do złudzenia przypomina „głuptasów z elektryczną gitarą lub filmowych bohaterów, poszukujących daremnie sensu życia na dnie pustej duszy", a Kleomedes mógłby „liczyć na nie byle jaką karierę w teatrze absurdu". Herbert daje nam takich bogów, na jakich zasłużyliśmy.

Mit jest historią na tyle pojemną, obfitującą w sensy naddane, że umożliwia poznanie świata współczesnego. Minęły wieki, a człowiek wciąż popełnia te same grzechy, tak samo cierpi, nieustannie snuje plany poprawy swojego losu. Zagubiony, może sięgnąć po zbiór esejów Herberta, żeby przekonać się, iż w swoich marzeniach, strachu i cierpieniu nie jest odosobniony.

Zbigniew Herbert: *Król mrówek*, Wydawnictwo a5, Kraków 2001, ss. 152.

RYSZARD LÖW

WOREK ŻYDOWSKI

1. Tego rodzaju kompendium było oczekiwane, wręcz niezbędne. Trafiło więc na rynek chłonny, jest też obecnie, w jakiś już przecież czas po wydaniu, szeroko wykorzystywane przez uczniów, studentów, bibliotekarzy, nawet naukowców. Okazało się bowiem jedynym dostępnym źródłem informacji z zakresu wyczerpująco oznaczonego tytułem: *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*. (HiKŻP).

Trzeba powiedzieć od razu, że jest to kompendium pionierskie, zamierzone bardzo ambitnie, charakteryzuje je zaś olbrzymia rozpiętość omówionych tematów; dzieło właściwie bez poprzedników w encyklopedycznym piśmiennictwie polskim i obcym. Uderzająco piękna jest też szata typograficzna, jaką mu nadano – wyrazisty druk na dwóch szpaltach, dużo dobrze odbitych i ciekawych ilustracji na pięknym papierze – chociaż nadto „łopatologicznie" sugestywna okładka.

W układzie alfabetycznym haseł rzeczowych i biograficznych, niejednokrotnie bardzo rozbudowanych i wzajemnie się uzupełniających, leksykon ten przynosi wiedzę o przeszłości Żydów polskich w szerokim powiązaniu z ogólną problematyką żydowską. Wiedza ta winna dać obraz życia społecznego, gospodarczego, politycznego, kulturalnego, religijnego – w najrozmaitszych spraw tych rozgałęzieniach i strukturach – sklamrowanego wielością zahaczeń, powiązań i styków żydowsko-polskich wynikłych z niezmiennego przez stulecia faktu historycznego: współżycia na tej samej ziemi.

2. Hasła odnoszące się do tak wielce zróżnicowanych zagadnień i spraw, wymagające niejakiego obycia w wielu odmiennych i niepowiązanych ze sobą dyscyplinach naukowych, nie zostały opracowane – jak wolno się było spodziewać – przez kolegium specjalistów. Napisały je (i każda z osobna własnymi inicjałami podpisała) trzy autorki – Alina Cała, Hanna Węgrzynek i Gabriela Zalewska – z których żadna nie przyjęła na siebie roli redaktora. Redaktora koordynującego materiał, zarazem też odpowiedzialnego za zgodność umieszczonych artykułów encyklopedycznych z tytułem określającym jednoznacznie zakres tematyczny kompendium, a także za ich wiarygodność informacyjną. Wiarygodność wynikającą ze znajomości problematyki (przynajmniej poprawnej w niej orientacji) zakotwiczonej w bibliografii, która z kolei winna być (w wyborze, oczywiście) przytoczona przy każdym haśle. Tak się jednak nie stało, co kompendium to niepomiernie zubaża i niejednokrotnie podważa jego wiarygodność.

Nieobecność ręki redaktorskiej (co w znacznym stopniu obciąża skądinąd tak zasłużonego wydawcę) daje o sobie znać w rzucającym się wręcz zupełnym braku koncepcji takiego słownika. Należało przecież wstępnie ustalić – a wszystko zdaje się wskazywać, że tak nie uczyniono – jakie hasła będą tutaj niezbędne, jakie pożądane, a jakie już tylko uprawnione, a zarazem jakie niepotrzebne, bezużyteczne bez względu na ich wartość merytoryczną, bowiem kompendium bezcelowo przeładowujące. I to może nawet kosztem haseł, które należało tutaj wprowadzić i które mogły być wprowadzone, albowiem w piśmiennictwie naukowym istnieją bądź cząstkowe, bądź nawet całościowe opracowania tych tematów. Oto wybrane przykłady: historiografia dziejów Żydów polskich – dodatkowe biogramy ważnych historyków żydowskich (np. Filipa Friedmana, Józefa Sandela) – biogramy niektórych historyków polskich, którzy pisali o Żydach (np. Tadeusza Czackiego, Wacława Aleksandra Maciejowskiego, Władysława Smoleńskiego) – archiwa, biblioteki i muzea – budownictwo i architektura (architekci) – handel książkami żydowskimi, hebrajskimi i polskimi (księgarze i antykwariusze) – dziennikarze – pamiętniki i wspomnienia – tolerancja – nacjonalizm i antypolonizm (skoro bardzo słusznie umieszczono „antysemityzm") oraz literatura filosemicka (skoro zredagowano przegląd literatury antyżydowskiej) – obraz Żydów w literaturze polskiej (lub szerzej: Żydzi w oczach Polaków) oraz Polaków i Polski w hebrajskiej i żydowskiej – a także osobne, tak właśnie zatytułowane, a nie wbite w inne hasło zbiorcze: „Powstanie w getcie warszawskim".

Natomiast poważne potraktowanie nadanego słownikowi tytułu – gdzie ma być przecież mowa nie tylko o Żydach w Polsce, lecz o polskich – domagałoby się zwrócenia przelotnej bodajże uwagi na stworzone w Izraelu struktury związkowe, instytucje życia kulturalnego – prasę, księgarnie, wydawanie książek – oraz pisaną tutaj literaturę polską, właściwie: polsko-żydowską; nie uczyniono tego w najmniejszym nawet zakresie.

3. Słownik HiKŻP został obciążony dużą liczbą haseł rozsadzających jego ramy, wręcz zaskakujących swoją w nim obecnością, a czyniących z niego jakiś worek różnorodnych spraw żydowskich. Zaliczyłbym tutaj niepotrzebnie tak szeroko potraktowaną charakterystykę ogólnej tradycji żydowskiej, hasła o „amoraitach", „amurecach", „tanaitach" czy samym księciu demonów Samaelu; nie po polsku na dodatek zatytułowane hasła „lemedwownik", „nigun" czy „sforim" itp. Kto tych haseł będzie szukać i kto do nich dotrze w kompendium, którego użyteczność z góry ograniczono przez pozbawienie go indeksu rzeczowego oraz konkordacji haseł?

Sprawę rytualnej czystości – koszrutu – omówiono aż w trzech niemałej objętości hasłach: koszer, koszerowanie i przeciwstawienie – trefne; istotę i funkcje kapłana w czterech: rabi, rabin, reb, rebe – wspierając je piątym: charakterystyką urzędu „rabina generalnego". To wszystko należało przecież skontaminować!

Podobnie nieproporcjonalnie – i ponad spodziewane potrzeby odbiorcy tak zatytułowanego leksykonu – rozbudowano tematykę izraelską za pośrednictwem nieprzystawalnych tutaj artykułów rzeczowych (np. mosad, moszaw, sabra) i biograficznych (np. Golda Meir). W pięciu, a nawet sześciu dużych artykułach omówiono problematykę palestyńsko-arabsko-izraelską, zatem o niej znacznie więcej można się dowiedzieć niż np. o obozie czasu wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920 w podwarszawskiej miejscowości Jabłonna. O tej ponurej „przygodzie" polsko-żydowskiej w ogóle się tutaj nie wspomina; gdzie indziej zresztą też nie.

Chciałbym jednocześnie zapewnić – piszę niniejsze uwagi jesienią 2001 r. w Tel Awiwie, zatem wiem coś o tym – że intyfada, której dano osobne hasło, nie zaczęła wygasać w roku 1994, jak w nim napisano.

Najważniejszą powinnością historyka jest hierarchizacja zdarzeń, ludzi, dzieł. I to nieprawda, że od przybytku głowa nie boli; w tego rodzaju kompendiach, dla użyteczności

których niezbędna jest surowa dyscyplina redakcyjna – boli i to nawet bardzo boli! Jaką bowiem rolę odegrać mają tutaj osobne hasła o takich postaciach i zjawiskach, jak np. (tylko na przykład!): Birobidżan – Dreyfus – Anna Frank – Jehuda Halewi – „noc kryształowa" – procesy lekarzy 1953 – i wreszcie: Rudolf Slanski, czeski komunista stracony w Pradze w roku 1952?...

4. Nie ulega wątpliwości, iż decyzja dotycząca wyboru postaci, którym należało przyznać indywidualne konto osobowe, o kim jedynie wspomnieć w haśle zbiorczym, a kogo całkowicie pominąć, nastręczała wiele trudności. Dyrektywa dotycząca tego wyboru powinna być oparta na wyrazistych przesłankach i poprzedzona starannym rozpoznaniem.

Autorki rzeczywiście kryterium ustaliły. Zgodnie z nim *pominięto biogramy osób, które nie odczuwały związku z tradycją i kulturą żydowską i nie miały świadomości przynależności do narodu żydowskiego. Uwzględniono natomiast hasła wybitnych indywidualności* (...) *w których twórczości pojawiły się wątki żydowskie*. Jednak decyzja ta, zakomunikowana w przedmowie, nie została zrealizowana w praktyce.

Osobne biogramy otrzymali bowiem autorzy z pewnością wybitni, jednak pozbawieni jakichkolwiek „zahaczeń" żydowskich; w ich twórczości też ich nie można się dopatrzyć. Przykładowo: historycy Finkel i Handelsman, poeci: Leśmian, Peiper, Jasiński. Nie przyznano ich natomiast poetom i prozaikom: Stanisławowi Wygodzkiemu, Stanisławowi Jerzemu Lecowi, Kalmanowi Segalowie, Idzie Fink, Hannie Krall; krytykowi Romanowi Zimandowi...

Co więcej, autorzy ci nie tylko nie zostali wymienieni osobno – oni nie zostali wymienieni w ogóle. Można się bowiem było spodziewać, że jakaś wzmianka o nich zostanie wmontowana w zbiorczy przegląd poświęcony udziałowi Żydów w literaturze polskiej. I że w takim przeglądzie zostaną wspomniane nazwiska np. krytyków Stanisław Lacka, Ostapa Ortwina czy Ludwika Frydego; pisarek i poetek Franciszki Arnsztajnowej, Herminii Naglerowej, Henryki Łazowertównej... Przeglądu takiego jednakże nie napisano.

Jego rolę winno prawdopodobnie spełnić hasło „Literatura polsko-żydowska". Jest ono jednak wykładnikiem pewnego zagubienia się autorki w sprawie, której zreferowania się podjęła.

Tak zwana „literatura polsko-żydowska" lat międzywojennych (z pewnym być może przedłużeniem izraelskim) była bardzo specyficznym zjawiskiem, przede wszystkim poezji i publicystyki pisanych po polsku, a wyrażających treści żydowskie, często o zabarwieniu syjonistycznym, przez autorów jednoznacznie deklarujących swoją żydowską przynależność narodową. Ani jedno nazwisko poetów tego kręgu nie zostało tutaj wymienione; nie ma więc Maurycego Szymla (wyraźnie zresztą mylonego z Władysławem Szlenglem), Stefana Pomera, Karola Dresdnera, Anny Eker, Daniela Ihra; nie ma publicystów i krytyków: Wilhelma Falleka, Juliusza Feldhorna, Chaima Löwa, Dawida Lazera... A właśnie ich twórczość najdokładniej mieści się w przywiedzionej dyrektywie.

Twórczość tę autorka potraktowała łącznie – nie dostrzegając żadnych przedziałów i odrębności – z powszechnym zrębem literatury polskiej współtworzonej przez pisarzy Żydów identyfikujących się wyłącznie z polską tradycją kulturalną (i nie wyłącznie z żydowską przynależnością narodową), zaś zagadnieniom żydowskim w swoich utworach bynajmniej nie przyznających nadrzędności. Jest to artykuł informacyjnie ubogi i mylny w swej koncepcji, w którym „judaizacji" dostąpili poeci Lechoń i Wierzyński (s. 189).

Osobne opracowania otrzymały literatura żydowska (jidysz) i hebrajska pisane w Polsce oraz niektórzy ich autorzy. Dzieje prasy natomiast potraktowano łącznie – polskojęzycznej, żydowskiej i hebrajskiej – co nie wydaje się rozwiązaniem udanym. Odmienne tutaj było bowiem wszystko – wszystko różniło piszących i ich czytelników. Nie tylko język, ale: świadomość, zainteresowania kulturalne, przynależności polityczne – wręcz mentalność.

Ten przegląd syntetyczny – „Prasa" – uzupełniono mini-monografijkami kilku czasopism i gazet; w języku polskim siedmiu, wśród nich warszawskiego „Naszego Przeglądu" i lwowskiej „Chwili" pomijając jednak trzeci – najdłużej wydawany, bo w latach 1918-1939 – największy polskojęzyczny dziennik Żydowski międzywojnia – krakowski „Nowy Dziennik". Taką mini-monografię należało zredagować również dla wydawanego w latach 1930-1935 znakomitego „Miesięcznika Żydowskiego".

Do najciekawszych, bardzo spójnych i sumiennych haseł z zakresu szeroko pojętego piśmiennictwa zaliczyć można omówienie „Międzykulturowych wpływów polsko-żydowskich i żydowsko-polskich", a także „Literatury antyżydowskiej".

Ani spójności, ani też sumienności opracowania nie można niestety przyznać prezentacji udziału Żydów polskich w osiągnięciach nauki światowej i polskiej. Hasło „Nauka" (s. 227-228) okazało się workiem, do którego wrzucono kilkanaście dość przypadkowo poz-

bieranych nazwisk, bez najmniejszego nawet wysiłku dostrzeżenia jakiejś między nimi gradacji; giermkom te same oddano honory co rycerzom. Przykład: *W dziedzinie badań literackich: H. Biegeleisen (1955-1934) i J. Kleiner (1886-1957), obaj specjalizujący się w literaturze romantycznej*. Tyle i tak.

Doprawdy nie jest już w tej chwili istotne, jakie osoby w tym haśle wymieniono, interesującym natomiast stać się może, jakie pominięto. Przykładowo więc przytoczę nazwiska kilku uczonych, w swoich dyscyplinach wybitnych: prawnicy Ludwik Ehrlich i Szymon Rundstein; bizantolog Leon Sternbach; historyk epoki hellenistycznej i judaista Edmund Stein; historycy Marian Małowist i Nina Assorodobraj; filolog klasyczny Aleksander Turyn; historycy literatury polskiej Wiktor Weintraub i Zdzisław Libera; językoznawcy Maria Renata Mayenowa i Mojżesz Altbauer; matematycy Alfred Tarski oraz Hugo Steinhaus; fizycy Władysław Natanson i Ludwik Infeld; hematolog Julian Aleksandrowicz.

5. Chciałbym dorzucić jeszcze garść sprostowań i uściśleń, które zanotowałem przeglądając to kompendium:

Szymon Askenazy w Getyndze nie „uzyskał stopnia profesora" (s. 13) lecz doktorat.

Roman Brandstaetter w *Tragedii Juliana Klaczki* nie „podjął ataku zasymilowanych Żydów w pozbawionym niepodległości polskim społeczeństwie" (s. 34), lecz przedstawił jednostkową sytuację tej właśnie najzupełniej wyjątkowej postaci, na początku biogramu której (s. 156) dowiadujemy się, że była on „współtwórcą ideologii konserwatyzmu polskiego", na jego zaś końcu (s. 157), że jej „idee polityczne tylko częściowo ukształtowały nurt krakowskiego konserwatyzmu"; „Revue des Deux Mondes", do której Klaczko pisywał nie była „gazetą" lecz miesięcznikiem.

W haśle „getto ławkowe" (s. 99-100) winna się była znaleźć wzmianka o Ryszardzie Ganszyńcu, ówczesnym profesorze filologii klaszycznej na uniwersytecie we Lwowie i jego odczycie z r. 1937 wydanym pt. *Ghetto ławkowe*, który zakończył takim oto pamiętnym i godnym pamięci oświadczeniem: *zwalczam obecny numerus clausus iudaicorum jako człowiek i wychowawca, jako uczony i Polak*. .

Julian Tuwim nie „opracował antologii poezji rewolucyjnej", tłumaczeniami poezji francuskiej i rosyjskiej „zajął się" na długo przed wojną, a nie dopiero po niej, zaś wspaniały arcyartykuł *My, Żydzi polscy*... nie jest przecież – „poematem"! (s. 357).

„Poematem" nie jest również, lecz zbiorem wierszy pisanych w ciągu paru lat, a nie „podczas powstania w getcie warszawskim" (s. 335) i dwukrotnie opublikowanym w osobnych zbiorkach (1977 i 1979) Władysława Szlengla – *Co czytałem umarłym*. Ten rzekomy „poemat" został (s. 336) nawet opatrzony – na ogół w HiKŻP nie stosowanym – komentarzem historycznoliterackim: „Nowatorski w formie, należy do najbardziej wstrząsających świadectw Zagłady" – napisano.

Zbiorem opowiadań i szkiców a nie „powieścią" jest *Kupiec łódzki* Adolfa Rudnickiego (s. 288) urodzonego nie w Warszawie, lecz w miasteczku Żabno koło Tarnowa jako Aron Hirschhorn.

Biogram Michała Borwicza (s. 32) zubożono o kilka jego książek polskich i francuskich, wśród nich o najwybitniejsze jego osiągnięcie naukowo-pisarskie *Ecrits des condamnes á mort*, czyli *Pisma skazanych na śmierć*, z gazetą – nie „czasopismem"! – „Nowy Dziennik" współpracował w latach 1933-1937 (może nawet 1938) a nie 1918-1939, które są datami granicznymi ukazywania się tego dziennika.

Antologię poezji żydowskiej Arnold Słucki (s. 308) przygotował nie sam, lecz razem z Salomonem Łastikiem, któremu także należała się wzmianka w kompendium.

Działający w pierwszej połowie XIX w. warszawski antykwariusz Gecel Zalcstein nie był „protoplastą księgarskiego rodu Geclów" (s. 373), lecz – co oczywiste! – Zalcsteinów.

Nazwanie Abrahama Gumplowcza (s. 170) „bibliofilem" jest tylko określeniem jego prywatnych zainteresowań, pamięć o nim bowiem – powstańcu styczniowym, radnym miasta – zachowała się dzięki założonej przez niego w Krakowie w r. 1837 wypożyczalni książek, zlikwidowanej dopiero przez Niemców w roku 1940.

W ani jednym z właściwych dla takiej wzmianki haseł – „Szkolnictwo" i „Kraków" nie wspomniano o hebrajskim gimnazjum w Krakowie z polskim językiem wykładowym, które działało w latach 1908-1939.

Z najzupełniejszą nieznajomością sprawy zredagowany został ostatni, dotyczący okresu tuż powojennego akapit biogramu teatrologa Michała Weicherta (s. 365).

Oba hasła: „Polskie powstania narodowe" i „Wojskowe powinności Żydów" nie wyczerpują sprawy służby Żydów w wojsku polskim. Przeoczono ich udział w bitwie o Monte Cassino. Słusznego twierdzenia, iż prócz lekarzy Żydom „trudno jednak było awansować

do stopnia oficera" (s. 260) nie można rozciągać – co uczyniono – na cały okres międzywojenny.

Tłumaczenia polskie nader często przywodzonych – nawet w tytułach haseł – terminów i słów hebrajskich są niejednokrotnie niedokładne lub wręcz mylne, np. „megilat ha-esz" znaczy „zwój ognisty", a nie „zwoje ognia" (s. 28); „ha-sziloach" to raczej „posłaniec" a nie „wyzwolenie" (s. 29), „państwo" – „medina" a nie „mdina" (s. 125), natomiast „Yad Vashem" (s. 371) to „miejsce i imię" a nie „ręka i imię".

Nie sądzę, że możliwe jest tutaj całościowe podsumowanie wartości, ważności, stron dodatnich i ujemnych tego bogatego przecież kompendium, w którego przygotowanie autorki włożyły tak wielki wysiłek i trud. Zwłaszcza że przedmiotem dokonanego przeze mnie przeglądu były jedynie niektóre hasła, wybrane spośród tak wielu.

Alina Cała, Hanna Węgrzynek, Gabriela Zalewska: *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000, WSiP, ss. VII, 399.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Paweł Przywara: *Euroman. Pierwsza powieść eurorealistyczna*. WSBFiZ, Rzeszów 2001, ss. 303. Biblioteka „Frazy".

Krzysztof Varga: *Tequila*. Wyd. Czarna Lampa. Warszawa-Wołowiec 2001, ss. 110.

Stanisław Popek: *Człowiek jako jednostka twórcza*. Wyd. UMCS, Lublin 2001, ss. 224.

Anna Skoczek: *Ślad na drodze. O twórczości Adama Zielińskiego*. Wydawnictwo NCK, Bochnia 2001, ss. 99.

Cwi Ajzenman: *Na krawędzi snu*. Z języka jidysz tłumaczyła Anna Ćwiakowska. Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 2001, ss. 95.

Agata Araszkiewicz: *Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki*. Wyd. Fundacja OŚKA, Warszawa 2001, ss. 199.

Jacek Pankiewicz: *Wreszcie przystanek ta chwila*. Opowiadania. Wyd. AG-BART 2, Białystok 2000, ss. 147.

Władysław Panas: *Bruno od Mesjasza. Rzecz o dwóch ekslibrisach oraz jednym obrazie i kilkudziesięciu rysunkach Brunona Schulza*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2001, ss. 200 + ilustracje.

O solidarność rodziny narodów Europy. Sympozjum – 14 maja 2001 roku – Galeria Malarstwa Polskiego na Zamku w Lublinie. Red. Ks. T. Styczeń, Stanisław Majdański i Cezary Ritter. Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 2001, ss.111.

Aleksander Przysada: *Zygmunt Klukowski, lekarz ze Szczebrzeszyna, 1885-1959*. Wyd. Miejski Dom Kultury, Szczebrzeszyn 2000, ss. 268.

Rola krakowskich drukarzy w kulturze węgierskiej. Praca zbiorowa. Bibliografię opracowali Sandor Dornyei i Balázs Kertesz. Wyd. Balassi Kiadó, Budapeszt 2000, ss. 400 + 22 ilustracje.

plastyka

LECHOSŁAW LAMEŃSKI

Jeszcze raz człowiek i sacrum, czyli słów kilka o malarstwie Tadeusza Kuduka

Lubię patrzeć na obrazy Tadeusza Kuduka, słyszę wówczas, jak pięknie dźwięczy cisza towarzysząca kontemplacji, wewnętrznemu dialogowi, do jakiego dochodzi, gdy zatrzymuję wzrok na płaszczyźnie płótna wiszącego na ścianie galerii. Pociąga mnie ten specyficzny, bardzo osobisty typ powolnej narracji malarskiej, w której prostota użytych środków formalnych poparta znajomością warsztatu pozwala widzowi spojrzeć głębiej i znacznie dalej niż zazwyczaj. Delektuję się zarówno skondensowaną treścią sugestywnych płócien wykonanych w technice olejnej, jak i licznych kompozycji o rozbudowanej anegdocie, powstałych przy użyciu technik wodnych (gwaszu i tempery) na podłożu papierowym.

Tadeusz Kuduk to bez wątpienia postać ciekawa i oryginalna nie tylko w lubelskim życiu artystycznym, już chociażby z tego względu, że zaczynał jako aktor teatralny, który po spędzeniu – z powodzeniem – ponad dwudziestu lat na scenie, postanowił oddać się bez reszty malarstwu. Z punktu widzenia krytyka sztuki był to wybór odważny, ale bez wątpienia w pełni uzasadniony. Przede wszystkim dlatego, że Tadeusz Kuduk to artysta wrażliwy, który ma nam ciągle coś nowego i ciekawego do powiedzenia (zarówno pod względem formy jak i treści), a świat jego wizji i wyobraźni od kilkudziesięciu już lat materializuje się w niezwykle indywidualny sposób ku satysfakcji widzów w salach wystawowych, krytyków i recenzentów, a także licznego grona nabywców tych obrazów. Obrazów malowanych równie chętnie w rodzinnej Trzebusce (woj. podkarpackie) lub pobliskim Julinie (gdzie lubi spędzać część wakacji), jak podczas plenerów, bądź też – najczęściej – w zaciszu pracowni.

Zapominając na chwilę, że Tadeusz Kuduk to dyplomowany aktor dramatyczny, można odnieść wrażenie, że malarskie widzenie świata towarzyszyło mu od zawsze. I tak chyba było rzeczywiście, ponieważ już jako 12-13-latek ilustrował na własny użytek czytane z ogromnym zapałem książki i lektury szkolne. Podczas studiów Tadeusz Kuduk mieszkał w „Dziekance", niezwykłym akademiku, w którym prym wiedli studenci uczelni artystycznych, z warszawską ASP na czele. Zawiązane wtedy przyjaźnie nie tylko przetrwały próbę czasu, ale pozwoliły także miłośnikowi Melpomeny, żywo zainteresowanemu malarstwem, na wielostronne kontakty artystyczne, co nie

pozostało bez wpływu na jego twórczą dwubiegunowość, równoczesne uprawianie aktorstwa i plastyki, zwłaszcza olejnego malarstwa sztalugowego, malarstwa na podłożu papierowym, miniaturowego i sporadycznie scenografii. Niemal równolegle z otrzymaniem dyplomu, w przerwach pomiędzy próbami i przedstawieniami teatralnymi, pojawiać się zaczęły pierwsze obrazy tworzone z wyraźną świadomością.

Już od roku 1962 Tadeusz Kuduk rozpoczyna aktywną działalność wystawienniczą, najpierw udziałem w pokazach zbiorowych, potem, pod koniec lat 60., dochodzi do pierwszych wystaw indywidualnych (1968 – Warszawa, Galeria TPSP; 1969 – Białystok, Galeria „Brama"). Wydaje mi się, że okres ten, aż do 1989 r. można uznać za etap prób i poszukiwań, za uporczywą i konsekwentnie prowadzoną walkę Tadeusza Kuduka o trwałe miejsce dla uprawianego przez siebie malarstwa. To wówczas można było dostrzec zarówno wpływy malarstwa ekspresjonistycznego, „ikonowego", jak i popularnych w swoim czasie assemblages', które pojawiły się w dorobku artysty ok. 1974 roku i były obecne aż do 1989 roku.

Wczesny ekspresjonizm Tadeusza Kuduka to płótna malowane – na przełomie lat 60-70. – grubymi impastami, centymetr po centymetrze, gdzie każdy najmniejszy fragment kompozycji wypełniają formy o rodowodzie zaczerpniętym ze świata rzeczywistego, tworzące w całości migotliwą mozaikę barw utrzymaną na przekór tematowi w kolorach ciepłych, płowych. Na

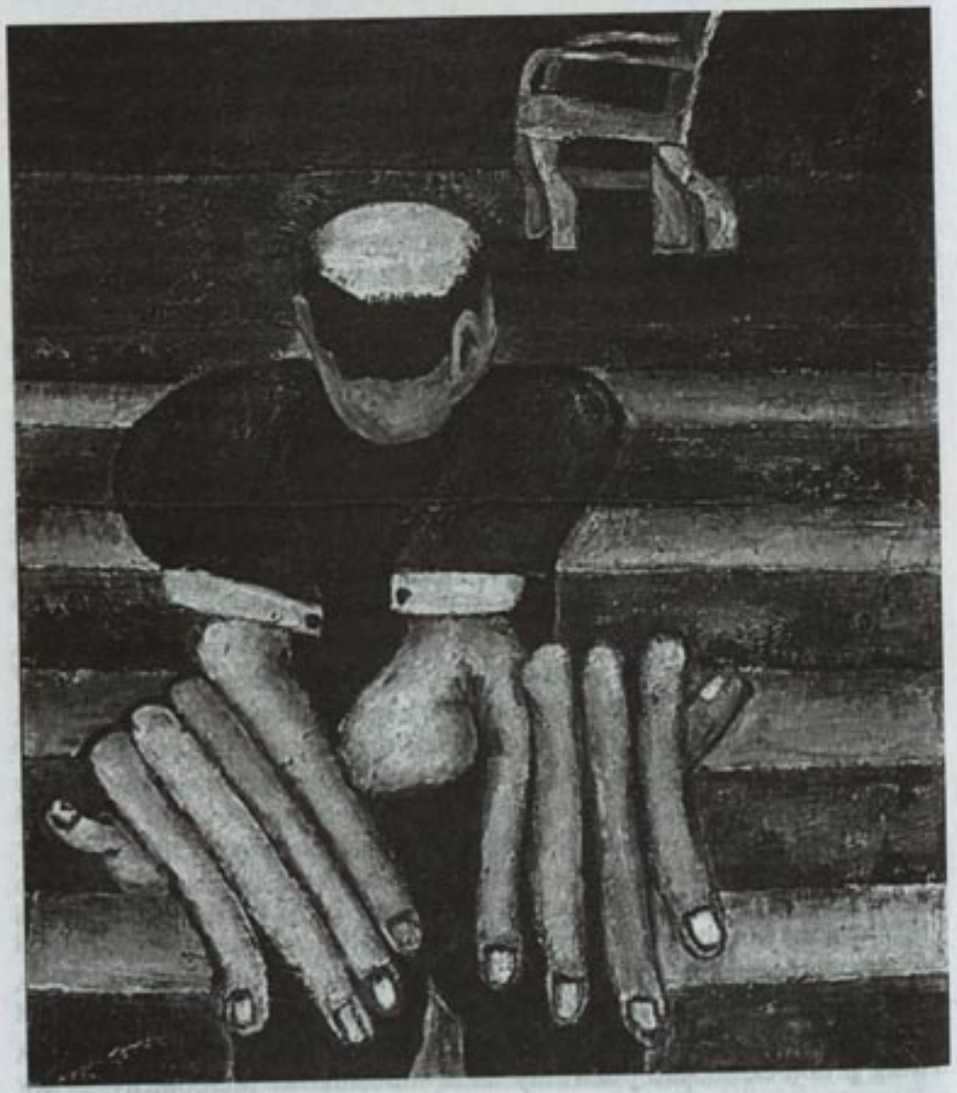

Tadeusz Kuduk: *Król Ryszard III*, olej, płótno (88 x 77 cm), 1967

Tadeusz Kuduk: *Wniebowzięcie Maryi*, assemblage, 1974

zasadzie interpunktu wyłaniają się z niej zdeformowane postacie ludzkie zapożyczone ze swoistego teatru ekspresji. Znaczna doza realizmu, posługiwanie się fragmentami organicznej i martwej rzeczywistości, uzupełnionej o sugestywne, a zarazem proste i jednoznaczne akcenty nie pozwalały widzowi na zbyt daleko idącą interpretację.

Z kolei „ikony" – efekt zauroczenia Tadeusza Kuduka tego typu sposobem wypowiedzi w połowie lat 70. – to zarówno obrazy jak i kompozycje przestrzenne, rodzaj feretronów, w których sugestywne twarze świadomie upraszczanych i prymitywizowanych świętych obudowywane są ażurowo drewnem, rozczesanym sizalem, szpagatem i łańcuchami służącymi do ich zawieszania, aranżującymi, wręcz dookreślającymi przestrzeń wokół nich. Bez wątpienia są to kompozycje urzekające czystymi, kładzionymi z rozmysłem jedna obok drugiej barwami, płaskim potraktowaniem na poły ludowych świątków, z młodzieńczym Panem Jezusem, dziewczęcą Matką Boską czy opatulonymi skromnymi habitami wizerunkami świętych apostołów i zakonnic, spoglądającymi ufnie przed siebie dużymi, szeroko otwartymi oczami,

ale pozbawione cech typowych, charakterystycznych wyłącznie dla osobowości plastycznej lubelskiego artysty.

Stąd już tylko krok do assemblages – świadomie ukształtowanych kompozycji przestrzennych, w których Tadeusz Kuduk nie zawahał się przed wklejaniem w dwuwymiarową, całkowicie płaską płaszczyznę obrazu sfatygowanej torby obok małej dziecięcej torebeczki, dużych steranych butów ze swoistym „życiorysem" obok niemowlęcych bucików, sugestywnej czaszki konia z ogromnymi skrzydłami z blachy aluminiowej czy końcówki węża pożarniczego. Stosując dynamiczne, żeby nie powiedzieć skrajnie ekspresyjne układy plam barwnych, artysta pospiesznie pokrywał bielą, czernią, a także cynobrową czerwienią całe partie tła tak skonstruowanych obrazów i ich trójwymiarowe relikty ludzkiego życia. Mimo dużej dozy ekspresji, chęci opowiedzenia o losie jednostki, jej zagubieniu i wyobcowaniu, assemblages Tadeusza Kuduka sprawiają wrażenie zbyt surowych i obcych – jak sądzę – jego kruchej i wrażliwej naturze. Wystawiane z powodzeniem od lat, są jednak początkiem Kudukowej filozofii penetrowania ludzkiej

Tadeusz Kuduk: Z cyklu *Obrazy dedykowane* – wersja I, *IM wczoraj*, gwasz, ołówek (52 x 40 cm), 1982

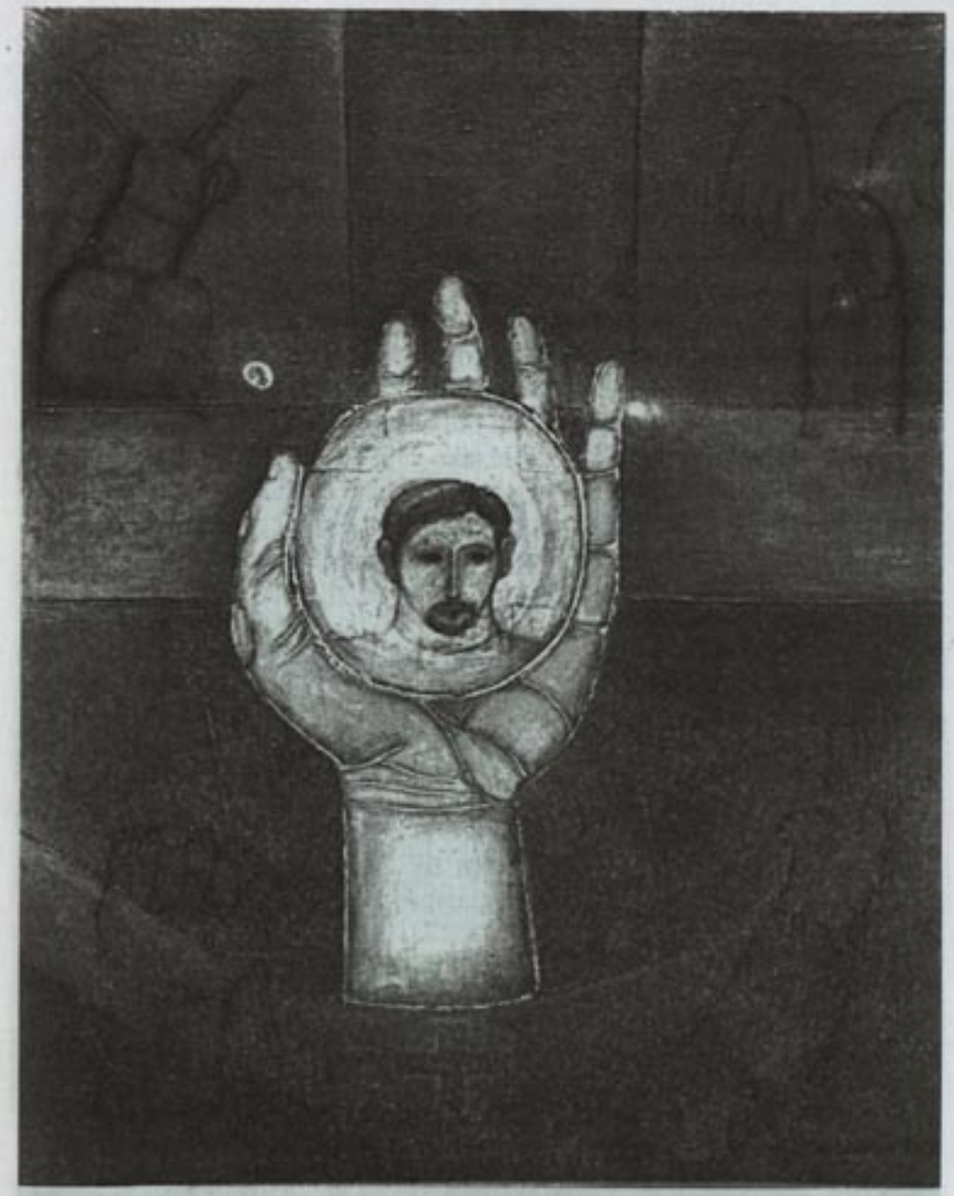

Tadeusz Kuduk: *Nabożeństwo*, olej, płótno, 1979

natury w dzisiejszych czasach zbrodni, zgiełku, zatracania ideałów. Uwidacznia się to w jego innej stylistyce formalnej i warsztatowej w dekadzie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

To, kim jest Tadeusz Kuduk obecnie jako malarz, to z jednej strony konsekwencja ciągu wydarzeń związanych z powstaniem „Solidarności" w 1980 roku, entuzjazm, zachłyśnięcie się kilkoma miesiącami wolności, przerażenie, ból i bezsilna niemoc po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r., a z drugiej – pełnej krystalizacji jego osobliwego stylu. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów jest tu postać ludzka sprowadzona do bezwolnego korpusu owiniętego szerokimi zwojami bandażu, pozbawiona cech indywidualnych, skulona, pochylona, klęcząca, wznosząca ręce w geście rozpaczy, w niemym krzyku nadziei, a także w geście modlitewnego skupienia i samooczyszczenia. Postać wprowadzona do pustej przestrzeni, która nie jest ani anonimowym, pozbawionym ludzkich cech wnętrzem mieszkalnym, ani resztką wspaniałego, pełnego powietrza i słońca zapamiętanego pejzażu. Jest to w dużym stopniu przestrzeń odhumanizowana, w której nie ma najczęściej dalekiej linii horyzontu, ani klasycznej perspektywy oraz właściwych relacji pomiędzy pierwszym a drugim planem. To wszystko w gruncie rzeczy nie istnieje, jest natomiast człowiek i jego samotność, tym czytelniejsza, im gładsza i bardziej obojętna staje się przestrzeń wokół niego.

Człowiek Tadeusza Kuduka, mimo rozczarowań i upokorzeń, jakie przynosi mu życie, jest, istnieje na przekór wszystkim i wszystkiemu, nie poddaje się próbując znaleźć swoje miejsce w świecie ograniczonym – najczęściej – do wstęgi drogi, przecinającej płótno z góry do dołu, wijącej się skosem, rozdzielającej je na połowy. Tym, co pomaga mu zachować tożsamość, obronić ukryte pod zwojami cienkiego materiału bezbronne ciało, jest głęboka i żarliwa wiara. Przede wszystkim wiara w Boga, stąd najprostsze symbole chrześcijańskie: ryby, ptaki, krzyże, niekiedy skrzydlate anioły i aureole nad głowami świętych, przycupniętych w nieistniejących kapliczkach na nieistniejących rozstajach dróg. Te symbole stanowią również o żywiołach powietrza, ognia i wody. Mimo że obrazów stricte religijnych Tadeusz Kuduk nie namalował zbyt wiele (jest co prawda m.in. autorem dwóch interesujących Dróg Stacji Krzyżowych, które jako zbyt umowne, zanadto ascetyczne ciągle znajdują się w pracowni artysty), to element sacrum istnieje w jego obrazach nawet wówczas, gdy nie ma na nich żadnego symbolu chrześcijańskiego. Być może fakt, że artysta spędził dzieciństwo w Trzebusce, wsi niemal na pograniczu kultur i religii (do której od lat wraca co roku), pozwala mu mówić o człowieku i Bogu tak bezpośrednio i bezpretensjonalnie, a zarazem szczerze i przekonywająco.

Istotnym walorem obrazów olejnych Tadeusza Kuduka jest ich kolorystyka, wyciszona i stonowana, gdzie na tle dużych laserunkowo ujętych szarości, błękitów, brązów i zieleni pojawiają się obwiedzione konturem elementy figuralne kompozycji, wokół których artysta wprowadza jarzące się – niczym blade światła neonów w gęstej mgle – partie płótna utrzymane w fosforyzujących czerwieniach i fioletach. W zależności od charakteru obrazów tworzących bardzo często cykle (od dyptyków i tryptyków po serie kilku-

Tadeusz Kuduk: *Ballada z Trzebuski VI*, olej (49 x 48,5 cm), 1995

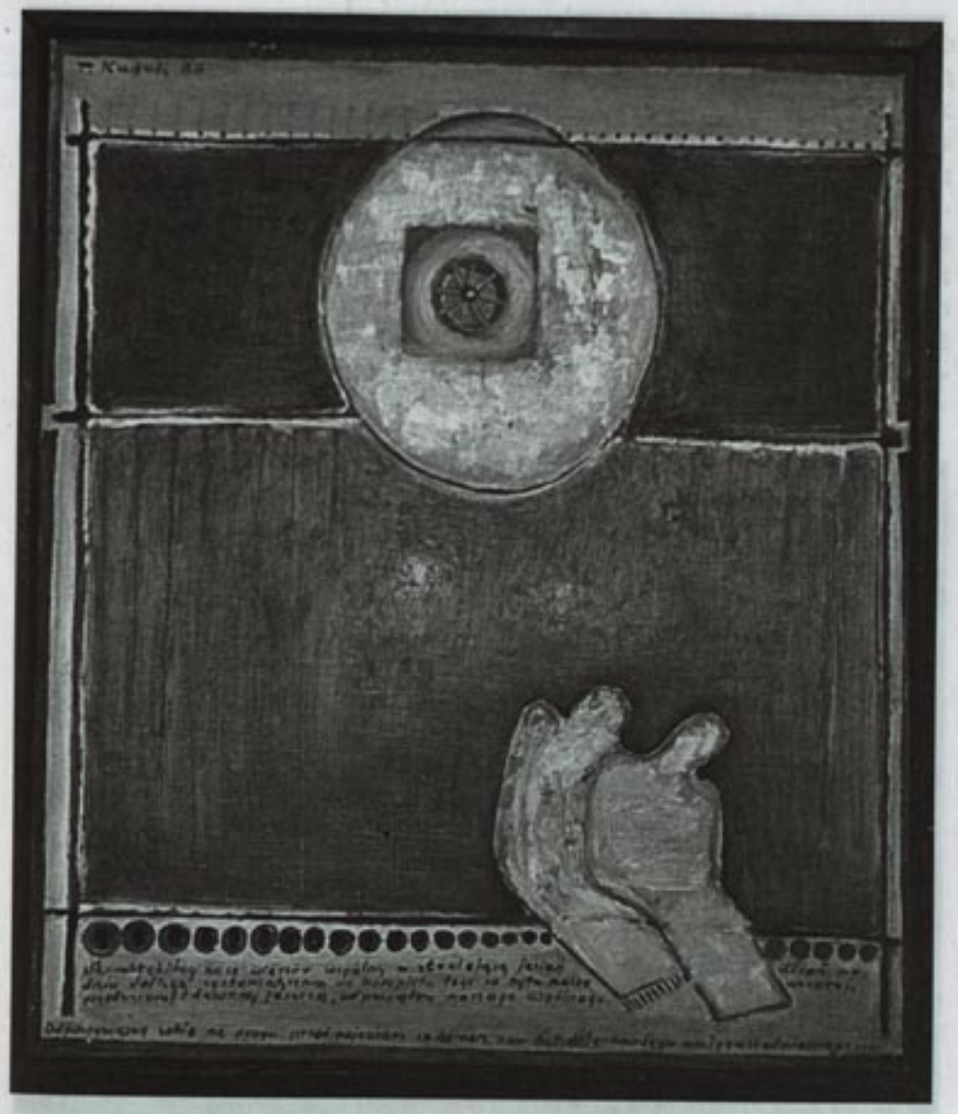

Tadeusz Kuduk: *O zachodzie*, olej, płótno (31 x 27 cm), 1980

nastu kompozycji) o ukrytej, mniej lub bardziej oczywistej treści – łączy je zróżnicowana jednolita gama barwna. Stąd obecność (dosłownie!) obrazów czerwonych, białych, a także czarnych, na czele z jedenastoma niezwykłymi płótnami powstałymi w 1981 roku pod wpływem scenografii Leszka Mądzika do sztuki Antoniego Czechowa *Iwanow*, reżyserowanej przez Ignacego Gogolewskiego w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Artysta uczestniczył w próbach i w realizacji spektaklu (grał jedną z ról) i zafascynowany sztuką Mądzikowego widzenia wykonywał szkice poszczególnych scen dramatu, a w pracowni przeobrażał je w stosunkowo nieduże prostokąty płótna.Tak powstają również miniatury, istotny element pracy twórczej Kuduka. Są to formy o wielkości szkolnego zeszytu aż do rozmiarów nawet połowy pocztowego znaczka. Stanowią one zapisy – szkice do realizacji obrazów „pełnowymiarowych", ale i samodzielnie funkcjonujące dzieła. Jeżeli można bez wahania powiedzieć, że czerń to wspaniały i sugestywny kolor, o niebywałym blasku i głębi, dający ogromne możliwości wyrazowe (co wykazali już tak wielcy artyści jak Velazquez, Goya i chociażby Manet), to Tadeusz Kuduk osiągnął najwyższy stopień wtajemniczenia na tym polu. I chociaż jego jedenaście czarnych obrazów nie powstałoby zapewne bez udziału w spektaklu i towarzyszącej mu scenografii, o ich sile decyduje mimo wszystko wizja artysty malarza, który umiał przetworzyć trójwymiarową, czarną scenę z czarnymi kulisami i wtopionymi w nie postaciami aktorów w magiczny krąg uproszczonych form spowitych w zróżnicowane akordy czerni,

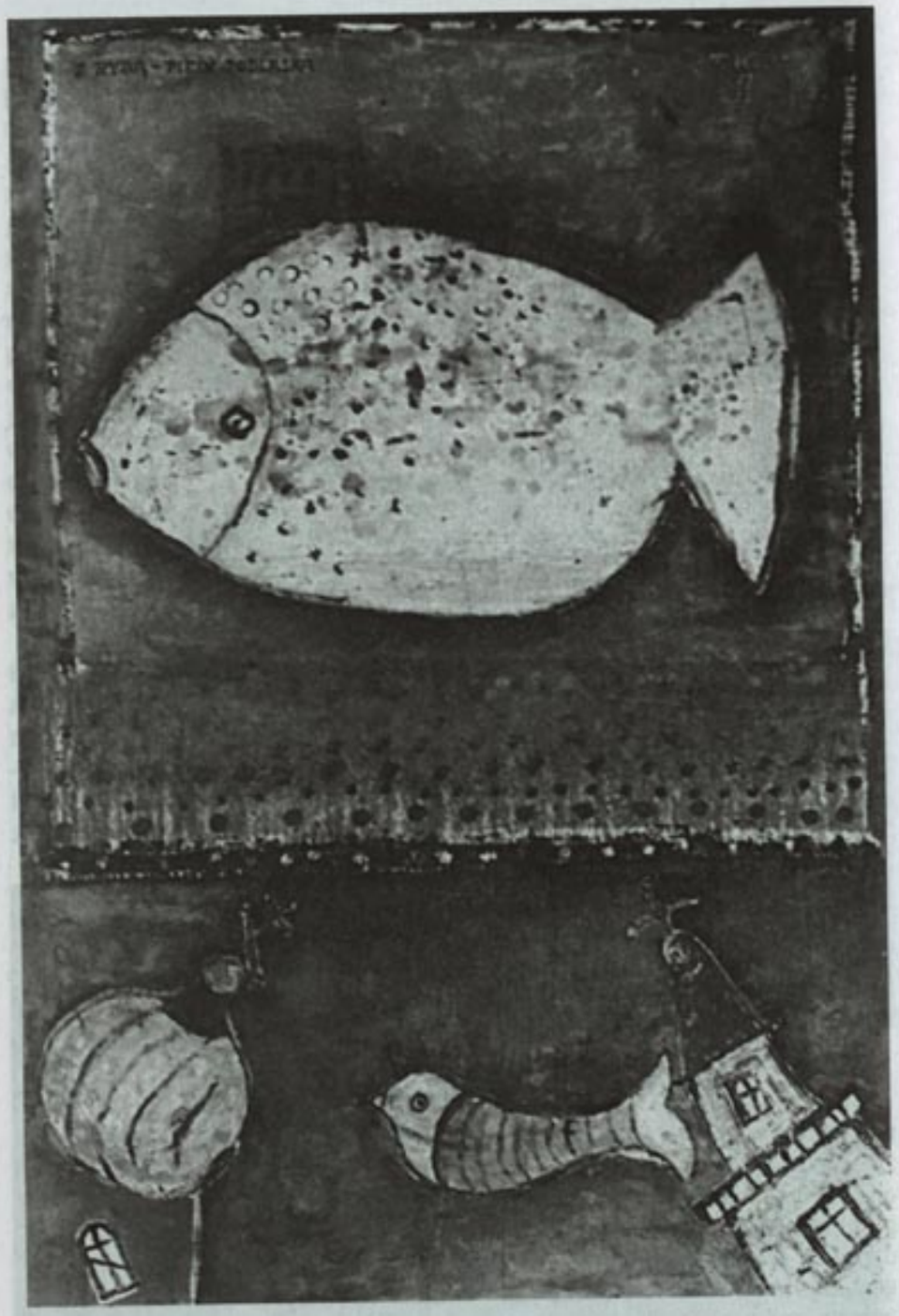

Tadeusz Kuduk: *Z rybą – pieśń podlaska*, tempera, olej (54 x 36 cm), 2001

od matowej, głuchej na refleksy światła, po subtelnie aksamitną, w zakamarkach zakamarkach migocą rozproszone, przepuszczone przez delikatny muślin promienie z punktowych reflektorów.

Obrazy olejne – tak istotne w dorobku twórczym Tadeusza Kuduka przechodzą stopniową, choć jak sądzę czytelną ewolucję, od wypełnionych tłumem anonimowych ludzi i towarzyszących im akcesoriów, po coraz bardziej wyczyszczone, starannie wystylizowane, gdzie człowiek pozostaje sam wobec Boga stwórcy i Boga sędziego.

Nieco inaczej wygląda sytuacja z drugim w dorobku artysty działem – działem kompozycji na papierze, równie ważnym i ciekawym. Jeszcze liczniejszym, choć mniej zróżnicowanym (nie tylko pod względem wielkości) obejmującym dziesiątki obrazów malowanych temperą lub gwaszem, zasadniczo w trzech formatach (125 x 91cm, 90 x 60cm i 60 x 40cm). Kom-

pozycje te dotykają pozornie tych samych kwestii, co obrazy olejne, ale o ile te ostatnie cechuje wyczuwalny pesymizm, to ulotne papiery emanują ciepłem, wyczuwa się w nich nutę poetyckiej nostalgii i radości. Obok wątków znanych z obrazów olejnych, pojawiają się nowe, jak chociażby piękne w swej prostocie ptaki, ryby, elementy żywiołów – i oczywiście postacie ludzkie, także aniołowie i... diabełki-wesołki, jakby ze średniowiecznych moralitetów oraz obrazy z wpisywanymi tekstami wierszy, które można czytać lub postrzegać jako formy czysto malarskie. Artysta wpisuje w obrazy często i własne teksty. Zmianie ulega również kolorystyka, ciągle jeszcze stonowana, ale znacznie żywsza. Spokój obrazów olejnych zastępuje wyraźna radość tworzenia i optymizm myślenia artysty. Tadeusz Kuduk prowadząc przy pomocy pędzla dialog z widzem o kwestiach dla niego istot-

Tadeusz Kuduk: *Drzewo genealogiczne – ballada*,
olej, tempera (70 x 47 cm), 2000/2001

nych, stara się, aby tempery – w przeciwieństwie do obrazów olejnych – nie tylko służyły do rozstrzygania problemów warsztatowo-formalnych, ale zapewniły oglądającym także chwilę relaksu, oddechu od nie zawsze pogodnej i jednoznacznej rzeczywistości. Nazywa je najczęściej *Balladami z Trzebuski*, wyznając, że są to pieśni, śpiewy dziękczynne wobec czasu dzieciństwa i wobec ludzi, którzy jeszcze pochwalają Boga przy spotkaniu.

Osobowość Tadeusza Kuduka malarza, jaką pragnę oglądać nadal, ukształtowała się ostatecznie – jak sądzę – na początku lat osiemdziesiątych. Od tego momentu jest to artysta bardzo spójny, ewoluujący konsekwentnie w kierunku syntezy formy i treści, w której człowiek i Bóg spotykają się na tej samej drodze, krocząc zgodnie obok siebie.

Na koniec należy przypomnieć jeszcze raz, że artysta przez wiele lat uprawiał równocześnie dwie dziedziny sztuki, aktorstwo i plastykę. Stąd prawie w każdym obrazie można dostrzec swoisty teatr na swoistej scenie. Jest to teatr uformowany kompozycją, gdzie nadmarionetki, bądź to w pustce wymyślonej sceny (oleje i assamblages), bądź w zagęszczeniu rekwizytów (obrazy na podłożu papierowym), tworzą dramat kondycji człowieczej, dramat przesycony wiarą, nadzieją i miłością.

Lechosław Lameński

Tadeusz Kuduk urodzony 20 października 1935 roku w Trzebusce na Rzeszowszczyźnie (ob. województwo podkarpackie). Szkoła średnia w Łańcucie, Rzeszowie i Krakowie, studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Dyplom w 1961 roku. Od roku 1969 członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Do 1983 roku zajmował się równocześnie twórczością plastyczną i aktorstwem. Obecnie uprawia tylko działalność plastyczną, koncentrując się zwłaszcza na malarstwie we wszystkich technikach i na rysunku. Sporadycznie uprawia scenografię teatralną.

Uczestniczył w ponad 80 prezentacjach zbiorowych oraz miał ponad 20 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. Jest laureatem osiemnastu nagród, wyróżnień i medali w dziedzinie malarstwa i rysunku. Najważniejsze z nich to: I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie na Projekty 23 Gobelinów dla Zamków Polski Południowej (Kraków 1978); główna równorzędna nagroda i Medal im. Kaplara Miklosa na Międzynarodowym Plenerze Malarskim (Węgry 1980); nagroda za obraz *Każdy kapłan* w Diecezjalnym Konkursie Plastycznym i Literackim (Lublin 1983); główna równorzędna nagroda w II Ogólnopolskim Triennale Akwareli (Lublin 1987); I nagroda w II Ogólnopolskim Konkursie Malarskim „Impresje Poetyckie" (Toruń 1987); II nagroda i medal w Ogólnopolskim Konkursie na Rysunek „Ochrona Środowiska" (Suwałki 1988) oraz I nagroda równorzędna w Ogólnopolskim Konkursie Malarskim „Kobieta" (Piotrków Trybunalski 1990).

Prace artysty znajdują się w wielu muzeach i zbiorach prywatnych w kraju i za granicą, m.in. w kolekcji: Christin Eckert w Nenzlingen (Szwajcaria), Alex Eckert w Bazylei (Szwajcaria), Anny Kisielewskiej-Borek w New Jersey (USA), Udo Windischa w Kaarst (Niemcy), Urszuli Savioli w Lugo (Włochy), Małgorzaty Karwowskiej w Landau (Niemcy), a także w Dyrekcji Odnowy Zamku Królewskiego na Wawelu i Hotelu „Holiday Inn" w Krakowie.

Obrazy Tadeusza Kuduka można oglądać na co dzień – a także kupować – w warszawskiej Galerii „Zapiecek", „Opus" we Wrocławiu, lubelskich Galeriach: ZPAP i Waldemara Andzelma, Agnieszki Kozak w Kazimierzu Dolnym oraz w Galerii „W Podwórzu" w Rzeszowie.

W 1995 roku w TVP Oddział Lublin zrealizowano dokumentalny film o twórczości malarskiej Tadeusza Kuduka.

Obecnie artysta przygotowuje się do dużej wystawy jubileuszowej, której otwarcie nastąpi w styczniu 2002 roku w lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych.

BARTEK KRUK

Karnawał mitów i błaznów

I znowu mają rację ci, którzy złowieszczą, którzy zachowują zasadę czujności wobec zła. Tak Janusz Opryński, wspominając tragedię 11 września, komentował sytuację na świecie w czasie inauguracji kolejnego Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „Konfrontacje Teatralne". Doprawdy zadrżał w posadach świat ludzi, których życie zdominowane przez środki masowego przekazu wygląda jak nieustanny karnawał. Jak dotrzeć do człowieka, który obcując jedynie z blichtrem taniej rozrywki jest nieprzygotowany na chwilę apokaliptycznej zagłady? Sztuka, nie tylko zresztą teatralna, miała zawsze swoje sposoby na to, by z okrucieństwem rzeczywistości sobie radzić. Artyści próbując tłumaczyć swoje lęki raz włączali je w ciąg odwiecznych mitów sięgających do mądrości praojców, kiedy indziej znów wykrzywiali oblicza w błazeńskim grymasie, często skrywając pod nim prawdziwe przerażenie. I choć atak terrorystyczny w USA przez nikogo nie mógł być przewidziany, to jednak te dwie artystyczne postawy w różnej postaci przewijały się przez prezentacje wielu grup teatralnych goszczących w Lublinie w dniach 24-27 października. Lubelski festiwal jest w Polsce ewenementem – w ciągu tych kilku dni można oglądać zarówno odwołujące się do klasyki i tradycji spektakle teatru repertuarowego, jak i realizacje w pełni autorskie i awangardowe, czy wreszcie takie, poprzez które sztuka wysoka dociera do każdego przechodnia, razem z nim szukając odpowiedzi na najważniejsze pytania współczesnego człowieka.

Karnawał mitów i błaznów – taki tytuł miało oszałamiające wręcz przedstawienie norweskiego teatru Stella Polaris, jeden z siedmiu ulicznych spektakli, jakie podziwiać mogliśmy... dwa lata temu. W roku 2000 tych spektakli było już tylko trzy, zaś w tym roku jedynie dwa. Trzeba na samym początku powiedzieć, że Konfrontacje Teatralne mają w sobie coraz mniej z dionizyjskiego święta, którym żyje całe miasto, a coraz bardziej przypominają ekskluzywne nabożeństwo dla wybranych „gości festiwalu" (rezerwacje dla nich stanowiły czasem połowę widowni) i mecenasów sztuki z zasobnym portfelem. Obcowanie ze sztuką wymaga dziś coraz większych wyrzeczeń.

Zatem skupmy się najpierw na tych przedstawieniach, jakie mogły liczyć na największą widownię, dla której kontakt z wysoką sztuką jest rzadkim świętem. 27 października wieczorem na placu Zamkowym wystąpił Teatr Biuro Podróży, jeden z najwybitniejszych polskich teatrów ulicznych, prezentując *Rękopis Alfonsa van Worden*, własną adaptację powieści Wacława Potockiego *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Porównania nasuwały się same, jednak nie tyle z literackim pierwowzorem, co ze słynną ekranizacją Wojciecha Jerzego Hassa. Paweł Szkotak, twórca Biura Podróży, zrezygnował z próby przełożenia na język teatru szkatułkowości dzieła Potockiego,

a skupił się na tajemniczych kolejach losu szlachcica Alfonso i jego giermka Moskito. Jakimś cudem uratowany przed szafotem dzielny poszukiwacz przygód trafia do dziwnej krainy pełnej postaci znanych z mitów i podań ludowych. Jednak zrządzeniem losu wszystkie zdarzenia, jakie stają się jego udziałem, związane są ze znalezionym manuskryptem. I oto główny mit, do jakiego odwołuje się sam reżyser – mit Księgi wpływającej bezpośrednio na rzeczywistość, która ulega jakiemuś niewytłumaczalnemu zakrzywieniu, także czasowemu. Dwugłowy rumak, przywróceni do życia wisielcy, demony, tajemnicze księżniczki (czarownice?) studnia bez dna – to wszystko nagle splata się ze sobą tworząc nierozerwalny krąg zdarzeń, których ośrodkiem jest Księga. Ale stają się nią także karty tarota, mające moc nawet bezpośredniego wpływania na los. Szkotak uruchamia całą teatralną machinę z jej iluzorycznością, ale i z rozmachem, malując przed oczami widzów obrazy w jakiś sposób nawiązujące do estetyki magicznej talii. Ona sama zostanie jednak zniszczona przez siły zła – Świętą Inkwizycję, w ręce której dostanie się także sam bohater. Uwolniony przez swego wiernego giermka spali zwodniczy rękopis: czar pryska, a on sam znów słyszy dźwięki werbla przed egzekucją. Jednak teraz trzyma w ręku zdobycz, przepustkę do innego świata – małą metalową kuleczkę wyjętą wcześniej z jego ust przez tajemnicze piękności (jego duszę? jego los? życie?). Paweł Szkotak jakoś wpisał się w estetykę filmu Hassa również nieco ironicznie traktując losy głównego bohatera (związane przecież z ludzką psychiką i podświadomością), co jednak tylko dodaje temu teatralnemu *Rękopisowi* smaku. Pokazał przy tym baśniowy świat, jaki często chciałoby się oglądać w takim mieście jak Lublin.

26 października w ramach nurtu „off" duńsko-norweski Teatr Gruvenkompaniet przedstawił spektakl *The Birds* na Rynku Starego Miasta. Każdy, kto kiedykolwiek znalazł się tam w zwykły dzień, dostrzegł zapewne liczne grupki dzieci bawiące się wśród odrapanych kamienic, często zaniedbane, za wszelką cenę próbujące uciec od biedy, w jakiej przyszły na świat. I to chyba właśnie dla nich przede wszystkim Rynek zmienił się na chwilę w świat z bajki Lafontaine'a *Żuraw i czapla*. Aktorzy posługiwali się najprostszymi elementami wyrazu, a jednak dzięki specyficznej atmosferze przedstawień ulicznych komediantów („po ptasiemu" poruszających się na szczudłach) i dzięki odpowiednio dobranej muzyce Dead Can Dance nie potrzeba było wiele wyobraźni, by na chwilę w teatralny świat uwierzyć. Artyści mówiąc baśniowym językiem o kłopotach z miłością i zakochaniem potrafili wznieść się ponad zwykłą formę teatrzyku dla dzieci; sprawili, że oklaskiwali ich widzowie w każdym wieku, których przez godzinę obdarowywali odrobiną radości. Dzięki tym przedstawieniom z teatrem obcować mógł każdy człowiek dobrej woli. Pozostałe dostępne były już tylko dla wybranych.

Pierwszego dnia festiwalu Teatr Polski z Poznania przedstawił autorski spektakl Ingmara Villqista pt. *Entartete Kunst*. Widz wkraczał w wewnętrzny świat artysty. Każdy twórca dochodzi w swym życiu do momentu, kiedy staje w obliczu pytania „po co?" To wtedy zdaje się być otoczony sforą demonów, jakie biorą go w posiadanie – albo wygra z nimi walkę pozostając nadal tym „wybranym spośród śmiertelników", albo odjęte mu zostaną zmysły, a on sam, wyszorowany do czysta, na zawsze odejdzie. *Najważniejszy jest problem relacji między tym co dobre i złe. Najważniejsze jest pytanie: czy, żeby żyć, tworzyć, być, można bezkarnie dotknąć mroku, ciemności, zła.* Tak o przesłaniu sztuki mówił jej twórca i reżyser. Swych aktorów ubrał w mundury niemieckich marynarzy łodzi podwodnych uosabiając w nich owe ciemne moce, jakie biorą w posiadanie artystów „z innego piętra", skatowanych i pozbawionych chęci życia. Już samą czołówkę stanowią kadry ze słynnego niemieckiego filmu wojennego *Okręt*. Tam posłuszni rozkazom kapitana ludzie zanurzali się w najciemniejszą głębię, aby uciec od śmierci. W *Sztuce zwyrodniałej* tym dnem jest pokój przesłuchań, a przesłuchiwanym grozi śmierć artystyczna, jeśli nie okażą się silniejsi od swych

prześladowców, jeśli ich nie pokonają. Dwóch oficerów oraz sam Rottemeister (Szatan?) i młoda stenotypistka (adeptka czarnej magii?) – ma ostatecznie doprowadzić do stanu używalności „ludzi sztuki po przejściach". Niektórzy z nich okażą się silni (co oznacza, że nieraz się jeszcze spotkają). Ale i między demonami panuje walka, bo ludzkie dzieło wywołuje w nich często odmienne emocje. Aktorzy doskonale potrafili przekazać wojnę niedomówień, tyle że po jakimś czasie widz się w nich gubi, czasami bowiem powstawały na siłę, by uniknąć zdań prostych w miejsce złożonych. Sztuka Villqista dotyka spraw poważnych, ale i abstrakcyjnych. Kiedy zaś jedyną intencją przekazu jest podkreślenie wagi poruszanych kwestii, traci na tym zwykła dramaturgia, a siła samego przekazu słabnie. Sztuka jest chwilami przegadana i znalazło się w niej kilka niekonsekwencji (np. agresywna muzyka grupy Rammstein, zmysłowy taniec młodej dziewczyny i intelektualne dywagacje), co wyraźnie raziło publiczność.

Do mitów, choć jakże odmiennych, sięgały także grupy teatralne zza naszej wschodniej granicy. Brzeski Teatr Dramatu i Muzyki przedstawił spektakl *Salomea Rusiecka „Concerto grosso" losu kobiety*, będący opowieścią o „kobiecie w świecie mężczyzn", XVIII-wiecznej lekarce i podróżniczce białoruskiej. Sztuka Siarhieja Kawaluo opowiada o pobycie bohaterki w haremie sułtana tureckiego Mustafy. Dotykamy zatem niezwykle aktualnej dziś kwestii kobiecej samodzielności tam, gdzie nawet nie wypada kobietom głośniej się odezwać.

Z kolei do odwiecznego mitu nieszczęśliwej miłości sięgnął białoruski Teatr Narodowy im. Janki Kupały. *Tristan i Izolda* – tym razem oparty na białoruskiej wersji legendy – okazał się przedstawieniem niezwykle bogatym pod względem wizualnym. Aktorzy doskonale potrafili połączyć umiejętności dramatyczne z baletem. Mogliśmy zatem obcować ze sztuką, za jaką skrycie tęsknimy. Tutaj konstrukcja jest prosta, wykonawcy bez zbędnego eksperymentowania wcielają się w postacie legendarnego romansu. Scenografia jest nieskomplikowana, a jednak niezwykle funkcjonalna i w pewien sposób „współgrająca" z aktorami. Ich niewymuszona gra aktorska i swoboda, z jaką poruszają się w tańcu, wprowadzają w świat legend, do którego zawsze lubimy wracać. Co bynajmniej nie znaczy, że obejrzeliśmy zakurzoną i pełną powagi ramotkę. Młodzi artyści potrafili nadać swym postaciom bardzo współczesny charakter, często przydając im nieco ironicznego humoru, a przy tym nie zapomnieli o prawdziwym dramacie, który rozgrywa się w tym średniowiecznym romansie. Bardzo pomocna w tworzeniu specyficznej, bajkowej atmosfery okazała się muzyka – kompozycje Vangelisa i Adiemus – przynależna raczej do kręgu popkultury, a jednak doskonale spełniająca swe zadanie w scenicznej opowieści o tragicznych kochankach.

Do jednego z najpoważniejszych mitów współczesnej kultury – mitu człowieka rozdartego między sprzecznymi postawami, a stojącego wobec życiowych decyzji – odwołał się litewski Teatr Meno Fortas. *Hamlet* w reżyserii Eimuntasa Nekrosiusa zdobył już światową sławę. Bo oto obcujemy ze sztuką sięgającą do odwiecznej teatralnej tradycji, a jednocześnie podaną w taki sposób, że przyjmujemy ją całkowicie za swoją, opowiadaną naszym językiem. I może najmniej dotyczy to słów. Większą rolę odgrywa tu mowa ciała, gestów, gry aktorskiej – żywiołowa, wyzwalająca najbardziej szczere i silne emocje. Wyraźniej przemawia do nas scenografia – ascetyczna, ale uderzająca w widza pewnym zawieszeniem praw natury, podporządkowana prawom sceny. I wreszcie sama reżyseria spektaklu, dzięki której uwypuklone zostają kwestie najbardziej dziś dla nas istotne. A jednak zdaje się, że nie polega to na nowej interpretacji dzieła Szekspira, raczej na docieraniu do prawdziwej esencji dramaturgii autora *Hamleta*. Jeśli, być może, Keneth Branagh potrafi najlepiej przełożyć jego dzieła na język kina, to Nakrosius przenosi je czy raczej transformuje ducha mistrza do języka dzisiejszego teatru.

Całkowicie odmienny rodzaj sztuki scenicznej prezentuje Scena Plastyczna KUL Leszka Mądzika. Człowiek jest w niej tylko jednym z wielu

elementów, trudno w zasadzie mówić o grze aktorskiej. Ludzka sylwetka wyraża nieraz podobne przesłanie jak odpowiednio oświetlony i pokazany rekwizyt. Dlatego trudno czasem zdecydować, czy mamy do czynienia z teatrem, dziełem plastycznym czy performance'em. Słowne określenia przestają wystarczać wobec sztuki teatralnej, która bez słów się obywa. *Językiem milczenia, nieobecnością ludzkiego konwencjonalnego i martwego słowa ewokuje się słowo wiecznie żywe, słowo, które „stało się ciałem". Żywe jest to, co uchwytne przeczuciem i nadzieją, acz uciekające zmysłowym, fizycznym doznaniom widza.*[1] *Magia tego teatru polega bowiem w istotny sposób na przekraczaniu dystansu między obrazowaniem zewnętrznym, ucieleśnionym i wydarzającym się a obrazowaniem wewnętrznym, w wyobraźni percepcyjnej widza; na sugestywnym narzucaniu się tej wyobraźni po to, aby wizję teatralną – na czas trwania widowiska – zobaczył i przeżył w sobie jako wizję własną.*[2] Te słowa odnieść można do wszystkich przedstawień Sceny Plastycznej, także do przedstawionego w ramach Konfrontacji premierowego spektaklu *Całun* w Starej Auli KUL ostatniego dnia festiwalu. Chyba mają rację krytycy, którzy zauważają w twórczości Mądzika coraz mniejszą rolę światła – ostatnie jego spektakle jak *Szczelina*, *Kir* czy właśnie *Całun* zanurzone są w gęstniejącym mroku. Widz znający twórczość sceniczną Mądzika mógł dostrzec w *Całunie* podobieństwo obrazów, sposobów operowania światłem, elementów zagospodarowania przestrzeni czy sekwencji ruchu scenicznego do pojawiających się już w poprzednich dokonaniach Sceny. Chciałoby się powiedzieć, że dzięki ciemnościom dramaturgia spektaklu wymaga mniejszej ilości elementów, które przecież z powodu specyfiki tego teatru muszą odbiorcy wydać się w końcu podobne do już znanych. Być może zasadne wydaje się pytanie o kierunek, w jakim zmierza artystyczna wyobraźnia Leszka Mądzika. Tym bardziej że zadawane przez twórcę pytania o „rzeczy ostateczne", stawiane zawsze dość niejednoznacznie i dyskretnie, w *Całunie* zaskakują momentami swą konkretnością, by nie rzec dosłownością.

Zdecydowanie najbliżej wyobraźni mitologicznej znalazł się Włodzimierz Staniewski w spektaklu Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice" pt. *Metamorfozy albo Złoty Osioł*. Przedstawienie pokazywało za pomocą wielu środków wyrazu – słowo, śpiew, taniec, muzyka – że pierwiastek życia jest w każdym elemencie otaczającego nas świata. Dzisiaj fantastyczna rzeczywistość wykreowana przed wiekami przez Apulejusza nabiera szczególnego wyrazu. Aby zetknąć się z magią, nie trzeba uczestniczyć w tajemnych seansach czy praktykować różne techniki rozwoju świadomości. „Gardzienice" uczą, że wystarczy uważnie się rozejrzeć. Wielka w tym zasługa aktorów, ich żywiołowej gry i wyraźnej potrzeby przeżycia czegoś wyjątkowego, która drzemie w każdym z nas. Ważnym elementem w tego rodzaju sztuce teatralnej jest muzyka (nieprzypadkowo Staniewski odpowiada także za *dramaturgię muzyczną*) – a więc ożywianie czegoś utajonego, uwalnianie tajemnej życiodajnej siły, jaka być może jest najbardziej pierwotnym źródłem twórczego potencjału człowieka.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym odwołaniu do mitów. Wieczorem 27 października w kawiarni „Szeroka" lubelski Teatr NN przedstawił monodram pt. *Był sobie raz...*. Na Starym Mieście przypomniana została dawna tradycja tak silnie związanej z Lublinem kultury żydowskiej. Przy jedynej w swoim rodzaju muzyce mogliśmy obcować z postaciami w czarnych chałatach, jakie dziś można oglądać tylko na przedwojennych fotografiach. Witold Dąbrowski wcielał się kolejno w osoby Szlemiela, jego żony, żydowskiego mędrca i inne, robiąc to naturalnie i bez zbędnej pozy. Nawet nie chodziło o stworzenie teatralnego widowiska, raczej o skłonienie widzów do refleksji, być może wzruszenia, a choćby tylko zadziwienia tragicznie zniszczoną kulturą.

Ale Konfrontacje Teatralne zajmowały się nie tylko fundamentalnymi pytaniami zadawanymi od wieków przez człowieka. Pokazywały jasne strony

życia, czasem nawet poprzez błazenadę, groteskę. Można było się o tym przekonać już w pierwszym dniu Konfrontacji, podczas spektaklu Alexeja Merkusheva *Wujek Wołodia*. Zobaczyliśmy miasto pogrążające się we śnie i przynoszącego szczęście kominiarza, który zdaje się czuwać nad uśpionymi mieszkańcami. Ale chyba nie nad pechowym losem bohatera, który zamknięty w swym ubogim mieszkanku wydaje się być na każdym kroku osaczany przez rzeczywistość. Każdy dzień to piątek, trzynastego: pęka mu ulubione szklane serduszko, straszy wielki, kosmaty, różowy szczur, zdychają ukochane pieski (na szczęście dzięki natychmiastowej reanimacji wracają do życia), a w budzie zalągł się wszystkożerny stwór. Wujek chce uciec: w snach marzy o dalekich podróżach, o byciu ptakiem, a zarazem myśliwym, za sprawą uciętego liścia z tajemniczej rośliny doniczkowej jawią mu się kolejne wizje, gdy chce wreszcie wyjechać, uciekają mu wszystkie pociągi. Merkushev opowiada to wszystko za pomocą pantomimy, używając przy tym prostych, choć zaskakujących rekwizytów. Widz patrzy urzeczony na zaczarowany świat biednego Wołodii, zastanawiając się, ile ze swego własnego życia aktor zawarł w tej prostej opowieści. Ogromna w tym zasługa wykonawcy (wcześniej współpracownika słynnej grupy teatralnej Derevo), poprzez wyrazistość gestów i znakomity kunszt aktorski wiernego tradycji ulicznych komediantów. Warto tutaj wspomnieć, że o ile w programie festiwalu zabrakło japońskich tancerzy butoh, którzy w Lublinie gościli w poprzednich edycjach, to właśnie Merkushev przez moment zastosował tę dalekowschodnią tradycję – na chwilę całe jego ciało odmieniło się, scena przedstawiająca człowieka wyrzuconego przez morze na ląd była czymś doprawdy niesamowitym.

Warszawska Akademia Ruchu jako jedna z niewielu grup teatralnych przymierzała błazeńską maskę kultury masowej. Mimo to jej spektakl rozczarowywał. Statyczna i odarta z wszelkich emocji wydawała się zabawa symbolami popkultury, z której nie wynikało dla widza nic nowego. Nie była w stanie tego zrekompensować gra teatralnymi konwencjami. Wydaje się, że ta sfera naszej codzienności jest na tyle uboga, że w końcu przestaje być dla artystów wystarczającą inspiracją. Przestaje nawet szokować.

Do popkultury odwoływał się także irlandzki Teatr Pan Pan, pragnący pokazać sceniczny postmodernizm. Aktorzy prezentowali dziwaczną papkę złożoną z zaangażowanych monologów, przepisów kulinarnych, psychoanalitycznych zwierzeń (dotyczących kota-cukrzyka), stepowania, gitarowych piosenek rodem z uniwersyteckich kampusów i odwołań do estetyki teledysków znanych z MTV. Doprawdy trudno było się dopatrzyć w tym sensów głębszych niż ten, że w dobie postmodernizmu można wszystko ze sobą mieszać i to najlepiej tak, aby było szokująco obsceniczne, sięgać bezkrytycznie do telewizyjnego kiczu i nazywać to szumnie artystycznymi poszukiwaniami. Można podziwiać, jak aktorzy z gracją potrafią stepować czy chóralnie nucą stary przebój akompaniując sobie elektronicznym samograjem. Publiczności i tak najbardziej podobały się momenty, gdy ze sceny padało słowo „fuck" w różnych konfiguracjach i kontekstach (tłumaczenia tytułowej zbitki słownej „Deflowerfucked" nie ośmielam się przytaczać). Ale przyjemnie było usłyszeć „na pełną parę" głośników Chatki Żaka utwór AC/DC *Back in Black* (sam tekst był wcześniej z zacięciem przez artystów recytowany). A więc dla każdego coś miłego. Niech żyje postmodernizm.

Całkowitym przeciwieństwem, a zarazem odpowiedzią na dzisiejszą masową rozrywkę, był spektakl Teatru Cinema z Michałowic *Miałem taki sen*. Błazen w ich wykonaniu posiadał zdecydowanie najbardziej nieokreśloną i dziwaczną minę. Artyści prezentują stosunkowo rzadki typ teatru – teatr absurdu. Nie ma tu słów, jest za to niepokojąca muzyka, niezliczone rekwizyty niewiadomego przeznaczenia i pięciu aktorów odzianych w czarne garnitury i meloniki. Ich pozy często przypominają nasze własne. To, czego my nie widzimy nawet patrząc w lustro, dostrzegą artyści z Michałowic – zobaczą ulotny wdzięk lub równie nieuchwytną śmieszność, by następnie

wykorzystać swoje obserwacje. Podpatrzą zatem pewne elementy u surrealistów, inne znów u dadaistów, dodadzą odrobinę abstrakcyjnego dowcipu i oto możemy obcować z gotowym dziełem. Co nie znaczy oczywiście, że końcowy efekt jest wtórny – Cinema to być może jeden z najbardziej oryginalnych i nowatorskich teatrów awangardowych w Polsce. Publiczność co chwila zastygała w zdumieniu wobec niezwykłości scenicznych sytuacji. I choć ilość pokazanych obrazów odrobinę przekraczała zdolność percepcji przeciętnego widza, to i tak spektakl Teatru Cinema głęboko zapadał w pamięć.

Kolejnym zaskoczeniem dla festiwalowej publiczności okazał się *Romans Perliplina i Belisy* Teatru Okno inspirowany dramatem F. G. Lorki. Teatralna grupa z Supraśla pokazała, jak językiem teatru cieni można mówić o sprawach najbardziej frywolnych nie naruszając zasad przyzwoitości i ani na moment nie popadając w schematyzm czy „kukiełkowatość". Oto kawaler Perliplin, będący doskonałą partią, pragnie związać się z piękną sąsiadką. Za namową swej służącej żeni się z nią, okazuje się jednak nadzwyczajną wręcz niedojdą w kwestii małżeńskiego obowiązku. Piękna Belisa obdarzona ognistym temperamentem szybko przyprawia małżonkowi rogi, ten jednak dostrzeże i sprytnie udowodni swej połowicy niecne postępki. Ta historia przedstawiona została z niezwykłą inwencją i dowcipem. Wystarczy wspomnieć choćby sposób, w jaki ukazano niezaspokojoną żądzę Belisy (przedstawionej jako... dwie stópki), lub wyprawy kochanków do jej okna (nowego znaczenia nabierają słowa polskiego evergreenu, gdzie mowa jest o „autobusie Arabów"). Przy tym wszystkim twórcy spektaklu odnosili się do swego dzieła z pełnym dystansem i lekkością. A publiczność po prostu krztusiła się ze śmiechu.

Podczas lubelskiego festiwalu teatralnego wiele było też i takich momentów, kiedy błazen przestawał wyśmiewać się z absurdów rzeczywistości – zaczynał się bać. Najbardziej widoczne było to podczas *Scen z życia Mitteleuropy* według *Niepokojów wychowanka Törlessa* Roberta Musila, premierowego spektaklu Teatru Provisorium i Kompanii Teatr. Powstało dzieło niezwykle poważne i głębokie w swym przekazie. *Myśl mitteleuropejska rodzi się z poczucia absurdu wywołanego próbą zamknięcia nieokiełznanej energii życiowej w okowach praw i mundurów, zapomnienia o ciemnej stronie życia, o wszystkim co jest czymś innym, niż prawo* (Vaclav Belohradsky) – to jedna z myśli, jakie przyświecały autorom, Witoldowi Mazurkiewiczowi i Januszowi Opryńskiemu. Na scenie jesteśmy świadkami, jak trzech żołnierzy austriackich upokarza i bije czwartego. Przez cały czas widz atakowany jest niebywałą drastycznością scen, ich obrazoburstwem i szyderczym humorem, by po chwili zderzać się z filozoficznym wywodem dotyczącym praw matematyki. Wrażenie, że mamy do czynienia z szokującą błazenadą sięgającą ludzkiej biologii i żywiołowości (aż do granic dobrego smaku) mija jednak, gdy padnie nazwisko markiza de Sade: grzech przesunięty do granic wyobraźni przestaje być grzechem, a okrucieństwo złem. Co zatem zostaje z człowieka odartego z wszelkich myśli, ludzkich odruchów i pragnień? Gdzie sięga jego człowieczeństwo, a co jest poza nim – co znajduje się w nieskończoności, gdzie przecinają się równoległe? Schodzimy oto w najciemniejszą ludzką otchłań, odkrywamy jednocześnie atawistyczne pokłady cielesności i bogactwo naszego ducha. Być może w ten sposób tłumaczymy sobie wielkość i upadek rodzaju ludzkiego w XX wieku. Niebywała aktorska ekspresja sprawiała, że w miarę zbliżania się do finału dzieła śmiech przeradzał się w przerażenie i chęć odrzucenia filozofii, którą autorzy spektaklu narzucali niejako siłą poprzez niekonwencjonalną poetykę. Nawet przestrzeń sceniczna – dokładnie zakreślona ze wszystkich stron, odrębny świat, gdzie może zdarzyć się naprawdę wszystko – zdawała się to wrażenie pogłębiać. Niezwykły spektakl, doskonałe rzemiosło, wreszcie arcypoważna problematyka – trudno się było po tym otrząsnąć.

O naszym obecnym miejscu w historii mówił też Andrzej Sadowski, twórca krakowskiego Stowarzyszenia Mandala za cel stawiającego sobie przełamywanie kolejnych artystycznych tabu, a przez to tworzenie teatru mówiącego współczesnym językiem sztuki. Przedstawienie *Pomiędzy* poruszało problem naszego miejsca w Europie, nie tylko fizycznego, ale też w sferze ducha i świadomości. Sam autor i reżyser sztuki nakłada nieco błazeńską maskę „człowieka Wschodu", któremu wydaje się, że wtopił się już w „normalną" rzeczywistość zachodnioeuropejską. Opowiada historię, jaka przydarzyła mu się podczas podróży na Bałkany, gdzie bezskutecznie próbował odnaleźć znajomą Elenę. Czuje się już członkiem cywilizacji europejskiej, pracuje przecież na angielskiej wyższej uczelni. Zatem wplata w polszczyznę mnóstwo słówek angielskich i panicznie boi się o pieniądze, jakie stale ma przy sobie. Jego przygody momentami kojarzą się z absurdem realnego socjalizmu ukazanym choćby w filmach Barei. Sytuacje kiedyś normalne dziś stają się nie do zniesienia, głupie i nie z tego świata. Równocześnie oprócz niego widzimy na scenie parę małżonków właśnie zza żelaznej kurtyny – wspomnianą Elenę i jej męża Zlatko, których na pozór banalna rozmowa przeradza się w prawdziwy dramat. To wszystko dzieje się po „naszej" stronie sceny, to jest teatr. Gdzieś poza nim toczą się „autentyczne" wydarzenia opowiadane przez Sadowskiego – na białej ścianie pojawiają się cienie postaci, z którymi się spotyka, czasem oglądamy jakiś dokumentalny zapis wideo z zatłoczonej londyńskiej ulicy. Teatr Mandala potrafi zachwiać naszą wiedzą na temat tego, co prawdziwe, a co jest jedynie fikcją. W pewnej chwili postacie dramatu stają obok narratora i próbują się bronić. Nagle dostrzegamy kontrast między naszym dobrym samopoczuciem Europejczyków, a cichą tragedią. Zabawne historie przestają śmieszyć, bo publiczność na nowo uczy się czytać między wierszami, że sami wciąż jeszcze zawieszeni jesteśmy gdzieś „pomiędzy" dwoma światami. Tęsknimy do lepszego świata, ale długo jeszcze nie będzie on do końca nasz. Istnieje tylko w tworzonych przez nas mitach i wyobrażeniach.

Do codziennych trosk i wyobrażeń odwoływała się także Margo Lee Sherman, kiedy 25 października prezentowała monodram *Grace x 3*. Doskonała amerykańska aktorka, niegdyś współpracowniczka Teatru Bread and Puppet, w trzech opowieściach sama wcielała się w postacie bohaterów: pisarki opiekującej się starym ojcem, jego samego, pracownika uniwersytetu – byłego emigranta, oraz podstarzałego aktora i zakochanej w nim bileterki. Przy idealnej dykcji potrafiła za pomocą modulacji głosu nadać swym wcieleniom całkowicie odrębne charaktery, zasłuchana publiczność niemalże traciła poczucie rzeczywistości poddając się jedynie sile wyrazu gry scenicznej – bo scenografia była właściwie szczątkowa, a muzyka czysto ilustracyjna. Błazeńska maska, jaką w istocie jest naśladowanie innych ludzi, stała się niezwykle piękna poprzez ciepło, z jakim Margo traktowała indywidualne rysy swych bohaterów, może nieco śmiesznych, ale na pewno wzbudzających ogromną sympatię, zdolnych do „małego heroizmu" pośród płaskiej prozy codzienności. I na tym etapie „błaznowanie" przeradzało się w często przecież obecny w literaturze amerykańskiej mit zwykłych, codziennych zdarzeń, które dla pojedynczego człowieka urastają do rangi chwil decydujących o całym życiu. Dopełnieniem kunsztownie wykreowanego przez aktorkę świata była dyskretna, nastrojowa muzyka. Występ Lee Sherman zdecydowanie należał do najjaśniejszych punktów tegorocznych Konfrontacji.

Błazenadą określano kiedyś działania artystów, jakich dziś określa się ekspresjonistami. Między innymi to właśnie oni wpłynęli na oblicze dzisiejszej sztuki, także kina. Całkowicie bezinteresowne wyrażanie ducha, drzemiącej w każdym z nas twórczej potencji, przełamywanie kolejnych barier na drodze do samopoznania – w dzisiejszych czasach te ideały wydają się być „głupstwem dla pogan" goniących za karierą, pieniądzem i małą stabilizacją. Dlatego czymś ważnym było przedstawienie *W hołdzie ekspresjonistom* katowickiego Teatru Cogitatur ostatniego dnia festiwalu. Poprzez odpowiednio dobrane światło, rekwizyty i charakterystyczną czteroczęściową scenografię pokazani zostali artyści wypowiadający się w najważniejszych

rodzajach sztuk. Każdy z nich starał się wydobyć z własnego wnętrza na światło dzienne samą esencję natchnienia, jeszcze bezkształtną i chaotyczną. Służyły temu wszelkie środki, z jakimi kojarzona jest bezkompromisowa twórczość, czasem obsceniczna, kiedy indziej znów sięgająca po symbole, wreszcie zamknięta w słownych deklaracjach. A jednak sposób, w jaki aktorzy utożsamiali się z tymi artystycznymi postawami, kazał właśnie w nich dostrzegać głównych bohaterów spektaklu. Ponieważ pokazali, dlaczego warto dziś sięgać do artystycznej tradycji, przez którą człowiek ma możność kontaktu z Absolutem, choćby wygrażając mu pięścią. Mit poszukującego artysty w wykonaniu Cogitatur splótł się z próbą metafizycznej błazenady traktowanej jednak zupełnie serio, jako sposób na życie. I właśnie ten autentyzm był największym atutem przedstawienia.

W tegorocznych Konfrontacjach Teatralnych znalazło się też miejsce na poezję. Kierowany przez Elżbietę Bojanowską Teatr z Lublina przedstawił w *Maskach i Miejscach* twórczość zmarłego dwanaście lat temu Leszka Bojanowskiego, współtwórcy teatru. Aby choć w małym stopniu poczuć atmosferę tego spektaklu, najlepiej sięgnąć po dostępny już zbiór utworów poety pod tym samym tytułem. Są one bowiem niezwykle ekspresyjne, mówią o niepewności człowieka wobec ogromu wszechświata, człowieka, który wadzi się z Bogiem, dostrzega możliwość mistycznego przeżycia nawet w codziennym spojrzeniu na świat, a przy tym jest całkowicie osamotniony w przeczuciu nieśmiertelności. Bóg staje się dlań tyranem, a on sam mimowolnie zmienia się w insekta, jak w *Przemianie* Kafki. Aktorzy Teatru z Lublina ukazali się widzom niczym marionetki, które po wypowiedzeniu swej kwestii kalekim ruchem stapiają się z widownią szukając dla siebie wciąż lepszego miejsca. A ponieważ słowa buntu i bezsilności wobec Stwórcy mają niezwykłą moc, ich twarze wykrzywiają się w nieludzkim groteskowym grymasie. Z czasem jednak aktorzy zaczęli pozbywać się masek, z zastygłych posągów na powrót stawali się ludźmi, aby „na nowo ułożyć się z twarzą". Publiczność w pełni uczestniczyła w katartycznym niemal obrzędzie, odnajdywała się w każdym słowie, jakie padało z ust znajdujących się na wyciągnięcie ręki aktorów.

Festiwal sztuki scenicznej Konfrontacje Teatralne zawsze jest okazją, by śledzić zmiany dokonujące się w teatralnych sposobach wyrazu, nawet w przedstawieniach klasycznych, jak Szekspirowski *Hamlet*. I chyba nieco blado na tym tle wypada sztuka z zasady konserwatywna, jak w przypadku omawianego już na łamach „Akcentu" (nr 1-2, 2001) *Kąpieliska Ostrów* Pawła Huelle w wykonaniu Teatru im. J. Osterwy. Choć jednocześnie dostrzegamy, jak różnorodnym językiem przemawia dziś sztuka dramatyczna.

A jednak podczas tegorocznej, szóstej już, edycji festiwalu czuło się pewien niedosyt. Niewiele było utworów naprawdę ważnych, naprawdę perfekcyjnych, wykonywanych przez prawdziwych mistrzów. Być może powodem był uboższy, w porównaniu choćby z poprzednią edycją, program festiwalu. Brakowało też, o czym była już mowa, spektakli ulicznych, którymi przecież żyje całe miasto. Warto zatem mieć nadzieję, że za rok atmosfera teatralnego święta będzie w Lublinie bardziej odczuwana.

Bartek Kruk

muzyka

To ja jestem wodzirejem

MAGDA OPOKA: *Niektórzy artyści umierają duchowo, robią bardzo podobne płyty, grają tylko to, co przyniosło im kiedyś sukces. A ty ciągle zaskakujesz, ciągle masz pomysły na nowe zespoły, dźwięki.*

RYSZARD „TYMON" TYMAŃSKI*: Zawsze czuję, że kiedy następuje ten najważniejszy moment kontaktu z widownią czy słuchaczami, to jesteśmy na tym samym poziomie. Nie jestem gwiazdorem, którego oni muszą słuchać. Po koncercie nie zamykam się w garderobie i nie napawam hołdami, jakie mi składają. Tylko raczej idę do nich i pytam, jak żyją. To jest forma wzajemnego przekazania energii. I właśnie ten akt przepływu jest dla mnie nieśmiertelnością w sztuce.

M.O.: *Twoja niespożyta energia to również wpływ kolegów z zespołów.*

R. „T" T.: Przyjaciele, z którymi gram w grupach „Poganie", „Kury" czy „Miłość", to bardzo ciekawi twórcy. Bez nich nie zrobiłbym tego wszystkiego. A przecież ciągle spotykam kogoś nowego. To może być Robert Brylewski czy Marcin Świetlicki, którzy nauczą mnie nowego podejścia do muzyki. Dzięki temu moje nie kostnieje. Czuję się jak ktoś, kto nie ma wieku. Zapominam, że mam za sobą prawie dwadzieścia płyt i mam wrażenie, że wszystko zaczynam od nowa.

M.O.: *Traktujesz swoje kolejne płyty terapeutycznie. Ale ta twoja otwartość zaczęła się dopiero od krążka „Trupów" z 1996 roku.*

R. „T" T.: Masz rację, moje kolejne płyty bardziej lub mniej udanie eksponują temat otwarcia na inne płaszczyzny prostoty, mówienia pewnych rzeczy wprost. To zaczęło się od „Trupów" i było spowodowane moimi prywatnymi przeżyciami. Byłem bowiem wówczas tak nieszczęśliwy, że wszystko, co mogłem zrobić, to wziąć gitarę, zagrać parę akordów i zaśpiewać coś bardzo prostego, płynącego z serca.

M.O.: *I tu bardzo duży wpływ miał na ciebie Lester Bowie.*

R. „T" T.: „Miłość" grała wspólną trasę z Lesterem Bowie w 1996 roku. Można powiedzieć, że był to rodzaj kontaktu z nauczycielem. Bowie uświadomił mi wtedy, że zawsze będę miał przeciwników – kiedy gram jazz, to nienawidzą mnie rockmani itd. Powiedział jednak, żebym się tym nie przejmował, bo muzyka jest ponad to wszystko. I wtedy poczułem, że teraz już nieważne, co będę grał. Muzyka to nie tylko poszczególne gatunki i instrumenty. Najważniejszy jest przekaz, który otwiera serca.

M.O.: *Niektórzy odbierają twoje słowa zbyt dosłownie i pojawia się skandal.*

R. „T" T.: Zawsze dużo gadam, wywalam, to co mam w sobie. Czasami są to rzeczy interesujące, czasami skandal czy coś gorszego. Jednak bardzo dobrze życzę ludziom i chcę, by byli świadomi, przytomni i dobrzy dla siebie. Mój język jest czasami szokujący. Trzeba się wsłuchać, by odkryć, że to nie są moje słowa tylko kibiców czy debili na ulicach. Słowa te wyśmiewam, pokazuję je przez pryzmat humoru i niedowierzania, że ludzie tak mogą myśleć.

M.O.: *W przypadku utworu „Pogan" „Nuda, starzy, pies i ja" wszystkich bardziej interesuje, co bohater robił za komodą niż sens całego utworu.*

R. „T" T.: Ten utwór oddaje gnuśny klimat blokowiska z dawnych czasów. Grześ Nawrocki z zespołu „Kobiety", który ten tekst rozpoczął, nakreślił sytuację – w małej klitce w falowcu siedzi rodzina z psem i ogląda telewizję, w której po kolei lecą wszystkie seriale i teleturnieje.

* Ryszard „Tymon" Tymański jest liderem trójmiejskich zespołów, m.in. „Miłości", „Kur" i „Pogan"

A słuchacz ma poczucie, że nic nie może się już wydarzyć. To jest klimat wrośnięcia w dom, w tradycję z meblościanką i katolicyzmem w tej złej postaci. Ja do tego dodałem niedzielę, która mi się kojarzyła z niemocą ucieczki od starych. A ten szokujący niektórych fragment, to tylko szczegół. Tekst nie jest tylko dla bulwersacji. Mimo pozorów skandalisty jestem dość moralnym człowiekiem, są granice, których nie przekraczam.

M.O.: *Podobno męczą cię już zespoły, w których tylko ty masz pomysły. Teraz chcesz skupić się tylko na trzech.*

R. „T" T.: Zauważyłem, że w zależności od tego z kim pracuję, taki jest charakter zespołu. Gdyby nie gitarzysta Piotrek Pawlak, to „Kury" brzmiałyby zupełnie inaczej. Z Mazzolem czy niegdyś z Trzaską był jazz, bo oni to grali. Z kolei z „Poganami" jest prościej, bo Robert jest taki, a ja odpowiadam mu na jego punkowość. Zostawiłem sobie te trzy grupy, ponieważ jedną formą szybko bym się znudził. Resztę składów powoli zamykam, bo nie wpływa to na klarowność mojego przekazu.

M.O.: *W muzyce „Pogan" wracacie do tradycji bigbitu.*

R. „T" T.: Gramy sporo piosenek z czasów wczesnej młodości Roberta i mojej, ale też i nowe numery. One zasadzają się na upodobaniach muzyków, które są bardzo różnorodne – od klimatów Beatlesowskich przez Marleya i yass, do różnych eksperymentów. Generalnie są to proste piosenki, bo w sumie nie o to chodzi, by grać skomplikowane dźwięki, tylko dawać ludziom radość.

M.O.: *Jak na twoje nowe wcielenie zareagowali krytycy?*

R. „T" T.: Na szczęście „Poganie" nie zostali jeszcze zaszufladkowani. W „Kurach" już nie możemy zagrać jakiejś prostej piosenki, bo to jest „zespół z wymóżdżonym klimatem". W „Poganach" uchodzą numery typu „dwa akordy, darcie mordy". A krytycy oceniają mnie bardzo ostro i negatywnie. Po płycie „P.O.L.O.V.I.R.U.S." oczekują, że nagram z „Kurami" „P.O.L.O.V.I.R.U.S. II". A ja ciągle walczę, robię coś innego i przez to nie spełniam ich oczekiwań. Krytycy najlepiej wiedzą, co powinienem robić. A idealnie byłoby, gdybym pozostał taki, jak na płycie w roku 1993, kiedy się całowali ze swoją pierwszą laską i było romantycznie. Tylko niemożliwe jest, bym tak grał całe życie.

M.O.: *Czytasz w związku z tym opinie krytyków?*

R. „T" T.: Czytam, mimo iż widzę tendencję polskiego piekiełka. Kiedy krytycy już postawili cię na piedestał i wymieniają jednym tchem, np. z Lechem Janerką, to oczekują, że będziesz zachowywał się jak klasyk. Nie możesz się zmienić, zrobić czegoś, z czym krytycy cię nie utożsamiają. A niby dlaczego nie mam zagrać popu, jeśli mam na to ochotę? Gdybym robił to, czego krytycy ode mnie oczekują, to stałbym się kukiełką na ich dworze. A to ja jestem wodzirejem i ustalam reguły gry, oczywiście z całym szacunkiem dla tej drugiej strony.

M.O.: *Marzysz, by znaleźć zespół, który będzie syntezą wszystkich dotychczasowych twoich składów. Czy z „Poganami" uda ci się nagrać „biały album"?*

R. „T" T.: Płyta „Pogan" ukaże się w listopadzie. Nie będzie taka retro, jak singel. Generalnie to będą proste piosenki, ponieważ taki jest Robert i ten zespół. I to jest fajne, bo jak jedziemy z „Kuram"i na koncert to siedzimy i tylko odrzucamy kolejne kawałki jako nieodpowiednie. A tutaj najgłupsze rzeczy przechodzą. Nie jest możliwe, żeby każda płyta była najlepsza. Różna jest bowiem motywacja muzyków, są też dni, gdy zespół nie jest zespołem, bo każdy myśli o swoich własnych projektach. Najlepsze płyty powstają, kiedy jest poczucie dobrej zabawy. I myślę, że to z „Poganami" mamy przed sobą.

rozmawiała *Magda Opoka*

Sprostowanie

W artykule Ludwika Gawrońskiego *Muzyka na dworze Czartoryskich w Puławach* publikowanym w „Akcencie" nr 3/2001" z powodu błędów technicznych opuszczone zostały fragmenty tekstu: str. 133 powinna rozpoczynać się od słów: „W latach siedemdziesiątych XVIII wieku Czartoryscy mieszkali w tzw. Pałacu Błękitnym" (...); str. 136 powinna mieć zakończenie: [ciężki] *trud, ani nie powiedział, co zamierza dać*. Autora i Czytelników przepraszamy.

(red.)

---

wspomnienia

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

Dysk gorejący

Wspomnienie o Edwardzie Stachurze

Mimo upływu ponad 20 lat od tragicznej śmierci Edward Stachura pozostaje pisarzem znanym, czytanym, a przede wszystkim urasta do symbolu postaci wyzwolonej z więzów i reguł współczesnej cywilizacji. Byłem jego kolegą i w jakimś stopniu współuczestnikiem życia podczas studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Ten okres, który Stachura spędził na studiach romanistycznych na KUL w Lublinie, był dość tendencyjnie pomijany, szczególnie w biogramach pisarza sprzed „Solidarności".

Sted znalazł się na KUL zapewne dlatego, że miał trudności w dostaniu się na państwową uczelnię. Urodził się we Francji 18 VIII 1937 r. w Charvieu w departamencie Isere, w polskiej robotniczej rodzinie. W 1948 r. powrócił z rodzicami do Polski. W naukach był nieco opóźniony, bowiem szkołę podstawową ukończył dopiero w 1952 r. Potem uczęszczał do gimnazjum w Ciechocinku i Gdyni, gdzie w 1956 r. uzyskał maturę. Na romanistyce w Lublinie zjawił się w roku akademickim 1958/1959. Warunkiem przyjęcia na uczelnię było zaświadczenie z parafii, do której terytorialnie należał, że jest praktykującym katolikiem, oraz zdany egzamin wstępny. Trudno było dostrzec, aby kierował się jakimś silniejszym przeświadczeniem religijnym. Już później w wierszu *Banita* pisał:

Ciężko jest żyć bez szatana,
Ciężko jest żyć bez anioła,
Banita boski to mój los,
Lecz nie ja go sobie wybrałem,
To ona mi wybrała go,
Dziewczyna, którą ubóstwiałem.

Z wyznania tego nie należy wnioskować, że wiarę odebrała mu poznana niegdyś dziewczyna. Raczej wiary tej nie było zbyt wiele w jego rodzinie o orientacji lewicowej, starającej się wgryźć w obyczajowość zlaicyzowanego robotniczego środowiska francuskiego. Niemniej Steda charakteryzowała pewna delikatność, chęć utożsamienia się z naturą, a także godność, a nawet wzniosłość duchowa, która sprawiała, iż niektórzy nazywali go „Świętym Franciszkiem w dżinsach". Gdy zaś chodzi o miejsce studiów – Lublin, to miasta tego nie lubił. W swej powieści-rzece *Wszystko jest poezja* wspominał, że było to miasto, w którym nic dobrego go nigdy nie spotkało.

A jednak był wśród nas, wśród tej niewielkiej grupy studentów pierwszego roku romanistyki. Ówczesne władze ministerialne narzucały KUL tzw. limity przyjęć, to znaczy administracyjnie określano, że na daną sekcję może być przyjęta tylko taka liczba studentów. Zdarzało się, że na niektóre z nich

zezwalano przyjąć jedynie 5 osób, a taka sekcja musiała mieć samodzielnego pracownika naukowego – profesora, doktorów, asystentów. KUL ratował się tym, że na Wydziale Teologii nie było limitów przyjęć na I rok. Przyjmowano więc wiele osób, które na II roku przenosiły się na inne kierunki studiów, odpowiadające ich zainteresowaniom. Niemniej owa restrykcyjna polityka władz wobec KUL sprawiła, że na romanistyce była nas garstka.

Uczelnia świadczyła swoim studentom pomoc stypendialną, lecz kierowała ją tylko do młodzieży najbiedniejszej. Sted mógł otrzymać stypendium żywnościowe, nie pamiętam, aby głodował, natomiast nie przyznano mu miejsca w domu akademickim. Nie robił wrażenia człowieka zasobnego. Występował niezmiennie w niebieskim dżinsowym uniformie. Ale było mu z tym „do twarzy". Był przystojny, o zwartej budowie ciała, emanowała z niego jakaś sprężona, utajona siła.

Na ćwiczeniach „przerabialiśmy" *Małego księcia* Saint Exupéry'ego. Zajęcia prowadził starszy już wiekiem asystent, mgr Józef Serafin. Sted podczas przerw kilkakrotnie podchodził do niego i grzecznie mu przedkładał, że pragnie się specjalizować w twórczości tego właśnie pisarza, lecz jest za biedny, by mógł sobie kupić choćby za 25 zł książkę w edycji francuskiej. Systematycznie molestowany mgr Serafin w końcu uległ presji studenta i pożyczył–ofiarował Stedowi 25 zł (nie była to wówczas wielka suma). Zaciekawiony pasją naukową Steda, pytałem go, jaką książkę Saint Exupéry'ego w języku francuskim udało mu się nabyć w Lublinie. Zagadnięty odrzekł, że żadną. I że badań bynajmniej nie zamierza prowadzić, a cała akcja miała na celu jedynie skruszenie moralne Serafina.

Kiedy indziej znów młoda, łatwo czerwieniąca się asystentka, mgr Joanna Mikettówna, wywołała Steda, aby czytał jakiś fragment książki po francusku. Stachura wstał, przeczytał jedno zdanie i zamilkł. Na sali wszyscy wpatrzyli się w niego, cóż to się z nim dzieje, iż czytać nie może. Sted milczał, a pani Miketta robiła się coraz czerwieńsza. Tymczasem Sted nagle wypowiedział dwa oderwane słowa i znowu milczał. W powietrzu narastała groza niesamowitości. Niespodzianie Sted się odezwał bardzo ściszonym gardłowym głosem: „Pani magister, proszę mnie zwolnić z czytania, jakoś słabo się czuję". Po zajęciach rzuciliśmy się do Stachury z zapytaniami, co mu się stało. A on z tą charakterystyczną dla niego obojętną miną oświadczył nam, że ta „baba" zwariowała, żeby jego wywoływać do czytania prozy francuskiej, kiedy ona gorzej czyta od niego. Niewątpliwie dla Steda francuski bądź co bądź był mową jego lat dziecinnych.

W naszej grupie znalazł się przybyły gdzieś z Podhala ks. Łukasik. Studentów księży nie obejmował limit przyjęć na KUL. A zatem obecność księdza Łukasika korzystnie zwiększała nasze grono. Jemu jednak nauka francuskiego przychodziła trudno, gdyż w środowisku swym chyba z językiem tym się nigdy nie stykał. Sted widać wyczuł tę jego słabość, gdyż raz po raz stawał przed duchownym i budząc na swej twarzy wielkie zainteresowanie pytał się: – *Panie ksiądz, powiedz pan, czemu pan masz takie durne czoło?* – Ks. Łukasik nie bardzo wiedział, co ma odrzec.

Mimo braku wylewności w stosunkach koleżeńskich Sted wzbudzał zainteresowanie, w osobowości jego było coś frapującego. Zacząłem go więc zapraszać do domu. Przybywał, kierując się zapewne dwoma względami. Po pierwsze, było bardzo blisko, mieszkałem tuż przy KUL, na ul. Akademickiej 2. A po drugie, moja gościnna żona Barbara podejmowała Steda kolacyjkami, co w ówczesnych czasach, kiedy jeszcze nikt się nie odchudzał, również się liczyło. Sted, przebywając u nas w domu, zachowywał się kurtuazyjnie, mówił niewiele, dziękował pani domu i zbierał się do wyjścia. Poważniejsze sprawy poruszał ze mną, wówczas gdy go sprowadzałem z piętra do zamykanych na dole drzwi frontowych. Pewnego razu wyznał mi, że ma wstręt do pieniędzy, a przede wszystkim do tak zwanego „zarobkowania". Postanowił korzystać z dochodów płynących tylko z dwóch źródeł, albo z wygranych w pokera, albo z honorariów za publikowane utwory. Pisywał

wówczas w miejscowym organie partii „Sztandarze Ludu" lub też w wychodzącym w Lublinie piśmie literackim „Kamena". Kiedy indziej znów zwierzył mi się, że pragnie mieć syna, co jednak wyklucza to, aby mógł mieć żonę. Życie nie pozwoliło mu zrealizować tych pragnień. Wyrazem swoistej euforii było to, jak Sted opowiadał mi z radością, że bolą go zęby. Twierdził, że ból zębów jest dla niego doświadczeniem błogosławionym, gdyż otrzymywane silne bodźce wzywają go do pisania wierszy. Kiedyś znów oświadczył, że tego dnia wpadło do jego poetyckiej głowy znakomite skojarzenie słowne „wakacje w porcie". „To jest świetne – mówił. – Każdy z portu odjeżdża, a tu wakacje – paradoks".

Wydaje się, że Stachurę wówczas frapowały polskie oznaczniki rzeczy i zjawisk. Brzmiało mu to wszystko inaczej niż w języku francuskim. W swej książce *Wszystko jest poezja* wspominał jeden ze swych „morderczych" dni, kiedy pracował jako wynajęty do drażnienia i tresowania psów. I zaraz dodawał: „mordre" znaczy po francusku „gryźć". Owo przesuwanie się skojarzeń znaczeniowych, czerpanych z dwu różnych języków, stało się tworzywem oryginalności jego niepowtarzalnej w swym wyrazie stylistyki poetyckiej.

Zimą przybyła do Lublina moja matka, aby zobaczyć jak osadziliśmy się z żoną w zdobytym jednopokojowym mieszkaniu. Zasiadała najczęściej w pięknym fotelu z wysokim oparciem. Jeszcze w Gębicach, w naszym pałacu w Poznańskiem, na fotelu tym przesiadywała babcia Teresa z Lubienieckich, córka Hipolita z Balic. Trudno mi dziś dociec, czy fotel ten do Gębic przywędrował z Balic, czy też z domu mojej matki z Gałowa pod Szamotułami. W każdym razie wówczas już, wygnany z pałaców, stał pod ścianą gęsto wypełnionego meblami naszego jedynego pokoju. I otóż kiedyś u stóp mojej matki, na podłodze, przy tym fotelu siedział Sted i o czymś tam z panią Zofią, czyli z moją mamą sobie gaworzył. Zofia z Mycielskich, młodość pędząc w zaborze pruskim, wychowywała się w atmosferze wspomnień o wielkiej chwale czasów Napoleońskich, przy lekturze poezji romantycznej, w wierze w niechybne odzyskanie niepodległości przez Polskę. Nie wiem, o czym rozmawiała ze Stedem u początków 1959 r., ale jedno jest pewne, że ów młody poeta opuszczał nasz pokój oczarowany zwiewnością i niespójnością wzniosłych odczuć, jakie zdolna była wyrażać poznana przez niego wiekowa już pani. Później, gdy w „Kulturze i Życiu", dodatku do „Sztandaru Ludu" z 22 maja 1960 r. ukazał się znakomity wiersz Stachury (*Dialog*) *Rozmowa z Panią Sartoris*, zawsze wydawało mi się, że zrodził się on na tle rozmowy z moją matką. Naturalnie, że to nie ona udzielała odpowiedzi na pytania, jakimi to lekami można leczyć grozy i przepastności poety, ale ona mogła być prototypem Damy, z którą poeta prowadził swój dialog.

Masz wspaniałą matkę – mówił Sted, gdy odprowadzałem go do drzwi wyjściowych. Dzień ten był także okazją, aby z jego ust padła ocena mojej osoby. „Ty ze swoim tanim, mieszczańskim moralizatorstwem do niczego nie dojdziesz" oświadczył mi na odchodnym. W *Pieśni: Świętokradztwo* ze zbioru *Dużo ognia* pisał:

Umiarkowani rabują światło nie kto inny
oni są gnilne owoce tego kontynentu

Sądzić wypadało, że on to właśnie zaliczył mnie do umiarkowanych. No cóż, nie miało to wówczas dla mnie większego znaczenia. Natomiast ja wtedy już, u kresu dekady lat 50. zdecydowanie zaliczałem go do nieumiarkowanych. Odczuwałem, że jest człowiekiem, który pragnie swą egzystencję przekształcić w sposób bytowania tożsamy z żarzącym się w nim samym powołaniem. To on wtedy w *Pieśni: Łaźnia* pisał o sobie:

Otaczała mnie noc nafta połyskliwa
a cały byłem chodząca pochodnia
a cały byłem dysk gorejący

To ten ogień wytyczał mu drogę życia, którą później poszedł, w przekonaniu, że całe bytowanie ludzkie, wówczas gdy jest wolne od przymusu

cywilizacji, jest poezją. Nie chodziło mu o poezję ujętą w kształt spisanych wierszy, ale o poezję pojętą jako sposób życia, która jest zarazem sposobem niebycia, to znaczy „nie-tego-bycia". On się nie zgadzał z tym, że można swoją egzystencję wymieniać na jakieś walory oczekiwane przez otoczenie, że można istnieć według reguł wskazanych przez „naftę połyskliwą" jako model takiego właśnie obiektywnego bycia. Jego ideał poezji był egzystencją dostępną w praktycznym życiu, ale nie spętaną żadnym przymusem, nieustannie otwartą na wzniosłość. I właśnie tę wyjątkowość spojrzenia na świat w nim widziałem, takim go odczytywałem i dlatego byłem przekonany, że niezależnie od wartości utworów, które już stworzył, on niechybnie stanie się poetą. Życie postawił na jedną kartę i niezależnie od tego, co by się wydarzyło, od podjętego wezwania odejść już nie zdoła.

Postanowiłem więc chronić go. Wspierać jako człowieka. Szła zima, a on wciąż wędrował w tym swoim niebieskim ubraniu uszytym z dżinsu. O ileż byłem bogatszy! Właśnie zawiesiłem w szafie swój jesienny płaszcz i przywdziałem zimowy. I może dlatego, że mając dwa płaszcze, złożyłem Stedowi propozycję, iż jeden, ten czarny, miękki, nie mnący się, tak iż go można zwinąć i wziąć pod pachę, że ten jesienny mu pożyczę. Słuchał tej propozycji i sądziłem, że go rozeprze jego wzniosłość, to jego przeczulenie i gest mój odrzuci. Ale nie, o dziwo przyjął go. I nawet mi się odwdzięczył, bo w opowiadaniu *Królewicz*, drukowanym w pierwszym tomie jego prozy *Jeden dzień* z 1962 r., wspomniał o tym czarnym płaszczu i o mnie. W ten sposób, choć kuchennymi schodami, ale wdarłem się i ja do świata literatury.

Pewnego dnia po zajęciach na KUL Sted zwierzył mi się, że właściwie nie ma gdzie mieszkać. To znaczy swój problem spania rozwiązuje na dwa sposoby. Jeden jest taki, iż możliwie późno idzie do łaźni i tam stróż obywatel niekiedy zezwala, aby ów bezdomny student noc spędził, kładąc się na rozgrzanych parą chodnikach. Druga metoda bardziej była wyszukana, choć nie wiadomo czy prawdziwa. Sted miał rzekomo wieczorami pojawiać się w najbardziej uczęszczanej kawiarni zwanej „Lublinianką" i tam u schyłku kawowych posiedzeń wyjednywać u pań średniego wieku możliwość przespania się w ich domu dzień albo i trzy. Ale właśnie ta druga metoda miała mu przynosić wielkie zmęczenie.

Postanowiłem mu pomóc, co nie było tak łatwe w mieście, które nie było moim rodzinnym. Ale ubłagałem gospodynię mej poprzedniej stancji, aby przyjęła Steda do wynajmowanego pokoju, w którym przebywał już jakiś młodzieniec, uczeń szkoły średniej. Nie minęły jednak trzy dni, jak zostałem spiesznie powiadomiony, iż Sted w domu na Czechowie Dolnym mieszkać nie może. Pani gospodyni przedstawiała trzy przyczyny. Pierwszą, iż przybył bez żadnej pościeli, a zatem jak go było kłaść do łóżka. Drugą, że jakieś dziwne są jego milczenia, jego zasępienie medytacyjne straszy współtowarzysza ucznia i ten nie jest w stanie odrabiać przy nim lekcji. Trzecia przyczyna dotykała już spraw bardziej intymnych. Chodziło o to, iż istniało podejrzenie, że Sted w wymuskanej przez gospodynię toalecie staje butami na desce ustępowej. Gdyby to jedna, ale trzy sprawy, nie mogłem się więc opierać i perswadować właścicielce domu. Edward Stachura znów stał się bezdomnym wagabundą, zapewne najczęściej waletującym w kulowskim domu akademickim.

I wreszcie trzecia moja inicjatywa. Dla mnie ówczesne studia romanistyczne były już drugim fakultetem. Ważniejsze od dodatkowej nauki stało się zarobkowanie. Byłem już wtedy etatowym organizatorem spotkań dyskusyjnych Klubu „Za i Przeciw". Otrzymywałem określone kwoty na angażowanie prelegentów. Zaproponowałem Stedowi, że zorganizuję dla niego wieczór autorski. Początkujący ówcześnie poeta na propozycję tę łaskawie przystał. Honorarium wynosiło 300 zł, co już było kwotą wartą powalczenia.

Uznałem, że dla Steda najlepszym miejscem spotkania będą podziemia kamienicy na lewym od wejścia do Trybunału skrzydle rynku na Starym Mieście (dziś kawiarnia „Pod Fortuną), tam, gdzie zaraz po Październiku

urzędował Klub „Sex" z Majką Zamoyską i Zbyszkiem Domarańczykiem. Ale, jak to bywa w Polsce, lokal znajdował się w długotrwałym remoncie. Nadszedł luty. Sted się niepokoił – zażądał wypłaty zaliczki w kwocie 100 zł. Podobnie było w marcu i początkach kwietnia, toteż, gdy remont się skończył i można było odbyć spotkanie, przewidziane dla twórcy honorarium znajdowało się w jego przepaścistej kieszeni.

Twórca, czyli Sted przybył na spotkanie punktualnie. Przyprowadził młodego polonistę z KUL, który miał być lektorem jego wierszy. Pod ciężkim sklepieniem piwnicznej sali zebrało się ponad 30 uczestników spotkania. Ja jako jego gospodarz zasiadłem pośrodku. Wiersze zostały odczytane, więc wezwałem uczestników do dyskusji. Pierwsza osoba zabierająca głos postawiła pytanie – *Proszę pana, dlaczego pańskie wiersze są tak mało zrozumiałe?* Sted milczał nie udzielając odpowiedzi.

Drugi dyskutant pytał, co poeta chciał wyrazić w jednym z odczytanych wierszy. Sted milczał nie udzielając odpowiedzi. Trąciłem go więc możliwie silnie i mówię: „Wziąłeś pieniądze, to teraz odpowiadaj".

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jakich kłopotów sobie napytam tą wypowiedzią. Sted jednak wydał ze swej włochatej piersi głos: „Na głupie pytania nie będę odpowiadał" – oświadczył.

Ta jego pozornie lakoniczna wypowiedź ogromnie ożywiła dyskusję. Uczestnicy pytali: „Ile otrzymał honorarium?" Nie wypadło ukrywać. Ujawniłem – 300 zł. No to pytali, a ile zarabia taki organizator spotkania. Gdy okazało się, że jestem na etacie, kibice niezrozumiałej poezji Steda zaczęli się oburzać na panującą niesprawiedliwość: Otóż taki przypadkowy inicjator, czyli ja, otrzymuje na pewno wynagrodzenie co najmniej trzykrotnie wyższe od honorarium przyznanego poecie, który przecież w naszym narodzie...

Przybyli na spotkanie przeważnie młodzi ludzie teraz jak gdyby zwrócili się przeciwko mnie. Ja, jako początkujący w zawodzie animatora kulturalnego pracownik, poczułem się zagrożony, więc oświadczyłem, że zebranie w zasadzie wyczerpało swą treść: Serdecznie dziękuję uczestnikom, których satysfakcja okazała się może niewielka, bowiem twórca, czyli Sted podczas pierwszego w swym życiu spotkania autorskiego poczuł się speszony i nie odpowiadał na pytania.

Ludzie opuszczali przyciemnioną papierosowym dymem salę. Sted ciągnąc za sobą lektora wycofał się do sąsiedniego pomieszczenia. Pognałem za nim i mówię, pełen oburzenia: „Jak mogłeś tak zniszczyć cały wysiłek organizacyjny i nic, dosłownie nic...

Sted spojrzał na mnie nieprzychylnie: – *Pieprzysz głupoty. Zebranie było bardzo udane, spokojne. To nie moje pierwsze, miałem już w Hybrydach w Warszawie. Tam strzelano z pistoletów i straszaków, jeden facet dostał w gębę. A tu lelum-polelum. Coś ty gadał, że byłem speszony.*

– Przecież wziąłeś forsę, trzeba było odpowiadać.

– Na głupie pytania, to nie ja. Stawiaj wino.

Zdębiałem. – *Niby z czego. Chyba z moich pieniędzy?*

– *Stawiaj wino. Lektorowi wyschło w ustach.*

Załamał mnie ten facet. Wyjąłem 20 zł i dałem na wino. Ale nie piłem z nimi. To może pogorszyło moje dotychczasowe pełne życzliwości stosunki ze Stachurą, bo już nie przychodził do nas do domu na kolacje, a nawet żona twierdzi, że podrzucił bez żadnej kartki pod drzwi pożyczone czarne palto.

Był maj. Wkrótce drogi nasze się rozeszły. Ja nie kontynuowałem studiów na romanistyce, on opuścił KUL i przeniósł się na Uniwersytet Warszawski. Pozostało jakby niedopełnione owo spotkanie autorskie, odbyte w Lublinie, 20 lat przed jego tragiczną śmiercią.

Kiedyś, może kilka lat od czasu naszych studiów na KUL, szedłem Krakowskim Przedmieściem, główną ulicą Lublina i nagle zobaczyłem Steda. Stał na chodniku odwrócony tyłem do drzwi wejściowych kawiarni „Lublinianka". Był w swoim niebieskim, uszytym z dżinsu ubraniu. Rozpięta kurt-

ka rozchylała mu się na piersiach. Pod gardłem kłębiły się jakby siwiejące już, porosłe na ciele włosy. Gdy szedłem, wydawało mi się, że mnie dostrzega. Ale, gdy zbliżyłem się, nie zrobił żadnego ruchu w moją stronę. Może jednak nie widział mnie. Mogła to być kwestia słabnącego już wzroku albo zawieszenia uwagi w jakimś zamyśleniu. W każdym razie nie zamieniliśmy słowa. Ja, gnany ważną sprawą, poszedłem dalej, on pozostał jak posąg na chodniku wśród drepczących w pośpiechu ludzi. Edward Stachura, zamyślony, dobierający słowa do swoich utworów, grzejący się przy ognisku swego wnętrza, osamotniony wobec siły swego wezwania – dysk gorejący.

Stanisław Jan Rostworowski

W poprzednim numerze:

Danuta Mostwin: *Magda* • Maciej Cisło: *wiersze* • Olga Masiuk: *Brakująca część Safony* • Julia Fiedorczuk: *wiersze* • Jacek Bierut: *Profanik* • Marek Danielkiewicz: *wiersze* • Rafał Watrowski: *Poezja T. Śliwiaka w oczach krytyki literackiej* • Urszula Jaros: *wiersze* • Sławomir Pokraka: *Trzeba się napić* • Sławomir Buryła: *Kto pił na wojnie. Wojna, okupacja, alkohol – zaproszenie do tematu* • Tobiasz Melanowski: *wiersze* • Kacper Bartczak: *Zdarzenie* • Radosław Borzęcki: *Biedny chrześcijanin Nietzsche* • Tomasz Gerszberg: *wiersze* • Szczepan Woronowicz: *Śrubokręt* • Piotr Macierzyński: *wiersze* • Liliana Zubińska: *Ostatni letni deszcz* • Lars Kleberg: *Zauważmy tłumacza* • Anne Stevenson: *wiersze* • Aneta Wysocka: *Dwa spojrzenia na klasykę* • Małgorzata Kitowska-Łysiak: *Miasta, miasteczka, prowincje...* • Ludwik Gawroński: *Muzyka na dworze Czartoryskich w Puławach* • Danuta Kelch: *Maria Dąbrowska we wspomnieniach siostrzenicy* • Wojciech Zalewski: *Afryka Zachodnia – rozważania pątnika* • Mirosław Wójcik: *Julian Tuwim w listach Emila Zegadłowicza* • **Recenzje** • **Noty** •

noty

STANISLAUS A. BLEJWAS (1941-2001)

23 września zmarł nagle w wieku 59 lat Stanislaus A. Blejwas, profesor historii w Central Connecticut State University w New Britain, jedna z najbardziej świetlanych postaci Polonii amerykańskiej. Jego odejście jest wielką stratą tak dla Polonii, jak i dla społeczności uczonych w Polsce i w USA. Znał dobrze język polski, na bieżąco śledził wydarzenia w życiu politycznym i kulturalnym, często odwiedzał Polskę, budując pomost między krajem przodków a krajem urodzenia. Stworzył jedną z najprężniej działających katedr polonistycznych w USA. Dzięki niemu biblioteka CCSU zgromadziła bogatą kolekcję poloniców. Zorganizował kilkaset wykładów, prezentacji filmowych i spotkań. W 1991 roku odznaczony został Medalem Haimana przyznawanym przez Polonijne Zrzeszenie Historyków za wkład do badania polskich doświadczeń na gruncie amerykańskim. W 1994 r. należał do specjalnej komisji ekspertów przygotowującej pierwszą wizytę prezydenta Billa Clintona w Europie Wschodniej. W 1995 roku otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za działalność naukową i społeczną, której zwieńczeniem było stworzenie Polish Studies Program na uniwersytecie w Connecticut.

Blejwas urodził się w Nowym Jorku 4 października 1941 w wielodzietnej rodzinie imigrantów z Polski. Magisterium (1966) i doktorat (1973) uzyskał

Stanislaus Blejwas (z prawej)
z Bogusławem Wróblewskim na Manhattanie, luty 2001.

na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku na podstawie pracy o pozytywizmie warszawskim w latach po powstaniu styczniowym. Wersja książkowa tej pracy pt. *Realism in Polish Politics: Warsaw Positivism and National Survival in Nineteenth Century Poland* ukazała się w 1984 roku nakładem Yale University Press. W trakcie przygotowywania rozprawy prowadził przez pewien czas badania na Uniwersytecie Warszawskim. Wykładał historię Polski, Europy Środkowowschodniej, w ostatnich latach zaangażował się w sprawę dialogu polsko-żydowskiego i prowadził kursy ze stosunków polsko-żydowskich. Był człowiekiem dialogu w pełnym sensie tego słowa. Dwukrotnie był powoływany przez prezydenta Clintona do rady Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, gdzie zabiegał o obiektywne przedstawianie tematyki polskiej. O jego zaangażowaniu na tym polu niech świadczy fakt, że ostatnią przed śmiercią wizytę w Polsce odbył w związku z uroczystościami upamiętniającymi mord w Jedwabnem. Kilka lat wcześniej wystąpił z rady Kongresu Polonii Amerykańskiej ze względu na antysemickie wypowiedzi prezesa Edwarda Moskala.

Oprócz pracy naukowej, pisarskiej i redakcyjnej (był m.in. współredaktorem książki *Pastor of the Poles: Polish American Essays*, 1982 oraz serii wykładów na tematy polskie i polonijne – „Occasional Papers in Polish and Polish American Studies") udzielał się społecznie. Działał w radach Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce i Instytutu Józefa Piłsudskiego, był prezesem Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego i członkiem Rady Polsko-Żydowsko-Amerykańskiej.

Kilkakrotnie odwiedzał Lublin. Współpracował z redakcją „Akcentu", Zakładem Kultury i Historii Żydów UMCS oraz Instytutem Europy Środkowo-Wschodniej. Jego wizyty w naszej redakcji były zawsze okazją do wielce inspirujących dyskusji, nie tylko na tematy polsko-amerykańskie. Ostatni opublikowany w „Akcencie" tekst prof. Blejwasa dotyczył statusu polskiej diaspory w USA wobec przemian politycznych ostatniego dziesięciolecia (nr 4 z 2000 r.). Także w marcu 2002 roku zamierzał przybyć do Lublina. Jeszcze kilka dni przed śmiercią ustalał temat wykładu, jaki chciał wygłosić w naszym mieście.

Nabożeństwo żałobne odbyło się 29 września 2001 r. w katolickim kościele Świętego Krzyża w New Britain. Jak napisał w liście-wspomnieniu zamieszczonym w „Tygodniku Powszechnym" (4 XI 2001) wybitny historyk z Yale University Piotr Wandycz, recenzent doktoratu Blejwasa, z którym później blisko współpracował, zmarły był *przykładem tego co w Polonii najlepsze. Na Mszy żałobnej w wypełnionym po brzegi Holy Cross Church zakończonej odśpiewaniem „Boże coś Polskę", zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę, iż Blejwas jest niezastąpiony. Musimy zrobić wszystko, aby Jego praca nie poszła na marne. To będzie najwłaściwszy hołd złożony pamięci tego niezwykłego człowieka.* Trudno znaleźć lepsze słowa dla wyrażenia tej straty. Profesor Blejwas we wszystkich swoich działaniach ujawniał wielką wiedzę, cierpliwość w dążeniu do prawdy i skłonność do mądrych kompromisów. Pozostanie dla nas współczesnym wzorem uczonego humanisty.

Zespół „Akcentu"

W ostatnich latach udzieliły redakcji wsparcia:
Fundacja „Pro Helvetia", Rada Miejska Lublina, Ambasada Amerykańska, Ambasada Węgierska, Centertel SA.

Dziękujemy!

Wdzięczni jesteśmy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w „Akcencie".

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność. Byli to m.in: Ambasada USA w Warszawie, Ambasada Węgier w Warszawie, Aharon Appelfeld, Stanisław Bask-Mostwin, Tadeusz Chabrowski, Włada Chałko, Anna Frajlich-Zając, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harshav, Ferdynand Hebal, Lars Kleberg, Alina Kochańczyk, Adam Lizakowski, Ryszard Löw, Sofia Majdańska, Danuta Mostwin, Wojciech Młynarski, Montex S.A., Alina Nowicka, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Puacz, Magdalena Rudiuk, ks. prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Maciej Woliński.

Pamiętamy o poetach i krytykach, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisażach literackich" AKCENTU:
Monice Adamczyk-Garbowskiej, Elżbiecie Cichli-Czarniawskiej, Tadeuszu Chabrowskim, Marku Danielkiewiczu, Kate Delaney, Leszku Długoszu, Józefie Fercie, Krystynie Głowniak, Marianie Grześczaku, Michale Jagielle, Ryszardzie Kapuścińskim, Tadeuszu Karabowiczu, Marianie J. Kawałko, Tadeuszu Konwickim, Istvánie Kovácsu, Henryku Kozaku, Janie Leończuku, Ewie Mazur, Regine Möbius, Edzie Ostrowskiej, Bronisławie Pietraku, Stanisławie Popku, Tadeuszu Szkołucie, Jerzym Święchu, ks. Alfredzie Wierzbickim, Adamie Zielińskim.

Regularne otrzymywanie „Akcentu" zapewnia prenumerata!

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Lubelskie Centrum Taniej Książki „Lotos"
Wieniawska 2
20-071 Lublin tel. 532-26-40

Księgarnia „Ezop"
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 532-56-15

Księgarnia Medyczna
Al. Tysiąclecia 6
20-121 Lublin

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Sklodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu".

Księgarnia „Bibliopola"
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 532-20-32

Księgarnia im. Kazimierza Szczepańskiego
ul. Rynek 6
20-111 Lublin tel. 534-65-87

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin

Księgarnia „Akcent"
Rynek Kościuszki 17
15-421 Białystok tel. 745-59-54

Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Elefant"
ul. Podwale 6
31-118 Kraków tel. 422-90-57, 422-37-17

Księgarnia Akademicka
ul. Św. Anny 12
31-008 Kraków tel. 422-04-11 w. 167

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitalka"
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań tel. 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS"
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa tel. 697-88-35

Księgarnia „Odeon"
ul. Hoża 19
00-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czytelnik"
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia WSP
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra tel. 326-35-20 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 1997: 1 – m.in. szkic o twórczości Marca Chagalla i „Noc poetów" B. Zadury; **2** – polsko- i anglojęzyczna twórczość „polskich Amerykanów"; **3** – najnowsza eseistyka, poezja i proza ukraińska; **4** – poezja debiutantów i szkice o Herbercie, Kuncewiczowej, Kosińskim;
z 1998: 1-2 – nowe piosenki W. Młynarskiego, opowiadania M. Głowińskiego, D. Mostwin, M. Pankowskiego, eseje K. Delaney i Ch. Shmeruka; **3** – pt. „Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof"; **4** – „Berlin – Lipsk – Wiedeń";
z 1999: 1 – proza T. Mirkowicza, S. Pokraki, A. Wiedemanna, korespondencja E. Stachury, listy Z. Kossak-Szczuckiej do J. Birkenmajera; **2** – sylwetka W. Maja, notatnik E. Zegadłowicza, rozmowa z G. Herlingiem-Grudzińskim, grafika G. Mazurka; **3-4** – 10 polskich poetów, szkice o twórczości ks. J. Twardowskiego, o kulturze Hucułów, poezja Węgrów z Siedmiogrodu;
z 2000: 1-2 – szkice o dramaturgii Gombrowicza, listy Zegadłowicza, proza A. Appelfelda, grafika S. Bałdygi; **3** – „Czytanie Ukrainy" (współczesna poezja i proza ukraińska); **4** – eseje o Głowińskim, Grynbergu, Śliwiaku, proza Kozaka, Pietrzeli, Masternaka;
z 2001: 1-2 – wiersze Frieda i Rybałko, eseje o kobiecie fatalnej (Wierzbowska, Kornacka), o „Hebanie" Kapuścińskiego oraz o ejdetyce krzyku (Patyk), proza Białeckiej, Chabrowskiego, Drzewieckiej, Oates, ryciny Artura Popka (Lameński), raport o radiowej publicystyce kulturalnej (Wróblewski); **3** – wiersze Cisły, Danielkiewicza, Fiedorczuk, Macierzyńskiego, proza Bartczaka, Bieruta, Mostwin, eseje o Safonie (Masiuk), Nietzschem (Borzęcki), wspomnienie o Marii Dąbrowskiej (Kelch), malarstwo Piotra Fąfrowicza, omówienie spektakli w Teatrze Osterwy (Wysocka), wyprawa do Afryki Zachodniej (Zalewski).

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu".

Wykaz salonów prasowych oraz wybranych punktów sprzedaży „Akcentu" w sieci RUCH SA

Andrychów, ul. Lenartowicza
Biała Podlaska, ul. Orzechowa 34
Białystok, ul. Raginisa 9/10
Bielsk Podlaski, ul. Mickiewicza
Bielsko-Biała, ul. Warszawska 28
Bydgoszcz, ul. Kruszwicka (Geant),
ul. Długa 11,
ul. Podwale 11,
ul. Magnuszewska 6 (ETC)
Chełm, ul. Lubelska 70
Ciechanów, ul. Warszawska 62
Częstochowa, Al. Pokoju
Elbląg, ul. 1 Maja,
ul. Bałuckiego
Gdańsk, ul. Długi Targ,
Podwale Grodzkie,
ul. Złota Brama
Gdańsk-Żukowo, ul. Gdyńska
Gdynia, ul. Starowiejska,
ul. Świętojańska
Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 126/128
Jasło, ul. Baczyńskiego 15
Jelenia Góra, Pl. Ratuszowy 26
Kalisz, ul. Narutowicza 1
Katowice, Al. Korfantego 9,
Dworzec PKP – hall główny,
Dworzec PKP
Kętrzyn, ul. Powstańców Warszawy
Kielce, ul. Paderewskiego 11,
ul. Warszawska 5
Kłodzko, ul. Rodzinna 42
Kozienice, ul. Warszawska
Kraków, ul. Bora Komorowskiego 37,
ul. Andersa 9,
ul. Kościuszki, ul. Pawia 20
Leszno, ul. Rynek,
Osiedle Armii Krajowej,
ul. Leszczyńskich 2
Lubin, ul. Kilińskiego
Lublin, ul. Zamojska 24,
ul. Krakowskie Przedmieście 59
ul. Peowiaków 12,
Dworzec PKP (peron 1),
Krak. Przedmieście (Ogród Saski)
Łomża, Al. Legionów 50, paw. 8
Łowicz, ul. Browarna 9
Łódź, ul. Dąbrowskiego 60,
ul. Sienkiewicza 59,
ul. Zgierska 26
Malbork, ul. Dworcowa
Mrągowo, ul. Królewiecka
Nowy Sącz, Rynek 17
Olsztyn, ul. Dybowskiego, ul. 1 Maja
Opole, ul. Ozimska – „Opolanin",
ul. Piastowska (Urząd Woj.)
Ostrołęka, ul. Głowackiego 5 (księgarnia UNDERGROUND)
Piła, ul. Matwieja 16 B,
Hotel Ratlo
Płock, ul. Kobylińskiego 2
Poznań, ul. Stary Rynek 83,
ul. Gwarna 11,
ul. Grochowska/ Marcelińska
Puławy, ul. Centralna 10
Radom, ul. Toruńska 1 (E.Leclerc)
Rzeszów, ul. Zygmuntowska 5,
ul. Podwisłocze 6/4
Sandomierz, ul. Mickiewicza
Sanok, ul. 3 Maja
Sopot, ul. 3 Maja
Starogard Gd., ul. Paderewskiego,
ul. Sikorskiego,
ul. Hallera
Staszów, ul. Rynek 16
Suwałki, ul. Waryńskiego 18
Szczecin, pl. Hołdu Pruskiego 8,
ul. Czackiego 3
Tczew, ul. Dąbrowskiego,
ul. Saperska
Toruń, ul. Grudziądzka 45,
ul. Kraszewskiego 1/3,
ul. Grudziądzka 162
Wałbrzych, ul. Puszkina
Warszawa, ul. Abrahama 12,
ul. Grójecka 26,
ul. Mikołajczyka 12,
ul. Wąwozowa (paw. 4),
ul. Kłobucka 8,
ul. Bagatela 14,
ul. Dobra 56/66,
Al. Jana Pawła II/ Elektoralna,
ul. Ekologiczna 8,
ul. Kochanowskiego 39,
ul. Ostrobramska 75A,
ul. Rembielińska 6
Włocławek, ul. Miedziana 2/4
Wodzisław, ul. Księżnej Konstancji 123,
ul. 26 Marca
Wrocław, ul. Kiełbaśnicza 7a,
Pl. Kościuszki 11,
Pl. Solny 6/7a / Ruska 68
Zamość, ul. Partyzantów (Nowe Miasto)
Ząbkowice Śląskie, ul. Rynek 31
Zielona Góra, ul. Bohaterów Westerplatte 19a
Złotów, ul. Wojska Polskiego

Kwartalnik „Akcent" od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany jest przez Lubelskie Zakłady Graficzne - obecnie działające pod zmienioną nazwą MULTIDRUK S.A. Firma ta istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tej firmy. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu"

MULTIDRUK
SPÓŁKA AKCYJNA W LUBLINIE

20-950 LUBLIN, UL. UNICKA 4
TEL. (0-81) 747 14 37, 747 35 00
FAX: (0-81) 747 14 37, 747 15 21

OFERUJE USŁUGI POLIGRAFICZNE
W ZAKRESIE DRUKU:

- ❑ KSIĄŻEK
- ❑ KALENDARZY
- ❑ FOLDERÓW
- ❑ PLAKATÓW
- ❑ GAZET
- ❑ ETYKIET

- W TYM NA MATERIAŁACH SAMOPRZYLEPNYCH
ORAZ **INNE** WEDŁUG ŻYCZEŃ ZAMAWIAJĄCEGO